

*Poznajcie przerażający mechanizm niszczenia ludzi
niewygodnych dla władzy. Polowanie czas zacząć.*

Anna Ruszczyk, Gazeta Śledcza

URLAD

PIOTR KOŚCIELNY

CZARNA OWCA

PIOTR KOŚCIELNY

URLAD



WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

Spis treści

PROLOG

ROZDZIAŁ I. Telefon

ROZDZIAŁ II. Rozpoznanie

ROZDZIAŁ III. Pierwsze tropy

ROZDZIAŁ IV. Spotkanie po latach

ROZDZIAŁ V. Razem i osobno

ROZDZIAŁ VI. Pułkownik

ROZDZIAŁ VII. Polowanie

ROZDZIAŁ VIII. Dąb

ROZDZIAŁ IX. Przeszłość powraca

ROZDZIAŁ X. Rachunek krzywd

ROZDZIAŁ XI. Przebudzenie

ROZDZIAŁ XII. Krew z krwi

EPILOG. Koniec

Redakcja: Anna Płaskoń-Sokołowska
Korekta: Ida Świerkocka, Bartosz Szpojda
Projekt okładki i stron tytułowych: Paweł Panczakiewicz
Zdjęcie na okładce: © Mahul Patel /Arcangel

Copyright © by Piotr Kościelny, 2023
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2023
All rights reserved

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-8252-597-7

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

ul. Wspólna 35/5, 00-519 Warszawa, www.czarnaowca.pl

Dział handlowy tel.: +48 22 616 29 36, e-mail: handel@czarnaowca.pl

Redakcja tel.: +48 22 616 29 20, e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

W polityce zabójstwo nie istnieje, bo w polityce (...) nie ma ludzi, a tylko idee, nie ma uczuć, a tylko interesy; polityka nie uznaje morderstwa: usuwa się przeszkody... i basta.

– Aleksander Dumas, *Hrabia Monte Christo*,
przeł. Julian Rogoziński

Prolog

Wrocław, czerwiec 2010 r.

Patrzył na leżące na chodniku zwłoki. Kojarzył tego zbira. To Loczek – jeden z rekieterów zbierających haracze dla grupy Maruchy. Gang powiązany był z kibicami wrocławskiego Śląska. Dzięki sporej siatce dilerów Marucha rozprowadzał narkotyki w całym mieście. Obecnie była to najbardziej licząca się grupa we Wrocławiu. Podlegało jej kilka mniejszych, nie tak liczących się gangów. Śmierć Loczka z całą pewnością zwiastowała kłopoty.

Spojrzał na zegarek – dochodziła szósta rano. Odpalił papierosa, zaciągnął się głęboko i spojrzał w stronę pobliskiej agencji towarzyskiej. Później będzie musiał tam pójść i rozpytać obsługę. Przez chwilę palił w milczeniu, po czym pstryknął niedopałek w bok. Z kieszeni spodni wyjął parę rękawiczek lateksowych i założył je.

– Co myślisz? – spytał aspirant Adrian Tomala.

Grot przykucnął i odchylił głowę Loczka, ukazując ranę na potylicy.

– Egzekucja.

– Myślisz, że załatwił go Marucha?

– Nie wiem. Nie chcę gdybać. Może Loczek wypadł z obiegu? A może robił bossa w chuja? Popytamy ucholi i zobaczymy, czy któryś powie nam coś ciekawego.

Wyprostował się i zatoczył głową kilka kółek, by rozluźnić kark.

– Mameja przyjechała – powiedział Tomala.

Grot spojrzał w stronę nadjeżdżającego fiata punto. Za kierownicą siedział komisarz Godlewski, naczelnik wydziału zabójstw komendy wojewódzkiej policji.

– Nie drażnij go. Facet za kilka dni idzie na urlop. Myślam już pewnie jest na działce. Nie chcę, żeby się nam wpierdalał w śledztwo.

Godlewski wysiadł ze służbowego auta i ruszył w ich kierunku.

– Co tu się stało? – spytał bez zbędnych wstępów.

– Loczkowi coś do łba strzeliło – mruknął Grot.
Naczelnik popatrzył na niego wyraźnie zaskoczony.
– Jak strzeliło? Co przez to rozumiesz?
– A co można rozumieć? Facet dostał kulkę. A naczelnik myślał, że co? Że Loczek wpadł na jakiś genialny pomysł?
– Grot! Nie prowokuj mnie, bo się zdziwisz.
– Już jestem zdziwiony. A każdy dzień przynosi kolejne zaskoczenia.
Godlewski mierzył go wzrokiem w taki sposób, jakby chciał go zabić.
Grot ściągnął lateksowe rękawiczki i wyjął z paczki papierosa, po czym odpalił go i wydmuchnął dym prosto w twarz naczelnika. Zdawał sobie sprawę, że to niegrzeczne, ale miał to gdzieś.
– Trzeba będzie się przejść w stronę tamtej agentury. Może jakaś panienka coś widziała.
– Ja to załatwię – oznajmił Godlewski.
Grot spojrział na niego i pokręcił głową.
– Lepiej nie. Naczelnik niech jedzie do fabryki i ogarnie jakieś wsparcie.
– Jakie wsparcie?
– Będziemy potrzebowali pomocy chłopaków z przestępczości zorganizowanej. Oni mają najlepsze rozeznanie, jakie teraz układy panują w mieście. To, że odpalono Loczka, może oznaczać jedno: zgonów będzie więcej.
– To może w ogóle zostawić im tę sprawę – zaproponował Godlewski.
– Jest trup, więc to nasza działka. Naczelnik niech robi swoje.
Grot strzepnął popiół i wziął kolejnego macha. Przez kilkanaście sekund palił w milczeniu. Naczelnik w tym czasie patrzył, jak pakują denata do czarnego worka. Po chwili odezwał się nieśmiało:
– Słuchaj, jakby co, mogę się postarać, żeby sprawa poszła do pezetu. Trup nie trup, ale zginął miastowy.
– Nie wiem, jak szef to ogarnie, i mnie to nie interesuje. Ja mam za zadanie się dowiedzieć, kto zastrzelił Loczka, i zrobić wszystko, by zabójca trafił przed oblicze proroka. – Grot rzucił niedopałek na chodnik i zdeptał butem. – Idę do agentury. Naczelnik ma swoje zadania, a ty – wskazał na Tomalę – dopilnuj tu wszystkiego.
Po tych słowach ruszył w stronę agencji towarzyskiej.

* * *

Marucha siedział w swojej rezydencji i pił drinka.

Właśnie otrzymał informację, że problem Loczka został rozwiązany. Kilka dni temu dowiedział się, że policja chce odwrócić jego człowieka. Informator z policji przekazał mu wiadomość, że Loczek wpadł z niewielką ilością prochów i został przekonany przez gliniarzy z narkotykowego do współpracy. Z tego, co mówił kapuś, wynikało, że muszą się spieszyć.

Dzisiaj – wraz ze śmiercią potencjalnego policyjnego uchola – problem zniknął. Marucha trochę żałował, że musieli tak postąpić. Znał denata od dziecka. Wychowywali się na jednym podwórku, ich rodzice czasem się odwiedzali, można by nawet powiedzieć, że on i Loczek się przyjaźnili. Teraz jednak musiał odsunąć na bok sentymenty i zadbać o swoją grupę. Mieli zbyt wiele do stracenia. Gdyby Loczek zeznawał, mógłby doprowadzić do zatrzymania nie tylko jego, ale i innych chłopaków. Marucha nie chciał, by jego ludzie podzielili losy grup z Wołomina i Pruszkowa, które przez zeznania świadka koronnego utraciły swoje wpływy i de facto przestały istnieć.

– Struna, podejź do mnie! – zawołał swojego najbardziej zaufanego człowieka.

– No? – Po chwili mięśniak stanął przed nim.

– Słuchaj, trzeba puścić na mieście plotkę, że Loczka odjechał jakiś kiler ze wschodu. Ponoć sprawy z przeszłości.

– A czemu?

– Bo nie chcę, żeby kręciły się tu psy. Jak myślisz, co będą robić na początku?

– A skąd ja mam wiedzieć? Nigdy nie byłem psem.

Marucha pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Kurwa, ty od tych sterydów masz jakieś dziury w mózgu? Ja też psem nie byłem, ale wiem, że w takich przypadkach zaczynają węszyć. Będą chcieli się dowiedzieć, kto zajeżdżał miastowego. Zaczną tu przyłazić i pytać. Jak myślisz, ilu z chłopaków jest na tyle sprytnych, by nie chlapnąć czegoś głupiego?

Struna tylko wzruszył ramionami.

– Ja też nie wiem. Może się okazać, że któryś leszcz powie coś, z czego później będzie trudno się wymiksować. Jarzysz?

Mięśniak skinął głową.

– No. To załatw temat.

Marucha patrzył, jak jego człowiek wychodzi. Trochę żałował, że otacza się takimi osobnikami. Nie chciał jednak ryzykować, że pod boki wychodzą

sobie konkurenta do władzy. A tępaki w rodzaju Struny nawet by nie pomyślały o tym, że mogą przejąć stery w grupie. Dzięki temu był spokojny o swój los.

W mieście nie miał większej konkurencji. Jeszcze dwa lata temu była grupa Dzikiego, ale dziś już się nie liczyła. Dziki został zdymisjonowany przez jednego ze swoich ludzi i trafił do worka. Potem zaczęła się walka o schedę i w efekcie grupa przestała istnieć. Rozpadła się na kilka mniejszych gangów, które przestały mieć znaczenie. Władzę nad wrocławskim półświatkiem przejął on, Marucha. Wiedział, że nie może popełnić błędu Dzikiego.

Dopił drinka i wstał z kanapy. Miał ochotę popływać w basenie. Odkąd zaczął zarabiać duże pieniądze, otaczał się drogimi rzeczami. Lubił luksus.

* * *

Grot wszedł do agencji towarzyskiej. Jaskrawy neon z napisem Afrodyta raził w oczy. Nazwa była typowa dla tego rodzaju przybytków. Przez chwilę się rozglądał, a potem skierował kroki w kierunku baru. Nigdzie nie widział dziewczyn ani bramkarzy pilnujących porządku. Coś mu tu nie pasowało. Spojrzał na czerwoną kotarę z boku baru, po czym przeniósł wzrok na barmana, który w milczeniu wycierał szklanki.

– Szef jest? – spytał.

– Nie ma.

– A kto jest?

– Nikt.

W tym samym momencie za czerwoną zasłoną ktoś kichnął.

– Nikt? Zaraz sobie ciebie, chłopie, wypożyczę – zagroził Grot.

Odsunął materiał i zobaczył trzy skąpo ubrane dziewczyny, skulone i zapłakane. Wyciągnął w ich stronę dłoń.

– Możecie wyjść. Już jest bezpiecznie.

Jedna z dziewczyn cofnęła się i pokręciła głową. Widać było, że jest przerażona, podobnie jak koleżanki.

– Panie kolego, zadzwoń pan po karetkę – rzucił do barmana.

Mężczyzna odłożył szklankę i szmatę, po czym opieszale wziął do ręki telefon. Grota kusilo, aby zdzielić go w łeb. Ponownie spojrzał na dziewczyny.

– Widziałyście, co się stało?

Dwie potwierdziły skinieniem. Trzecia uciekła ze wzrokiem. Grot wiedział, że to ona może mu najbardziej pomóc.

– Zaraz przyjedzie pomoc. Lekarz was przebada i da wam coś na uspokojenie. – Wiedział, że teraz nie ma sensu z nimi rozmawiać. Za bardzo się bały.

Gdy barman skończył rozmowę z operatorem numeru alarmowego, Grot podszedł do niego i spytał:

– Będziesz dalej ściemniał czy zaczniesz współpracować?

– Ja tam nic nie widziałem.

– Na chuj mnie robisz w konia? Myślisz, że jak powiesz, że nic nie widziałeś, to od miastowych dostaniesz nagrodę?

– Przynajmniej nie dostanę kary. Was się mniej boję.

Grot zdał sobie sprawę, że nic z niego nie wyciągnie.

– A bramka gdzie?

– Nie ma i nie było.

– Nie gadaj, że agentura działa bez ochrony.

Nie chciał w to uwierzyć. W przeszłości we wrocławskich agencjach towarzyskich regularnie dochodziło do awantur. Dwa lata wcześniej kilku klientów poskarżyło się, że zostali uśpieni jakimiś prochami i ograbieni z pieniędzy. Żadna sprawa jednak nie zakończyła się postawieniem zarzutów, bo ofiary po kilku dniach wycofywały zgłoszenia. Pewnie na ich decyzje miała wpływ groźba pobicia lub zgwałcenia żony. Policja jednak nic nie mogła z tym zrobić. Nie ma zawiadomienia – nie ma sprawy.

– Dzisiaj nie przyszli – burknął barman.

Grot wiedział, że facet kłamie. Przed lokalem ginie Loczek, a ochrona właśnie tego dnia nie pojawia się w pracy. Co za zbieg okoliczności.

* * *

Godlewski przyjechał do komendy i udał się prosto do wydziału przestępczości zorganizowanej, a konkretnie do gabinetu naczelnika Mariusza Frączaka.

– O, cześć. Co cię do mnie sprowadza? – spytał Frączak.

– Zabójstwo gangusa.

– A tak, słyszałem, że miastowi odpalili Loczka.

– Właśnie. I teraz trzeba ustalić, kto się ma tym zająć.

– No wy jesteście od zabójstw, nie?

– Ale to miastowi go zabili, więc sprawa może być wasza.

– Słuchaj, możemy wam służyć wiedzą na temat struktur grupy Maruchy lub pomniejszych grup, ale za nielegalny ubój to wy odpowiadacie. – Naczelnik

wzruszył ramionami. – Nam nic do tego.

Godlewski wiedział, że szanse na to, aby pezet przejął śledztwo, są znikome. Za kilka dni zaczynał urlop i sprawa zabójstwa gangstera zupełnie nie była mu na rękę

– Poza tym – ciągnął Frączak – jak tylko dostaliśmy cynk, że zginął Loczek, moi ludzie pogadali ze swoimi uchołami. Chcieli wybadać, czy grozi nam dziki zachód i strzelanki w mieście. Jak dotąd nikt tego nie planuje, ale uchole gadają, że dilerka odpalił jakiś ruski. Ponoć mieli zatargi niezwiązane z Maruchą i jego grupą. Coś z przeszłości.

Godlewski ucieszył się, słysząc te słowa. Ryzyko wojny gangów w mieście malało. Nie będzie musiał zbierać trupów z chodników i ulic. Tego się obawiał najbardziej, bo każda śmierć popsułaby mu statystyki.

– Dobra, to ja dzwonię do swoich – zdecydował. – Niech wiedzą, na czym stoimy. Dzięki za info.

– Wpadniemy do was i powiemy, czego możecie się spodziewać. Ale to na spokojnie. Może po południu się zgadamy.

– To do później.

Komisarz uściśnął Frączakowi dłoń i wyszedł z gabinetu. Po drodze do siebie wysłał jeszcze esemesa do Tomali z informacją, że Loczek zginął z rąk bandytów ze wschodu. Ta wersja wyglądała na najbardziej prawdopodobną. Uważał, że na niej powinni się skupić.

Już po chwili usiadł za biurkiem i położył nogi na blacie. Zastanawiał się, czy w tym roku obrodzą mu maliny.

* * *

Grot patrzył na siedzącą na wprost niego dziewczynę. Zastanawiał się, co sprawiło, że Natalia postanowiła zostać prostytutką. Znał wiele historii dotyczących początków pracy w tym zawodzie. Jedne robiły to dlatego, że potrzebowały pieniędzy na leczenie kogoś z rodziny, drugie były zmuszane przez gangsterów, jeszcze inne po prostu lubiły seks. Znał nawet taką, która kupczyła swoim ciałem, żeby spłacić kredyty zaciągnięte w parabankach. Nie oceniał ich, bo wiedział, że wiele wolałoby pracować w innym zawodzie. Po prostu tak potoczyło się ich życie.

Ciekawiła go historia tej drobnej blondynki, ale teraz miał ważniejsze zadanie – musiał ustalić, kto zabił Loczka.

– Myślę, że możemy zacząć. Nazywam się Radosław Grot i pracuję w wydziale zabójstw. Powiedz mi, co widziałaś.

– Nic.

– Kłamiesz. Wiem, że był tu Loczek.

– Nie znam żadnego Loczka.

– Nie znasz? Powiem ci, jak było. Z tego, co udało się ustalić mojemu partnerowi, denat był tu częstym gościem. – Grot wskazał na stojącego kilka metrów dalej Tomalę, który przyglądał się technikom zabezpieczającym odciski palców. – Więc lepiej zacznij gadać. Wiesz, że mogę cię przymknąć za współudział?

– Ja nic złego nie zrobiłam.

– A kto powiedział, że zrobiłaś? Zamknę cię i puszczę plotkę, że sypiesz. Masz wybór: albo powiesz, co widziałaś, albo ja powiem, że z nami współpracujesz. Ci, co załatwili Loczka, załatwią też ciebie – zablefował Grot.

Natalia spojrzała na niego nieufnie.

– A jaką mam gwarancję bezpieczeństwa?

– To znaczy?

– No jak zacznę mówić, to gwarantujecie, że włos mi z głowy nie spadnie?

– Możemy postarać się o status świadka incognito. Twoje zeznania będą utajnione. Nikt nie będzie wiedział, że to ty z nami współpracujesz.

– Nie. – Dziewczyna pokręciła głową.

– Słuchaj, jak miastowi się dowiedzą, że widziałaś, kto załatwił Loczka, to będziesz miała przekichane.

Komisarz widział, że dziewczyna się waha, ale nie chciał zbyt mocno jej dociskać.

– Dobrze. – W końcu skapitulowała. – Ten zabity tu był. Przyszedł przed piątą i mnie zamówił. Poszliśmy na górę. Zrobiłam mu loda...

– Co było dalej?

– Wyszedł z pokoju i zszedł na dół. Potem widziałam, jak siedział przy barze i pił jakiegoś energetyka.

– Byli inni klienci?

– Nie. Ostatni wyszedł koło czwartej.

Grot obserwował ją czujnie. Jak dotąd wyglądało, że dziewczyna jest z nim szczerą.

– A ochrona lokalu dziś była? – spytał.

– Tak. Jak wszedł ten, co go zabili, to oni wyszli.

Cholerny barman go okłamał. Będzie musiał wziąć go w obroty.

– Co było dalej? Siedział przy barze i co?

– Dopił, zapłacił i wyszedł na zewnątrz. Ale mnie coś tknęło. Ciężko mi powiedzieć co, jakieś przeczucie, że powinnam za nim pójść. Już na dworze odpaliłam papierosa i zobaczyłam, jak koło samochodu tego zabitego zatrzymała się czarna beemka. Wysiadło z niej trzech facetów. Jeden podszedł do tego kolesia i chwilę z nim rozmawiał. Potem inny z mięśniaków zaszedł go od tyłu i przyłożył mu pistolet do głowy. Sekundę później padł strzał.

– Co było dalej? – spytał Grot.

– No... tamten padł na ziemię. A jak jeden z tamtych ruszył w stronę drzwi, weszłam do środka i schowałam się za kotarą. Dziewczyny także. Ten kark kazał sobie dać nagrania z monitoringu. Zabrał cały sprzęt i wyszedł. Potem jeszcze zerknęłam i zobaczyłam, że któryś od nich wsiada do samochodu tego zabitego i wszyscy odjeżdżają.

– Dobra. – Grot klepnął się w uda. – Ja teraz idę pogadać z prorokiem i załatwię ci status świadka incognito. Ty się stąd nie ruszaj.

Grot wstał i skierował się w stronę drzwi. Po drodze dał znak Tomali, aby wyszedł za nim.

Na zewnątrz obaj odpalili papierosa.

– Ta laska widziała zabójcę – powiedział komisarz, wydmuchując dym. – Powiedziała, że było trzech cyngli. Jeden z nich odpalił Loczka. Zaraz zadzwonię do proroka. Niech nada jej status incognito. Jej zeznanie pogrąży zabójcę i Maruchę.

– A skąd wiesz, że Marucha za tym stoi?

– A kto?

– Mameja wysłał mi info od chłopaków z pezetu. Gadał z ich naczelnikiem, Frączakiem. Podobno uchole donoszą, że Loczek miał jakieś zatargi z ruskimi. Jakiś ruski kiler go załatwił.

– Wierzysz w to? – Grot uniósł brew.

– A mam podstawy, by nie wierzyć? Sam mówiłeś, że nie wiadomo, co się odjebało. Może to jednak nie Marucha.

Grot wziął kolejnego macha.

– Zaraz wydzwonię proroka – powtórzył. – A potem pogadam z chłopakami z narkotyków i pezetu. Może dowiem się czegoś ciekawego.

Zagasił papierosa i wyjął z kieszeni telefon.

* * *

Marucha przepłynął pięć długości, a potem wyszedł z basenu, usiadł na leżaku i sięgnął po papierosy. Palił w milczeniu przez dwie minuty, podczas gdy ktoś uparcie starał się dodzwonić na jego komórkę.

– Co za chuj nie daje mi spokoju... – mruknął pod nosem. Kusilo go, żeby wrzucić telefon do wody, w końcu jednak odebrał.

– Czego?

– Cześć – rozległo się po drugiej stronie. – Mam dla ciebie info. Grot ma świadka. Jakaś kurwa widziała, jak twoi ludzie odjebali Loczka.

Marucha rozpoznał ten głos. Gliniarz, który mu donosił, dobrze się spisał.

– Dostaniesz w nagrodę kilka groszy więcej. A nie boisz się, że ktoś się dowie, że mi zakapowałeś o tej kurwie?

– Nie. Cały pezet już o tym wie, do tego prokuratura i wydział zabójstw. U nas w fabryce wieści szybko się rozchodzą – powiedział informator.

– To dobrze. Nie chciałbym stracić tak cennego kapusia.

– Nie jestem kapusiem.

– Jak nie? Strzelasz mi przecież z ucha.

– Biznes robimy. Tyle i tylko tyle.

– Dobra, nie unos się. Jak myślisz, co powinienem zrobić?

– Odjeb kurwę, to Grot nie będzie miał żadnego świadka. Może wtedy odpuści.

– Chyba masz rację. Dzięki za info. Kasę dostaniesz tak jak zwykle. Cześć.

Marucha odłożył aparat na stolik. Dobrze, że jednak nie wrzucił go do wody. Wiadomość, którą przekazał mu kapuś, była ważna. Musieli się zająć dziewczyną, która zdecydowała się na współpracę z policją.

– Struna, chodź no tu! – krzyknął do mięśniaka, a gdy ten stanął przy nim, zarządził: – Musicie posprzątać.

– Co?

– Trzeba uciszyć kurwę. W agencji zostawiliście świadka. Naprawicie swój błąd.

– A którą?

– Kurwa, nie spytałem... Zajebcie wszystkie. – Wiedział, że musi pozbyć się potencjalnego ryzyka. Zresztą nie żałował tych prostytutek. Na brak dziewczyn do tej roboty nie narzekali. Afrodyta należała do jego byłej konkubiny i Marucha wiedział, że ta będzie zła, ale zrekompensuje jej straty.

Spojrzał na basen i zaczął się zastanawiać, czy nie przepłynąć jeszcze dwóch długości.

* * *

Natalia Stefanowicz piła herbatę przy stoliku.

Policjanci i technicy kryminalistyczni już wyszli. Ten, z którym rozmawiała, pojechał do komendy. Zastanawiała się, czy nie popełniła błędu, zgadzając się na współpracę z prokuraturą. Miała na utrzymaniu chorą matkę i zbierała na jej operację. Zamierzała popracować w agencji jeszcze ze dwa lata. Odłoży trochę gotówki i wtedy odejdzie z zawodu.

Nie uważała się za kogoś gorszego od innych. Na pewno nie dlatego, że wybrała taki sposób zarabiania pieniędzy. Zdawała sobie sprawę, że jej koleżanki z liceum nie dałyby jej spokoju, gdyby się dowiedziały, że sprzedaje własne ciało, ale nie miała wyboru. Bardzo kochała swoją matkę, a tylko kosztowna operacja mogła uratować jej życie. Kobieta miała nowotwór i na dodatek potrzebowała nowego serca. Na państwową służbę zdrowia nie miała co liczyć – nikt nie zakwalifikowałby jej do przeszczepu ze złośliwym rakiem. Lekarze mówili, że to zbyt duże ryzyko. Natalia jednak wiedziała, że po prostu wolą dać to serce komuś, kto ma większe szanse na przeżycie niż jej matka. Kilka miesięcy temu dowiedziała się o prywatnej klinice, w której podjęliby się takiego ryzyka. Musiała jednak uzbierać odpowiednią kwotę. Oczywiście nie obejdzie się bez sprzedaży mieszkania, ale tym się teraz nie zajmowała.

Pozostałe dziewczyny siedziały stolik dalej i piły drinki. Chciały się upić. Nie mogły opuścić lokalu, bo barman im zabronił. Powiedział, że zaraz przyjedzie szefowa, żeby ustalić z nimi wersję, którą mają podawać policji. Natalia się zastanawiała, co powie Dagmara, gdy usłyszy, że ona już zdecydowała się na rozmowę ze śledczymi...

Nagle usłyszała jakiś hałas od strony drzwi. Po chwili do agencji wpadło dwóch facetów w kominiarkach. W rękach trzymali kałachy. Zupełnie bez ostrzeżenia zaczęli strzelać. Widziała, jak ciała jej koleżanek przeszywane są pociskami. Po kilku sekundach chaotycznego tańca barman też padł na podłogę. Próbowwała się schować pod stolikiem, ale nie zdążyła. Pierwsza kula trafiła ją w ramię. Natalia zerwała się z miejsca, by uciec na zaplecze, ale w tym samym momencie kolejny strzał odrzucił ją metr do tyłu.

Następne kule przeszywały już jej martwe ciało.

* * *

Grot wyszedł z budynku prokuratury i odpalił papierosa. W tym samym momencie zaczęła dzwonić jego komórka.

– Co jest? – spytał bez zbędnych wstępów.

– Miastowi rozjebali Afrodytę – powiedział Tomala.

– Co?

– Z kałachów zajebali wszystkie dziewczuchy i barmana.

– Nie gadaj. A nasi jeszcze tam byli?

– Nie. Podejrzewam, że zbóje obserwowały lokal i widziały, że w środku zostały tylko dupy.

– Kurwa mać.

Grot był wściekły. Miał świadka, który mógł pogrzyść Maruchę. Jeśli dziewczyna rozpoznałaby któregoś z ludzi gangstera, a im udałoby się go odwrócić w zamian za złagodzenie wyroku, istniała szansa, że boss półświatka pójdzie siedzieć.

Teraz ich plan trzeba zmodyfikować. Będą musieli szukać dowodów winy bossa i mozolnie przeprowadzić całe śledztwo. Sukcesów większych jednak nie wróżył. Raczej nikt nie odważy się zeznawać przeciwko gangusom, zwłaszcza po tym, co pokazali w agencji towarzyskiej.

– Radek, może lepiej odpuścić? – zapytał Tomala niepewnie.

– Odpuścić? Chłopie! Skurwiele załatwiły niewinne dziewczyny. Ta Natalia mogła nam pomóc wsadzić Maruchę i kilku jego kmiotków.

– Ale sam widzisz, że to ryzykowne. Wejdiesz mu w drogę, to i ciebie będzie chciał odpalić.

– Myślisz? Nie sądzę, żeby był taki głupi. Wie, że jeśli zabije jednego psa, wsiądzie na niego cała psiarnia.

– Sam nie wiem... Jak facet się uprze, to nie myśli. Ja bym spasował.

– A ja nie. Nie potrafię tak.

– I tego właśnie się boję. Ty nigdy nie odpuszczasz.

– Adrian, jesteś ze mną?

W słuchawce zapadła cisza. Grot się zastanawiał, czy partner nie zrezygnuje. Po chwili jednak usłyszał:

– Tak. Z bólem serca to mówię, ale tak.

– Dzięki.

– Samo „dzięki” nie wystarczy. Boję się i nie będę ściemniał, że nie. Skurwiele mogą się mścić. Wolałbym, żebyśmy odpuścili, ale nie mogę zostawić cię samego, bo sobie tylko problemów narobisz.

– Gdzie jesteś? – spytał Grot.

- Przed Afrodytą. Zaraz będę oglądał to pobożowisko.
- Czekaj tam na mnie. Już jadę.
- A temat tej laski, co miała być świadkiem incognito, jest nieaktualny. Jeśli namówiłeś proroka, poinformuj go, że gówno mamy.

Grot odwrócił się w stronę wejścia do budynku prokuratury. Tomala miał rację. Nie było już sensu ruszać całej procedury, skoro świadek zginął w strzelaninie.

* * *

Marucha zdawał sobie sprawę, że teraz policja mu nie odpuści. Zabójstwo prostytutek skomplikowało sprawę, ale nie mieli innego wyjścia. Świadek mógłby im narobić wielu problemów. Musiał minimalizować ryzyko.

Powoli sącząc drinka, zastanawiał się, czy policja jest już na miejscu strzelaniny i czy prowadzący śledztwo zdali sobie sprawę z ryzyka, jakie niesie ze sobą cała ta sprawa.

Nagle usłyszał dźwięk nadchodzącej wiadomości. Podniósł leżącą na stoliku komórkę i przeczytał na głos:

– „Grot nie odpuści. Będzie drażył. Należy go skarcić”.

Odłożył telefon i wziął łyk drinka. Miał świadomość, że gdyby załatwił gliniarzy, cała policja dobrałaby mu się do dupy. Musiał im jednak wysłać czytelny sygnał, że nie warto drażyć tematu.

– Struna, podejdź tutaj! – zawołał w głąb domu.

Kilka sekund później zobaczył idącego w jego stronę mięśniaka. Struna niósł w ręce hantle i co chwilę wykonywał powtórzenie.

– A ty nie masz gdzie machać tym żelastwem? Już ostatnio obiliś mi parkiet.

– Co? Kiedy niby?

– Jak napierdalałeś ze sztangą martwy ciąg. Puściłeś ją i wykurwiła w podłogę.

– Przecież to tylko podłoga.

Marucha miał ochotę dzielić idiotę w łeb.

– Tylko? Kurwa! Wiesz, ile mnie kosztowało jej sprowadzenie? Twoja beemka jest tańsza!

Struna wytrzeszczył oczy ze zdziwienia.

– Co? Tak drogo?

Odłożył hantle. Widać było, że stara się niczego nie uszkodzić.

– Tak, geniuszu – prychnął boss. – Wyobraź sobie, że teraz wezmę jeden ciężarek i pierdolnę nim w reflektor twojej bumpy. Co ty na to?

– Ale dlaczego?!

– Ty sztangą rozjebałeś moją własność, więc ja mogę rozjechać twoją.

Struna milczał, patrząc na szefa nierozumiejącym wzrokiem.

Marucha machnął ręką.

– Dobra, chuj z tym. Mam nadzieję, że więcej się to nie powtórzy. A teraz słuchaj, bo temat jest. Trzeba zrobić tak, żeby pały się zbytnio nie przyłożyły do rozwiązania sprawy strzelaniny w Afrodycie.

– To znaczy?

– Trzeba je uciszyć.

– Mam odjechać psa? – upewnił się mięśniak.

– Nie.

– To co?

– Jeszcze nie wiem, ale trzeba być gotowym na wszystko... – Nagle gangsterowi przyszedł do głowy pomysł. To, co zamierzał zrobić, było ryzykowne, ale pokazałoby wszystkim, że z nim się nie żartuje. – Zawołaj mi tu Pepe. A, i weź stąd moje auto.

– Które?

Marucha przez sekundę się zastanawiał. W końcu zdecydował.

– Merca. Weź go i wywieź w pizdu.

– Może być Brochów?

– Może. Rozpierzdol zamki i go tam zostaw.

– Po co?

– Bo tak chcę. Potem wróc i pojedziemy na psy.

– Na psy? – Na twarzy Struny malowała się coraz większa konsternacja.

– Tak. Musimy zgłosić, że zajumali nam merca.

– Nie rozumiem.

– I dlatego to ja jestem szefem, a nie ty. – Marucha dopił drinka i otarł usta wierzchem dłoni. – Ale najpierw daj mi tu Pepe. I zabierz stąd ten złom! Jeszcze ktoś się przez to wypierdoli...

Wstał i ruszył w stronę pokoju. Musiał się przygotować do wizyty na komisariacie.

* * *

Grot wysiadł z wozu i podszedł prosto do stojącego przed Afrodytą Tomali.

– Powiem ci, chłopie, że wypruli po całym magazynku. – Adrian pokręcił głową. – Dookoła od zajebania szkła i łusek.

– Zabezpieczone? Może jakiś zbój zostawił swoje paluchy?

– Mirek już się tym zajął. Potem wrzuci wszystko w system i zobaczymy, czy coś nam wyskoczy.

Grot wiedział, że szef techników porządnie wykona swoją robotę. Jeśli któryś z zabójców był nieostrożny i zostawił odciski, była szansa, że uda im się rozwiązać sprawę. Sami jednak tego nie pociągną. Będą musieli spotkać się z chłopakami z pezetu i z narkotykowego. Oni mieli najlepsze rozeznanie, kogo Marucha mógł nająć do uciszenia świadków. W wersję o ruskich kilerach grasujących w mieście jakoś nie wierzył. Loczek nie był Bóg wie jakim zbrojnym, żeby moskiewska mafia wysyłała specjały od rozwiązywania problemów.

– Nikt nie przeżył? – spytał, wskazując na budynek.

– Nie mieli szans.

Grot założył rękawiczki i pociągnął za klamkę. Już od progu poczuł charakterystyczny zapach prochu. Skinął głową pracującym w środku technikom, po czym spojrzął na leżące na podłodze, powykręcane w nienaturalnych pozach ciała prostytutek. Podeszedł do zwłok Natalii i przykucnął. Zastanawiał się, kogo wysłać, aby powiadomił jej bliskich o śmierci dziewczyny.

– Szkoda, mała, że tak się skończyło... – powiedział cicho.

Podniósł się i rozejrzał. Ściany lokalu były podziurawione pociskami. Strzelcy z całą pewnością przyszli tu, by wykonać wyrok. Miała to być pokazówka dla całego miasta, że nie warto układać się z policją. Grot był przekonany, że ktoś doniósł bossowi gangu, że mają świadka, i zabójcy przyszli go uciszyć. Nie wiedział tylko, czy kret działa u nich w policji, czy w prokuraturze. Jedno było pewne: ktoś strzelał miastowym z ucha.

– Przejebane – usłyszał za plecami.

– Tak. Skurwiele przyszli ją załatwić.

– Wszystkich – poprawił Tomala.

– Nie. Chcieli uciszyć konkretnie ją. Innym dostało się przy okazji. To dla nas sygnał.

Adrian skinął głową.

– Mówiłem, że sprawa jest niebezpieczna. Może jednak się wycofajmy?

– Marucha ma u nas uchola.

– Co?

– Ktoś mu doniósł, że ta Natalia będzie incognito.

- Nie gadaj. Kto niby?
- Wiedzieliśmy my, prorok...
- Czy ty mnie podejrzewasz? – Tomala patrzył na Grota, czekając na odpowiedź.
- Nie. To musi być przeciek z prokuratury. Chociaż z drugiej strony w agenturze było kilka osób i ktoś mógł podsłuchać. Trzeba będzie pogadać z wewnętrznym. Niech zbadają temat.
- Tak będzie najlepiej.
- Komisarz ściągnął rękawiczki i schował je do kieszeni.
- Dobra, idę na fajkę – powiedział i ruszył w stronę wyjścia.

* * *

Pepe patrzył na idącą chodnikiem kobietę z wózkiem.

To, co zlecił mu szef, było najtrudniejszym zadaniem, jakie dotychczas otrzymał. Wiedział jednak, że musi je wykonać. Marucha nie znosił sprzeciwu. A on w grupie był na samym dole i nie mógł się stawiać bossowi. Już Loczek się postawił i teraz gryzie piach.

Wciąż miał nadzieję, że Marucha wyśle esemesa i odwoła zlecenie. Nic takiego jednak się nie wydarzyło. Odpalił więc silnik seata i zaczął się w duchu modlić. Chciał, żeby Stwórca mu wybaczył.

Kobieta stanęła przed przejściem dla pieszych i wcisnęła przycisk. Wtedy Pepe wcisnął sprzęgło i wrzucił bieg. Nadal jeszcze liczył, że zawróci, że zrezygnuje ze spaceru. Wtedy mógłby powiedzieć szefowi, że po prostu się nie udało.

– Wracaj do domu... – powiedział cicho.

Jadące z naprzeciwka pojazdy stanęły. Na jego pasie światło zaczęło się zmieniać na czerwone.

Pepe włączył się do ruchu. Jak na złość, cała droga przed nim i za nim była pusta. Gdyby był korek, miałby wymówkę, że nie mógł wykonać zadania. Zastanawiał się, czy nie okłamać Maruchy i nie powiedzieć, że kobieta nie wyszła z domu. Nie odważyłby się jednak. Nie wiedział, czy boss albo któryś z jego ludzi go nie obserwuje.

Kobieta była już prawie w połowie przejścia, gdy wcisnął gaz do dechy. Seat wyskoczył do przodu. Pepe widział, jak jego ofiara odwraca głowę w jego stronę. Widział przerażenie na jej twarzy. W momencie, gdy w nią uderzył, zacisnął powieki. Po chwili otworzył oczy i zobaczył pękniętą szybę.

W lusterku widział, że kobieta leży na jezdni. Wózek, który prowadziła, przewrócił się na bok. Koło niej zaczął się gromadzić tłum gapiów.

Wcisnął gaz do dechy. Musiał jak najszybciej stąd uciec.

* * *

Grot zatrzymał się z piskiem opon. Już dojeżdżając na miejsce potrącenia Kamili i Stasia wiedział, że sytuacja jest poważna. W radiostacji słyszał meldunki o poszukiwaniu seata, którym uciekł sprawca.

Informację o potrąceniu żony i syna otrzymał, gdy był jeszcze z Tomalą w Afrodycie. Natychmiast wskoczył w służbowego fiata i ruszył na złamanie karku. Teraz wypadł z auta i podbiegł do rozwiniętego parawanu z napisem „Policja”. Spojrzał w stronę leżącego na boku wózka i poczuł silny ból w klatce piersiowej. Nogi się pod nim ugięły.

– Dziecko pojechało do szpitala. Stan krytyczny – powiedział policjant z drogówki stojący przy parawanie.

– A moja żona?

Sierżant przymknął oczy. Sekundę później pokręcił głową.

Grot zrozumiał, że na pomoc jest już za późno. Obok parawanu dostrzegł but. Rozpoznał go bez trudu. To był adidas Kamili.

– Niech pan jedzie do syna – poradził ten z drogówki.

– Muszę ją zobaczyć...

Wszedł za parawan i zobaczył ciało swojej żony. Zamknął oczy. Widok był straszny. Nienaturalnie wykręcona noga i urwane ramię wyglądały makabrycznie. Z rozbitej głowy na asfalt wypływał mózg. Na ratunek nie było żadnych szans. Kamila zginęła na miejscu.

– Siła uderzenia była potężna. – Obok niego stanął drugi funkcjonariusz. – Świadkowie mówią, że wyleciała ponad trzy metry w górę. Wózek dostał prawą stronę seata. Ona lewą. Facet nawet nie hamował.

Na miejsce zaczęły zjeżdżać radiowozy i kilka tajniackich pojazdów. Z fiata wysiadł naczelnik. Po chwili dotarł też Tomala, który ruszył spod agencji w ślad za swoim partnerem.

Gdy odezwała się radiostacja policjanta z drogówki, Grot nie słuchał meldunków, które przez nią płynęły. Zasłonił twarz dłońmi i zaczął płakać.

– Mamy zdjęcie gościa, który uciekł seatem – odezwał się sierżant. – Nasi zaraz je dowiozą. Są już blokady na drogach. Koleś się nie wymknie.

Grot wiedział, że chłopaki z drogówki i Tomala zajmą się sprawą. On musi jechać do szpitala i dowiedzieć się, co ze Stasiem. Ruszył na miękkich nogach w stronę auta.

– Patrol pana odwiezie, komisarzu! – zawołał za nim sierżant. – Lepiej, żeby nie prowadził pan w takim stanie.

Grot czuł, jak czyjeś ręce prowadzą go do radiowozu drogówki. Kolega po fachu miał rację – sam nie dałby rady dojechać do szpitala. Jego cały świat właśnie runął jak domek z kart.

Telefon

Trzy lata później.

Wrrrrrr, wrrrrrrrr, wrrrrrrrrrr...
Coś wibrowało w jego głowie.
Co za potworny ból.

Powoli otworzył oczy. Świat wokół falował. W dodatku ten drażniący, wibrujący dźwięk doprowadzał go do kresu wytrzymałości...

Minęła dłuższa chwila, zanim przypomniał sobie, gdzie jest i kim jest.

Nazywał się Grot. Radosław Grot.

Kiedyś był policjantem, jednym z lepszych w tym zasranym kraju.

Teraz był wrakiem człowieka. Kimś, komu na niczym nie zależy i na kim nikomu nie zależy. Facetem nienawidzonym przez przestępców, których posłał za kraty, i nienawidzącym innych ludzi.

Podniósł się na łokciach i rozejrzał dookoła. Rozpoznał znajome kształty, elementy mieszkania, w którym jeżeli już bywał, to albo spał, albo zalewał się w trupa. „Mieszkanie” to też za duże słowo. To raczej zapuszczona nora, gdzie na podłodze wały się puste butelki po gorzale i puszki po piwie. Kiedyś pewnie wyglądało całkiem przytulnie, może nawet było gniazdkiem, w którym jakaś para spędzała upojne chwile. Teraz wyglądało jak melina. W poprzednim życiu wiele razy zmuszony był pojawiać się w takich miejscach. I zawsze miało to związek z jakimś denatem.

Kupił je dwa lata temu – po sprzedaży domu, w którym mieszkał z Kamilą i Stasiem. Nie chciał zatrzymać nieruchomości, w której planował swoje życie u boku żony i syna. Nie mógł dłużej oglądać tych wszystkich kątów przypominających mu o śmierci najbliższych.

Los bywa okrutny i czasem płata psikusa. Jemu spłatał najgorszego, jakiego mógł sobie wyobrazić.

Jak doszło do tego, że teraz wygląda tak jak wygląda? W rzadkich przeblyskach świadomości sam się nad tym zastanawiał. Może to wina spraw, którymi się zajmował? Na pewno jednego śledztwa. Nie był zwykłym krawężnikiem, który codziennie szlifuje bruk w swoim rejonie patrolowym. Był gliniarzem zajmującym się najcięższymi zbrodniami w tym mieście.

Grot, komisarz Radosław Grot, wydział zabójstw Komendy Wojewódzkiej Policji we Wrocławiu. Pies z zabójców.

Co za potworny ból głowy...

Wrrrrr, wrrrrrrrrrr, wrrrrrrrr...

Znowu ten wibrujący dźwięk. Minęła kolejna chwila, zanim zaczął kojarzyć, co oznacza. Dzwoniła jego komórka, stara nokia 3310. Tak stara, że na wyświetlaczu ledwo było widać, kto telefonuje. Ale jemu wystarczała, lepszej nie potrzebował. W końcu sam też był wrakiem.

Jakieś dziwne przeczucie kazało mu odebrać to połączenie. Zupełnie jakby od tego zależała jego przyszłość. Jakby odebranie jakiegoś pieprzonego telefonu mogło przywrócić mu resztki człowieczeństwa.

Stolik, na którym wibrowała komórka, był jakieś dwa metry od wersalki. Grot znajdował się kolejny metr od niej.

Każdego dnia jestem coraz bliżej, pomyślał. Może kiedyś w końcu zasną na niej.

Jak zwykle po ostrym chlaniu zasnął w ciuchach. Który to już dzień jak w nich łążę? – zastanawiał się. Chyba trzeci, ale nie dałby sobie za to nic uciąć. Poza tym po co miał zmieniać codziennie ciuchy, skoro wychodził tylko do sklepu po alkohol i pety. Innych rzeczy nie potrzebował. Jadł mało i nie robił zapasów żywności. Czasem sąsiadka przyniosła mu jakąś zupę czy pierogi. Był ciekaw, na co liczy, starając się dbać o kogoś takiego jak on. Kiedyś coś tam mu tłumaczyła, ale akurat dopijał kolejne piwo i jakoś mu umknęło. Zaśmiał się na to wspomnienie.

Wrrrrr, wrrrrrrrrrr, wrrrrrrrr...

Komórka wciąż uparcie dawała o sobie znać.

Skoro stwierdził, że od tego połączenia zależy jego przyszłość, musiał się ruszyć.

– Wstawaj, gnoju, i odbierz ten pierdolony telefon – mruknął cicho.

Powoli podniósł się z podłogi. Zachwiał się i stwierdził, że utrzymanie równowagi może być najtrudniejszym zadaniem, z jakim przyszło mu się mierzyć. Po chwili z jego ust chlusnął soczysty paw. Torsje wstrząsnęły

zołądkiem i dopiero po kilkunastu sekundach Grot poczuł się na tyle dobrze, żeby ruszyć dalej w kierunku przyszłości.

– Zajebicie... – sapnął, ocierając usta.

Dźwięk wydawany przez starą nokię przyciągał go w jakiś hipnotyczny sposób – jak syrena przyciągała żeglarzy w starych legendach. Zdawał się wołać „odbierz, odbierz...” – i to wołanie brzmiało jak najśłodszy kobiecy głos.

Grot zgiął się wpół i kolejny raz zwymiotował.

– Chyba wczoraj przeholowałem z naftą. Mogłem nie popijać jej browcem – powiedział, zasłaniając usta, aby powstrzymać torsje.

Już po chwili telefon był w zasięgu jego ręki.

Wrrrrrr, wrrrrrrrrrr, wrrrrrrrrr...

Ciekawe, co za uparta menda się dobija, zastanawiał się. Jak znam życie, to albo komornik, albo pieprzony akwizytor. Najwyżej usłyszę, że już nie mam mieszkania. Chuj z tym...

– Słucham. – Własny głos wydał mu się jakiś obcy.

– Pan Grot? Pan Radosław Grot? – spytała jakaś kobieta po drugiej stronie.

– Uhm...

– Dzień dobry. Dostałam pański numer od znajomej. Powiedziała, że tylko pan może mi pomóc. Nazywam się Joanna Zawadzka. Czy możemy się spotkać w pańskim biurze?

Kurwa, to ja mam jakieś biuro?, pomyślał zaskoczony. Chyba coś mi umknęło. Może chodzi jej o tę norę? Ale przecież nie zaproszę tutaj obcej baby. Nieważne, czego chce...

– Może jednak spotkajmy się na mieście – zaproponował po dłuższej chwili.

– Dobrze, skoro tak pan woli. To może osiemnasta w restauracji Madame w rynku. Czy pasuje panu?

– Tak.

– A więc do zobaczenia.

Po chwili Grot usłyszał dźwięk świadczący o tym, że połączenie zostało zakończone.

– Osiemnasta w restauracji Madame – powtórzył. – Kurwa...

Był tam kilka lat temu z Kamilą. Wydał wtedy całą pensję na zwykłą kolację dla dwóch osób. Ciekawe, skąd teraz weźmie kasę na spotkanie w takiej wypasionej knajpie.

Sięgnął po leżącą na blacie papierośnicę i otworzył ją. Była pusta. Rozejrzał się i zobaczył niedopalonego papierosa zagaszonego w podstawku pod

doniczkę. Włożył go do ust, wyjął z kieszeni spodni zapalniczkę i odpalił.

Kasą za spotkanie będziemy się martwić, jak przyniosą rachunek, postanowił. Najwyżej udam zatrucie pokarmowe i poproszę, żeby wezwali karetkę.

Miał nadzieję, że pod groźbą pozwu i utraty renomy knajpa oleje niezapłacony rachunek.

Zaciągnął się dymem i uśmiechnął do siebie na myśl o swoim geniuszu.

Czego ta baba ode mnie chce i kto jej mnie polecił?, zaczął się zastanawiać. Cóż, nie ma co gdybać. Dowiem się na miejscu.

Podrapał się po brodzie i stwierdził, że najwyższa pora się ogolić. Zarost co prawda wrócił do mody, ale raczej zadbane, a on miał na twarzy jakieś dziadostwo. Tak, trzeba się ogolić, wykapać i włożyć czyste ciuchy, w których nie będzie się wstydził siedzieć w Madame.

Wszedł do łazienki, rozebrał się i przyjrzał sobie w lustrze. Miał czterdzieści cztery lata, ale jego twarz znaczyły głębokie bruzdy. Do tego przydługie włosy, podkrążone oczy, broda w nieładzie... Kiedyś był wysportowanym facetem, bez grama tłuszczu, z wyraźną muskulaturą. Teraz widział zaokrąglony brzuch i sflaczałe mięśnie. Czas i tragiczne doświadczenia niestety odcisnęły na nim swoje piętno.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła jedenasta. Miał kilka godzin na doprowadzenie się do ładu. Postanowił, że zaraz po spotkaniu kupi sobie kilka flaszek i zgrzewkę piwa. Zamierzał miło spędzić wieczór, zatopić się w swojej beznadziei.

Jeszcze raz spojrzał w lustro. Oprócz golenia wypadaloby jeszcze ostrzyć włosy. Na wizytę w salonie nie miał czasu, dlatego postanowił samemu zadbać o swój image. Wyjął z szafki maszynkę do włosów i najkrótszym ostrzem powoli objechał głowę. Kariery fryzjera może by nie zrobił, ale był zadowolony, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że był na potężnym kacu.

Po strzyżeniu ogolił się i wykapał. Wycierając się ręcznikiem, ponownie przejrzał się w lustrze. Jak na człowieka, który jeszcze niedawno nie mógł wstać z podłogi i puścić pawia na dywan, wyszło lepiej, niż się spodziewał. Popsikał się dezodorantem i natarł policzki wodą kolońską. Piekący ból jeszcze bardziej go ocucił.

Pora na garnitur. Ostatni raz miał go na sobie na pogrzebie Kamili i Stasia, trzy lata temu. Usiadł na kanapie, mimowolnie wracając myślami do wydarzeń z przeszłości. Dokładnie trzy lata i trzydzieści siedem dni temu jego bliscy zostali zamordowani przez człowieka z gangu Maruchy, bossa wrocławskiego

podziemia. Pamiętał wypadek, jakby to było wczoraj. Jakiś wariat wjechał seatem w jego żonę i prowadzony przez nią wózek z sześciomiesięcznym Stasiem. Wszystko rozegrało się na oczach kilkunastu świadków. Kierujący autem nawet nie hamował. Wjechał w nich tak, jakby to zaplanował. Po czasie zresztą okazało się, że tak było. Nagrania z kamer miejskiego monitoringu pokazały, że piratem drogowym był Pepe, jeden z ludzi Maruchy. Mężczyzna uciekł z miejsca wypadku. Natychmiast zarządzono obławę, zablokowano wszystkie drogi i ogłoszono poszukiwania zielonego seata toledo. Ratownicy przybyli na miejsce zdarzenia od razu stwierdzili zgon Kamili. Stasia w stanie krytycznym zabrano do szpitala. Grot modlił się wtedy tak żarliwie jak nigdy wcześniej. Błagał Boga, by ten dał szansę jego synkowi, by nie zabierał go do siebie. Modlitwy jednak nie zostały wysłuchane. Staś zmarł kilka godzin po Kamili – na oczach swojego sparaliżowanego bólem ojca.

To wtedy Grot całkowicie odwrócił się od wiary. Bóg nie uchronił jego najbliższych i zabrał mu to, co było dla niego najcenniejsze.

Wtedy też bandyci pokazali mu, że z nimi się nie żartuje. Ukarali go za to, że ośmielił się wypowiedzieć im wojnę. Gdy zdecydował się rozprawić z półświatkiem, nie spodziewał się, że tak to się skończy. Gdyby wtedy odpuścił, może jego rodzina nadal by żyła.

Chciał pokazać miastowym, że śmierć kilku prostytutek i barmana nie obejdzie się bez kary. Chciał pokazać, że policja, a zwłaszcza on, nie odpuszcza. Bandzior jednak zemścił się okrutnie. Wszyscy wiedzieli, że za zabiciem żony i syna komisarza Grota stoi boss wrocławskiego półświatka. Jednak wiedzieć, a umieć udowodnić to dwie różne sprawy. Marucha został zatrzymany, ale okazało się, że ma alibi nie do podważenia. W czasie wypadku zgłaszał na komendzie kradzież samochodu. Prokurator nie zdecydował się postawić mu zarzutów. Samochód znalazł się po kilku dniach na Brochowie z rozprutymi zamkami i innymi śladami świadczącymi o włamie. Boss wyszedł spokojnie do domu i śmiał się policji i prokuratorowi w twarz. Grot był wściekły. Kusiło go, żeby samemu wymierzyć sprawiedliwość. Nie zdążył. Miesiąc po wypadku Marucha zginął zastrzelony w swoim lokalu przez Strunę, jednego ze swoich podwładnych. Wtedy zaczęła się w mieście wojna, która pochłonęła kilka ofiar. Jego to już jednak nie obchodziło. Postanowił odejść z firmy.

Dzień śmierci jego żony i synka był dniem, który zapoczątkował upadek Grota. Chociaż tak naprawdę całe jego życie naznaczone było tragedią. Swoich rodziców nie pamiętał. Ojciec zniknął, zanim on się urodził. Matka popełniła

samobójstwo, gdy miał dwa lata, powiesiła się na strychu. Mały Radek trafił pod opiekę babci. Starsza kobieta starała się zapewnić mu w miarę normalne i szczęśliwe dzieciństwo, robiła, co mogła, często jednak widział, jak ukradkiem płacze. Kilka razy pytał nawet o powód tych łez, ale go zbywała. Gdy trochę podrośł, starał się dowiedzieć czegoś na temat rodziców, ale babcia robiła się wtedy nerwowa. Mówiła, że rozmowa na temat jego matki sprawia jej ból. Nie potrafiła się pogodzić z jej śmiercią. O jego ojcu nawet nie chciała słyszeć. Twierdziła, że lepiej by było, gdyby nigdy nie pojawił się w ich życiu, że ktoś taki jak on nie powinien w ogóle chodzić po ziemi. Nie drążył tematu.

Babcia zmarła, gdy miał dwadzieścia lat. Dostała wylewu. Trafiła do szpitala, ale lekarze byli bezradni. Wtedy został całkiem sam. Dopiero gdy poznał Kamilę, poczuł, że los się do niego uśmiechnął. Żałował, że tylko na chwilę...

Z rozmyślań wyrwał go dzwonek komórki.

– Słucham – mruknął smętnie.

– Dzień dobry, chciałbym zaproponować nowy, niższy abonament na telefon i internet – rozległ się męski głos po drugiej stronie.

– Panie, nie możesz mi pan zaproponować nic tańszego niż to, co teraz płacę.

– A ile teraz pan płaci?

– Zero złotych. Od dawna przychodzą wezwania do zapłaty, ale nie mam kasy, więc sam pan widzisz...

Odpowiedziała mu dziwna cisza. Po chwili usłyszał sygnał zakończonej rozmowy.

– Nie tak łatwo mi wcisnąć ciemnotę – skomentował pod nosem, po czym wstał i przymierzył garnitur.

Tak jak się spodziewał, zarówno spodnie, jak i marynarka na nim wisiały, ale nic innego nie miał.

W sumie kogo obchodzi, jak wyglądam, stwierdził w duchu. Nie startuję w konkursie na najlepiej ubranego menela. Ciekawe, czy ktoś w ogóle organizuje takie konkursy?

Buty do garnituru miały zdarte noski, ale szczodra warstwa pasty sprawiła, że wyglądały jako tako. Ponownie spojrzął w lustro.

– W sumie może być – powiedział do siebie. – Do lokalu mnie wpuszczą.

Spojrzął na stojący na starej komodzie zegar. Dochodziła dwunasta trzydzieści. Do spotkania zostało jeszcze kilka godzin. Oczywiście musiał wziąć poprawkę na czas potrzebny na dotarcie na drugi koniec miasta, ale na razie nie musiał się spieszyć.

Poszedł do kuchni, żeby zaparzyć sobie kawę. W zlewie zalegała sterta brudnych, śmierdzących naczyń.

– Oho, gospościa wzięła sobie wolne, i to chyba z tydzień temu. Zaraz, przecież ja nie mam gosposi! – Zarechotał głośnym pijackim śmiechem. – Trzeba będzie to pozmywać, ale nie teraz. Teraz trzeba napić się kawy.

Wyjął spośród naczyń kubek z zaschniętymi fusami. Szybko, niedbale opłukał go pod bieżącą wodą i postawił na stole. Następnie nalał do czajnika wody z kranu i włączył gaz. Teraz trzeba tylko zlokalizować kawę i cukier. Zawsze pił sypaną z dwiema łyżeczkami cukru. Bez śmietanki ani mleczka. Uważał, że takie dodatki są dla mięczaków i niepewnych swojej męskości gogusiów.

W cukiernicy na stole na szczęście był jeszcze cukier. Kawa stała w górnej szafce przy oknie, choć ledwie starczyło na kubek. Grot w myślach dopisał kolejną pozycję do listy zakupów, które musiał zrobić po powrocie ze spotkania – tuż za wódką i piwem.

Zalał kawę i usiadł przy stole. Zachciało mu się palić. Rozejrzał się i dostrzegł leżącą pod oknem paczkę wiceroyów. Sięgnął po nią i otworzył. W środku był tylko jeden papieros, jednak ucieszył się na ten widok tak, jakby znalazł Święty Graal.

Odpalił i zaciągnął się głęboko. Gdy dym dotarł do płuc, aż go zapiekło. Mało co, a by się udusił. Odkaslnął i od razu poczuł się lepiej.

Przed śmiercią Kamili nie palił nałogowo. Raz na jakiś czas zdarzyło mu się puścić dymka. Teraz jednak papierosy były jego nałogiem tak jak alkohol.

Kilka lat temu w ogóle był innym człowiekiem. Zanim zaczęła się jego wojna ze światem przestępczym, był praktycznie najważniejszym psem w wydziale, no, może poza naczelnikiem, choć z nim i jego zdaniem nikt się nie liczył. Nieformalnie to Grot rządził w wydziale. Życie rodzinne też miał unormowane. Żona, kilkumiesięczne dziecko i dom odziedziczony po babci. Po prostu pełnia szczęścia, nie licząc zbrodni, z którymi musiał się mierzyć w pracy.

A potem jednego dnia wszystko się zmieniło. Po śmierci bliskich stwierdził, że ma dość. Złożył wypowiedzenie. Przełożeni i koledzy próbowali go przekonać, aby zmienił decyzję, on jednak twardo obstawał przy swoim. Tak wylądował na emeryturze.

Kilku kumpli pomogło mu w miarę stanąć na nogi. Z ich wsparciem otworzył biuro detektywistyczne i sprzedał dom. Zamierzał wszystko zacząć od nowa. Zdanie egzaminu na licencję nie było trudne, jednak uruchomienie biura

wymagało trochę zachodu. Przez kilka pierwszych miesięcy jakoś sobie radził na rynku. Miał parę zleceń, głównie śledzenie niewiernych żon i mężów, nic skomplikowanego.

A potem przyszła pierwsza rocznica śmierci Kamili i Stasia. Wtedy się załamał. Smutek zaczął topić w alkoholu, pojawili się nowi znajomi od flaszki. Towarzystwo nie wiedziało, kim był i czym się wcześniej zajmował. Dla nich liczyło się tylko to, czy ma kasę na trunek. Wtedy jeszcze miał. Z pieniędzy za dom na Maślicach kupił skromną kawalerkę w Leśnicy. Początkowo dbał o nowe lokum, ale gdy alkohol stał się całym jego światem, i to się zmieniło. Kompletnie zapuścił mieszkanie. Jego łóżko wyglądało jak barłóg. Wszędzie wałały się śmieci, a grzyb zajmował już pół ściany. Teraz to była bardziej melina niż przytulny kąć.

Od kilku miesięcy nie brał żadnych zleceń. Nie czuł potrzeby, aby zajmować się sprawami obcych ludzi, skoro z własnym życiem nie potrafił sobie poradzić. Dzisiejszy telefon od tej kobiety miał to zmienić.

* * *

Wiktor Szymczak od trzech miesięcy pracował w Urzędzie Wojewódzkim we Wrocławiu.

Dwa tygodnie temu odkrył w dokumentach dziwne nieprawidłowości. Zauważył, że pewna grupa osób przewija się w różnych sprawach dotyczących przekazywania nieruchomości rzekomym spadkobiercom. Prawnicy rodzin, do których należały budynki i grunty, przedstawiali dokumenty poświadczające, że mienie zostało im odebrane przez władze w czasie wojny. Urzędnicy rozpatrujący sprawy bez mrugnięcia okiem przekazywali milionowe odszkodowania za rzekomo znacjonalizowane nieruchomości.

To, co zastanawiało Wiktora, to fakt, że wszystkie dokumenty stwierdzające własność danego majątku wypełnione były tym samym charakterem pisma. Nie był co prawda grafologiem, ale specyficzny zawijas wieńczący litery „y” oraz „m” wskazywał, że papiery wypełniała jedna i ta sama osoba. Kolejna rzecz warta sprawdzenia to ta, że druki niemieckie były z tej samej serii – różniły się tylko ostatnimi cyframi. Gdyby dokumenty były prawdziwe, nie byłoby to możliwe. Szczególną uwagę zwracał fakt, że niektóre dokumenty były wystawione tym samym charakterem pisma i różniły się zaledwie o parę cyfr, a wystawiono je w różnych miastach i w różnym czasie. Zastanawiające były zwłaszcza dwa akty własności dotyczące dwóch kamienic w centrum miasta.

Wypisane były w dwóch różnych miejscach III Rzeszy – jedno w Breslau, a drugie w Berlinie – w odstępach czterech lat. I znów ten sam charakter pisma i ta sama seria. To było wręcz nieprawdopodobne.

Majątek zwrócony spadkobiercom na podstawie tych wątpliwych dokumentów w ciągu ostatniego roku wynosił ponad siedemset milionów złotych. Skala wyłudzenia mogła być jednak dużo większa, biorąc pod uwagę kolejne odkrycie Szymczaka. Urzędnicy, którzy z taką łatwością zatwierdzali owe dokumenty, prawnicy oraz rzekomi spadkobiercy przewijali się bowiem w kilku innych sprawach.

Zastanawiał się, co z tą wiedzą zrobić. Czy powinien powiadomić CBA? A może pójść z tym na policję? Ostatecznie umówił się z kuzynem, który pracował we wrocławskiej delegaturze Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, przedstawił mu swoje odkrycie i spytał, co powinien z tym zrobić. Kuzyn wnikliwie przeanalizował zdjęcia dokumentów, a potem wyszedł gdzieś zadzwonić. Gdy wrócił, oschle poradził Wiktorowi, żeby zostawił ten temat. „Na układy nie ma rady, lepiej zapomnieć”, stwierdził z nieodgadniętą miną. Te słowa zabrzmiały dziwnie w ustach oficera ABW. Wiktor jednak był wychowany w tradycyjnej rodzinie, gdzie wpojono mu, że należy być uczciwym i prawym człowiekiem. Dlatego postanowił, że tak tego nie zostawi. Musiał wymyślić sposób na ujawnienie nieprawidłowości w urzędzie.

Przypadkowe spotkanie Marka Kruszewskiego, dawnego kumpla z podstawówki, okazało się dla Szymczaka przełomem. Poszli na piwo do jednej z knajpek na rynku, powspominali stare czasy, a gdy Marek mimochodem rzucił, że pracuje w mediach, a konkretnie w ogólnopolskim tygodniku, Wiktor stwierdził, że to jego szansa. Kumpel co prawda dopiero zaczynał jako dziennikarz śledczy, ale to nie miało znaczenia. Afera, którą wykrył Szymczak, mogła być punktem zwrotnym w jego życiu zawodowym. Zresztą obaj mogli na tym skorzystać – jeden robi karierę, a drugi uspokoi swoje sumienie.

Przez kilka dni Szymczak dostarczał kumplowi kserokopie dokumentów. Razem stworzyli mapkę powiązań pomiędzy urzędnikami, biznesmenami i politykami. Skala procederu z każdym dniem bardziej ich przerażała. W pewnym momencie Kruszewski zaczął się zastanawiać, czy nie są za krótcy na taką aferę. Po namyśle jednak stwierdził, że trzeba podejmować wyzwania, jakie podsuwa los.

Wszystko układało się po ich myśli aż do ostatniego poniedziałku, gdy Marek nagle zamilkł. Nie odbierał telefonów, nie można go było zastać

w domu. W redakcji też nikt nie wiedział, gdzie się podziewa. Przepadł jak kamień w wodę.

Wiktor zaczął się obawiać, że kolegę spotkało coś złego. On sam ostatnio zauważył, że w urzędzie kilku kolegów bacznie mu się przypatruje. Przełożony wezwał go na dywanik i zaczął wypytywać, czy dobrze mu się pracuje, czy jest zadowolony i czy zarobki mu odpowiadają. Dużo dziwnych pytań, które ze względu na obecną sytuację wydały się Szymczakowi zawołanym ostrzeżeniem. Wczoraj dodatkowo zauważył, że pod jego domem w starym fordzie mondeo przesiaduje jakiś facet. Krótco ostrzyżony, barczysty, budził niepokój. Wzrokiem bacznie skanował otoczenie. Wiktor miał pewność, że to jego obserwuje. Czuł się coraz bardziej zagrożony.

* * *

Joanna Zawadzka po raz kolejny spojrzała na zegarek.

Mężczyzna, którego poleciła jej Agnieszka, spóźniał się już ponad kwadrans. Gdyby to był ktoś inny, znaleziony w internecie lub w jakimś ogłoszeniu, dawno już odwołałaby spotkanie i pewnie jeszcze porządnie go opieprzyła. Ten detektyw to jednak inna para kaloszy. Według Agi to wyjątkowy specjalista. Nie ogłasza się, nie zabiega o zlecenia, ale jest niezwykle skuteczny. To jednak, co przeważało za wyborem akurat jego, to fakt, że podobno jest bezkompromisowy i dąży do celu bez wytchnienia. A do tego ma szósty zmysł, dzięki któremu potrafi rozwiązać nawet najbardziej skomplikowane sprawy.

Agnieszka pracowała w komendzie policji we Wrocławiu i znała Grota tylko z widzenia. Kiedyś facet był legendą wśród policjantów w mieście. Mówiła, że miał bardzo wysoką wykrywalność. Potem odszedł z policji i otworzył biuro detektywistyczne. Joanna szukała w internecie jakichś informacji na temat jego firmy, ale nic nie znalazła. Nawet Adze trudno było zdobyć jego numer telefonu. Musiała zgodzić się zjeść kolację z dawnym współpracownikiem Grota, żeby dostać na niego namiary. Nie wyglądała bynajmniej na niezadowoloną z tego powodu, przeciwnie – Joanna zauważyła, że przyjaciółka tajemniczo się uśmiecha na wspomnienie tamtej randki.

Teraz jednak, gdy siedziała przy stoliku, czekając na spóźniającego się detektywa, zastanawiała się, czy dokonała dobrego wyboru. Samotna kobieta sącząca kawę w drogiej restauracji zwracała na siebie uwagę. Ludzie przychodzili tu coś zjeść, a nie ślęczeć nad filiżanką małej czarnej. Stoliki

wokół były pozajmowane, goście wyglądali na majątnych – lub na takich chcieli się kreować.

Joanna już miała zawołać kelnera, gdy w drzwiach stanął mężczyzna, którego aparycja od razu przykuła jej uwagę. Nie pasował do tego miejsca. Garnitur na nim wisiał, twarz miał niedbale ogoloną, z widocznymi zacięciami, głowę ostrzyżoną niemal na łyso, a wzrok mętny. Stojący przy wejściu kelner zaczął z nim rozmawiać. Widać było, że w kulturalny sposób stara się go wyprosić.

Joanna wstała i ruszyła w stronę nowo przybyłego. Usłyszała, jak ten mówi gardłowym głosem:

– Jestem tutaj umówiony.

– Przykro mi, ale naprawdę nie mamy miejsc. Może pan na tego kogoś poczekać w holu restauracji i razem z nim udać się do innego lokalu. U nas jest rezerwacja na cały wieczór – przekonywał kelner.

– Chłopcze, czy ty słuchasz, co mówię? Tutaj jestem umówiony, a nie gdzie indziej. Na pewno nie w holu restauracji. Spóźniłem się. Jestem przekonany, że osoba, z którą mam się spotkać, jest już w środku. Nie będę siedział na taborecie w holu, bo tam mnie nie zobaczy. Kapujesz?

– Pan wybaczy, ale... – zaczął kelner.

– Wybaczam – przerwał mu mężczyzna i wyciągnął rękę, żeby go przesunąć.

To wystarczyło, by Joanna upewniła się, że ma do czynienia z Radosławem Grottem. Tak jak mówiła Agnieszka – facet uparcie dążył do celu. W kilku krokach podeszła bliżej i stanęła na wprost niego.

– Witam pana. I zapraszam do mojego stolika – wtrąciła się do wymiany zdań pomiędzy mężczyznami.

Speszony kelner nie powiedział już ani słowa, tylko ukłonił się jej nisko i usunął w kąt sali.

Zawadzka zaś ruszyła, wskazując Grotowi drogę.

* * *

Szedł za kobietą, mimowolnie zerkając na jej zgrabne nogi, i zastanawiał się, jakie zadanie zamierza mu zlecić. Podejrzewał, że rozwodówkę. Widać było, że ma problemy. Miał nadzieję, że robota będzie prosta i szybko zarobi parę groszy. Pod warunkiem że w ogóle się dogadają, w co powoli zaczynał wątpić.

O mały włos, a do tego spotkania w ogóle by nie doszło. Nawet nie wiedział, kiedy usnął w kuchni na krześle. Gdy się ocknął, kawa była już całkiem zimna,

a do umówionej godziny zostało naprawdę mało czasu. Z przystanku do restauracji musiał biec. Przed wejściem chwilę postął, starając się unormować oddech. Na domiar złego kelner zaczął robić problemy. Gdyby nie ta kobieta, posłałby w jego stronę konkretną wiązanke.

Teraz szedł za nią do stolika, który zarezerwowała. Jej figura mogła przyprawić o zawał. Krągłe pośladki opinała ołówkowa spódnica, nogi obleczone w cieliste rajstopy były najładniejszymi nogami, jakie widział w swoim długim życiu. Długie blond włosy dopełniały efektu. Krótko mówiąc: kobieta była zadbana i widać było, że ma pieniądze.

Usiadła i wskazała mu miejsce na wprost siebie. Grot się zawahał. Przez chwilę nawet kusilo go, by uciec. Czuł się tu nieswojo. W końcu jednak usiadł na krześle.

– Napije się pan czegoś? Kawa, herbata, jakiś sok? A może coś mocniejszego?

– Może sok – odpowiedział Grot wbrew sobie. Oczywiście, że wolałby coś mocniejszego.

Nagle jak spod ziemi wyrósł przy nich kelner.

– Poproszę sok... – zaczęła kobieta.

– Oczywiście. A jaki sok? Mamy pomarańczowy, z mango, z owoców tropikalnych... – zaczął wyliczać kelner.

Gdy spojrzała w stronę Grota, ten powiedział cicho:

– Pomarańczowy.

– A więc sok pomarańczowy – powtórzyła za nim. – Resztę zamówienia złożymy za chwilę.

Kelner oddalił się tak samo dyskretnie, jak się pojawił. Wtedy blondynka znów przeniosła spojrzenie na Grota.

– Nazywam się Joanna Zawadzka i potrzebuję pańskiej pomocy – przeszła do rzeczy. – Powiem pokrótce, o co mi chodzi, a pan zdecyduje, ile mnie to będzie kosztowało i czy w ogóle jest pan w stanie mi pomóc.

– Chodzi o rozwód? – spytał.

– Nie. To coś bardziej skomplikowanego.

– Rozumiem. Niech pani powie, co jest do zrobienia.

– A więc otrzymałam pański numer od koleżanki. Pracuje w policji i powiedziała mi, że tylko pan sobie z tym poradzi. Chodzi o mojego brata. Zaginął kilka dni temu. Nie ma go w jego mieszkaniu, nie pojawił się w pracy, po prostu zniknął.

– Może gdzieś wyjechał? – podsunął Grot.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Ale może zacznę od początku. Ja i mój brat pochodzimy z dość bogatej rodziny. Nasi rodzice dorobili się za granicą, dokładniej mówiąc w Anglii. Majątek, który mamy, pozwala nam spokojnie żyć, bez obawy o przyszłość. W sumie ani ja, ani mój brat nie musimy pracować. Cztery lata temu rodzice zginęli w wypadku we Włoszech. Ich samochód został staranowany przez kierowcę tira z Ukrainy.

Grot nabrał głośno powietrza. Powróciły wspomnienia związane ze śmiercią jego bliskich. Kusiło go, aby wezwać kelnera i poprosić o butelkę wódki.

Zawadzka tymczasem kontynuowała swoją opowieść:

– Wtedy Marek zdecydował, że zostanie dziennikarzem. Zamarzyła mu się kariera korespondenta wojennego lub dziennikarza śledczego. Początkowo starałam się wyperswadować mu takie zajęcie, ale widząc, że nie uda mi się go zniechęcić, postanowiłam uważnie mu się przypatrywać. Załatwiłam mu nawet angaż w tygodniku „W Obronie Prawdy”, to takie pismo z coraz większym nakładem. Coś w stylu programów typu *Uwaga!* lub *Interwencja*, tylko do czytania. Pewnie kojarzy pan te programy...

– Nie oglądam telewizji.

– Aha, ale oczywiście jest pan świadomy istnienia czegoś takiego jak telewizja? – zażartowała Joanna.

– Świadomy jestem, ale nie jestem pasjonatem.

– Rozumiem. A więc Marek napisał kilka artykułów, taka drobnica. Ostatnio jednak, gdy się spotkaliśmy, wyznał, że ma coś naprawdę dużego. Coś, co wstrząśnie opinią publiczną. Jak powiedział, „z wysokich stołków polecą łby”. Nie chciał jednak zdradzić żadnych szczegółów. Uprzedził tylko, że to, co ma, jest naprawdę mocne. To była ostatnia nasza rozmowa. Była dziwna, i to nie tylko z powodu tego, co mówił. Marek ciągle zerkał na zegarek, jakby się spieszył.

– Co w tym dziwnego? – spytał Grot.

Zawadzka wyciągnęła z torebki paczkę chusteczek higienicznych i położyła ją na stole.

– Nigdy się tak nie zachowywał. Gdy go o to zapytałam, stwierdził, że musi jeszcze wpaść do redakcji. Po spotkaniu, gdy wróciłam do domu, zadzwoniłam do niego jeszcze, bo zapomniałam zaprosić go na obiad na najbliższą niedzielę. Ale nie odbierał. Więcej nie miałam z nim kontaktu. Nikt z sąsiadów go nie widział, w pracy się nie pojawił. Przepadł jak kamień w wodę.

– Zgłosiła pani zaginięcie na policję?

– Tak, ale powiedzieli, że jest dorosły i nie musi informować siostry o swoich planach. Zbagatelizowali sprawę.

Grot oblizał wargi. Coraz bardziej go suszyło.

– Bzdura – mruknął. – Jak ktoś zaginie, to kto ma to zgłosić? Dorosłość nie ma tu nic do rzeczy.

Wreszcie kelner wrócił z zamówionym sokiem. Grot nie mógł się już doczekać, kiedy nawilży gardło.

– Też tak uważam – przyznała Zawadzka. – Ale do rzeczy. Wczoraj ktoś chciał się włamać do mojego domu. Włamywacza przegoniły psy pilnujące sąsiedniej posesji. To też mnie zastanowiło, bo wcześniej nie było takich sytuacji. Może nie pomyślałabym, że ma to związek z zaginięciem brata, ale okazało się, że mieszkanie Marka ktoś splądrował. Jego sąsiadka powiedziała mi, że widziała mężczyznę, który od niego wychodził. Gdy zapytała, czego szuka, powiedział, że jest bratem Marka i przyjechał z Poznania. Tyle że my nie mamy więcej rodzeństwa. Co więcej, facet nie zrobił zwykłego bałaganu jak przy włamaniach, ale przeszukał mieszkanie bardzo umiejętnie.

– Dziwny zbieg okoliczności – uznał Grot, biorąc łąpczywy łyk soku. – Tyle że ja nie wierzę w zbiegi okoliczności. W ogóle jestem niewierzący. – Napój drażnił przełyk chłodną intensywnością.

– Mam podobną zasadę. – Zawadzka pokiwała głową. – Znaczy się, jeśli chodzi o zbiegi okoliczności. A przechodząc do meritum. Uważam, że mój brat coś odkrył i dlatego zniknął. Chciałabym, aby pan go odnalazł. Martwię się o niego. Mam przecucie, że mogło mu się coś stać. Jeśliby się okazało, że ktoś go zamordował, chciałabym móc pochować brata...

Grot odstawił szklankę i poprawił się na krześle.

– Wie pani, że takie poszukiwania są czasochłonne i wymagają dużego nakładu pracy? I nigdy nie ma gwarancji powodzenia.

– Panie Grot, jakbym nie zdawała sobie z tego sprawy, nie rozmawialibyśmy. Wiem też, że to będzie kosztować. Pieniądze nie grają dla mnie roli. To jak, pomoże mi pan?

– Musiałbym się zastanowić. Nie sztuka wziąć pieniądze i udawać, że się coś robi.

– To pan niech się zastanowi, a ja złożę zamówienie. Na co ma pan ochotę? Ja stawiam.

Jak na zawołanie przy stoliku znów pojawił się kelner.

– Wie pani, w sumie nie jestem głodny... – skłamał Grot. Od wczoraj nic nie jadł i czuł już lekką pustkę w żołądku.

– Polecam tatara wołowego z jajkiem przepiórczym, policzki wołowe w sosie brzoskwińowo-truflowym, pierś z kaczki w sosie borowikowym z sałatką z rukoli... – zaczął recytować kelner.

– Ja wezmę mule. A dla pana może królika z chrzanem i agrestem. Kiedyś jadłam i był wyjątkowy. Lubi pan królika? – spytała Joanna.

– Może być – odpowiedział Grot bez przekonania.

Gdy kelner bezszelestnie się oddalił, Zawadzka z powagą spojrzała na detektywa.

– Zastanowił się już pan? Proponuję następujące warunki współpracy: za każdy dzień pracy otrzyma pan tysiąc euro. Dodatkowo ma pan budżet operacyjny w wysokości trzydziestu tysięcy złotych. Jakim samochodem pan jeździ?

– Aktualnie żadnym.

– Dobrze, dostanie pan ode mnie opla insygnię. Jakoś nie mam do niego przekonania, stoi bezużytecznie w garażu. Pasują panu takie warunki?

Grot wzruszył ramionami.

– Mogą być. Ale zdaje sobie pani sprawę, że moje działania mogą nie przynieść rezultatu?

– Panie Grot, wierzę w pana. Wie pan dlaczego? Widzę u pana siłę. Nie wiem, jak to nazwać, ale... bije od pana moc. Opinię też ma pan dobrą. Uważam, że dokonuję słusznego wyboru.

Gdy po dwóch kwadransach kelner przyniósł zamówione dania, Zawadzka uśmiechnęła się do Grota.

– Smacznego. Po posiłku powie mi pan, jakie informacje mam panu przekazać. Wiem, że na pewno musi być zdjęcie brata i jego adres.

Kiwnął głową i sięgnął po sztucce. Przed nim na talerzu wielkim jak pizza leżał wątki kawałek mięsa króliczego. Pod nim liść chrzanu, a obok kilka kulek agrestu. Wokół był rozmazany, jakby pociągnięciem pędzla, jakiś zielonkawcy sos. Wizualnie szau nie było, ale gdy skosztował kęs, musiał szczerze przyznać, że czegoś takiego jeszcze nigdy nie jadł. Nigdy by nie pomyślał, że zwykły agrest może wydobyć z posiłku tyle smaków. Musiał się powstrzymać, aby nie zeżreć wszystkiego zbyt łapczywie.

Siedząca na wprost niego kobieta skupiła się na swoim talerzu i nie zwracała na niego uwagi. Dopiero po skończonym posiłku znów popatrzyła na niego przenikliwie.

– Czy mogę pana odwiedzić do domu? Jutro przygotowałabym dla pana materiały. Przyjechałby pan do mnie koło południa? Mieszkam na Bielanach.

Oczywiście jeśli to panu pasuje. Wzięłyby pan samochód i potrzebne rzeczy.

– Dziękuję, ale wrócę sam – odparł. – Mam jeszcze kilka rzeczy do załatwienia na mieście. A co do jutra, dwunasta mi pasuje. – Nie chciał, aby ta elegancka pańcia wiedziała, w jakiej okolicy mieszka i w jakich warunkach.

Zawadzka kiwnęła głową, a następnie przywołała kelnera i poprosiła o rachunek. Gdy ten pojawił się przy stoliku, położyła na stole dwa banknoty – jeden stu-, a drugi dwustuzłotowy. Następnie wstała i wyciągnęła rękę na pożegnanie. Uścisk miała delikatny, kobiecy, ale nie ciamajdowaty. Jej dłoń była zadbana, jednak w tym uścisku było coś, co świadczyło, że praca fizyczna nie jest jej obca.

Grot spojrział w jej oczy i zobaczył w nich, że Zawadzka ma do niego pełne zaufanie. Wyraźnie zależało jej, aby przyjął to zlecenie.

Uśmiechnął się najszczerzej jak mógł i zapewnił:

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby pani brat wrócił do domu.

Ostrożnie odwzajemniła uśmiech i skierowała się w stronę wyjścia.

Przez chwilę jeszcze stał i patrzył na jej zgrabne ciało. A potem ruszył na poszukiwanie sklepu monopolowego.

* * *

Marek Kruszewski wyteęzał wzrok w ciemności. Nie potrafił jednak rozpoznać żadnych szczegółów pomieszczenia, w którym leżał. Nie wiedział, czy znajduje się w piwnicy, czy na strychu. W ciszy słychać było tylko buczenie jakiegoś urządzenia – hydroforu, a może chłodziarki.

Nie był skuty ani skrepowany. Rwanie w kostce świadczyło o jakimś urazie nogi. Ręce też miał obolałe. W sumie całe jego ciało przeszywał ból.

Nie pamiętał, w jaki sposób się tu znalazł. Kojarzył jedynie, że wyszedł z redakcji i udał się na parking podziemny pod placem Nowy Targ. Gdy wsiadł do samochodu, poczuł coś jak porażenie prądem.

Ocknął się dopiero w tym miejscu. Miał wrażenie, że ktoś porządnie go zlał, zanim wrzucił jak worek ziemniaków do tego pokoju. To było kilka dni temu, jednak nie potrafił powiedzieć, kiedy dokładnie. Nie wiedział, jak długo był nieprzytomny. Skręcało go z głodu, a więc na pewno nie jadł już dość długo.

Leżał teraz i nasłuchiwał pojedynczych dźwięków dochodzących z zewnątrz. Kilka minut temu słyszał, jak ktoś kręcił się za drzwiami. Docierały do niego czyjeś głosy. Spodziewał się, że porywacz – lub porywacze – może się tu w każdej chwili pojawić.

Zastanawiał się, dlaczego właściwie go porwali. Czy ktoś chciał go uciszyć w związku z planowanym artykułem? A może było to uprowadzenie dla okupu? Wielu ludzi wiedziało, że on i jego siostra odziedziczyli po rodzicach niemałą fortunę; ich majątek szacowany był na ponad sto milionów złotych. Jeśli to było porwanie dla pieniędzy, istniała jeszcze nadzieja. Porywacze z reguły po uzyskaniu okupu wypuszczają zakładnika. Trzeba się tylko uzbroić w cierpliwość. Gorzej, jeśli chodziło o to, żeby go uciszyć. Wtedy nie wiadomo, jak daleko mogą się posunąć.

To, co przekazał mu Wiktor, samo w sobie było już podstawą, aby kilkadziesiąt osób zamieszanych w machlojki wsadzić do więzienia na długie lata. Wielu ludzi powiązanych z wyłudzacami nieruchomości i gruntów utraciłoby wpływy w polityce i biznesie. Z akt, do których dotarł Marek, można było także wysnuć wnioski, że grupa, oprócz wyłudzeń majątku, ma na koncie bardziej poważne przestępstwa.

W jednym z tropów pojawiała się sprawa Antoniego Maliniaka. Rolnik nie chciał sprzedać swojej ziemi pod budowę ważnej arterii drogowej. Jego grunt znajdował się na trasie łączącej most Milenijny z ulicą Żmigrodzką. Praktycznie wszystkie działki, które miały pójść pod budowę drogi, należały do polityków. Właścicielem kilku był poprzedni prezydent miasta, paru innych – aktualny. Spory kawałek gruntu należał do wicewojewody, a kilkadziesiąt arów do polityka, który obecnie był jednym z wiceprzewodniczących największej partii opozycyjnej. Partia ta przez ostatnie lata sprawowała władzę w kraju, a ten polityk był nawet wicepremierem rządu. I właśnie spośród wszystkich tych gruntów należących do ludzi z politycznych wyżyn była jedna działka Maliniaka. Budowa trasy nie mogła się rozpocząć, dopóki rolnik nie sprzeda swojej ziemi. Namawianie go trwało kilka miesięcy. Próbowano wszelkich sposobów, aby uzyskać jego podpis pod aktem notarialnym – począwszy od przekupienia, na szantażu kończąc. Wszystko jednak na nic. Maliniak był uparty. Twierdził, że to jego ojcowizna i nie sprzeda jej za żadne skarby świata.

Minęły kolejne trzy tygodnie, aż pewnego dnia syn Maliniaka poszedł na ryby i się utopił. Sekcja zwłok wykazała, że był pijany i nieopatrznie wpadł do wody. Rodzina i znajomi zeznali, że Bartek Maliniak był osobą niepijącą. Nie spożywał trunków ani na co dzień, ani nawet od święta. Wszyscy sąsiedzi i znajomi zgodnie podejrzewali, że młodego Maliniaka zamordowano. Prokuratura umorzyła jednak postępowanie z powodu niestwierdzenia czynu zabronionego. W tym samym dniu starego Maliniaka odwiedził przedstawiciel

inwestora i kolejny raz zaproponował odkupienie ziemi. Stary Maliniak, teraz dodatkowo pogrążony w żałobie po stracie syna, ponownie odmówił. Wtedy zaczęły się problemy. Żona straciła etat w dyskoncie spożywczym, w którym pracowała od dwunastu lat. Jako powód zwolnienia podano kradzież pieniędzy z kasy. Kobieta została nawet zatrzymana na czterdzieści osiem godzin w policyjnej izbie zatrzymań. Chwilę później córka Maliniaka została wyrzucona z pracy w banku. Pracowała tam dwa lata i nagle przełożeni stwierdzili, że muszą zlikwidować jeden etat. Wypadło na Marzenę Waligórską z domu Maliniak. Następnie brat Antoniego, ksiądz z parafii we wsi Marszowice Dolne, został oskarżony o posiadanie pornografii dziecięcej. W komputerze księdza rzekomo znaleziono treści przedstawiające seks z małoletnimi. Parafianie nie mogli uwierzyć w te bzdury z kilku powodów, pośród których najważniejszym był fakt, że ksiądz nigdy nie miał komputera i nawet nie potrafił żadnego obsługiwać.

W końcu Antoni Maliniak został znaleziony w stodole przez żonę – wisiał na pasku od spodni. Było to dwa tygodnie po pogrzebie jego syna. To śledztwo prokuratura również umorzyła, stwierdzając samobójstwo. Śledczych nie zastanowiły siniaki na przedramionach mężczyzny. Biegły stwierdził, że mogły powstać w wyniku prac w gospodarstwie.

Po śmierci Antoniego inwestor przelał na konto rodziny Maliniaka odpowiednią sumę pieniędzy za zakup jego ziemi. Kupujący przedstawili nawet umowę podpisaną przez nieżyjącą już głowę rodziny. Żona i córka miały wątpliwości co do autentyczności podpisu, ale po jakimś czasie wycofały zawiadomienie o fałszerstwie dokumentów i zmieniły swoje zeznania.

Takich spraw w mieście i w całym województwie było znacznie więcej. Materiały, które dostarczał Markowi Wiktor i które Kruszewski sam uzyskiwał z innych źródeł, tworzyły przerażający obraz układów polityczno-towarzysko-biznesowych.

Teraz się zastanawiał, czy osoby, które go uprowadziły, zdecydują się na ucieszenie go raz na zawsze, czy może poprzestaną na straszeniu.

Podejrzewał, że w ciągu kilku najbliższych godzin się tego dowie.

* * *

Od razu po powrocie do domu Grot ściągnął garnitur. I tak wystarczająco długo się w nim męczył. Zaraz potem wyciągnął z reklamówki butelkę wódki i kilka puszek piwa.

Otworzył flaszkę i nalał sobie słuszną porcję do szklanki. Wypił jednym haustem, po czym nalał na drugą nogę. Przymknął oczy, czując, jak alkohol przyjemnie pali go w gardle, a potem otworzył puszkę piwa i wziął łyk na popicie wódki. Wiedział z doświadczenia, że łączenie tych trunków niesie ze sobą katastrofalne skutki, jednak nie miało to dla niego większego znaczenia. Grunt, żeby się napić.

Usiadł przy kuchennym stole w samych gaciach i skarpetkach i popatrzył na swoje dłonie. Miał wrażenie, że miejsce na palcu, gdzie kiedyś była obrączka, pali go żywym ogniem, tak jakby Kamila z nieba kazała mu założyć spoczywający w szufladzie komody złoty krążek, jakby kazała mu wziąć się za siebie.

Ból stawał się nie do zniesienia, Grot podniósł się więc z taboretu i poszedł do pokoju. Wysunął szufladę. Obrączka tak jak zawsze leżała w spodeczku. Podniósł ją i przez kilka sekund obracał w palcach, oglądając z każdej strony. W końcu wsunął na palec. Dziwne, ale palenie jakby zelżało. Stwierdził, że to pewnie alkohol spowodował takie dziwne odczucia.

Z obrączką na palcu wrócił do kuchni. Przez chwilę patrzył na stojący na stole alkohol. Nagle, jakby kierowała nim jakaś siła, chwycił butelkę wódki i wylał całą zawartość do zlewu. Zdawał sobie sprawę, że za kilka minut będzie tego żałował, ale może to pierwszy krok, aby alkohol przestał rządzić jego życiem? W ślad za wódką do kanalizacji trafiła zawartość puszek z piwem.

To pierwszy dzień jego nowego życia. Pierwszy dzień życia w trzeźwości.

Rozpoznanie

Grot wstał skoro świt. Za oknem było jeszcze ciemno. Zdawał sobie sprawę, że jeśli chce wrócić do pełni sił i sprawności, musi zmienić podejście do życia.

Ignorując ból sflaczałych mięśni, zrobił dwadzieścia przysiadów i dziesięć pompek. Na początek tyle wystarczy. Nie ma co się forsować. Pomyśleć, że kiedyś potrafił zrobić sto przysiadów i ponad sześćdziesiąt pompek. Wtedy po takim treningu miał lekką zadyszkę. Teraz po zrobieniu zaledwie kilku powtórzeń sapał jak maratończyk na mecie.

Po ćwiczeniach wziął prysznic. Długo stał pod strumieniem ciepłej wody. Dotknął palcem blizny po lewej stronie klatki piersiowej. Znajdowała się zaledwie kilka centymetrów nad sercem. Pamiątka po postrzale sprzed kilku lat...

Pamiętał doskonale tamtą strzelaninę. Pojechali wtedy z Tomalą zatrzymać faceta podejrzanego o zabójstwo staruszki, której ciało znaleziono w kamienicy przy Traugutta. Dzięki pracy operacyjnej udało im się wytypować sprawcę. Facet mieszkał w wiosce pod Wrocławiem. Nie spodziewali się większych problemów. Podejrzany nie wydawał się groźny, przynajmniej nic o tym nie świadczyło. Jako wsparcie mieli jeszcze dwóch mundurowych. Weszli na teren posesji i ruszyli w stronę domu. Grot zauważył, że wokół panuje dziwna cisza, nawet ptaki milczały. Wydało mu się to zastanawiające. Wyjął z kabury służbowego walthera i przeładował ku zdumieniu Tomali i pozostałych mundurowych. Szedł powoli, ostrożnie stawiając stopy. Gdy stanęli przed domem, nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły. Pchnął je i zamarł, słysząc skrzypnięcie dawno niesmarowanych zawiasów. Tomala wraz z jednym chłopakiem ze wsparcia ruszył na tyły budynku, Grot i drugi funkcjonariusz weszli do środka. To, co zobaczył, sprawiło, że komisarz ledwo zdołał powstrzymać odruch wymiotny. Młody mundurowy nie zdołał – doskoczył do ściany i puścił pawia.

Na starym tapczanie leżały zwłoki dwóch osób. Oba ciała były w daleko posuniętym rozkładzie. Ofiarami była kobieta i dziecko, prawdopodobnie chłopiec, choć nie dało się z całą pewnością ustalić płci, bo ciało leżało na plecach i było nienaturalnie wygięte. Zwłoki kobiety były rozczłonkowane – kończyny leżały obok korpusu, głowa znajdowała się na podłodze, trzewia zwisały z tapczanu. Nad ciałami latał rój much, we wnętrznościach kłębiły się robaki. Grot wiedział już, że zabójstwo staruszki nie było pierwszym, którego dokonał wytypowany przez nich mężczyzna. Podejrzał, że ofiar mogło być znacznie więcej. Już te znalezione w domu świadczyły o tym, że mają do czynienia z groźnym psychopata. Zdecydował, że muszą wezwać techników i wsparcie. Musieli także odnaleźć zabójcę.

Rozpoczął przeszukanie domu. Tomala z jednym z mundurowych sprawdzał piętro, a on został na parterze. Otwierał właśnie szafę, gdy padł strzał. Dał się zaskoczyć. Kula trafiła go w klatkę piersiową. Odrzuciło go na blisko metr. Już leżąc na podłodze, widział, jak z szafy wychodzi zabójca. W dłoni miał stary pistolet, jeszcze z czasów wojny. Grot kojarzył taką broń z serialu o czterech pancernych. Identyczną główny bohater Janek dostał od radzieckiego sierżanta.

Szczerząc się, mężczyzna szedł w jego kierunku. Nagle Grot usłyszał kroki zbiegających z góry ludzi. Tomala wyskoczył jako pierwszy. Zabójca odwrócił się w jego stronę i nacisnął spust. Nastąpiło zacięcie. Młodszy z mundurowych nie wytrzymał presji – oddał kilka strzałów. Pierwsza kula trafiła mordercę w brzuch, dwie kolejne poszły wyżej, czwarta zrobiła otwór tuż pod lewym okiem. Facet padł na podłogę, przez chwilę jeszcze jego ciałem wstrząsały drgawki. Zmarł przed przyjazdem pogotowia.

Grot miał wtedy sporo szczęścia. O mały włos morderca pozbawiłby go życia. Wiele razy później się zastanawiał, czy tak nie byłoby dla niego lepiej. Nie musiałyby przeżywać śmierci najbliższych...

Zakręcił wodę i wyszedł z kabiny. Nawet się nie wycierając, poszedł do kuchni. Drogę na brudnej podłodze znaczyły mokre ślady jego stóp. Nastawił wodę i dopiero wtedy się zorientował, że wczoraj zapomniał kupić kawę. Trudno, potem wyskoczę do sklepu, pomyślał.

Wyjął z szafy niebieskie dzinsy i biały T-shirt. Pośród nieładu panującego w szufladzie zaskakująco szybko odnalazł też slipy i skarpety. Ubrał się i spojrzął w lustro zamontowane na wewnętrznej części drzwi od szafy.

– Ubranie okej, tylko gęba nie pasuje do reszty – powiedział do siebie.

Twarz miał napuchniętą, oczy podkrążone, a usta spierzchnięte.

– Chuj, nic z tym teraz nie zrobię. Zresztą nie mam czasu na pierdoły.

Cały wczorajszy wieczór myślał nad zleconą mu sprawą. Wydawała się prosta. Nie było w niej nic trudnego, tyle że dla starego Grota. Nowy był zbyt styranym życiem, w depresji i na dodatek na głodzie alkoholowym.

Wrócił do kuchni i otworzył lodówkę. W środku nie znajdowało się nic, co nadawałoby się do jedzenia. Kilka produktów było już po terminie przydatności, niektóre nawet bardzo. Przypomniał sobie, jak Kamila kupiła kiedyś ser Valbon. Zapytał, co to za ser, a ona odpowiedziała, że taki z pleśnią. No to teraz miał w lodówce chleb Valbon, kiełbasę Valbon i mleko Valbon.

Zdecydowanym ruchem zaczął wyjmować z chłodziarki zepsutą żywność i wszystko wrzucił do kosza na odpadki. Na koniec na półce została tylko puszka szprotek w oleju.

Nic to, trzeba zrobić większe zakupy, postanowił.

Poszedł do przedpokoju i włożył buty, po czym wziął leżący na szafce portfel.

Do sklepu miał zaledwie trzydzieści metrów. W środku na szczęście nie było żadnych klientów.

– Dzień dobry. To co zawsze? – spytała sprzedawczyni, sięgając za siebie po butelkę wyborowej.

– Nie. Dziś kawę – odparł Grot. – Może być ta złota Gold, taką większą paczkę. Papierosy Viceroy czerwone i może jeszcze z dziesięć jajek, pięć bułek, jakiś ser żółty i wędlinę...

Ekspedientka zamarła z ręką na butelce. Przez moment mu się przypatrywała, po czym zaczęła wykładać produkty.

– Coś jeszcze? – spytała po chwili. Na jej twarzy nadal widoczne było zdziwienie. Odkąd mieszkał w tej okolicy, zawsze kupował tu alkohol.

– Niech pani mi jeszcze da kawałek boczku. – Grot pokazał palcami, jak duży. – I może jednak dziesięć tych bułek.

Kobieta nabiła wszystko na kasę i spakowała zakupy do reklamówki.

– Siedemdziesiąt jeden złotych, trzydzieści pięć groszy.

Wręczył jej osiemdziesiąt złotych, wziął torbę i powiedział:

– Reszty nie trzeba, dziękuję.

Wychodząc, widział zmierzających pod sklep meneli. Osiedlowe żuliki każdego dnia sępiły tu o parę groszy. Wszystko, co uzbierali, szło na przelew. Przywitał się z dawnymi znajomymi, wręczył im banknot dziesięciozłotowy i poszedł do domu.

Położył siatkę z zakupami na stole, odpalił papierosa i zaciągnął się mocno. Po chwili wypuścił dym, uśmiechając się do siebie. Czuł się z siebie dumny.

Dzisiaj był pierwszy dzień od dawna, gdy obudził się trzeźwy i bez kaca. I nawet nie było tak tragicznie, jak to sobie wyobrażał.

Spalił papierosa, zagasił go w talerzu leżącym na szczycie sterty naczyń zalegających zlew, po czym zaczął zmywać. Początkowo szło mu nieporadnie, ale po kilku minutach nabrał wprawy. Gdy skończył zmywanie, wyjął z szafki jakieś stare płyny i zmiotkę. Postawił to wszystko na środku podłogi i odpalił kolejnego papierosa. Nie bardzo wiedział, jak się do tych porządków zabrać. Dawno już nie miał w rękę zmiotki i szufelki. Ostatecznie postanowił, że na dzisiaj da sobie z tym spokój. Może jutro najdzie go wena.

Spojrzał na zegarek – była już dziewiąta. Zgasił papierosa w pustym zlewie i zaczął szykować się do wyjścia.

* * *

Aspirant Artur Pasewicz patrzył, jak płetwonurek wyciąga z Odry zwłoki kobiety.

Ciało było napuchnięte i już pierwszy rzut oka pozwalał stwierdzić, że w wodzie przebywało od dawna. Strażacy wyciągnęli je na brzeg i położyli na kocu.

Artur podszedł bliżej, zakładając po drodze lateksowe rękawiczki. Zauważył jakiś ruch w oczodole kobiety. Po chwili z jego wnętrza wysunął się węgorz. Pasewicz cofnął się z obrzydzeniem. Zaczerpnął potężny łyk powietrza i dopiero wtedy nachylił się nad zwłokami. Dłonią odsunął włosy z twarzy denatki. Ofiara mogła mieć najwyżej dwadzieścia lat. Długie przebywanie w wodzie spowodowało zmiany w jej wyglądzie, ale dało się stwierdzić, że kiedyś mogła uchodzić za ładną.

Artur spojrzał na stojącego obok technika.

– Widziałeś te ślady lakieru i kawałki szkła na tamtym kamieniu?

Mężczyzna skinął głową.

– Zabezpieczyliśmy. Może nie mają związku z tym tutaj, ale zawsze to jakiś ślad. Zaraz będzie Gienek, to zajmie się topielicą.

Artur wstał i odszedł kilka kroków.

Dziś rano dostali anonimowe zgłoszenie, że w Odrze na wysokości mostu pod autostradową obwodnicą Wrocławia pływają zwłoki. Gdy na miejsce przyjechał patrol prewencji, okazało się, że w odległości niespełna dziesięciu metrów od brzegu rzeczywiście znajduje się ciało. Zwłoki zaczepiły o drut zbrojeniowy wystający z kawałka płyty betonowej, która zalegała w wodzie.

Od razu wezwano gliniarzy z wydziału zabójstw. Na tę chwilę nie mieli pewności, czy śmierć dziewczyny była wynikiem nieszczęśliwego wypadku, czy może ktoś jej pomógł pożegnać się z życiem. Po pobieżnym obejrzeniu zwłok Artur nie stwierdził żadnych śladów świadczących o udziale osób trzecich. Na bardziej szczegółowe oględziny zdecydował się poczekać do przyjazdu patologa.

Dziewczyna miała dużego krwiaka na głowie i wyłupane jedno oko, ale te obrażenia mogły powstać już po jej śmierci. Ciało zatrzymało się na drucie zbrojeniowym i to on mógł spowodować te urazy. Sekcja zwłok, którą przeprowadzi Gienek, z pewnością ustali przyczynę zgonu. Teraz technicy musieli zabezpieczyć wszystkie ślady odnalezione na miejscu znalezienia topielicy. Nie mogli wykluczyć, że doszło do zabójstwa.

Pasewicz pamiętał, jak w zeszłym roku wyłowiono z Widawy zwłoki młodego chłopaka. Od razu przyjęto błędne założenie, że ofiara się utopiła. Popełnili wtedy sporo błędów, które zaważyły na całym śledztwie. Już na wstępie stwierdzili, że to był wypadek, więc nie przyłożyli się szczególnie do pracy. Ciało zostało przewiezione do zakładu medycyny sądowej, a oni zaczęli pisać raporty o śmierci w wyniku utonięcia. Spodziewali się, że nie będzie sprawy. Pomylili się wtedy ogromnie. Sekcja zwłok wykazała, że chłopak został brutalnie zgwałcony, choć oględziny zewnętrzne wykonane na miejscu odnalezienia ciała niczego takiego nie sugerowały. Dopiero patolog stwierdził, że denat miał rozerwane jelito i uszkodzone inne organy. Przyczyną śmierci był krwotok wewnętrzny, a nie utonięcie, jak wcześniej podejrzewali. Ofiara została zgwałcona prawdopodobnie kijem lub trzonkiem od łopaty. Artur pamiętał, że zwrócił wtedy uwagę na leżące kilkadziesiąt metrów dalej śmieci. Były wśród nich butelki po alkoholu, zużyte prezerwatywy i najważniejsze – stary szpadel wbity w pobliżu miejsca imprezy. Gdy pojawili się tam ponownie, nie udało się już zabezpieczyć żadnych dowodów. Szpadel zniknął, a inne ślady zatarł padający w nocy deszcz.

Pomny tamtych doświadczeń, teraz wolał dmuchać na zimne. Tutaj, nad Odrą, zwrócił uwagę na kawałki szkła z rozbitego reflektora i ślady lakieru znajdujące się na dużym kamieniu leżącym w pobliżu brzegu. W normalnych warunkach nie było możliwości, aby nie zauważyć tak wielkiego głazu. W dzień był widoczny już z daleka, w nocy – w świetle samochodowych lamp – także nie było możliwości, aby kierowca go przeoczył. Chyba że jechał pijany lub bez włączonych świateł. Jeśli zaś tak było, to musieli przede wszystkim zadać sobie pytanie, czy brak świateł spowodowany był

nietrzeźwością kierującego, czy może tym, że chciał pozostać niezauważonym. Jeżeli to drugie, nasuwało się kolejne, może najważniejsze pytanie. Czy ten ktoś miał coś do ukrycia? A może chciał zadekować zwłoki wyciągniętej z Odry kobiety?

Pasewicz zaczął krążyć po małej polanie nad brzegiem rzeki, szukając kolejnych potencjalnych śladów, gdy zaczął dzwonić jego telefon. Wyjął komórkę z kieszeni i spojrzął na wyświetlacz. Dzwonił Zbigniew Walczak, właściciel mieszkania, które Artur od dwóch miesięcy wynajmował.

Najem kawalerki należącej do emeryta był pomysłem Kasi. Szukali jakiegoś przytulnego gniazdka, bo w mieszkaniu, które wcześniej zajmowali, były same problemy. Wszechobecna wilgoć, felerna wentylacja, grzyb na ścianach i panele wypaczające się pod wpływem wilgoci – to wszystko ich przytłaczało. Ubrania wywieszane na suszarce nie schły i przechodziły smrodem. Problemy sprawiała też hydraulika. Brodzik ciągle się zapychał, woda stała do połowy łydki. Artur raz próbował to naprawić, ale bez powodzenia. Koszt najmu mieszkania także zaczynał im ciążyć. W okresie zimowym wszystkie opłaty wynosiły ich ponad dwa tysiące złotych. Artur zarabiał ledwie czterysta złotych więcej, pensja Kasi pracującej na pół etatu nie pozwalała na wiele. Żyli skromnie.

W końcu Kasia podjęła decyzję, że poszukają czegoś innego, tańszego. Znalazła niedużą kawalerkę. Gdy byli ją obejrzyć, spodobało im się praktycznie wszystko, chociaż mieszkanie było brudne i zapuszczone. Właściciel Zbigniew Walczak chwalił się, że niedawno położył tapetę w przedpokoju. Artur z Kasią pomyśleli, że skromnym nakładem sił i środków wymyją wszystko, odmalują i będą mogli mieszkać. Niestety byli w błędzie. Samo sprzątnięcie zajęło im kilka dni. Dziadek pozostawił po sobie nawet niedomyte szklanki w szafkach. Wszędzie był brud i syf. Gdy wreszcie się z tym uporali, okazało się, że trzeba pozrywać stare wykładziny, bo załęgło się pod nimi jakieś robactwo. Na środki do pozbycia się paskudztwa wydali blisko trzysta złotych. Artur zabudował płytą kartonowo-gipsową stary niesprawny grzejnik w łazience, ukryli w ten sposób wodomierze i rury instalacji hydraulicznej. Odmalowali całe wnętrze i postanowili wymienić gniazdka elektryczne. Niby prosta robota, ale okazała się ponad siły policjanta. Trzeba było wzywać fachowca. Przewody były źle podłączone i stwarzały zagrożenie. Kolejne kilka stówek poszło na elektryka.

Potem okazało się, że staruszek zapchał instalację odpływową – odchody zalały świeżo odnowioną łazienkę. Smród był niewyobrażalny. Hydraulik przez bite dwa dni pracował po kilka godzin, aby udroźnić kanalizację. Niestety przy

okazji musiał zniszczyć całą wykonaną wcześniej zabudowę. Na koniec okazało się, że Walczak wlał do sedesu klej i powrzucał kawałki tapety. Po udrożnieniu na światło dzienne wyszła kolejna usterka – bojler na ciepłą wodę był niesprawny. Na domiar złego pod wpływem padającego przez kilka dni ulewnego deszczu sufit zaczął przeciekać. Zalało laptopa, telewizor i wieżę stereo. Świeżo zrobiona instalacja elektryczna też zamokła i przez tydzień para mieszkała bez prądu.

Pasewicz miał dość tego mieszkania, ciągle awarie sprawiły, że zaczął tracić cierpliwość. Jednak najbardziej wkurzający był sam Walczak. Do niego Artur już w ogóle nie miał nerwów. Facet był niewyobrażalnie chytry i skąpy. Nie chciał zwrócić najemcom za naprawę elektryki w mieszkaniu. Brak ciepłej wody też nie stanowił dla niego żadnego problemu. „Panie, w misce se pan zagotuj wodę i się wykąp. Ja myłem tylko nogi i żyłem”, mówił, a potem dodawał: „Na kolonii dzieci się wcale nie myją i jakoś nic się nie dzieje”.

Tyle że Artur wynajął mieszkanie, a nie pojechał na kolonię.

Gdy Artur wytknął mu jego zaniedbania, które jedynie wpuściły ich w koszty, Walczak wzruszył ramionami. A gdy zażądał obniżenia czynszu za kolejny miesiąc, stary zaczął krzyczeć, że konstrukcja została wykonana nielegalnie, bez wymaganych pozwoleń na budowę, i on nic nie będzie zwracał, co więcej – to jemu należy się odszkodowanie. Kasia stwierdziła że nie chce się z kutwą kłócić, i ostatecznie oboje machnęli na to ręką.

Teraz Pasewicz patrzył na swój telefon i zastanawiał się, czy odebrać.

W końcu wcisnął guzik i powiedział:

– Słucham.

– Słuchaj pan, bądź pan jutro o ósmej rano, bo przyjedzie rzeczoznawca, co ja ubezpieczył mieszkanie – rozległ się głos po drugiej stronie. – Będzie paczył i oceni, ile kasy ma oddać za to zalanie.

– Panie Walczak, jutro jestem w pracy. Niech pan da mój numer temu rzeczoznawcy, to się z nim umówię.

– Nie, ja już go umówiłem. Słuchaj pan, to zajmie tylko chwilę. Bądź pan.

– Czy pan mnie nie rozumie? Nie mogę sobie ot tak zerwać się z pracy. Niech rzeczoznawca umówi się ze mną na pasujący nam obojgu termin.

– Słuchaj pan, im szybciej przyjedzie, tym szybciej dadzą kasę. Zrób pan tak, żeby pan był. Musisz pan być.

– Panie Walczak, komu dadzą kasę?

– No mnie. Ja przecież ubezpieczyłem.

– No właśnie, pan ubezpieczył, a moje rzeczy zalało. Skoro moje rzeczy zalało, to mnie powinno zależeć na szybkim załatwieniu sprawy. Jest tylko jeden problem, ja muszę być wolny i dlatego ten rzeczoznawca musi się umówić ze mną.

– Słuchaj pan, masz pan być jutro. Ja się umawiał i nie będę z gęby cholewy robił...

– Do widzenia, panie Walczak.

Artur zakończył połączenie. Wziął głęboki oddech i ponownie rozejrzał się po okolicy. Jego wzrok przykuł mały połyskujący przedmiot. Podszedł bliżej i kucnął. W trawie jakieś dwadzieścia metrów od brzegu rzeki leżał srebrny łańcuszek z medalikiem. Pasewicz podniósł go i obejrzał. Na jednej stronie medalika była Matka Boska, a na drugiej wygrawerowany napis: „Kochanej Basi – chrzestna Ewa”.

* * *

Joanna Zawadzka zeszła do salonu w swojej willi na Bielanych Wrocławskich i spojrzała na gosposię, która kończyła właśnie odkurzać pomieszczenie.

– Pani Stasiu, dzisiaj przyjedzie do mnie pan Radosław Grot. Proszę go wpuścić i zaproponować coś do picia lub zjedzenia.

– Dobrze – odparła kobieta, wyłączając odkurzacz. – A czy pani będzie teraz jadła? Mam coś przygotować?

– Nie, dziękuję. Napiję się tylko soku. Czy mój mąż zostawił pani wypłatę?

– Tak, nawet dał sto złotych więcej, niż się należało. Nie chciałam się zgodzić, ale nalegał...

– Należało się. Pani Stasiu, ja będę w gabinecie. Niech pani powie panu Zbyszkowi, żeby pojechał do sklepu ogrodniczego i kupił środek na tę chorobę drzewek owocowych. Będzie wiedział jaki. Tutaj kładę trzysta złotych, powinno wystarczyć.

Joanna przeszła do kuchni, wyjęła z lodówki dzbanek z sokiem ananasowym i nalała sobie do szklanki.

Kilka chwil później usiadła przy biurku w gabinecie i spojrzała na leżące na blacie dokumenty, które przygotowała dla Grota.

W pierwszej chwili miała mieszane uczucia co do detektywa. Wydał jej się zwykłym pijakiem. Dopiero, gdy zaczęła opowiadać o zaginięciu Marka, zobaczyła coś, co ją upewniło, że dokonała dobrego wyboru. Na początku rozmowy facet był jakby obojętny, jego umysł z pewnością błędził gdzieś

pomiędzy butelką wódki a kieliszkiem. Gdy jednak wspomniała o Marku, jego źrenice powoli zaczęły się rozszerzać, pojawił się w nich jakiś blask. Joanna była pewna, że umysł byłego policjanta właśnie zaczął pracować na pełnych obrotach. Grot wnikliwie analizował informacje, które mu przekazała. Aż do końca rozmowy ten blask nie zniknął.

Teraz powoli pakowała dokumenty do tekturowej teczki. Przygotowała kilka zdjęć – część przedstawiała twarz Marka, parę ukazywało całą jego sylwetkę. W teczce były także fotografie samochodu, którym jeździł jej brat. Miała spisane adresy znajomych Marka. Pro forma podała też adresy dalekich krewnych. Do nich sama już dzwoniła, jednak nikt nie naprowadził jej na ślad brata. Wszystko, co wiedziała, dodatkowo opisała i zapakowała do teczki. Miała tylko nadzieję, że Grot się nie rozmyśli lub po pijaku nie zapomni o całej sprawie.

Usiadła w głębokim fotelu i wzięła do ręki album z rodzinnymi zdjęciami. Zaczęła przeglądać fotografie. Z każdą przewracaną stroną coraz częściej się uśmiechała. Wielu zdjęć nie pamiętała, inne znowu mocno tkwiły w jej pamięci. Wspominała okoliczności ich zrobienia. Czas, miejsce, nastrój. Było tu kilkanaście kadrów z rodzicami. Wakacje w Hiszpanii, ferie w Alpach. Patrząc na jedno, uśmiechnęła się szerzej. Na fotografii byli ona, Marek i mama. Ojciec stał wtedy za obiektywem aparatu. Cała trójka miała dziwne miny. Starali się zachować powagę. Byli wtedy w Zakopanem. Joanna i Marek szusowali na nartach, a matka oddawała się swojej pasji kupowania regionalnych pamiątek. Ojciec wielokrotnie zwracał jej uwagę, że kupuje coś, co zaraz po przyjeździe i tak wyląduje w magazynku na duperele, jednak racjonalne argumenty do niej nie docierały. W reklamówce, którą na zdjęciu ściska w dłoni, miała już kilka termometrów ze zdjęciem Tatr, parę ciupag i figurek przedstawiających Janosika. Uśmiech matki wywołało jednak wtedy coś, co miało miejscem poza kadrem. Do ojca robiącego zdjęcie podszedł od tyłu facet przebrany za białego niedźwiedzia. Gdy położył mu na barku wielką łapę, tato o mało nie dostał zawału. Tuż po zrobieniu tego zdjęcia wypuścił z rąk aparat fotograficzny i zaczął uciekać. Śmiali się później wielokrotnie z tej sytuacji, a opowieść o białym misiu stała się rodzinną anegdotą. W tamtym czasie byli taką szczęśliwą, radosną rodziną...

Joanna patrzyła na zdjęcie i zastanawiała się nad kruchością życia. Wiedziała, że czas jest nieubłagany. Często chce się komuś powiedzieć, jak bardzo jest ważny, ale jest już za późno.

Z zadumy wyrwało ją pukanie do drzwi.

– Proszę – powiedziała cicho.
W progu stała gosposia.
– Proszę pani, przyszedł ten pan.
– Dziękuję, już schodzę.
Joanna odłożyła album na stolik i wstała z fotela.

* * *

Na Bielany dojechał w miarę szybko. Miał zaledwie jedną przesiadkę.

Punktualnie stanął przed willą Joanny Zawadzkiej. Okazały budynek na oko miał jakieś czterysta metrów kwadratowych. Był nowoczesny, wręcz ekstrawagancki. Na podjeździe stało kilka samochodów. Największe wrażenie robiło białe porsche 911 z imienną tablicą rejestracyjną, na której było napisane „D1 ASIA”. Oprócz sportowego wozu stał tu także opel, którym Grot miał jeździć w trakcie poszukiwania zaginionego brata Zawadzkiej. W otwartym garażu widział też białego range rovera i czarnego mercedesa S klasy. Każdy z tych samochodów robił wrażenie i zaświadczał o majątności mieszkających tu ludzi. Kawałek dalej stały jeszcze dwa samochody – kilkuletni volkswagen golf i chevrolet cruze. One jednak nie były tak spektakularne. Grot mógł się założyć, że te auta należą do służby, bo to, że jest tutaj służba, było więcej niż pewne.

Cały teren posesji był zadbany. Egzotyczne kwiaty w gustownych donicach i kilka równo przyciętych drzewek świadczyły o tym, że ten dom jest oczkiem w głowie właścicieli.

Przeszedł przez otwartą furtkę, stanął przed drzwiami i nacisnął dzwonek. Po niespełna dziesięciu sekundach w progu stanęła jakaś kobieta. Zlustrowała go z góry na dół, po czym zapytała:

– Pan Grot?

Gdy potwierdził skinieniem głowy, otworzyła drzwi szerzej i gestem zaprosiła go do środka.

Wnętrze domu zapierało dech w piersiach. Widać było, że dekorator wykonał kawał dobrej roboty. Drogie dębowe parkiety, okazałe schody, idealnie gładkie ściany pomalowane na biało ze wstawkami w odcieniu morskiego granatu. Jednak największe wrażenie robiła stojąca w długim holu duża dębowa komoda. Nawet bez fachowej wiedzy Grot był w stanie ocenić, że mebel ma co najmniej sto lat i musiał kosztować majątek.

Z odrętwienia wyrwał go głos gosposi:

– Napije się pan kawy lub herbaty?

Odwrócił się w jej stronę.

– Jeśli można, poproszę wodę.

Kobieta skinęła głową, po czym poszła do kuchni. Chwilę później pojawiła się z powrotem z wypełnioną po brzegi szklanką.

– Niech pan usiądzie. – Wskazała miejsce w pomieszczeniu, z którego dopiero co wyszła. – Ja pójdę po panią Joannę.

Gdy powolnym krokiem zaczęła wspinać się po schodach na piętro, Grot wszedł do kuchni i zajął miejsce na krześle. Powoli popijał wodę, rozglądając się z zaciekawieniem. Wokół było czysto jak w najlepszej restauracji. Błat dosłownie lśnił. Nic nie świadczyło o tym, że ktoś tutaj przygotowuje posiłki. Grot się zastanawiał, czy sztuczce ułożone są w szufladzie w jakiś specjalny sposób, gdy dobiegło go z boku:

– Dzień dobry. Widzę, że bez problemów pan trafił.

Odwrócił się i zobaczył Joannę Zawadzką.

– Dzień dobry. Cóż, specjalizuję się w znajdowaniu.

Kobieta uśmiechnęła się lekko.

– Zapraszam do mnie do gabinetu. Tam możemy spokojnie porozmawiać. Zaproponowałabym panu drinka, ale pora jest chyba zbyt wczesna. Poza tym przyjechał pan po samochód, więc może przy innej okazji.

– Dziękuję za propozycję. Ale nawet, gdybym miał wracać autobusem i byłby wieczór, nie skorzystałbym – odparł Grot.

Joanna Zawadzka skinęła ze zrozumieniem, po czym odwróciła się i ruszyła w stronę schodów. Grot wstał i podążył za nią.

Górne piętro willi także budziło podziw. Wszystko tu ze sobą korespondowało, nie było żadnego elementu kłócącego się z innym.

Po wejściu do gabinetu Zawadzka wskazała Grotowi wygodny skórzany fotel stojący przed dużym starym i bogato zdobionym biurkiem. Wartość mebla z pewnością była znaczna. Grot podejrzewał, że musiałyby pracować kilka lat, żeby było go stać na coś podobnego.

Kobieta najwyraźniej dostrzegła jego zainteresowanie biurkiem, bo wyjaśniła:

– Ma blisko dwieście lat. Sprowadzono je do Londynu w latach dwudziestych w ubiegłym stuleciu. Wcześniej znajdowało się w Indiach, gdzie służyło gubernatorowi. Jego wartość historyczna jest bezcenna, materialna to jakieś sto pięćdziesiąt tysięcy złotych.

– Biurko warte dobrego samochodu – podsumował Grot. – Strach przy nim pracować, żeby go nie uszkodzić.

– Bez przesady. Trzeba znać wartość rzeczy, ale należy przyjąć zasadę, że to tylko rzecz. Rzecz służąca do wykonania jakiejś pracy. Rzeczy są dla nas, a nie my dla nich.

– W sumie ma pani rację. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Z drugiej strony łatwo tak mówić komuś, kto jest bogaty. Gdy status materialny się obniża, myślenie może się zmienić.

– Powiem panu coś ciekawego. Pamięta pan, jak jakiś czas temu straszono nas końcem świata? Że niby pluskwa milenijna wyłączy komputery, ziemia pograży się w chaosie i wszystko zginie? Okazało się to kompletną bzdurą.

– Pamiętam. Na każdym kroku straszono zagładą. Nic się nie wydarzyło się, i całe szczęście.

– A wie pan, kto nie martwił się tym rzekomym końcem świata? Dzikie plemiona Amazonki i ludy Afryki. Oni nawet nie wiedzieli, co to komputer. W dniu zagłady wstali i nie wydarzyło się nic dziwnego. Powiem panu coś jeszcze. Najwięcej obawiają się ci, którzy mają dużo. Oni nie są szczęśliwi. Ktoś ma kolekcję drogich mebli, to ubezpiecza dom od pożaru, montuje kamery, systemy alarmowe, zatrudnia ochroniarzy. Żyje w ciągłym strachu, aby nie stracić dobytku. I nie potrafi się skupić na byciu szczęśliwym.

– Łatwo pani mówić, bo pani ma. Ja nie mam i wcale nie czuję się przez to szczęśliwszy.

– Bo źle pan do tego podchodzi. Jediną osobą, która stoi na przeszkodzie do pańskiego szczęścia, jest pan sam. Widział pan te samochody przed domem?

– No, ładna kolekcja – przyznał szczerze Grot.

– Ładna, ale to akurat konik mojego męża. Lubi pokazywać, że jesteśmy bogaci. Co prawda on jest bogaty tylko i wyłącznie dlatego, że jest ze mną, ale mniejsza o to. Nakupował tych aut, a przecież w danej chwili może jeździć tylko jednym. Wie pan, jak słabym jest kierowcą? Parkuje jak pizda, zajmując dwa miejsca. Boi się, żeby ktoś nie zarysował mu lakieru.

Grot był zaskoczony słownictwem milionerki. Uznał jednak, że chyba nie posługuje się wulgaryzmami zbyt często. Mają raczej dowodzić jej normalności. Pokazać, że jest taka jak inni, tylko odrobinę bardziej majątna.

Kobieta kontynuowała swój monolog:

– Śmieję się czasem z tego. Dla niego ważniejsze jest auto niż bycie szczęśliwym. Każdego dnia chodzi dookoła tych samochodów i patrzy, czy gdzieś nie ma ryski. Jak jakąś zobaczy, to klnie jak szewc. Szuka winnych,

a potem spędza długie godziny, starając się usunąć szkodę. To mnie dziwi. Myślałam, że jak będzie miał samochód, to będzie szczęśliwy, a to tylko okazało się kolejnym zmartwieniem. Jakby miał starego gruchota, byłby chyba bardziej radosny i częściej by się uśmiechał. Ale to tylko moje przemyślenia. Pewnie uważa pan, że gadam bzdury, bo mam kasę i stać mnie na wiele. Nie na wszystko, ale na wiele. Otóż widzi pan, za pieniądze można kupić dużo, ale szczęścia się nie kupi.

– Te sprawy akurat najmniej mnie interesują – odparł Grot, wzruszając ramionami. – Każdy jest kowalem swojego losu. Jak ktoś chce być bogaty, niech do tego dąży. Ktoś chce być menelem, jego sprawa.

– W sumie ma pan rację... – Zawadzka się zamyśliła, analizując słowa detektywa. Kilka chwil później popatrzyła mu głęboko w oczy i spytała: – A pan chce być bogaty czy woli być menelem?

– Menelem już jestem, bogaty nigdy nie będę. Zresztą każdy na swój sposób postrzega bogactwo. Dla jednego to kilka milionów, inny marzy o miliardach. Większości ludzi wystarczy jednak, aby przeżyć miesiąc bez zastanawiania się, czy starczy na opłaty, czy będzie co do garnka włożyć i czy nie zamrzną w zimie.

– Dobrze powiedziane. Przypomina mi pan mojego ojca. Pomimo całego swego bogactwa zawsze się starał, byśmy żyli jak normalna rodzina. Kieszonkowe miałam mizerne. Z Markiem wcale nie żyliśmy jak pączki w maśle. Może dlatego nie zostaliśmy zepsuci jak dzieci innych bogaczy.

– Jest na takich ludzi trafne określenie: „zawód syn”. Niektórzy, gdyby nie pieniądze rodziców, byłiby nikiem. Proszę mi wierzyć, wolę pogadać z osobą, która dorobiła się pracą własnych rąk, niż z kimś, kto ma pieniądze od rodziców – wyznał Grot.

– Rozumiem. Jak pan pewnie pamięta, ja też odziedziczyłam spory spadek. Tylko musi pan wiedzieć, że lata temu co roku jeździłam do pracy w rolnictwie. Pracowałam jak każdy na roli. Najpierw przy zbiorach truskawek, potem tylko owoców. Mój brat także od wczesnych lat musiał sobie dorabiać, gdy chciał gdzieś pojechać z kolegami. Pomimo majątku wychowywaliśmy się jak większość naszych rówieśników. No, może tylko nie musieliśmy się martwić o to, co będziemy jeść. Nie odczuliśmy, czym jest głód.

– Może to panią zdziwi, ale ja oceniam ludzi po wielu rzeczach. Najbardziej trafne oceny uzyskuję, widząc, w jaki sposób ktoś podaje rękę. Jak jest to ciamajdowaty uścisk, wiem już, z kim mam do czynienia. Jak ktoś ma uścisk twardy, męski, mam pewność, że wie, co to ciężka praca. Z kimś takim szybciej

znajdę wspólny język niż z chłopakiem w rurkach. Tak mam i już. – Grot wzruszył ramionami.

– I jaki mam uścisk? – spytała zaintrygowana Zawadzka.

– Kobięcy, ale nie ciamajdowaty. Mogę stwierdzić, że wie pani, czym jest praca fizyczna, ale nie wykonuje jej pani zbyt często.

Joanna uśmiechnęła się i spojrzała w okno. Przez moment wpatrywała się w jakiś bliżej nieokreślony punkt.

W końcu się odezwała:

– Rozumiem, że przyjął pan moją propozycję i rozpocznie pan poszukiwania Marka. Warunki finansowe, podejrzewam, też panu odpowiadają. Więc przejdźmy do rzeczy. Przygotowałam dla pana materiały. – Wskazała dłonią leżącą na biurku teczkę. – Są tutaj zdjęcia Marka, adresy znajomych, miejsca ich pracy, wszystko, co udało mi się sobie przypomnieć. Myślę, że na początek ma pan jakiś punkt zaczepienia. Nie wiem, nad czym dokładnie pracował mój brat, ale w redakcji na pewno ma swoje biurko. Może tam znajdzie pan coś, co nakieruje pana na jakiś trop. Gdyby miał pan pytania, jestem do dyspozycji.

Grot wziął do ręki teczkę i zaczął przeglądać przygotowane przez Zawadzką materiały. Najpierw przyjrzał się fotografiom. Na każdej z odbitek był młody uśmiechnięty mężczyzna. W jego oczach było widać przyjazne ogniki. Lista kontaktów także była konkretna. Każdy adres był szczegółowo opisany, wraz z charakterystyką osoby, która tam mieszka. Na jednej z kartek widniało: „Adres: Mickiewicza 722/4, Aneta Wójcik, była dziewczyna Marka, studentka polonistyki na Uniwersytecie Wrocławskim. Mieszka z matką, rencistką. Ona i Marek rozstali się w przyjaźni jakieś dwa lata temu. Kontakty sporadyczne, prawdopodobnie Marek tam się nie pojawił”. Na kolejnej była informacja: „Adres: Rynek 9a, miejsce pracy Marka, redakcja «W Obronie Prawdy», jeden z kluczowych adresów. Marek ma tam swoje biurko, szansa na odnalezienie jakiegoś tropu lub sugestii, czym się zajmował, o czym pisał. W pobliżu jest parking podziemny. Tam z reguły parkuje swój samochód”.

Grot podniósł wzrok na Zawadzką i powiedział:

– To, co tutaj mam, powinno wystarczyć. Czy chce pani codziennie otrzymywać informację o postępach w śledztwie?

– Jak panu wygodniej. Nie chcę pana poganiać ani ograniczać. Wolę, żeby skupił się pan na działaniach, a nie na codziennym marnowaniu czasu na meldunki.

– Dobrze. Taki sposób pracy jak najbardziej mi odpowiada.

– Jeżeli tak, tutaj mam dla pana wynagrodzenie. Właściwie to karta do bankomatu. Na założonym dla pana koncie przygotowałam kwotę siedmiu tysięcy euro. To wynagrodzenie za tydzień pracy. Jeśli będzie brakowało lub będzie pan pracował dłużej, przeleję więcej. Jeśli znajdzie pan Marka szybciej, pozostałe pieniądze są dla pana jako premia. Na niezbędne wydatki ma pan kolejną kartę. Na koncie jest dwadzieścia tysięcy złotych. W kopercie, którą zaraz panu przekażę, jest jeszcze dziesięć tysięcy. To na wypadek, gdyby było konieczne płacenie za coś gotówką. PIN do obu kart to dwa, trzy, dziewięć, zero. Może pan wszystko wyciągnąć zaraz po wyjściu ode mnie, to już pański wybór. Uważam jednak, że lepiej nie nosić przy sobie większej gotówki.

Zawadzka położyła na blacie dwie koperty. W jednej były karty, a w drugiej gotówka. Grot nie musiał sprawdzać zawartości. Wiedział, że jest tam cała kwota.

– Czy na wydatki mam brać faktury? – spytał.

– Nie musi pan. Ja nie wnikam w wydatki. Dla mnie liczy się efekt. Rozumiem, że może się zdarzyć, że trzeba będzie komuś dać w łapę jakąś sumę i faktury ten ktoś nie wystawi. Proszę mi wierzyć, znam życie. Wiem też, że kusilo pana, by przeliczyć zawartość koperty, jednak nie zrobił pan tego. Trochę mnie pan zaskoczył.

– Skoro pani mi zaufała, to ja też muszę pani ufać. Nie sądzę, by chciała mnie pani oszukać, wkładając tam pocięte gazety, a później domagać się zwrotu pieniędzy.

Zawadzka uśmiechnęła się do niego. Podobał mu się jej uśmiech.

– Dobrze. Tutaj ma pan kluczyki do samochodu oraz dokumenty. Bak jest pełny. Proszę tylko uważać, bo silnik ma sporą moc i może zaskoczyć. Gdyby niechący go pan zarysował, proszę się nie martwić. Mąż ma pół garażu środków do usuwania rys.

Grot wziął kluczyki i wstał z krzesła. Joanna także się podniosła, szykując się do pożegnania.

– Kiedy zacznie pan poszukiwania? Nie ukrywam, że zależy mi na czasie.

– Dziś przeczytam to, co pani przygotowała, ułożę plan działania. Wieczorem udam się pod kilka adresów. Praktycznie zacznę już dziś.

– Dobrze. Pan wie, co robi. Teraz muszę pana pożegnać. Niestety od czasu zaginięcia Marka cierpię na bóle głowy. Powinnam się położyć. Trafi pan do wyjścia?

– Oczywiście. Jakbym miał jakieś pytania, nie omieszkać się skontaktować.

Grot wyciągnął rękę na pożegnanie, a Zawadzka uścisnęła ją mocniej niż wcześniej.

– Mam nadzieję, że teraz uścisk nie wyszedł ciamajdowaty – powiedziała z uśmiechem.

Odwzajemnił gest i ruszył w stronę wyjścia.

* * *

Odgłosy za drzwiami przybierały na sile. Kruszewski słyszał, że w pobliżu kręci się kilka osób. Do jego uszu docierały stłumione rozmowy. Z obawą oczekiwał tego, co miało się wydarzyć. Podejrzewał, że za chwilę drzwi się otworzą i porywacze wejdą do środka.

Podciągnął nogi wyżej i się skulił. Jego serce zaczęło szybciej bić, pot pokrył mu czoło. Coraz bardziej się bał.

Na dźwięk przekręcanego w zamku klucza tętno jeszcze bardziej mu skoczyło. Pęcherz nie wytrzymał napięcia i po udzie mężczyzny spłynęła strużka ciepłego moczu. Zawstydzził się, ale wiedział, że ludzki organizm reaguje w różny sposób na zagrożenie.

Zanim zdążył odczuć dyskomfort, drzwi się otworzyły i do pomieszczenia wpadło dwóch zamaskowanych mężczyzn. Zaczęli okładać go pięściami i kopać po całym ciele. Kruszewski nie miał siły się bronić. Po prostu leżał i przyjmował ciosy. Jedyne, co mógł zrobić, to przeraźliwie krzyczeć.

Trwało to już kilkanaście sekund, gdy zza pleców napastników rozległ się głos:

– Wystarczy. Zapalcie światło i posadźcie go na czymś.

Silne ręce chwyciły Kruszewskiego i podniosły z podłogi. Został posadzony na taborecie. Nawet nie wiedział, skąd się tu wziął taboret. Gdy jego tyłek opadł na siedzisko, jeden z napastników gwałtownym ruchem chwycił go za włosy i odchylił mu głowę do tyłu, a drugą ręką zasłonił usta.

W tym momencie w pomieszczeniu zapaliło się światło i Marek zobaczył mężczyznę, który kazał przestać go bić. Już na pierwszy rzut oka było widać, że to jakiś zakapior, który z przemocy wobec ludzi zrobił sobie sposób na życie. Twarz kwadratowa, oczy wąskie, nos złamany przynajmniej kilka razy, odgięty nienaturalnie w bok. Cała postura świadczyła o niebagatelnej sile mężczyzny.

Ale było coś, co bardziej zmartwiło Kruszewskiego. Ten facet nie był tylko zwykłym bandytą, jakich można spotkać w każdym mieście. W jego oczach

płonęła inteligencja.

Mężczyzna podszedł bliżej i chwycił twarz Kruszewskiego w swoją ogromną dłoń.

– Słuchaj, chłopcze. Jak pewnie się domyślasz, wpadłeś w niezłe bagno.

Marek mrugnął na znak, że rozumie.

Mężczyzna kontynuował:

– Niestety wiesz coś, czego nie powinienesz wiedzieć. Teraz musisz podzielić się swoją wiedzą ze mną. Chcę, żebyś mi powiedział, czy z kimś rozmawiałeś na pewien temat. Poproszę kolegę, by cię puścił, i wtedy sobie porozmawiamy. Od razu cię uprzedzę, że nikt tu nie usłyszy twoich krzyków. Będziesz grzeczny?

Kruszewski znowu mrugnął. Wiedział, że nie ma innego wyjścia, jak współpracować z oprawcami. Przynajmniej na ten moment.

Mężczyzna się uśmiechnął, po czym dał znak pozostałym, aby wyszli z pomieszczenia.

Gdy zostali sami, wziął zza drzwi krzesło i postawił je na wprost Kruszewskiego. Kilka sekund milczał, aż w końcu powiedział:

– Cieszę się, że rozumiesz powagę sytuacji. Lubię rozmawiać z inteligentnymi ludźmi. Nie ma to jak konwersacja na poziomie.

– Czy to jest porwanie dla okupu? – zapytał Marek. – Moja rodzina zapłaci panu duże pieniądze...

Mężczyzna pochylił się i położył palec wskazujący na jego ustach.

– Rozczarowujesz mnie, chłopcze. A miało być inteligentnie. Gdybym był jakimś zbójem, może dałbym się skusić. Ale ja jestem biznesmenem, a nie zwykłym mięśniakiem. Płacą mi za załatwienie sprawy, nie mogę sobie pozwolić na utratę twarzy i reputacji. Gdybym dał się przekupić pieniędzmi za twoje uwolnienie, straciłbym renomę.

– To o co chodzi? – Kruszewski zmrużył oczy.

– Jakiś czas temu zainteresowałeś się pewnym tematem. Nagrał ci go twój dawny kumpel. Mnie i moich zleceniodawców interesuje kilka rzeczy. Po pierwsze, chcemy mieć wszystkie dokumenty, którymi dysponujesz w związku z tą sprawą. Wszystko, co przekazał ci Szymczak. Każdą kartkę papieru, każdy świstek, każdą notatkę. Jeżeli już zacząłeś pisać, chcemy wiedzieć, gdzie jest artykuł. Czy na jakimś komputerze, na jakimś dysku, czy na pendrivie? Chcemy też wiedzieć, czy komuś mówiłeś, o czym ten artykuł będzie. Jak wszystko pójdzie sprawnie i odzyskamy kwity, puścimy cię wolno. Pasuje taki układ?

– Wie pan, ja muszę sobie przypomnieć... – zaczął dziennikarz.

– Chłopcze, na jakim ty świecie żyjesz? Zdajesz sobie sprawę, że nie zgarnęliśmy cię po to, żeby pograć w szachy, w scrabble lub poimprezować? Jak mi nie pomożesz, to ja nie pomogę tobie. Jak dostanę wszystko, czego chcę, to cię wypuszczę. Jak nie dostanę, będę musiał zrobić ci krzywdę. To naprawdę jest prosty wybór.

– Dobrze, zgadzam się. – Marek zdawał sobie sprawę, że opór nie ma sensu.

– A więc do rzeczy. Gdzie są kwity?

– W moim samochodzie, w bagażniku. Stoi na parkingu. W aucie jest miejsce na koło zapasowe. Tam wszystko schowałem.

– Mądry chłopak. Chociaż skrytka w mojej ocenie głupia – skwitował bandyta. – Co byś zrobił, jakby ukradli ci furę?

– To było tymczasowe miejsce. Wynająłem skrytkę pocztową i tam miałem wszystko przenieść. Nie zdążyłem, bo mnie zgarnęliście.

– Widzisz, jak to czasem człowiek ma szczęście? Gdybyśmy zwinęli cię później, mielibyśmy trudniej. A wyobraź sobie, że któremuś z chłopaków puściłyby nerwy i byś zszedł, zanim powiedziałbyś, która to skrytka. Jednak jesteś w czepku urodzony. Dobra, artykuł napisałeś?

Kruszewski pokręcił głową.

– Nie. Zamierzałem dopiero się do tego zabierać. Chciałem posprawdzać tropy, wy badać, czy to wszystko prawda... – Uciekł wzrokiem lekko w bok. Obawiał się, że jego oprawca zauważy bluff.

Tak naprawdę artykuł był już napisany. Ukrył go w domu swojej siostry, gdy ostatnio wpadł do niej na chwilę. Chciał z nią pogadać, ale jej nie zastał. Porozmawiał przez kilka minut z panią Stasią, po czym pendrive z praktycznie gotowym tekstem i skanami wszystkich dokumentów ukrył w stojącym przed domem opłu.

– Wiesz, co jest smutne? – zapytał bandzior, patrząc na niego przenikliwie. –

Chciałbym ci wierzyć, ale jakoś tak nie umiem. Czuję, że nie mówisz mi prawdy.

– Mówię całą prawdę. Jak Boga kocham...

– Wiesz, czemu uważam inaczej? Po pierwsze, uciekłeś wzrokiem w bok, gdy to mówiłeś. To kazało mi się zastanowić. Pomyślałem, że nie chciałeś, bym widział, że kłamiesz. Po drugie, mam szósty zmysł. Łatwo rozpoznaję, gdy ktoś chce mnie zrobić w konia. Ale dobrze, załóżmy, że ci wierzę. Czy z kimś o tym artykule rozmawiałeś?

– Z nikim. Miałem dopiero zacząć rozmawiać ze świadkami i osobami mającymi jakąś wiedzę w temacie. Jestem na samym początku pracy.

– Mylisz się. Jesteś na końcu. Żadnej pracy nie ma i nie będzie. Wiesz, jakiego bałaganu narobiłbyś tą publikacją? Wiesz, ile osób miałyby problemy?

– Nie ja wplątałem te osoby w tę aferę – zaproponował Kruszewski. – Ja tylko się staram, żeby prawda wyszła na jaw. Coś złego się dzieje w mieście i opinia publiczna powinna się o tym dowiedzieć.

– A komu to potrzebne? – Mężczyzna uniósł brwi. – Myślisz, że przeciętnego zjadacza chleba obchodzi, że prokurator Żelichnowski za pieniądze potrafi umorzyć każde dochodzenie? Myślisz, że szarego Kowalskiego interesuje, że prezydent Wrocławia jest w układzie z kilkoma politykami z opozycji i razem kręcą lody? Myślisz, że coś się zmieni, jak ujawnisz, że naczelnik izby skarbowej pod stołem bierze miliony za załatwienie kontroli u niewygodnego przedsiębiorcy? Chłopie, świat jest tak skonstruowany, że ludzie się znają i załatwiają przy szklance whisky najlepsze biznesy.

– Uczciwość wymaga...

– Uczciwość? Bądź sobie uczciwy, twój wybór, twoja sprawa. Zobacz tylko, gdzie cię to zaprowadziło. Gdybyś nie był uczciwy, dostałbyś kilka lub kilkanaście tysięcy za odpuszczenie sobie tematu. Problem jest tylko taki, że ty masz kasę, więc siano nie wchodzi w grę. Pozostało cię nastraszyć lub zabić. Osobiście wolałbym nastraszyć...

– Już jestem wystarczająco nastraszony – powiedział Kruszewski

– Wierzę. – Mężczyzna wstał z krzesła i zaczął chodzić po pomieszczeniu.

– Mogę nie pisać tego artykułu – odezwał się po chwili Marek. – Zresztą jak zabierzecie mi dokumenty, i tak nie dam rady z pamięci odtworzyć tego wszystkiego. Poza tym bez nich nie będę wiarygodny.

Bandyta stanął za plecami Kruszewskiego i położył swoją wielką dłoń na jego ramieniu.

– Wiesz, nawet cię polubiłem – powiedział. – Lubię pracować nad takimi jak ty. Współpracujesz jak się patrzy. Czasem jednak zakończenie mnie smuci i tak jest niestety tym razem.

Słyszając te słowa, dziennikarz powoli zaczął odwracać głowę w jego stronę. Gdy widział już twarz porywacza, skierował wzrok lekko w dół. Bez trudu rozpoznał przedmiot w drugiej ręce mężczyzny.

Na jakąkolwiek reakcję było już za późno.

Sekundę później padł strzał.

* * *

Spotkanie grupy mężczyzn początkowo przebiegało w złej atmosferze. Nikt się nie uśmiechał, każdy zachowywał się nerwowo.

Dopiero telefon, który odebrał Mariusz Banasiewicz z firmy Profi-Bud, przyniósł rozluźnienie. Mężczyzna w krótkich słowach powiedział:

– Panowie, problem jest prawie rozwiązany. Nasi ludzie wiedzą, gdzie są dokumenty. Zaraz po nie jadą.

– Co z dziennikarzem? – zapytał Stanisław Malinowski, wiceprzewodniczący Rady Miejskiej Wrocławia.

– A kogo to obchodzi? Grunt, że wszystko zostaje po staremu – odpowiedział Grzegorz Szczot, jeden z liderów partii politycznej Odbudowa Patriotyczna. – Wiecie, co by było, gdyby to wyszło na jaw? Premier by mi tego nie darował.

Tajemnicą poliszynela było, że Szczot popadł w niełaskę byłego premiera Kazimierza Starczewskiego po tym, jak dziennikarze ujawnili nagrania dokumentujące, jak wicepremier załatwiał intratną posadę swojemu kuzynowi. Krewny Szczota miał mieć dobrze płatne stanowisko we władzach Orlenu. Gdyby nie to nagranie, Szczot nadal byłby jednym z najważniejszych polityków w kraju. Problemem nie był nepotyzm, tylko to, że dał się nagrać.

Co prawda Odbudowa Patriotyczna ostatnie wybory przegrała, ale w planach mieli odzyskanie władzy. Społeczeństwo i wyborcy do tego czasu powinni zapomnieć o błędach i wypaczeniach, które były udziałem polityków. Były premier uważał, że Szczot nie powinien zbyt często pojawiać się w mediach do czasu wyborów. Im mniej pozostawał widoczny, tym lepiej dla całej partii.

– Dziennikarz obiecał, że będzie milczał. – Banasiewicz się uśmiechnął.

Cała grupa wybuchnęła śmiechem. Pierwszy skończył się śmiać Malinowski.

– Słuchajcie, nie chcemy problemów, więc trzeba na jakiś czas przyhamować – powiedział.

– Kolego, źle ci z nami? Gdyby nie my, to ile teraz miałbyś na koncie? Kto ci załatwił umorzenie VAT-u? – spytał Banasiewicz. – Kto pomógł ci dostać się do rady miejskiej?

– Nie o to chodzi. Trzeba po prostu uważać. Nie wiadomo, co jeszcze wyciekło – stwierdził radny.

– Każdy z nas ma coś za uszami. Ja otrzymuję lukratywne zlecenia prawie bez przetargu. Grzesiek ma taki majątek na kontach w Szwajcarii i Izraelu, że

mógłby śmiało konkurować z Kulczykiem. Kilku kumpli też jakoś żyje, korzystając z tej pasieki. Nie możemy teraz przestać. Za daleko to zaszło.

– Racja. To, że mam kasę, nie znaczy, że nie chcę więcej. Marzy mi się fotel prezydenta, ale nie miasta, tylko całego kraju – rozmarzył się Szczot.

– Panowie, jak będziemy mieli dokumenty, które ten Szymczak przekazał dziennikarzowi, to nic nie wyjdzie na jaw – stwierdził Banasiewicz

– Właśnie, co z tym Szymczakiem? – spytał Szczot.

– Ten problem jest już prawie rozwiązany. Facet trafi do zakładu zamkniętego i zostanie tam bardzo długo. Żelichnowski obiecał, że to załatwi. Zresztą to już nie ma znaczenia. – Banasiewicz ponownie się uśmiechnął. –

Teraz, panowie, wznieśmy toast. Proponuję wypić za największe w historii świata odszkodowanie za utracone mienie.

Cała grupa wzniosła szklanki z whisky. Każdy się zastanawiał, ile mu wpadnie do kieszeni. Do podziału było kilkanaście milionów euro i w tej chwili każdy z mężczyzn mógł się uważać za milionera.

* * *

Po wyjściu z domu Zawadzkiej Grot wsiadł do opla i odpalił silnik.

Nie jeździł ostatnio zbyt często, więc wycofywał z posesji ostrożnie. Dopiero gdy włączył się do ruchu, bardziej zdecydowanie wcisnął pedał gazu. Moc samochodu go zaskoczyła. Przyspieszenie także było niezłe. Kilka razy aż wcisnęło go w fotel.

Jazda sprawiała mu przyjemność. Zmieniał pasy na drodze jak kierowca rajdowy. Czuł się za kółkiem zaskakująco dobrze.

Po drodze do domu zahaczył jeszcze o sklep papierniczy. Kupił dwie tablice korkowe, pinezki, kredę i dodatkową tablicę, taką, jakie kiedyś były w szkole, tylko w mniejszym rozmiarze. Wszystko dokładnie już sobie zaplanował i wiedział, że te rzeczy przydadzą się w trakcie śledztwa.

Po wejściu do domu ustawił tablicę przy ścianie, a obok powiesił dwie korkowe. Umieścił na nich karteczki z adresami podanymi przez Joannę Zawadzką. Gdy jakiś adres będzie już sprawdzony i nie będzie prowadził do niczego konkretnego, po prostu go ściągnie.

Na samej górze szkolnej tablicy dużymi literami napisał cel: „Odnalezienie brata Joanny Zawadzkiej”. Pod spodem wypisał te same adresy co na tablicy korkowej. Połączył je strzałkami skierowanymi w kierunku celu.

Szybko zaparzył sobie kawę i przegryzł bułkę z serem i wędliną, której nie dojadł rano. Brał kolejne kęsy, wpatrując się w tablicę. Zastanawiał się, od czego zacząć. Postanowił, że w pierwszej kolejności sprawdzi, czy Marek Kruszewski w dniu zaginięcia był w ogóle w pracy. Zawadzka co prawda powiedziała, że po spotkaniu miał tam pojechać, ale czy dojechał? Grot musiał to zweryfikować. Trzeba też było ustalić, dokąd zaginiony zamierzał się udać po wyjściu z redakcji.

Dokończył bułkę i dopił kawę. Kopertę z pieniędzmi od klientki schował do szuflady biurka. Na wydatki wyjął tysiąc złotych – tyle powinno wystarczyć w razie nieprzewidzianych okoliczności. Karty do bankomatów trafiły do szuflady obok koperty.

Następnie poszedł do łazienki i opłukał twarz wodą. Opuchlizna trochę zmaląła, nie było widać, że ostatnio przesadzał z alkoholem. Dopiero teraz sobie uświadomił, że odkąd zaczął działania, całkowicie zapomniał o głodzie alkoholowym. Widocznie jeszcze nie zbliżył się do tego momentu, gdzie organizm będzie się domagał choćby kropli trunku. Jak na razie było dobrze, dawał radę.

A co będzie później, czas pokaże.

* * *

Wiktor stał z boku i obserwował całe towarzystwo. Dziś w urzędzie była niewielka impreza. Na emeryturę odchodziła pani Jadwiga, główna specjalistka z działu zamówień.

Przygotowała dla współpracowników skromny poczęstunek. Były ciasto i kawa. Wszyscy zgromadzili się w pobliżu stołu i głośno rozmawiali. Gratulowali jej przejścia na zasłużony odpoczynek i dopytywali o plany na dalsze życie. Atmosfera była wesoła i całkiem przyjemna.

Wiktor słabo znał panią Jadwigę, tylko raz miał okazję z nią rozmawiać, jednak zaproszeni byli wszyscy, więc i on uczestniczył w jej pożegnalnej imprezie. Wolałby co prawda pojechać do domu i odpocząć, ale zdawał sobie sprawę, że dopóki pracuje w urzędzie, musi choćby stwarzać pozory.

Wziął łyk kawy i odstawił kubek na niewielki stolik, gdy zobaczył, że w jego stronę idzie jakiś facet. Nie znał go, ale też nie kojarzył tu jeszcze wszystkich pracowników.

Mężczyzna zatrzymał się przy Szymczaku i zagaił:

– Cześć. Ty jesteś ten nowy, ten yyy... Wiktor, tak?

– Tak, Wiktor.

– Nie poznaliśmy się jeszcze. Pracuję w administracyjnym. Jak ci się podoba robota w urzędzie?

– Może być, podoba mi się. Czuję, że robię coś ważnego.

– Każdy z nas robi. Czekać, naleję sobie coli. Chcesz też? – zapytał mężczyzna, który wciąż jeszcze się nie przedstawił.

– Chętnie...

Facet zniknął, by dosłownie po kilkunastu sekundach wrócił z dwiema szklankami.

– Ale nie ma w tym alkoholu? – upewnił się Wiktor. – Nie chciałbym podpaść.

– Spokojnie. W tym nie ma, ale jak będziesz chciał wyskoczyć czasem na piwko, to nie ma sprawy – zaproponował mężczyzna. – Mamy tu zgraną paczkę i czasem lecimy na miasto.

Wiktor uśmiechnął się i wziął łyk ze szklanki. Rzeczywiście czysta cola.

Przez kilka minut pogadał z facetem, który w końcu przedstawił mu się jako Krzysztof Walicki. Szymczak starał się słuchać, co ten do niego mówi, ale nie mógł się zbyt skupić. Czuł dziwne parcie na pęcherz.

Postanowił udać się do toalety.

* * *

Grot wyszedł z domu i skierował się do zaparkowanego auta.

Już z daleka widział, że samochód zainteresował kilka osób. Taka fura rzadko parkowała w tej okolicy. Gromada dzieciaków co chwila zaglądała przez szybę do środka. Miejscowa żulernia też kręciła się już w pobliżu opla.

Gdy podszedł do auta i pilotem otworzył centralny zamek, wyrósł przy nim jeden ze znanych mu meneli.

– Cześć, ziomek. Widzę, że w totka wygrałeś. Nowy samochód kupiłeś, teraz pewnie będziesz olewał starych kumpli, co?

Grot nie chciał robić sensacji, zwłaszcza że nikt z sąsiadów nie miał pojęcia, czym się wcześniej zajmował. Żaden z lokalnych pijusów nie wiedział, że kiedyś był gliniarzem. Uważał, że nie musi się nikomu tłumaczyć ze swojej przyszłości, tak samo jak nie musiał mówić, czym się aktualnie zajmuje. Nie chciał jednak robić sobie wrogów, dlatego postanowił wymyślić coś na poczekaniu.

– Nie, żadne takie. Robotę mi pośredniak załatwił. Taka fucha. Przez jakiś czas mam jeździć samochodem, a potem wypełnić jakieś papiery. Pisać, jak mi się jeździło, czy wygodne, czy szybkie. Takie tam testy konsumenckie. Jak się sprawdzę, to dadzą mi za to tysiąka i będę co jakiś czas testować inny samochód.

– Fajnie. Ale jak słyszę „robota”, to aż mnie w środku telepie – stwierdził żulik. – Jakakolwiek by nie była, już wolę na zasiłku siedzieć. No i MOPS jeszcze daje. A jak poszedłbym do roboty, to przestałby dawać.

– Wiesz, żyć jakoś trzeba. Mnie MOPS nie daje, więc muszę coś złapać, żeby mieć na naftę.

– Właśnie, kopsnij, sąsiad, kilka złotych. Wiesz, na winko zbieramy i akurat trochę brakuje...

– A ile już macie?

– No właśnie nic, królu złoty. Od czegoś jednak trza zacząć, nie? Daj z piąta starym kumplom.

Grot sięgnął do kieszeni, zabrzączało kilka monet. Gdy wyjął rękę, w zagłębieniu znajdowały się trzy złote.

– Mam tylko trzy złote – odparł. – Nie dam ich wam, bo sam nie będę miał. A też może napiłbym się piwka po robocie. Dobra, muszę lecieć.

Menel patrzył zaskoczony to na twarz Grota, to na jego rękę, w której znajdowały się pieniądze. Nie mógł uwierzyć, że nie dostał upragnionych drobnych. Już miał zamiar coś powiedzieć, ale machnął ręką i odszedł.

Grot wsiadł do opla i odpalił silnik. Przez moment z przyjemnością słuchał, jak mrczy. Potem spojrzął w lusterko wsteczne i powiedział do siebie:

– Koniec frajerowania się, ziomek.

Wrzucił bieg i ruszył.

* * *

Artur patrzył na siedzącego naprzeciwko mężczyznę.

Facet był podejrzany o dokonanie zabójstwa. Siedział na krześle i nerwowo obgryzał paznokcie pomimo założonych na nadgarstki kajdanek. Widać było, że jest zestresowany.

Pasewicz był dumny z wykonanej przez wydział pracy. Na łańcuszku znalezionym w pobliżu rzeki wyraźnie odbił się ślad dwóch palców. Poszukiwania w bazie od razu pozwoliły wskazać potencjalnego sprawcę. Gdyby nie fakt, że Sławomir Mochaj był notowany, sprawa nie miałaby takiego finału. Na pewno nie w tak ekspresowym tempie. Mężczyzna był już

zatrzymywany za obnażanie się w miejscach publicznych, a raz trafił na dołek po tym, jak pokazywał nieletniemu zdjęcia pornograficzne.

W pobliżu miejsca, gdzie wyłowiono kobietę, oprócz łańcuszka ujawniono także rozbite elementy samochodu. Technicy szybko ustalili, że są to fragmenty należące do prawie dwudziestoletniego volkswagena golfa. Już pierwsza obserwacja pozwoliła ustalić, że podejrzany mężczyzna jeździ akurat takim samochodem. Co więcej, udało się stwierdzić, że pojazd ma widoczne ślady po niedawnej naprawie.

Artur na zatrzymanie podejrzanego pojechał z aspirantem Wojciechem Grodzkim. Do pomocy wzięli jeszcze czterech mundurowych. Mężczyzna nie stawiał oporu. Przywieźli go do komendy i od razu wrzucili do pomieszczenia, gdzie miał zostać przesłuchany. Teraz Artur miał się tym zająć.

Do pokoju wszedł naczelnik Ratajczyk. Od progu popatrzył na siedzącego na krześle Mochaja.

– A ten to kto? – spytał, wskazując na zatrzymanego.

– Podejrzany o nielegalny ubój – odparł Pasewicz. – Jego paluchy wyszły z systemu.

– W sprawie tej wyłowionej z Odry?

– Tak.

– No to możesz iść z nim na ostro. Jakby co, masz dupochron – powiedział naczelnik, wycofując się z pokoju.

Artur uśmiechnął się do niego. Facet był naczelnikiem od roku, ale dał się poznać jako konkretny gliniarz – całkowite przeciwieństwo swojego poprzednika. Godlewski był nazywany przez członków wydziału mameją. Taki był i takim go zapamiętają. Rok temu dostał awans na komendanta komendy powiatowej w Polkowicach i tam teraz szefował. Na jego miejsce przyszedł komisarz Szymon Ratajczyk i był to prawie najlepszy wybór. Prawie, bo Artur wolałby, żeby naczelnikiem był Radek Grot. Ten jednak odszedł ze służby i teraz był wrakiem człowieka.

Pasewicz często myślał o dawnym kumplu. Po śmierci żony i dziecka Grot przez rok jeszcze jakoś się trzymał. Ale potem się załamał. Zaczął pić, pojawiła się depresja. Żal po stracie najbliższych spowodował, że stoczył się na samo dno. Gubił poczucie rzeczywistości, nie wiedział, co jest prawdą, a co pijackim zwidem.

Artur tak jak reszta wspierał dawnego kolegę z wydziału, ale po którymś z kolei razie, gdy ten odrzucił pomocną dłoń, dał za wygraną. Tomala, partner

Grota, walczył dłużej. Jednak on też w pewnym momencie odpuścił. Przeszedł na emeryturę i zerwał kontakty z dawnymi kumplami. Stał się samotnikiem.

Artur ostatni raz widział Grota dwa miesiące temu. W nocy jechał przez Leśnicę i zobaczył leżącego w kałuży menela. Zatrzymał się i postanowił mu pomóc, żeby żuł się nie utopił. Gdy jednak odwrócił go na plecy, o mało sam nie upadł. Przed sobą miał dawnego komisarza. Radosław Grot był tak napruty, że nawet nie zdawał sobie sprawy, gdzie się znajduje. Wyglądał żałośnie. Zarzygane ciuchy, zaszczane spodnie, alkoholowy oddech i brudne włosy posklejane od błota. Pomimo obrzydzenia Artur wpakował byłego glinę do swojego samochodu i odwiózł do nory, w której aktualnie mieszkał Grot. Miał sporo trudności z wprowadzeniem bezwładnego kumpla po schodach. W mieszkaniu rzucił go na łóżko i wyszedł.

To wspomnienie spowodowało, że wezbrała w nim złość. Spojrzał na obgryzającego paznokcie Mochaja. Facet był na bakier z higieną. Paznokcie miał brudne i krzywo poobgryzane.

Niewiele myśląc, Pasewicz zerwał się z krzesła i trzasnął zatrzymanego z otwartej dłoni.

– Za co?! – krzyknął podejrzany.

– Zamknij się! Ja tu jestem od zadawania pytań! – warknął policjant.

– Nie wolno bić. Znam przepisy.

– Słuchaj, gnojku, jesteś podejrzany o dokonanie zabójstwa, więc nie pierdol mi o przepisach! Poza tym konkretnie który, kurwa, przepis zabrania mi ci przypierdolić, co? Dajesz, mecenasie!

Nie czekając na odpowiedź, ponownie zdzielił Mochaja na odlew.

– Ale...

– Nie ma, kurwa, „ale”! Mam poprawić czy się zamkniesz i będziesz odpowiadać na moje pytania?

– Proszę nie bić... – Mochaj spuścił z tonu. Po jego policzku spłynęła łza. Miejsce po uderzeniu powoli robiło się czerwone.

– Powiem ci, jak chujowo wygląda twoja sytuacja. Jesteś podejrzany o dokonanie zabójstwa Barbary Cegielskiej. Kojarzysz osobę? – zapytał Pasewicz.

– Nie wiem, o co chodzi...

Artur już chciał kolejny raz zdzielić podejrzanego, ale się rozmyślił.

– To ja ci wytłumaczę. Znalazłem zwłoki kobiety. Zabezpieczone ślady wykazały, że byłeś w miejscu zdarzenia. Mam twoje odciski na zgubionym przez ofiarę łańcuszku. Twój złom wjechał w kamień znajdujący się w pobliżu.

W środku rzęcha odkryto ślady świadczące o tym, że denatka tam była. U ciebie w domu znaleźliśmy jej majtki i stanik. Uważasz, że to mało?

– Odmawiam zeznań – powiedział Mochaj.

– Możesz sobie odmawiać. Chuj mnie to obchodzi. Powiem ci jedno: dziewczyna przed śmiercią została zgwałcona, a w jej pochwie znaleziono nasienie. Założę się o twoje dożywocie, że to twoja sperma. Jak chcesz jeszcze kiedykolwiek zobaczyć błękitne niebo, gadaj, dlaczego ją zabiłeś!

– Nie możecie mnie wsadzić, bo jestem niepoczytalny – wypalił podejrzany.

– Ja ci, kurwa, dam niepoczytalny! – Artur zerwał się z krzesła.

Mochaj skulił się i zasłonił głowę. Pasewicz jednak odpuścił. Usiadł z powrotem i podjął:

– Powiem ci, jak to działa. Zanim sąd skieruje cię na badania, trafisz do aresztu. Mam tam kilku znajomych klawiszy. Puszczę gryps, że siedzisz za zabójstwo. Więźniowie się dowiedzą, że zabiłeś Basię. Zwróc uwagę na zdrobnienie. Basia, nie Barbara. Myślisz, że ktoś będzie wnikać, ile Basia miała lat? Oczywiście nikt nie będzie prostował informacji. Byłeś notowany za pokazywanie pisióra? Jak myślisz, doczekasz tych badań, gdy recydywa się dowie, że obnażałeś się przed dziećmi?

– Tak nie można! – zaprotestował Mochaj.

– A mordować, kurwa, można? Ogarnij się w końcu! Dlaczego ją zabiłeś?

Zatrzymany milczał.

– Jak będziesz współpracować, masz szansę na łagodny wyrok i nie zajebią cię w pierdłu. Gadaj, skurwysynu!

Mężczyzna wyraźnie się wahał. Patrzył na swoje poobgryzane paznokcie. Po chwili zaczął:

– Nie chciałem zabić. Chciałem się z nią pier... znaczy chciałem seksu.

– Odmówiła?

– Tak. A potem zaczęła się ze mnie śmiać. Mówiła, że głupi jestem, jeśli myślę, że będzie się ze mną pier... znaczy kochać. Powiedziała, że mogę sobie co najwyżej konia zwalić na jej wspomnienie. Zaczęła gadać, że brudas jestem i wolałaby się kochać z wieprzem niż ze mną.

– Gdzie ją poznałeś?

– Na portalu randkowym. Mam tam profil. Trochę z nią pisałem, no... trochę jej nakłamałem.

– Spotkaliście się i co?

– Pogadaliśmy z godzinę. A potem ona powiedziała, że musi już jechać do domu. Zapropnowałem, że mogę ją odwiedzić. Nie protestowała. Po drodze

zatrzymałem się na poboczu i zaproponowałem seks.

– Odmówiła i co potem?

– Śmiała się.

– Śmiała się i co dalej?

– Wkurzyła mnie tym, że się naśmiewa. Nie wytrzymałem i walnąłem ją paralizatorem.

– Skąd miałeś paralizator? – Artur uniósł brew.

– Kupiłem w sklepie, był bez zezwolenia. Potem, jak już ją walnąłem tym prądem, to pojechałem w kierunku Rędzina. Tam wjechałem do lasu i się z nią kochałem. Jak skończyłem, to płakała, a później zaczęła mi grozić, że pójdzie na policję.

– I wtedy?

– Walnąłem ją kamieniem. Trafiłem prosto w oko. Padła na ziemię. Dotknąłem ręki i nie było pulsu. Wtedy postanowiłem ją wyrzucić do rzeki.

– Rozumiem. Zabrałeś jej ciuchy, a ciało wrzuciłeś do Odry, tak?

Mochaj skinął głową.

Artur zapisał to w protokole.

– Powiem ci coś. Gdy wrzucałeś dziewczynę do rzeki, ona jeszcze żyła. Jej stan był ciężki, ale miała szansę przeżyć. Cóż, odpowiadałbyś za gwałt, pobicie i ciężki uszczerbek na zdrowiu. A tak odpowiesz za zabójstwo.

– Ale ja niechący... – Mochajowi zadrżał głos. – Gdyby się nie śmiała, to nic by się nie wydarzyło. Co jej szkodziło mi dać?

Pasewicz pokręcił głową.

– Zostawię to bez komentarza. Dasz mi to teraz na papier i lecis do lochu.

– Ale tak jak pan obiecał, nie powie pan klawiszom, no, wie pan...

– Podpiszesz protokół i tyle mojej działki. Nikomu nic nie powiem.

Mochaj uśmiechnął się, wystawiając poźółkłe zęby.

Artur zastanawiał się, czy jutro rano podejrzany będzie miał je wszystkie na swoim miejscu. Wszak nie obiecywał niczego, a nawet miał zamiar pogadać ze znajomym klawiszem o dawnych czasach.

Może warto spotkać się z nim na piwku?, pomyślał.

Dojazd w okolice rynku zajął Grotowi dużo więcej czasu, niż się spodziewał. Trasa nie była długa, ale tworzące się korki pomiędzy Leśnicą a stadionem miejskim na Lotniczej wydłużyły ją do granic cierpliwości.

Cały czas się zastanawiał, co jest przyczyną takiego stanu rzeczy. Prosta droga, praktycznie bez żadnych świateł na tej trasie. Fakt, był to wąski odcinek

i jedyna wjazdówka w kierunku Lubina, ale żeby aż takie korki? Przecież można jechać w miarę wolnym tempem, a tutaj przejeżdża się kilka metrów, a potem stoi parę minut. Zastanawiające było to, że władze miasta nic z tym nie robiły.

Gdy w końcu dojechał w pobliże pracy Marka Kruszewskiego, dość długo szukał miejsca do zaparkowania. Wiedział, że brat klientki zwykle parkował na parkingu podziemnym. Musiał sprawdzić, czy jego auto dalej tam stoi.

Spokojnym, ale pewnym krokiem wszedł na parking. Przez chwilę się zastanawiał, w którą stronę się udać. Z kieszeni wyjął karteczkę z zapisanym numerem rejestracyjnym samochodu zaginionego. Zawadzka powiedziała, że to trzynastoletni granatowy volkswagen passat. Stare auto niepasujące do milionera, ale pasujące do dziennikarza.

Poszukiwania zajęły mu tylko moment. Już z daleka dostrzegł stojącego na końcu parkingu volkswagena. Jak dotąd wszystko przebiegało sprawnie. I tylko jedna rzecz trochę go zmartwiła. Auto było otwarte, a obok stało dwóch osiłków. Typowe dresy, z bicepsami większymi niż mózgi. Takie, co to wolą łać po pysku, niż rozmawiać.

Powoli ruszył w ich kierunku. Trochę się bał, ale wiedział, że nawet pomimo braku formy potrafi się obronić. Gdy znajdował się jakieś osiem metrów od nich, zauważyli go. Jeden z mięśniaków bez słowa podbiegł w jego stronę i zamachnął się szeroko jak cepem. Gdyby Grot się nie uchylił, pewnie cios zdmuchnąłby jego głowę jak świeczkę.

Cofnął się i kolejny strzał minął jego głowę dosłownie o centymetry. Nie czekając, aż napastnik ponowi atak, walnął go pięścią w prawy bok, pod żebra. Włożył w to całą siłę, jaką potrafił z siebie wykrzesać. Facet jęknął, ale nadal stał. Grot wiedział, że nie może teraz się zawahać. Następny cios wyprowadził w miejsce, gdzie szczęka łączy się z czaszką. Trafił w zawias. Facet padł jak długi na betonową posadzkę.

Grot szybko odwrócił się w stronę drugiego mięśniaka. Dresiarz cały czas stał przy samochodzie i pakował jakieś papiery do reklamówki. Detektyw był pewien, że to dokumenty związane z artykułem, który pisał zaginiony.

Nagle facet rzucił reklamówkę i zaczął podnosić pięści. Po chwili rozpędził się jak wściekły byk. W ostatnim momencie Grot zrobił krok w lewo i walnął mięśniaka w twarz. Trafiony tuż pod nos dresiarz zrobił fikołka w powietrzu. Sekundę później runął na podłogę.

Grot także oberwał. Czuł ból w okolicy oka. Wiedział, że za kilka minut zacznie się pod nim rozlewać limo.

Spojrzał na leżących na ziemi dresiarzy. Upewniwszy się, że już mu nie zagrażają, ruszył w kierunku leżącej przy bagażniku reklamówki, do której mięśniak kilka minut wcześniej wkładał papiery. Zajrzał do torby i wyjął z niej pierwszą z brzegu kartkę. Spojrzał na nią i od razu wiedział, że ma w dłoni fakturę. Wystawił ją jakiś PR Max, a płatnikiem był urząd wojewódzki. Największe wrażenie jednak robiła kwota – milion dwieście tysięcy złotych za doradztwo w zakresie poprawy wizerunku.

– Kurwa, kupa kasy za jakieś pierdolety... – mruknął pod nosem.

Sięgał po kolejny dokument, gdy poczuł czyjąś obecność za plecami. Zanim zdążył zareagować, dostał silne uderzenie w głowę. W oczach mu pociemniało.

Równocześnie z nim na ziemię upadł klucz do kół, którym oberwał.

Pierwsze tropy

Spojrzał na swoje oko. Opuchlizna była coraz bardziej widoczna. Głowa w miejscu uderzenia pulsowała bólem.

Był na siebie zły, że dał się zaskoczyć temu gościowi z kluczem do kół. Skupił się na papierach, a nie zadbał o tyły. Nie usłyszał, że zachodzi go ten trzeci. Szybki cios w głowę i odleciał w niebyt.

Wczorajsze wydarzenia upewniły go, że zaginięcie Kruszewskiego jest związane z artykułem, który ten zamierzał napisać. Musiał postawić sobie najważniejsze pytanie. Komu zależy na tym, aby tekst się nie ukazał?

Wszystko powoli zaczęło się układać w logiczną całość. Kruszewski dotarł do jakiejś istotnej informacji. Zainteresował się tematem, a potem komuś się pochwalił, o czym będzie pisał. Ten ktoś skontaktował się z bohaterami artykułu i ci postanowili zapobiec wydaniu tekstu.

Już od początku bardziej przemawiała do Grota wersja, że dziennikarz został porwany, a nie zaginął. Ktoś go uprowadził i nie zażądał okupu od rodziny. Oznaczało to, że ma inne cele niż wzbogacenie się na porwaniu.

Doświadczenie podpowiadało Grotowi, że chłopak prawdopodobnie jest już martwy. Była jeszcze szansa, że zdąży go znaleźć, zanim porywacze go zlikwidują, ale z każdą minutą malała...

Zrobił sobie kawę i wbił wzrok w stojącą na wprost stołu tablicę. Pierwszy trop okazał się strzałem w dziesiątkę. Był na miejscu punktualnie, ale dał się zaskoczyć. Pomacał miejsce na głowie, gdzie trafił go klucz. Ból przypomniał mu o wczorajszej wpadce. Nie chciał jednak jej rozpamiętywać.

Odpalił papierosa i zaczął się zastanawiać, co dalej. Postanowił wczuć się w rolę Kruszewskiego. Gdyby był na miejscu dziennikarza, to na pewno zrobiłby kopię tych materiałów. Im więcej duplikatów, tym lepiej. Pytanie tylko, gdzie by je schował. W redakcji raczej by tego nie zrobił. Tam każdy mógłby je znaleźć i zabrać. Schowanie ich w samochodzie okazało się

nieskuteczne – napastnicy z łatwością je zlokalizowali. Pozostały tylko rozwiązania bardziej kreatywne.

Mógł zawieźć je do swojej byłej dziewczyny i poprosić o przechowanie. Ten scenariusz był wysoce prawdopodobny, bo jak powiedziała Zawadzka, Kruszewski rozstał się z partnerką w zgodzie. Mógł też schować je w jakiejś skrytce pocztowej lub depozycie w banku. Gdyby Grot nadal pracował w policji, z łatwością uzyskałby informację, czy jakaś skrytka jest wynajęta na nazwisko zaginionego. Cóż, będzie musiał odnowić kontakty z kumplami z dawnej pracy. Liczył, że pomogą mu w śledztwie. Zrobią to po znajomości i ze względu na stare czasy lub za pieniądze, które może im zaproponować. Chociaż bardziej liczył na to pierwsze. Jak jeszcze był gliną, nikt w ich wydziale się nie skundlił. Podejrzewał, że w tej kwestii nic się nie zmieniło.

Palił papierosa i popijał kawę, co jakiś czas dotykając opuchlizny przy oku.

Po chwili zobaczył na tablicy coś, na co wcześniej nie zwrócił uwagi.

– Kurwa mać! – zaklął. – Że też wcześniej o tym nie pomyślałem...

Dopiero teraz przypomniał sobie, co powiedziała mu Zawadzka – że spotkała się z bratem w dniu jego zaginięcia. Jeśli Kruszewski czuł się zagrożony, mógł zeskanować wszystkie papiery i zgrać pliki na jakąś dyskietkę lub pendrive'a. Te zaś mógł schować... w domu siostry!

Wiedział, że będzie musiał przeszukać willę Zawadzkiej. Trochę go to zmartwiło, bo dom był wielki i roboty na cały dzień.

Grot zagasił papierosa i uśmiechnął się do siebie. Czuł, że znowu staje się rasowym psem gończym.

* * *

Szymczak obudził się z kolosalnym kacem i bólem głowy.

Nie pamiętał zbyt wiele z wczorajszego popołudnia poza tym, że był w pracy, a potem uczestniczył w imprezie zorganizowanej przez panią Jadwigę. Podczas spotkania nie wydarzyło się jednak nic, co zapowiadałoby późniejsze problemy zdrowotne. Rozmawiał z Markiem, potem napili się coli. Tylko że cola nigdy tak na niego nie działała, no, chyba że z whisky. Ale whisky wczoraj nie było... Chyba.

Pamiętał jeszcze, że nagle poczuł parcie na pęcherz i poszedł do toalety. Resztę zasnuwała mgła niepamięci.

Pomimo złego samopoczucia postanowił wstać i pojechać do pracy. Nie miał wątpliwości, że gdyby nawet zadzwonił i powiedział, że jest chory, nie dostałby

na dziś wolnego.

Spojrzał na stojący na stoliku obok wersalki zegarek. Było pięć po szóstej. Zerwał się z łóżka. Miał tylko pół godziny, by przygotować się do pracy. W urzędzie musiał być na siódmą, a dojazd zajmuje mu zwykle piętnaście minut.

Poszedł do łazienki i spojrzał na swoje odbicie w lustrze. Nie musiał się golić, zarost ledwo wykiełkował. Obmył szybko twarz i się wysikał.

Śniadania nie miał siły przygotowywać, więc tylko zaparzył kawę. Pijąc ją, zastanawiał się nad dziurą w pamięci. Jak dostał się do domu z imprezy? Co robił przez czas pomiędzy wyjściem do toalety a powrotem do domu? Pytań dużo, a żadnej odpowiedzi.

Nie ma co się nad tym zastanawiać, stwierdził, wychodząc z domu.

Przed urzędem stało kilku pracowników. Jak go zobaczyli, zaczęli się wzajemnie poszturchiwać i szeptać pod nosem. Na kilku twarzach Szymczak dostrzegł dziwne uśmieszki. Miał zamiar podejść do kolegów, ale zanim to zrobił, wszyscy się rozeszli. Zdziwiło go to. Pierwszy raz, odkąd tutaj pracował, spotkał się z czymś takim.

Tuż za progiem wpadł na swojego kierownika stojącego przy stanowisku ochrony. Wojciech Król od razu przywołał go gestem ręki.

– Zapraszam pana do siebie do gabinetu – powiedział z powagą.

Ruszyli schodami na pierwsze piętro. Przy drzwiach pokoju Król wcisnął kombinację przycisków na cyferblacie zamka elektronicznego i weszli do środka.

Kierownik zajął swoje miejsce za biurkiem. Szymczak stał bez ruchu. Nie miał pojęcia, w jakim celu przełożony wezwał go do siebie.

– Czy może mi pan powiedzieć, co pan wczoraj wyczyniał? Może mi pan to wytłumaczyć? – spytał kierownik. Widać było, że jest zdenerwowany.

– Nie wiem, co powiedzieć. Prawdę powiedziawszy, nie mam pojęcia, o co chodzi – z lekkim niepokojem stwierdził Wiktor.

– Pan nie wie, o co chodzi? Kurwa! Robi pan z urzędu cyrk, a teraz udaje głupiego? – Król podniósł głos.

Co się wczoraj wydarzyło? Co ja takiego zrobiłem?, pomyślał Szymczak.

– Pan wybaczy, kierowniku, ale mam w głowie pustkę – wyznał. – Nie pamiętam wczorajszego dnia.

– Czy pan bierze jakieś narkotyki? A może leki? Czy pił pan wczoraj w pracy?

– Nie. Nie biorę leków, nie ćpam i nie piję. Zwłaszcza w pracy – powiedział Wiktor.

Król patrzył na niego uważnie.

– To jak pan wytłumaczy swoje wczorajsze zachowanie?

– Chciałbym wytłumaczyć, ale naprawdę nie mam pojęcia, co się wczoraj działo. Byłem na imprezie, którą zorganizowała pani Jadwiga. Tam rozmawiałem z Markiem Walickim i to wszystko, co pamiętam.

– Jakim Markiem Walickim? Nikt taki u nas nie pracuje.

– Co? – Wiktor był zaskoczony słowami Króla.

– Nie pamięta pan? Więc może ja panu przypomnę. A jak trzeba, pokażę panu nagrania z kamer monitoringu – powiedział kierownik

– Myślę, że wystarczy, jak mi pan opowie.

– A więc wyszedł pan z toalety i początkowo szedł w miarę normalnie. Potem jednak zaczął pan skakać i klaskać w dłonie. Następnie położył się pan na podłodze i zaczął głośno krzyczeć. Zbiegli się ludzie, zaciekawieni, co się dzieje. Wtedy pan wstał, rozpiął rozporek i wyciągnął członka. Zaczął się pan masturbować na korytarzu! Potem zaczął pan gonić panią Jadwigę, krzycząc: „Dawaj, stara, będzie bara-bara”. Próbowano pana uspokoić, ale uderzył pan w twarz starego Wojtczaka, a potem zaczął się pan kręcić w kółko. Z ust leciała panu ślina jak wściekłemu psu. Brał pan rozbieg i biegł całym korytarzem. Zaczął pan gonić pracownice urzędu, ciągle z penisem na wierzchu. Zlecieli się ochroniarze, chcieli wzywać policję. Jednak żeby nie robić afery, podjęto decyzję, że zostanie pan wyprowadzony z budynku i odwieziony do domu.

Szymczak przez chwilę nie mógł złapać powietrza.

– O Boże... – wyduślił w końcu. – Proszę mi wierzyć, że niczego nie pamiętam. Jest mi niezmiernie wstyd... Nie wiem, co mam powiedzieć.

– Wydaje mi się, że powinien pan dzisiaj wziąć wolne i wrócić do domu. Albo inaczej. Dam panu tydzień urlopu. W tym czasie napisze pan podanie o zwolnienie. Myślę, że tak będzie najlepiej zarówno dla urzędu, jak i dla pana.

Szymczak patrzył na przełożonego w milczeniu.

– Uniknie pan złośliwych komentarzy, a urząd skandalu. Ludzie tak łatwo nie zapomną pańskiego zachowania. Poza tym nie ma gwarancji, że za jakiś czas się ono nie powtórzy. Czy się zrozumieliśmy? – spytał Król.

– Tak, jeszcze dziś napiszę podanie o rozwiązanie umowy. – Wiktor słabo pokiwał głową. – Po urlopie już nie wrócę do pracy.

– Dobrze. A przy okazji dam panu radę. Proszę zrobić jakieś badania, bo to, co pan wczoraj odstawił, jest co najmniej dziwne.

– Dziękuję. I do widzenia.

Szymczak podszedł do Króla i wyciągnął rękę. Kierownik jednak jej nie uścisnął.

Wychodząc z urzędu, Wiktor analizował to, co się wydarzyło. Ktoś z całą pewnością dosypał mu czegoś do napoju. Jedynym podejrzanym był ten Walicki. Przyniósł mu colę i pewnie wtedy wsypał do niej jakiś narkotyk. Zastanawiające było tylko to, że Król twierdził, iż nikt o takim nazwisku w urzędzie nie pracuje... Jeśli tak, to skąd się wziął na imprezie?

Król powiedział, że Wiktor został odwieziony w takim stanie do domu. Ale kto go odwiózł? Jeśli go odwieziono, to znaczyłoby, że jego samochód nadal stoi pod urzędem.

Idąc przez parking, szukał swojego volvo v40. Nigdzie jednak go nie widział.

* * *

Artur Pasewicz kończył pisać raport, gdy otworzyły się drzwi i w progu stanął naczelnik.

– Zbierać się. Mamy trupa.

– Jakież szczegóły? – spytał Grodzki.

– Ktoś anonimowo zgłosił, że wczoraj widział, jak facet pakuje ciało do auta. Samochód stoi teraz na Zakładowej, za Leclerkiem. To jakieś volvo. Patrol już jest na miejscu. Artur, jedziesz razem z Wojtkiem.

– Wczoraj widział, dzisiaj dzwoni?

– Może musiał się z tym przespać. Bez znaczenia. Jedziecie i tyle.

Artur skinął głową i zaczął pakować papiery.

– Zanim pojedziecie, jedna sprawa – dodał naczelnik. – Dobrze, że masz przyznanie się do winy tego Mochaja. To się chwali, ale kurwa, trochę przesadziłeś z tym laniem go po ryju. Gość chce skargę złożyć, więc możemy być na cenzurowanym. Nie chcemy przecież, żeby kryształowi dobrali się nam do dupy.

– Szefie, to nie było lanie, tylko lekkie poklepanie. Nawet siniak po tym nie zostaje – stwierdził Pasewicz.

Ratajczyk się uśmiechnął. Potem wziął głęboki wdech i powiedział:

– Na przyszłość ustalmy jedno: nie ma bicia podejrzanych na komendzie. Jak chcecie wymusić zeznania, zabierz delikwenta na przejażdżkę do lasu i tam trochę postrasz. Ostatecznie walnij się czymś w łeb i spuść mu wpierdol. Wtedy masz wytłumaczenie, że się broniliś. Od dzisiaj na komendzie nie wolno stosować jawnej przemocy. Chuj jeden wie, czy nie ma tu jakichś ukrytych kamer.

– Tak jak szef mówi: do lasu, potem sobie w łeb i można szaleć – włączył się sierżant Paweł Bogucki.

Naczelnik spojrział na niego groźnie.

– Ty nie prowokuj, Bogucki. Już ostatnio ratowałem ci dupę za tę małolată...

– Zrozumiałem, szefie. Nie było tematu.

Sprawa, o której wspominał naczelnik, dotyczyła pewnej młodej dziewczyny, która za kilka ciuchów puszczała się w galeriach. Podczas seksu w samochodzie na parkingu Galerii Dominikańskiej małolată okradła jakiegoś wieśniaka z Obornik Śląskich. Szybko została zatrzymana przez dochodzeniówkę i przewieziona na Trzemeską. W trakcie zatrzymania poinformowała śledczych, że ma wiedzę na temat zabójstwa. Przekazano ją więc do zabójców. Tam zajął się nią właśnie Bogucki. Już po kilku minutach wiedział, że dziewczyna ściemnia i żadnego zabójstwa nie było. Zdecydował się więc przekazać ją z powrotem do dochodzeniówki. Tutaj jednak zaczęły się problemy. Dziewczyna oskarżyła Boguckiego o molestowanie. Powiedziała, że składał jej propozycję, że za loda jest skłonny ją puścić i zapomnieć o kradzieży. Do sprawy włączyło się Biuro Spraw Wewnętrznych. Podczas przesłuchania przez kryształowych dziewczucha zeznała, że Bogucki włożył jej palec w pochwę i zaczął całować. Decyzją góry policjant został zawieszony. Ratajczyk postanowił ratować podwładnego. Młodej założono technikę. Zamontowano podsłuchy w mieszkaniu, w którym wynajmowała pokój, zainstalowano też podsłuch na komórce. Po dwóch dniach udało się ustalić, jak przesłuchanie wyglądało naprawdę. Małolată chwaliła się znajomym, że wrobiła gliniarza w molestowanie. To pozwoliło oczyścić Boguckiego z zarzutów. Pojawił się jednak kolejny problem, i to spory. Podsłuchy założono bez wymaganej zgody sądu. Ratajczyk trochę oberwał po tyłku. Tłumaczył, że złamanie procedur i przepisów dotyczących technik operacyjnych spowodowane było tym, że dziewczyna twierdziła, iż ma wiedzę na temat zbrodni, o której w późniejszym czasie nie chciała nic powiedzieć. Technika miała posłużyć zdobyciu informacji. Sprawa się rozmyła, ale Biuro Spraw Wewnętrznych wyraźnie dało do zrozumienia, że kolejne potknięcie nie ujdzie

im na sucho. Sam Bogucki przez jakiś czas był pośmiewiskiem w komendzie. Kumple dla jaj podchodzili do niego i dając mu do powąchania dwa palce, pytali „Zgadnij, kto to?”. Jak raz starał się usunąć zacięty papier w drukarce, Artur rzucił: „Nie wsadzaj tam paluchów, wiesz, czym to pachnie”. Ostatnio te żarty nie były już tak częste, ale nadal się zdarzały.

Ratajczyk popatrzył na Artura i powiedział:

– Słuchajcie, mamy dobre wyniki. Wykrywalność na wysokim poziomie. Było kilka potknięć, ale wszystko jest do ogarnięcia. Trzeba tylko się starać. Bardziej starać się trzeba. Jak mawiał towarzysz Stalin, tylko staranie zastąpi rozstrzelanie.

Wszyscy uśmiechnęli się pod nosem. Każdy wiedział, że Stalin nigdy nie wypowiedział takiego zdania i że jest to radosna twórczość naczelnika. Za to Artur właśnie polubił Ratajczyka, gdy ten pojawił się w zabójcach.

Wstał z krzesła i dał znak Grodzkiemu, że pora ruszyć na spotkanie z denatem.

* * *

Pomimo długich poszukiwań Wiktor nie znalazł swojego samochodu.

Nie było go ani na parkingu pod urzędem, ani w pobliżu domu. Zastanawiał się, czy nie został skradziony i czy nie zgłosić tego na policję. A może ten cały Walicki go zabrał?

Postanowił pójść do domu i poszukać dokumentów od auta. Wiedział, że policjanci przyjmujący zgłoszenie będą chcieli znać numer rejestracyjny, numer VIN i inne potrzebne dane.

Wszedł do mieszkania i zamarł. Już pierwszy rzut oka pozwalał stwierdzić, że ktoś się do niego włamał i czegoś tu szukał. Nie było wprawdzie wyraźnych śladów włamania ani porozrzucanych na podłodze rzeczy. Wiktor jednak wiedział, że ktoś tu był. Na jednym z kafli widniał ślad buta w rozmiarze sporo większym niż rozmiar Szymczaka.

Zaczął się bać. Stał na środku przedpokoju i nie wiedział, co ma robić. Wokół niego działy się jakieś dziwne rzeczy. Najpierw został naćpany, przez co stracił pracę, z którą wiązał swoją przyszłość. Potem skradziono mu samochód, a teraz to – włamanie do mieszkania. Zastanawiał się, co go spotka w kolejnych dniach.

Nagle podjął decyzję – zadzwoni do kuzyna z ABW. Pokazywał mu dokumenty związane z wyłudzeniami i tylko jemu mógł teraz zaufać. Sięgnął

po komórkę i wybrał numer.

– No co tam, Witek? – Kuzyn odebrał dopiero po kilku sygnałach.

– Cześć, Paweł. Słuchaj, mam problem.

– Wpadłeś w jakieś gówno? Jazda po wódzie? Bo w tym nie dam rady pomóc...

– Nie, coś gorszego. Pamiętasz, jak pokazywałem ci pewne papiery?

– No... Ale mówiłem, żebyś to olał. Po chuj ci problemy? Bez nich łatwiej się żyje – powiedział oficer ABW.

– Dałem te papiery kumplowi. Spotkałem go przypadkiem. Lata się nie widzieliśmy. Okazało się, że jest dziennikarzem.

– Chłopie, po co ty takie rzeczy robisz? – przerwał mu kuzyn.

– Mniejsza o to. Wczoraj ktoś mnie naćpał. Po prochach odpierdoliłem manianę w robocie. Wyjebali mnie z urzędu. Na dodatek zajebali mi auto i ktoś włamał mi się na chatę.

– Zgłosiłeś włamanie na policję?

– Nie. W sumie nie ma żadnych śladów. Zamek cały, wszystko wygląda w porządku. Jest tylko ślad błota na podłodze.

– Błota?

– Pod bramą robią chodnik i jest syfu od zajebania. Ktoś tu wlaź i nie wytarł wcześniej butów.

– A może to twój ślad?

– Nie ma opcji. Rozmiar jest widocznie większy od mojego.

Szymczak podszedł do pozostawionego śladu i przyłożył swój but. Na oko różnica wynosiła nie mniej niż dwa numery.

– A wiesz, czego szukał włamywacz? Może tych dokumentów? Masz je jeszcze? – dopytywał oficer.

– Nie. Wszystko oddałem temu kumplowi. U mnie nic nie było.

– Nie zrobiłeś żadnego ksera albo skanu?

– Nie, papiery oddałem. Ale część wiedzy mam w głowie. Mogę sobie przypomnieć co nieco.

W słuchawce na dłuższą chwilę zapadła cisza. Wiktor spojrzął na wyświetlacz, żeby się upewnić, że połączenie nie zostało zerwane.

– Lepiej sobie nie przypominaj – powiedział w końcu Paweł. – Dobra, ja muszę lecieć na odprawę. Uważaj na siebie. Narka, chłopie.

– Cześć...

Szymczak schował komórkę do kieszeni i rozejrzał się po mieszkaniu. Postanowił sprawdzić, czy nic nie zginęło. Jakies niejasne przecucie

podpowiadało mu, że popełnił błąd, interesując się tymi machlojkami. Jak świat światem takie rzeczy miały miejsce, a on mógł je najzwyczajniej olać. Nie powinien był wścibiać nosa w nie swoje sprawy.

Wiedział, że może go za to spotkać kara.

* * *

Grzegorz Dębski zwany Dębem patrzył na swoich dwóch współpracowników.

Siedzieli na wersalce i co chwila dotykali siniaków. Twarze mieli poobijane jak zawodowi bokserzy, którzy zaliczyli kilka bolesnych nokdaunów.

Przeszukiwali samochód Kruszewskiego, a tamten facet najzwyczajniej w świecie ich zaskoczył. Na szczęście Dąb wcześniej poszedł na parking, żeby uszkodzić kamery. Tylko dzięki niemu wszystko skończyło się dla nich pomyślnie. Gdyby nie klucz do kół, wynik starcia mógł być inny. Tamten facet był dobrze wyszkolony, wiedział, gdzie i jak bić. Kilka uników i parę celnych ciosów sprawiło, że dwóch najlepszych ludzi Dębskiego leżało jak Gołota po walce z Tysonem.

Gdy Dąb go unieszkodliwił, sprawdził, z kim mają do czynienia. W jego kieszeni znalazł dowód osobisty i prawo jazdy na nazwisko Grot. Nic mu to nie mówiło. Bardziej zaskoczyła go kwota, jaką znalazł w kieszeniach. Ludzie z reguły nie noszą przy sobie tylu pieniędzy. Broni nie znalazł. Wyglądało na to, że mógł to być zwykły przechodzień, który zareagował na włamanie do samochodu. Jedno się nie zgadzało – mało który przechodzień wystartowałby solo do dwóch dresiarzy, raczej po prostu schowałby się w bezpiecznym miejscu i zadzwonił na policję.

Dąb wiedział, że będzie musiał przekazać nazwisko gościa swojemu zleceniodawcy. Niech on się tym zajmie i sprawdzi tego całego Grot.

Już zamierzał coś powiedzieć do siedzących kawałek dalej podwładnych, gdy zaczęła dzwonić jego komórka.

- Słucham – powiedział, odbierając połączenie.
- Daliście dupy.
- Co?
- Jak przeszukujecie chałupę, to nie zostawiajcie śladów.
- Nic nie zostało. O czym ty gadasz?
- Przed chwilą rozmawiałem z Szymczakiem. Mówił, że ktoś u niego był i zostawił ślad ubłoconego buta.
- Uhm... i co w związku z tym? Mam tam pojechać i umyć mu podłogę?

– Przestać, kurwa, pierdolić! Dzięki nam masz teraz od chuja roboty. Dzięki nam masz kasę i perspektywy na rozwój...

– Stop. Bo się zagalopujesz – przerwał rozmówcy Dąb. – Po pierwsze, rozwijam się w biznesie dzięki swoim zaletom. Mam odpowiedni poziom inteligencji i wystarczającą siłę fizyczną, by radzić sobie w tym brudnym jak ruska kurwa świecie. Po drugie, zanim się do mnie zgłosiliście z propozycją współpracy, miałem już wyrobioną markę. Miałem renomę. Więc proszę, żebyś mi nie mówił, że coś ci zawdzięczam. Byłoby to niezgodne z prawdą i krzywdzące dla mnie. Rozumiemy się?

W słuchawce rozległo się westchnięcie.

– Mniejsza z tym. Popełniliście błąd. Mam tylko nadzieję, że cała reszta poszła zgodnie z planem.

– Panie kapitanie Rudzki. Pawle. Ponownie ranisz pan moje uczucia. Wszystko jest w jak najlepszym porządku. Dziś problem praktycznie zniknie.

– Liczę, że nie będzie już więcej komplikacji – powiedział oficer ABW, kończąc rozmowę.

Dąb spojrział na swoich współpracowników. Zastanawiał się, który z nich zostawił ślad w mieszkaniu Szymczaka. Stał w ich obronie w rozmowie z kuzynem mężczyzny, jednak wiedział, że popełnili kolejny błąd. Musieli bardziej uważać, jeżeli nie chcą popsuć sobie opinii.

* * *

Artur zaparkował służbowego fiata punto za stojącym w zatoczce radiowozem. Wysiadł i od razu założył lateksowe rękawiczki. Widział stojące kawałek dalej volvo z podniesionym bagażnikiem. O bok auta opierał się jakiś starszy posterunkowy.

– Coś ciekawego? – spytał Pasewicz, podchodząc bliżej.

– Denat w bagażniku. Dziura w głowie. Ktoś strzelił mu z bliska w twarz.

– Skąd wiesz? – spytał Grodzki, stając obok Artura.

– Technik mówił – odparł mundurowy.

– Zabezpieczcie teren, żeby nikt się nie kręcił. To raz, a dwa, kto cię, kurwa, uczył roboty? Na szkółce mówili, żeby opierać się o bok auta, w którym leży trup? Zacierasz, łosiu, ślady – powiedział Grodzki.

Artur zajrzał do bagażnika. Nachylił się nad ciałem i przez chwilę mu się przyglądał. Rzeczywiście, ktoś strzelił mężczyźnie prosto w twarz.

– Nie krzycz na nadposterunkowego. Chłopa postawili, to stoi – powiedział, prostując się.

– Mogli postawić potykacz ze stacji benzynowej. Pożytek byłby większy – mruknął Grodzki.

– Trzeba złożyć taki wniosek na naradzie u naczelnika. – Artur odsunął się kilka kroków w bok. – Chcesz popatrzeć?

– Dzięki, ale nie.

Artur spojrzał na techników zbierających ślady z wnętrza pojazdu.

– Krzychu, denat zrobiony? – spytał jednego z nich.

– Tak. W środku też już kończymy.

– Gienek był?

– Będzie. Mówił, że musi tylko skończyć krojenie jakiegoś łebka, co zszedł w nocy na jakiejś bibce.

Pasewicz rozejrzał się dookoła. Na ziemi przy bagażniku dostrzegł ślady butów w dużym rozmiarze. Niestety nie były zbyt wyraźne.

– Te ślady trepów już macie zrobione? – zwrócił się do technika.

– Tak, ale są słabo widoczne. Odlewy jednak porobiliśmy. Może coś z tego będzie.

Artur skinął głową i spojrzał na Grodzkiego.

– Wojtek, co myślisz?

– Jeszcze nic. A ty masz już jakieś wnioski?

– Jeden. Sprawca musiał albo odejść pieszo, albo odjechać innym samochodem. Trzeba się rozejrzeć.

Ruszył po polanie w poszukiwaniu śladów. Na wilgotnej ziemi znalazł sporo odcisków butów. Jeden wydał mu się najbardziej pasujący do tych przy volvo, jednak wyraźniejszy. Obcas zostawił głęboki ślad w podłożu.

Pasewicz machnął ręką do technika, żeby go przywołać, gdy zaczęła dzwonić jego komórka. Wyjął ją z kieszeni i spojrzał na wyświetlacz. Dzwonił Walczak.

– Słucham.

– Słuchaj pan – zaczął właściciel mieszkania.

– Przecież powiedziałem, że słucham.

– No więc jutro masz pan być w domu, bo ja będę.

– Jutro jestem w pracy.

– Ale ja będę, bo ma być ten od ubezpieczyciela.

– Panie Walczak, już panu mówiłem. On ma się umawiać ze mną, nie z panem.

– Ale to trzeba załatwić. A żona będzie?

– Też w pracy.

– To niech weźmie wolne i będzie.

– Panie Walczak, ja jestem najemcą i ze mną pan ma umowę. Ja muszę być obecny, a nie żona, a właściwie narzeczona.

– Panie, słuchaj pan. To trzeba załatwić. Ma pan być.

Metr dalej stanął Grodzki. Zamknął swój notatnik, a Pasewicz dał mu znak, że zaraz kończy rozmawiać.

– Po pierwsze, powinien pan zapytać, czy mógłbym być, a nie mówić mi, że mam być. Ja nic nie muszę. Po drugie, nie zerwę się z pracy, bo jakiś rzeczoznawca chce coś oglądać. On ma swoją pracę i grafik, a ja mam swoją. Obaj musimy ustalić dogodny dla nas termin. Sami, bez pośredników. Rozumie pan?

– Ale jemu pasuje jutro.

Artur przewrócił oczami. Grodzki zasłonił usta, żeby nie parsknąć śmiechem.

– Panie Walczak, mi jutro nie pasuje – powtórzył Pasewicz.

– Słuchaj pan, to ja jutro z nim przyjadę i wejdziemy do mieszkania. On zobaczy co i jak i pójdziemy. Pan nie musisz przyjeżdżać.

– Czy pan słucha tego, co się mówi? Jak pan wejdzie do mieszkania pod moją nieobecność?

– No otworzę kluczem i wejdem. To moje mieszkanie i mam klucze.

– Po pierwsze, zmieniłem zamki w drzwiach, więc pan nie wejdzie. Po drugie, nie ma pan takiego prawa. Wynajmując mieszkanie, zrzekł się pan do niego części praw.

– To moje mieszkanie i mogę wejść! Jak nikt mnie nie wpuści, to przyjadę z dzielnicowym i inaczej będzie pan gadać! – uniósł się staruszek.

– To niech pan przyjedzie z dzielnicowym. Mnie jutro nie ma i koniec. Żegnam.

Artur się rozłączył się i schował komórkę do kieszeni.

– Walczak? – spytał Grodzki z rozbawieniem.

– A daj spokój. Dziadek już mnie wkurwia. Teraz wymyślił, że naśle na mnie dzielnicowego. Gada, że nie chce go do jego chałupy wpuścić.

– To może naślizmy na dziadka kogoś. Ja chętnie pojedę i mu powiem, że ktoś doniósł, że zabił kilka osób. Nastraszę go trochę – zaproponował Grodzki.

– Daj spokój. Chcesz, żeby na zawał zszedł? Mało masz problemów? Olej. Przyjdzie dzielnicowy, to z nim pogadam i tyle. Bez spiny. – Pasewicz machnął

ręką. – Dobra, co tu mamy?

Grodzki otworzył notatnik.

– Sprawdziłem blachy volvo. Z Cepiku wynika, że należy do Wiktora Szymczaka. Facet pracuje w urzędzie wojewódzkim. Teraz powinien być w pracy. Mamy więc pierwszego podejrzanego.

– Nie za szybkie wnioski?

– Auto nie widnieje w bazie pojazdów utraconych. Nie zostało zgłoszone jako kradzione. Już to świadczy przeciwko Szymczakowi.

– A może ktoś zajął mu volvo, jak był w robocie? Mógł jeszcze nie zauważyć. Poza tym zgłaszający wczoraj widział, jak pakują trupa, ale nie sądzę, żeby to miało miejsce tutaj. Za dużo ludzi.

– Auto stoi tu od wczoraj – wtrącił jeden ze stojących w pobliżu mundurowych. – Na markecie jest monitoring. Samochód został nagrany, jak wjeżdża na tę drogę. Nie wyjeżdżał z niej. Pojawił się koło dwudziestej drugiej.

– A czy na nagraniu widać, jak jakieś inne auto stąd wyjeżdżało? – spytał Pasewicz.

– Pomędzy przyjazdem volvo a nami było jakieś pięćdziesiąt samochodów. Tą drogą ludzie jeżdżą na skrót pomiędzy Jedności a Trzebnicką – wyjaśnił policjant.

– No to chyba musimy sobie porozmawiać z panem Szymczakiem. Chodź, Wojtek, przejedziemy się.

Ruszył wraz z Grodzkim w stronę służbowego fiata.

* * *

Grot przyjechał do domu Zawadzkiej. Od gosposi dowiedział się, że ta pojechała do miasta i powinna wrócić w ciągu godziny. Zdecydował się zaczekać.

Usiadł w kuchni i przez chwilę obserwował krzątanicę pani Stasi. Kobieta zaproponowała mu kanapki. Trochę się krygował, ale gdy postawiła przed nim talerz, zaczął jeść ze smakiem.

– Od dawna pani tu pracuje? – zagadał, przełknąwszy kolejny kęs.

– Od dziesięciu lat pracuję dla rodziny. Wcześniej zatrudniali mnie rodzice pani Joanny. Po tym, jak zginęli w wypadku, chciałam odejść, ale pani Joanna wzięła mnie do siebie. Nawet podwyżkę dała.

– Wydaje się, że to dobry pracodawca.

– Bardzo dobry. Pani jest uprzejma, z klasą. Nigdy nie było sytuacji, żeby podniosła głos lub jakoś nerwowo reagowała.

Grot sięgnął po kolejną kanapkę.

– A jej brat? Często tu bywał? – spytał.

– Wie pan, Marek to inna bajka. Chłopak chciał zmienić świat. Najpierw chciał być podróżnikiem. Potem uważał, że spełni się dopiero wtedy, jak założy fundację. Teraz zamierza zrobić karierę jako dziennikarz. W sumie to taki marzyciel.

– Rozumiem. Też znam wiele osób, które uważają, że świat wymaga zmian – przyznał Grot, biorąc kolejny gryz. Kanapka smakowała wyjątkowo dobrze, kiełbasa była wysokiej jakości. Miała smak kiełbasy, a nie trocin z domieszką zmielonych ścięgien, pazurów czy innych tkanek.

– Bo wymaga. Problem w tym, że Marek go nie zmieni – odparła pani Stasia, siadając na sąsiednim krześle. – A czy często tu bywał? – Wzruszyła ramionami. – Ostatnio rzadko. W mojej ocenie zbyt rzadko. Zawsze jak przyjeżdża, wnosi do domu taki pozytywny nastrój. Jak pan pewnie zauważył, tutaj rzadko bywa szczęście. Nie żebym coś sugerowała, ale pani Joanna jakaś taka smutna w ostatnim czasie chodzi.

– Może kłóci się z mężem? – zasugerował detektyw.

– Ja nic nie zauważyłam. Problem chyba leży gdzie indziej. Nie wiem i powiem panu jedno: to nie moja sprawa.

– Pani Stasiu – dobiegło nagle z boku – czy mogłaby pani nastawić wodę na kawę dla mnie i dla pana Grota?

W progu kuchni stała Joanna Zawadzka. W dłoni trzymała kluczyki od samochodu.

Grot spojrzał w jej stronę i się uśmiechnął. Gospoia, nagle poczerwieniała na twarzy, skinęła głową. Wstała i sięgnęła po czajnik.

– Zapraszam pana do siebie do gabinetu – powiedziała Zawadzka.

Grot ruszył za nią, jak zawsze dyskretnie podziwiając jej figurę.

Gdy weszli do gabinetu, Joanna usiadła za biurkiem. Detektyw zatrzymał się w progu.

– Chciałem panią przeprosić – zaczął.

– Za co? – Podniosła na niego uprzejme spojrzenie.

– Za to, że byłem wścibski i wmieszałem się w pani życie prywatne.

– Niech pan siada. – Wskazała mu krzesło. – Musimy porozmawiać.

Zajął miejsce na wprost swojej klientki. Spodziewał się, że ta zaraz go opieprzy, Zawadzka jednak zaczęła spokojnie:

– Rozumiem, że prowadząc śledztwo, musi pan wchodzić z butami w życie prywatne. Nie mam o to żalu. Jak pewnie pan zauważył, ten dom nie jest taki jak inne. Pani Stasia ma rację, nie ma tu radości. Pewnie też pan zauważył, że nie ma mojego męża.

– Zauważyłem.

– Więc mój mąż wcześniej wychodzi i późno wraca. A jak już jest w domu, siedzi głównie z tymi swoimi samochodami. Podejrzewam, że ma kochankę, ale w sumie mało mnie to już obchodzi. Gdybym chciała, rozwiodłabym się z nim w dowolnej chwili. Uczucia już dawno między nami nie ma. Coś wygasło. Wie pan dlaczego?

– Nie, ale podejrzewam, że zaraz się dowiem. – Grot czuł, że kobieta potrzebuje się wygadać.

– Problemem jest to, że nie mogę zajść w ciążę. Dowiedziałam się po czasie i mocno mnie to zmartwiło. Mąż początkowo chciał mieć dziecko. Okazało się jednak, że nie będzie nam to dane. Podczas jednej z awantur wykrzyczał, że jestem niepełnowartościową kobietą. Ale moje pieniądze są dla niego pełnowartościowe. Pewnie chciałby się ode mnie uwolnić, ale się boi. Mamy podpisaną intercyzę. W przypadku rozwodu on otrzymuje jedno wielkie gówno. A do luksusu przywykł.

Grot nie wiedział, co powiedzieć. Uważał, że problemy Zawadzkiej są jej problemami. On miał swoje zadanie do wykonania. Nie zamierzał jej pocieszać, podsuwać ramienia, żeby mogła się w nie wypłakać.

– To pani życie i to pani decyduje o tym, jak je przeżyje – stwierdził. – Jest wiele kobiet, które są w podobnej sytuacji do pani z tą różnicą, że one nie są milionerkami.

Zawadzka spojrzała na niego spod brwi.

– Myśli pan, że te miliony przynoszą mi szczęście? W każdej chwili może ich nie być.

– Ale wie pani, że dziecko można adoptować? Dla pani to nie byłby problem.

– A pan ma dzieci?

Grot poczuł ukłucie w sercu. Nie spodziewał się tego pytania. Całkowicie go zaskoczyło. Gdyby stał, pewnie ścięłoby go z nóg.

– Miałem syna i żonę.

– Miał pan?

– Oboje nie żyją.

– Przepraszam, nie wiedziałam... Przykro mi.

– Nie musi pani przepraszać. Nie pani odpowiada za ich śmierć. Nie chcę drażnić tego tematu.

– Jest mi przykro z powodu pańskiej straty. Jeszcze raz przepraszam. – Zawadzka westchnęła ciężko. – Dobrze, zmienimy temat. Co pana sprowadza?

– Chciałbym, żeby pozwoliła pani na przeszukanie domu.

– Tego domu? Czy coś pan odkrył?

– Wczoraj pojechałem do pracy pani brata. Zanim tam jednak dotarłem, na parkingu miałem spotkanie z kilkoma dresiarzami. Włamali się do samochodu Marka. Zabrali z bagażnika jakieś dokumenty dotyczące artykułu, który pisał. Podejrzewam, że pani brat skopiował wszystko i gdzieś ukrył. Pani dom wydaje się odpowiednim miejscem do schowania jakiejś płyty czy pendrive'a.

– Rozumiem. Jeśli pan chce, poproszę panią Stasię i w trójkę możemy przeszukać cały dom. Szybciej pójdzie.

– Czuję, że czas nam ucieka. Trzeba przeszukać każdy pokój. Musimy zweryfikować też inne tropy.

– Dobrze. Zrobmy tak: pan pojedzie weryfikować te inne tropy, a ja przejrzę tu każdy kąt. Jeżeli znajdę jakąkolwiek płytę lub pendrive'a, włożę do kartonowego pudła. Mamy sporą kolekcję płyt, więc Marek mógł coś schować między nimi.

– Jeśli coś pani znajdzie, proszę o sygnał.

Zawadzka skinęła głową. Widać było, że chce o coś spytać. Gdy Grot zaczął podnosić się z krzesła, zaproponowała:

– A może zje pan ze mną obiad? Pani Stasia wyśmienicie gotuje...

– Dziękuję, ale będę już leciał. Płaci mi pani za pracę, a nie za dotrzymanie towarzystwa.

– Czasem dotrzymanie towarzystwa też jest ważne. Ale oczywiście rozumiem. Niech pan na siebie uważa.

– Do zobaczenia – powiedział Grot, kierując się w stronę wyjścia.

* * *

W drodze do urzędu wojewódzkiego milczeli, zatopieni każdy w swoich myślach.

Pasewicz rozmyślał o swoich problemach z Walczakiem, a Grodzki zastanawiał się nad słowami byłej żony. Wczoraj zapowiedziała mu, że zamierza jechać do Anglii. Ostatnio coś przebąkiwała, że jej nowy facet znalazł tam pracę i ona z Zosią chce do niego pojechać. Owszem, uważał, że może

układać swoje życie, ale nie kosztem jego kontaktów z córką. Będzie musiał poważnie z nią porozmawiać.

Artur zaparkował przed urzędem i obaj skierowali się do środka. Pokazali ochroniarzowi blachę, a ten polecił, by chwilę poczekali. Pasewicz już zamierzał powiedzieć mu coś na temat czekania, ale wtedy pojawił się szef ochrony.

– W czym mogę panom pomóc? – spytał.

W sztywno wyprostowanym mężczyźnie Artur od razu rozpoznał byłego wojskowego.

– Szukamy Wiktora Szymczaka – powiedział. – Pracuje tutaj, ale nie wiemy na jakim stanowisku.

– Chodzi o wczorajsze?

Pasewicz uniósł brwi. Zastanawiał się, czy szef ochrony ma jakąś wiedzę na temat zabójstwa.

– Co pan ma na myśli?

– No te jego podskoki, wariacje i krzyki... Mamy to nagrane. Jak pan chce, mogę puścić.

– Niech pan puści – powiedział Grodzki, równie zdumiony jak jego partner.

Szef ochrony zaprowadził ich do swojego biura. Chwilę majstrował przy rejestratorze, po czym puścił film. Obaj policjanci uważnie patrzyli na to, co działo się na ekranie.

Gdy nagranie się skończyło, Artur spytał:

– Czy jego przełożony jest w pracy?

– Nie. Pan Król wyjechał w teren. Ale z tego, co wiem, facet został zwolniony za te swoje wybryki. Znaczący się poszedł na urlop, a potem ma odejść. Wczoraj wszyscy tu byli zaskoczeni jego zachowaniem. Powiem więcej: bali się go. Pani Jadzia, ta starsza kobieta, co ją gonił z fiutem w rękę, wylądowała u lekarza. Jej córka mówiła, że musi brać leki uspokajające. A ten starszy mężczyzna, którego Szymczak uderzył, to ma pękniętą szczękę.

– Czy Wiktor Szymczak przejawiał wcześniej jakieś oznaki szaleństwa?

– Nie, to był spokojny facet. Nic nie zapowiadało, że zacznie tak świrować – stwierdził szef ochrony urzędu.

– A czy wie pan może, gdzie jest jego samochód?

– Nie. Monitoring nie obejmuje całego parkingu. Ale on dzisiaj przyszedł pieszo.

Pasewicz spojrzał na partnera.

– Niech pan zabezpieczy to nagranie z monitoringu – powiedział Grodzki. – Podesłemy kogoś, żeby je zabrał. To ważny dowód.

– Oczywiście. – Mężczyzna krótko skinął głową.

Gdy wyszli z budynku, Grodzki zwrócił się do Artura:

– I co myślisz?

– Myślę, że facet na nagraniu był naćpany. A to, co zobaczyłem, może świadczyć o tym, że byłby zdolny do zabójstwa.

– To co? Jedziemy do gościa?

– Jedziemy.

– Kominiarzy wzywamy?

– Do urzędnika? Damy radę sami.

* * *

Dębski spojrział na mężczyznę z niesmakiem.

Miał przed sobą gliniarza, który się sprzedał. Stali teoretycznie po dwóch stronach barykady, ale ten kundel zdradził swoich kumpli i zaczął kapować bandziorem. Dąb rozumiał, że każdy potrzebuje pieniędzy. Gliniarze nie są pod tym względem żadnym wyjątkiem. Ale skundlony glina budził jego odradzę. Gardził takimi ludźmi. Do policjantów czuł szacunek. Uważał, że powinno się go okazywać przeciwnikowi. To przecież nie ich wina, że chcą go złapać. Tak jak nie było jego winą to, że im ucieka. Wchodząc na ścieżkę kariery przestępczej, podjął wyzwanie i zaakceptował zasady. Z gliniarzami można wypić wódkę i zajarać jointa, ale to wszystko można robić w czasie wolnym od pracy. Gliniarze często bratają się ze zbójami. Zawsze jednak wiedzą, gdzie jest granica bratania. W życiu bywa różnie. Czasem kumple ze szkolnej ławki stają się przeciwnikami w rozgrywce pomiędzy przedstawicielami prawa i zwykłymi przestępcami.

Dębski wiedział jednak, że wielu gliniarzy ma inne zdanie na ten temat. Oficjalnie twierdzili, że policjantem jest się całą dobę, ale rzeczywistość często okazywała się inna. On wyznawał swoje zasady. Dla kapusiów i sprzedajnych psów nie miał szacunku.

Teraz patrzył na policjanta i zastanawiał się, czy go nie odstrzelić. Wiedział jednak, że byłby to błąd, który może go drogo kosztować.

– I co? Sprawdziłeś mi to nazwisko? – spytał, po czym sięgnął po stojącą na stole butelkę z colą i zaczął przelewać płyn do szklanki.

– Chłopie, mam ekstra info, za które powinno być ekstra zapłacone – odparł policjant.

– Mało dostałeś?

– Źle nie było, w normalnych okolicznościach bym nie narzekał. Ale to naprawdę jest warte więcej. Więcej niż te dwa tysiące.

– Ile? – spytał Dębski.

– No przynajmniej klocek więcej...

Dąb patrzył na policjanta i zastanawiał się, czy jednak go nie załatwić. Czuł, że wzbierają w nim złe emocje. Emocje, które mogłyby doprowadzić go do agresji, która zakończyłaby się śmiercią gliniarza. Nie chodziło o pieniądze, ale o fakt, że sprzedajny glina samowolnie podniósł wcześniej ustaloną cenę. Wyjął jednak portfel i się uśmiechnął. Szybko przeliczył odpowiednią kwotę i wręczył ją rozmówcy.

– Masz. I oby to było tego klocka warte. Nie chciałbym się rozczarować naszą współpracą.

– Nie zawiedziesz się. Facet, którego dałeś do sprawdzenia...

– Grot – odpowiedział Dąb.

– To były glina. Chłopie, to prawdziwy as!

– As? A czym się tak wyróżniał? Że w łapę nie brał? – zgryźliwie spytał Dąb.

– Jeden z lepszych gliniarzy w komendzie. Jak dawałeś mi jego dane do sprawdzenia, czułem, że to on. Ale mówię sobie: może zbieżność nazwisk. Pesel wszystko wyjaśnił. Jak masz z nim jakiś zatarg, to radzę ci uważać.

– Taki groźny?

– Nieustępliwy. Gdy złapie trop, zapierdala jak chart. Nic się dla niego nie liczy oprócz celu. Może być głodny, zmęczony, brudny, ale będzie zapierdalał dalej.

– Znasz go?

– Osobiście nie. Odszedł na emeryturę jakiś czas temu.

– Emeryt nie może być aż taki groźny. – Dębski sięgnął po szklankę z colą i wziął duży łyk.

– Nie lekceważyłbym go – ostrzegł gliniarz. – Trzy lata temu jeden z ludzi Maruchy rozjechał mu żonkę i bachora na pasach.

– Coś mi się obilo o uszy.

– I właśnie dlatego Grot jest niebezpieczny.

– Bo?

– Bo nie ma nic do stracenia.

Dębski patrzył na siedzącego na wprost policjanta. Informacje, które mu dostarczył, rzeczywiście były warte swojej ceny. Wiedział już, z kim przyszło mu się zmierzyć.

– Dobra, myślę, że zasłużyłeś na tego dodatkowego tysiąka.

Gliniarz uśmiechnął się i wyciągnął dłoń na pożegnanie, jednak Dąb zignorował gest.

– Co wiesz o sprawie, panie Grot...? – mruknął pod nosem, gdy facet opuścił lokal. – Na parkingu bez wahania podszedłeś do auta Kruszewskiego. Co cię łączy z dziennikarzem? – Wziął kolejny łyk coli. – Będę miał do ciebie kilka pytań. Odpowiesz mi na nie, a potem cię zabiję.

* * *

Szczot nadal był wściekły na Starczewskiego. Wczorajsza rozmowa z byłym premierem rządu nie należała do najprzyjemniejszych. Starczewski co chwila krzyczał i wyzywał Szczota od idiotów.

Poniekąd miał rację, ale nie mógł tego przyznać byłemu szefowi rządu. Tylko idiota mógłby zrobić coś tak głupiego i uderzającego w partię jak to, co zrobił Szczot. Nie pomyślał i w trakcie debaty w publicznej telewizji chlapnął, że w czasie rządów Odbudowy Patriotycznej korupcja wśród urzędników wzrosła. Miał co prawda na myśli fakt, że wzrosła wykrywalność takich zachowań, ale wyszło jak wyszło.

Teraz musiał wysłuchiwać reprimendy ze strony przewodniczącego partii, a zarazem byłego prezesa rady ministrów. Był jednym z najważniejszych polityków w kraju, a stał jak uczeń przed nauczycielem.

Ostatnio ich relacje uległy ochłodzeniu. Kiedyś lubili się spotkać w ustronnym miejscu, zapalić markowe cygaro, wypić dobrą whisky i ustalić, kto jakie zajmie stanowisko. Te czasy w ocenie Szczota minęły jednak bezpowrotnie. Przyczyną tego stanu rzeczy mógł być też fakt, że jakiś czas temu w zaufaniu wyjawiał byłemu ministrowi sprawiedliwości, że zamierza kandydować na stanowisko przewodniczącego Odbudowy Patriotycznej. Mógł się spodziewać, że ta informacja dotrze do Starczewskiego. Nie spodziewał się tylko, że od tego czasu będzie pomijany i zepchnięty na boczny tor.

Afera z nagraniem, na którym słychać, jak załatwia posadę członkowi rodziny, także zrobiła swoje. Dla dobra partii Szczot został odsunięty. Jednak nawet to nie upoważniało Starczewskiego, żeby go tak traktować. Szczot nie mógł tego przeboleć.

Teraz chodził po swoim biurze poselskim i co chwila przeklinał.

– Jak ten buc, który dzięki moim głosom i układom został premierem, może mnie tak traktować? Mnie wyzywać od skończonych idiotów? Mnie?! – pytał sam siebie.

Zdawał sobie sprawę, że nie postąpił zbyt rozsądnie i się przejęzyczył, ale przecież nie upoważniało to Starczewskiego do takiego traktowania.

– Jeszcze, chuju, będziesz mnie prosił o wsparcie. Oj, będziesz!

Ostatnio doszły do niego informacje o spotkaniu kilku osób niezadowolonych z przywództwa Starczewskiego. Planowano nawet rozłam. Szczot się zastanawiał, czy nie przystąpić do puczystów i nie wejść w układ z Ryszardem Koprem z partii Tradycja. Zarówno Koper, jak i jego ugrupowanie byli nowi na scenie politycznej, ale już mieli duże poparcie społeczne. Program także mieli zbliżony do programu jego partii. Złośliwi dziennikarze twierdzili nawet, że Tradycja jest córką, a Odbudowa Patriotyczna matką.

Szczot chętnie wszedłby w układ z Koprem, ale uważał, że facet jest jakiś taki sztuczny. Niby wykształcony za granicą, niby elokwentny, ale w oczach miał coś takiego, co sugerowało, że ciągle kłamie i że ktoś steruje nim z drugiego fotela. Ciekawy był tylko kto. Podejrzał, że mógł to być Mirosław Kwiczyński z partii Jedność i Pewność. Zwłaszcza że swego czasu prezes JiP łowił posłów z mniejszych ugrupowań, oferując im intratne posady w spółkach skarbu państwa.

Szczot ostatnio stwierdził, że polityka zaczęła być coraz bardziej brudna. Zastanawiał się, czy nie odejść do prywatnego biznesu. Jednak wciąż coś go ciągnęło do tego świata. Wiedział, że jak się raz posmakuje władzy, ciężko z niej zrezygnować. Był stworzony do wielkiej polityki i zamierzał osiągnąć szczyty.

I jakby jeszcze mało było problemów, pojawił się ten dziennikarzyna. Niby wszystko było już załatwione, ale Szczot wiedział, że jeśli jedna osoba dotarła do tych danych, ktoś inny może się pokusić o ich odszukanie. Wszystko mogłoby wyglądać inaczej, gdyby nie pracował dla nich kapitan Rudzki z Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. To jego kuzyn wykrył nieprawidłowości i na swoje nieszczęście skonsultował swoje odkrycie z człowiekiem, do którego miał zaufanie. Sporo osób mogłoby dostać poważne zarzuty. On także. Na szczęście szybkie działania spowodowały, że zagrożenie zmalało. Nie zniknęło co prawda całkowicie, ale w wyraźny sposób zmalało.

Szczot krążył po gabinecie i zastanawiał się, co powinni zrobić, żeby na przyszłość uniknąć podobnej sytuacji. Przede wszystkim muszą się spotkać w gronie najbardziej zaufanych członków układu i dokładnie obgadać sprawę.

No i był jeszcze ten Andrzej Wielgus z AW TECH-u. Facet był już bankrutem i ciągle gadał, że to zmowa urzędu skarbowego i prokuratury doprowadziła jego firmę do plajty. Kilka razy pojawił się u Szczota i mówił, że gdy zaczęła się sprawa z jego podatkami, to przychodzili jacyś ludzie – których on nazywał mafią – i proponowali mu odkup jego firmy. Był to łakomy kąsek nie tylko dla mafii. AW-TECH było na najlepszej drodze, by trafić na giełdę. Rynek nowoczesnych technologii stał się perspektywiczny i intratny, a firma Wielgusa stawała się na nim kluczowym graczem. Taki swojski Microsoft i Apple w jednym.

Facet liczył na pomoc w ustaleniu prawdy. Regularnie przychodził i prosił, żeby przyjrzeć się sprawie. Szczot za każdym razem się uśmiechał i obiecywał, że się przyjrzy. Jak dotąd jednak tego nie zrobił. Nie musiał, skoro znał prawdę. Był obecny, gdy planowano przejąć AW-TECH. Współdecydował o kolejnych działaniach, które miała podjąć skarbowka i prokuratura. Żałował, że Wielgus nie zdecydował się wtedy sprzedać swojej firmy. Teraz jej wartość była bliska zeru. Miał jednak nadzieję, że z pomocą rządową, którą on mógł załatwić, uda się postawić przedsiębiorstwo na nogi. Uważał, że jest szansa na powrót do stanu sprzed kontroli.

Szczot podjął decyzję, że gdy Wielgus ponownie się u niego pojawi, doradzi mu sprzedaż firmy. Pozbędzie się w ten sposób problemów.

* * *

– Nie wejdź w błoto – ostrzegł Artur.

– Co? Aaa... Nie zauważyłem – powiedział Grodzki.

Stanęli przed wejściem do budynku. Domofon wyglądał na zepsuty. Gdy Pasewicz wcisnął guzik, ten wypadł z obudowy.

– Kurwa... – zaklął.

– Uroki mieszkania w takiej dzielnicy.

Artur pchnął drzwi. Ku ich zaskoczeniu ustąpiły. Ich oczom ukazało się wnętrze starej kamienicy.

– Gotów na wejście do Krainy Czarów?

– Raczej do Narni – mruknął Grodzki.

– Albo Mordoru...

Weszli do budynku. Ściany były odrapane i niemalowane co najmniej od czasów Gierka. Lamperia była cała popisana. W powietrzu dało się wyczuć zapach moczu.

Wchodząc po schodach, Artur zastanawiał się, czy Szymczak będzie sprawiał problemy. Jego samochód znaleziony ze zwłokami w bagażniku jednoznacznie świadczył, że facet może być niebezpieczny. Zachowanie, które widzieli na nagraniu w urzędzie, także to potwierdzało. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że postąpili głupio. Powinni wezwać wsparcie pododdziału specjalnego i czekać, aż kominiarze wyjmą gościa z mieszkania. Jadąc tutaj, uważał, że czeka ich łatwe zadanie. Był pewny, że nic im nie grozi ze strony Szymczaka. Teraz nabrał wątpliwości.

– Może jednak wezwiemy wsparcie? – spytał Grodzki.

– Do urzędas? Nie przesadzaj. – Artur grał twardziela, chociaż wcale nie czuł się pewnie.

– Ambicja kiedyś cię zabije.

– Ambicja?

– No tak. Nie chcesz się dzielić sukcesem z innymi, więc sam zamierzasz wejść typowi na kwadrat. Moim zdaniem powinni go wyjąć czarni.

– Bez przesady. Za kwadrans sam stwierdzisz, że do Szymczaka to nawet samemu można było pójść. Myślisz, że jakiś chłopiec w garniaku będzie się stawiał dwóm psom?

– Widziałeś, co robił w urzędzie.

– No i co? Z chujem w łapie będzie mnie gonił? – parsknął Artur.

Weszli na piętro, gdzie znajdowało się mieszkanie Szymczaka. Artur podszedł do drzwi i przez chwilę słuchał, czy z mieszkania dochodzą jakieś odgłosy. W końcu zapukał.

Po kilkunastu sekundach ktoś spojrział przez wizjer.

– Kto tam? – usłyszeli.

– Policja. Proszę otworzyć – powiedział Artur.

Rozległ się dźwięk przekręcanego zamka i w progu stanął Wiktor Szymczak. Już na pierwszy rzut oka było widać, że jest wystraszony. Artur przez kilka sekund mu się przyglądał. Młody szczupły chłopak. Na nosie okulary za kilkaset złotych. Granatowe spodnie od garnituru i biała koszula. Wyglądał na typowego urzędnika.

Szymczak przesunął się w bok.

– Proszę, niech panowie wejdą – powiedział.

Pasewicz łypnął na Grodzkiego z uśmiechem. Spodziewali się innej reakcji ze strony Szymczaka. Po tym, co widzieli na nagraniu, byli pewni, że będzie robił problemy. Wszystko jednak wyglądało inaczej. Nie było żadnej walki, żadnego ataku z jego strony. Facet był grzeczny i miły.

Weszli do środka.

– Panowie przychodzą w związku z wczorajszym? – spytał Szymczak, wskazując im miejsce, gdzie mogli usiąść i porozmawiać.

Artur spojrzał na Szymczaka. Nie wiedział, czy mężczyzna mówi o wyskokach w pracy, czy o zwłokach w samochodzie.

– Wiecie panowie, ja nie chciałem... Nie wiem, co się ze mną działo. Nic nie pamiętam – powiedział Szymczak. Głos mu się łamał, prawie płakał.

– Spokojnie. Niech pan opowie wszystko od początku – powiedział Artur.

– Ale co tu opowiadać? Ktoś mnie naćpał, a potem ruszyła lawina. Ja naprawdę taki nie jestem...

– Gdzie pan był wczoraj wieczorem?

– Nie wiem. Nic nie pamiętam. Nic a nic.

– Czy zgadza się pan, żebyśmy się tutaj trochę rozejrzeli? – spytał Grodzki.

– Możemy załatwić nakaz prokuratora, ale to potrwa i trochę nas wkurzy.

Mężczyzna spojrzał na policjanta ze zdziwieniem.

– Rozejrzeć się? Chcecie panowie przeszukać mieszkanie? Po co? Przecież wszystko już wiecie.

– Akurat nie wszystko wiemy, a pan nie potrafi sobie przypomnieć – powiedział Artur.

– Ale po co przeszukiwać mieszkanie, skoro ja tylko trochę powariowałem w pracy? Rozumiem, że ktoś może mieć mi za złe, że tak się zachowałem, ale to chyba nie powód, żeby robić mi w mieszkaniu przeszukanie! – zbulwersował się urzędnik.

Artur czuł, że facet coś chce ukryć.

– Czy panowie mogą pokazać mi swoje legitymacje? – spytał Szymczak.

Pasewicz uśmiechnął się do niego i wyjął legitymację służbową. Urzędnik chwilę się jej przyglądał, po czym podniósł wzrok na policjanta.

– Panie Szymczak, gdzie jest pański samochód? – spytał Artur.

– Samochód? No właśnie tutaj jest problem. Nie pamiętam. Chciałem zgłosić kradzież, ale jeszcze tego nie zrobiłem.

– Ukradziono go panu? Kiedy? – spytał Grodzki.

– Nie wiem dokładnie. Wczoraj pojechałem nim do pracy. A co było potem, nie mam pojęcia. Mam dziurę w pamięci. Chyba nie myślą panowie, że gdzieś

go schowałem w mieszkaniu? Po to przeszukanie? Bez przesady. To chyba jakieś żarty!

– Panie Szymczak, pożartować to mogę sobie z kimś innym – powiedział Grodzki. – Ja pytam poważnie, bo sprawa jest poważna.

– Ktoś moim samochodem popełnił jakieś wykroczenie? Spowodował wypadek i uciekł? Ja nie mam z tym nic wspólnego.

– Czy wyraża pan zgodę na to, żeby mój partner rozejrzał się po mieszkaniu?
– ponownie spytał Artur.

– Nie. Nie zgadzam się – zaprotestował urzędnik.

– Dobrze, więc załatwimy oficjalny nakaz przeszukania mieszkania wystawiony przez prokuratora. Panie Szymczak, jest pan zatrzymany pod zarzutem dokonania zabójstwa.

– Zabójstwa? Co pan pieprzy? – Szymczak zbladł. – Jakiego, kurwa, zabójstwa?

– Dziś odnaleźliśmy pański samochód. W bagażniku były zwłoki – powiedział Pasewicz, wyjmując z kieszeni kajdanki.

– O Boże...

Sekundę później Szymczak zemdlął.

* * *

Blok przy ulicy Dokerskiej nie wyróżniał się niczym szczególnym. Był podobny do pozostałych na tym osiedlu. Zwykle blokowisko, jakich pełno w tym mieście.

Grot wysiadł z samochodu i podszedł do bramy. W tym budynku na ósmym piętrze mieszkał Marek Kruszewski. Przed wejściem kilku wyrostków paliło papierosy. Wyglądali na typowych dresiarzy. Trzech małolatów i jakaś dziewczyna. Na oko nie miała więcej niż szesnaście lat. W ocenie Grota nie powinna się zadawać z takim towarzystwem. Gdy jeszcze był gliną, wiele razy widział takie grupki. Wiecznie zapracowani rodzice nie mieli czasu, żeby zająć się dziećmi. Potem wielu z nich było zdziwionych, że wychowaniem zajęli się rówieśnicy i ulica. A najbardziej byli zaskoczeni, gdy latorośl trafiła na dołek z zarzutami. Wtedy zaczynało się szukanie winnych. Część takich małolatów dostawała się w ręce policji. Jedni byli podejrzani o kradzieże, inni o handel narkotykami, a jeszcze inni o nielegalny ubój.

Popatrzył na stojących przed wejściem nieletnich. Dziewczynie nie wróżył więcej niż zostanie prostytutką lub zwykłą cichodajką. W ostateczności mogła

za parę dzinsów dawać dupy w galeriach handlowych.

Dresiarze stali przed wejściem i pili piwo. Co jakiś czas któryś splunął na ziemię albo głośno się zaśmiał. Nagle jeden z nich spojrzał na Grotą hardo i spytał:

– Masz jakiś problem, frajerze?

Detektyw uśmiechnął się do niego szeroko.

– Powiem ci, kolego, że poczułem się wyjątkowo mile zaskoczony faktem, że jest ktoś zainteresowany moimi problemami. Umiesz rozwiązywać problemy?

Dresiarz zrobił zaskoczoną minę.

– Chyba rzeczywiście, dziadek, masz problem.

– Każdy ma jakiś problem, synku. Najważniejsze to umieć zgłosić się po pomoc. Rozumiem, że jesteś jakimś terapeutą?

Dresiarz spojrzał na kolegów zupełnie zdezorientowany.

– Patrzcie, zgred się stawia. Chyba dawno, dziadku, wpierdol nie dostałeś.

– Synku, jak ty srałeś w pampersa, to ja już obijałem takie głupie ryje jak twój – wypalił Grot. – Idź do domu, obejrzyj sobie jakąś bajkę i daj spokój porządnym ludziom.

Dresiarz przez chwilę stał w miejscu. Widać było, że jest zdumiony słowami Grotą. W końcu ruszył w jego stronę z wyciągniętymi rękami. Zamachnął się, ale nie trafił. Grot wiedział, że musi być bezlitosny. Nie może nawalić. Od tego wiele zależało.

Wyprowadził kopnięcie w przód. Trafił dresiarza prosto w krocze. Małolat jęknął i się pochylił. Wtedy Grot poprawił kolanem prosto w twarz. Usłyszał chrzęst łamanego nosa. Był pewny, że przeciwnik już nie będzie stwarzał zagrożenia. Małolat leżał na ziemi i jęczał. Wyraźnie odeszła mu ochota do walki.

Grot odwrócił się w kierunku pozostałych. W ostatnim momencie zdążył odchylić głowę w bok. Cios, który wyprowadził jeden z młodzianów, minął go dosłownie o milimetry. Chłopak stracił równowagę i poleciał na ścianę przy wejściu do bramy.

Korzystając z okazji, Grot chwycił go za włosy i walnął jego głową o mur. Gdy ściana oddała dresiarzowi uderzenie, pchnął go w kierunku pozostałych.

– Dobra, chłopaki, na dzisiaj koniec – rzucił, głośno sapiąc.

– Nie tak szybko, dziadku. Myślisz, że problem załatwiony? – spytał jedyny pozostały na nogach dresiarz.

W jego ręku pojawiła się pałka teleskopowa. Grot patrzył na nią i zastanawiał się, jakie ma szanse na odebranie jej małolatowi. Kalkulacja nie wypadła najlepiej. Był już zmęczony dotychczasową walką. Sapał i z trudem łapał oddech.

– Chłopcze, zanim zrobisz coś głupiego, pozwól, że ci coś wytłumaczę. Są dwa rozwiązania, jeśli użyjesz pałki. Pierwsze to takie, że walniesz mnie tym batonem i wygrasz. Zyskasz wtedy w oczach koleżanki. Drugie: ja będę szybszy i ci ją odbiorę. Zgadnij, co wtedy zrobię.

Chłopak milczał. Pałka w jego dłoni nieznacznie drgnęła.

– Jak ci ją odbiorę, wsadzę ci ją tak głęboko w dupę, że koniec wyjdzie ci ustami. Ty decydujesz. Mam jednak propozycję. Przyjmijmy, że jest remis i się rozchodzimy – powiedział Grot.

Chłopak się zawahał. Detektyw tylko na to czekał. Szybkim susem doskoczył do niego i chwycił za rękę trzymającą narzędzie.

Dresiarz nie spodziewał się takiej reakcji i nawet nie zdążył cofnąć ręki. Gdy pałka teleskopowa znalazła się w dłoni Grota, ten podniósł ją i wykonał ruch, jakby miał zamiar uderzyć chłopaka. Dresiarz się skulił, a ręka Grota zatrzymała się w połowie drogi do jego głowy.

– Dobra, myślę, że wystarczy. Proponuję remis ze wskazaniem na mnie. Teraz macie kilka możliwości. Pierwsza to zapierdalać do domu i zapomnieć o całym wydarzeniu. Druga to lecieć po kumpli, ale to może być złe rozwiązanie. Jak się dowiedzą, że wpierdol spuścił wam dziadek, będą z was drzeć łacha. Trzecie wyjście to pogadać ze mną. Ja zadam kilka pytań, a wy odpowiecie. Pasuje?

– Spierdalaj – burknął jeden z dresiarzy, ten, który dostał z kolana prosto w twarz.

– To też jest jakiś pomysł – odparł Grot. – Ale na tę chwilę nie bardzo możliwy do zrealizowania.

Spojrzał na całą grupę. Wiedział, że żaden z tych małolatów nie ma chęci na kolejną rundę. Odejść stąd z podkulonym ogonem też im się nie uśmiechało. Przeniósł wzrok na dziewczynę, która stała z boku.

– A ty, koleżanko? Pomożesz mi?

– Z psami nie gadam – odparła zuchwale dziewczyna.

– Nie jestem psem. Jestem wolnym elektronem – powiedział Grot.

Zdawał sobie sprawę, że dziewczyna pewnie nawet nie ma pojęcia, czym jest elektron. Nie przejmował się tym zbytnio. Wyjął zdjęcie Kruszewskiego i pokazał jej.

- Widziałaś go tutaj?
- A co, jak powiem? – spytała dziewczyna.
- A co, jak nie powiesz?

Dziewczyna patrzyła na niego wyraźnie zaskoczona. Nie spodziewała się takiego pytania. Grot miał wrażenie, że może być ograniczona umysłowo, ale nie chciał ferować wyroków. Popatrzył na nią uważnie i powiedział:

– Słuchaj, ten chłopak to wasz sąsiad, ale o tym pewnie już wiesz. Zaginął i ja chcę go znaleźć. Nie chodzi tu tylko o mnie. Jego rodzina mnie wynajęła, żebym go znalazł. Pomożesz mi?

- Jesteś detektywem?
- Tak.
- Za darmo nic nie powiem.

Grot wyjął z kieszeni stówę.

– Macie tu na fajki i browary. Pasi?

– No... mieszka tu, ale nie było go od kilku dni – powiedziała małolata, chowając banknot do kieszeni.

Jej koledzy pozbięrali się już trochę i zerknęli na zdjęcie.

– On na ósmym mieszka – powiedział dresiarz, który jeszcze niedawno machał pałką teleskopową. – Ale wczoraj w nocy ktoś u niego był. Światło się świeciło.

– To chyba od niego wyłaził ten kark ze złamanym nosem. Minął nas wczoraj i krzywo patrzył – wtrącił kolejny. – Miał gnój szczęście, bo mógł wpierdół dostać.

– Ejże, kolego. Nie używamy słów – upomniał go Grot. – A i z tym dawaniem wpierdolu to lepiej nie wyskakuj. Ja też miałem dostać. Pamiętaj, chłopie, zacząć łatwo, ale potem można mocno oberwać. Wiesz, jakim autem przyjechał ten gość?

– Nie, stałem pod bramą, a on poszedł w stronę przystanku. Tam jest parking z boku. Pewnie na nim zaparkował.

– Dobra, dzięki. Jakby co, to nie ja – powiedział Grot i otworzył drzwi do bramy.

Wchodząc, czuł na plecach wzrok dresiarzy. Zastanawiał się, czy nie zaatakują go z tyłu lub nie poczekają na niego, jak będzie wychodził. Pałkę, którą zabrał jednemu z nich, schował do kieszeni. Miał nadzieję, że wychodząc z bramy, nie będzie musiał jej wyciągać.

Spotkanie po latach

Pogotowie przyjechało po kilku minutach. Ratownik medyczny sprawdził stan Szymczaka i stwierdził, że jego zdrowiu nic nie zagraża.

Przewieźli go na komendę i od razu zaprowadzili do pokoju przesłuchań. Naczelnik od ręki załatwił nakaz przeszukania mieszkania podejrzanego.

Jeszcze zanim Szymczak trafił do komendy, technicy przeszukujący jego mieszkanie ujawnili pistolet Glock. Był włożony do woreczka strunowego i umieszczony w spłucze.

Artur podejrzewał, że to z tej broni dokonano zabójstwa mężczyzny odnalezionego w samochodzie Szymczaka. Niemniej pistolet musiał przejść badania balistyczne, które to potwierdzą lub wykluczą.

Teraz Pasewicz wszedł do pokoju, w którym przebywał zatrzymany. W rogu pomieszczenia stał mundurowy i obserwował Szymczaka. Urzędnik siedział na krześle i kiwał się, jakby miał chorobę sierocą.

– Ma pan spore problemy, panie Szymczak – powiedział Pasewicz. – W pańskim mieszkaniu znaleźliśmy broń.

Szymczak spojrział na niego. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

– Mamy uzasadnione podejrzenie, że z tej broni zastrzelono mężczyznę, którego ciało zostało ujawnione w bagażniku pańskiego volvo.

Szymczak milczał.

– Prokurator już przebiera nóżkami, żeby postawić panu zarzuty. Jak pan będzie współpracował, to może uda się go przekonać, żeby nie startował z maksymalnym wyrokiem.

– Nikogo nie zabiłem – powiedział Szymczak.

Artur był zaskoczony tym, że zatrzymany w końcu się odezwał. Spodziewał się, że do końca przesłuchania będzie prowadził monolog.

– Ja nawet mógłbym w to uwierzyć, ale sąd raczej tego nie łyknie. Chcę dać panu szansę. Pan mówi wszystko, a ja zanotuję, że pan współpracował. Może dostanie pan tylko ćwiarę.

– Ćwiarę? – spytał Szymczak.

– Dwadzieścia pięć lat więzienia – wyjaśnił Artur. – Więc jak będzie? Współpracujemy?

Patrzył na Szymczaka i zastanawiał się, jaką ten podejmie decyzję. Zbyt dużego wyboru nie miał. Za wiele dowodów świadczyło przeciwko niemu.

– Ale ja naprawdę nikogo nie zabiłem. Zostałem naćpany i ktoś mnie wrabia.

– Dobrze. Pokażę panu zdjęcie denata – powiedział Artur. – Skoro pan nic nie pamięta, to może te zdjęcia odświeżą panu pamięć.

Otworzył leżącą na stole teczkę. Wyjął z niej kilka fotek i przesunął je w stronę Szymczaka.

– Patrz, kurwa! – krzyknął.

Szymczak się wzbraniał, nie chciał spojrzeć. W końcu jednak przeniósł wzrok na jedną z fotografii.

– To przecież Marek!

– Jaki Marek? – spytał Artur. Czuł, że zaraz się dowie, kim jest denat. To był już jakiś punkt zaczepienia.

– No... Marek Kruszewski, mój kolega. Znamy się z dzieciństwa. Jest dziennikarzem

– Zna pan jego adres?

– Nie, ale wiem, gdzie mieszka jego siostra. Ma dom na Bielanach. Są bogaci.

– Dobrze. Robi pan postępy – powiedział Artur.

– Panie władzo, ja go nie zabiłem! – Szymczak przez chwilę milczał. Patrzył na swoje skute nadgarstki. W końcu podniósł wzrok i powiedział: – Chciałbym coś zeznać, ale potrzebuję ochrony. Ci, co zabili Marka, mogą chcieć zabić też mnie. Teraz wiem, że chcą mnie wrobić. Mam ogromną wiedzę. Podejrzewam, że chcą mnie uciszyć. Sprawa dotyczy powiązań polityków, urzędników i biznesmenów. To prawdziwy układ. To z tego powodu pewnie zginął Marek.

Artur był zaskoczony słowami podejrzanego. To, co powiedział Szymczak, mogło świadczyć o tym, że mają do czynienia z ogromną aferą. Sam nie mógł zdecydować, co dalej z tymi informacjami począć. Będzie musiał pójść z tymi rewelacjami do Ratajczyka.

W tym samym momencie otworzyły się drzwi i do pomieszczenia wszedł naczelnik. Spojrzył na Szymczaka, a następnie zwrócił się do mundurowego:

– Wyprowadź zatrzymanego. Ma trafić do izby zatrzymań. Koniec przesłuchania.

– Panie władzo, ja wszystko powiem... Mogę wam pomóc... – prawie krzyczał Szymczak.

Policjant pomógł wstać zatrzymanemu i wyprowadził go z pomieszczenia.

Artur przez chwilę patrzył w ślad za Szymczakiem, po czym spojrzał na przełożonego.

– Co się dzieje? Nie dał nic na papier – powiedział.

– Olej to. Facet leci na obserwację na Kraszewskiego. Żelichnowski godzinę temu złożył wniosek do sądu o obserwację psychiatryczną w celu stwierdzenia niepocztytalności. Sąd od ręki go przyklepał.

– Nie pierdol. Pierwszy raz słyszę, żeby coś takiego załatwiano w takim ekspresowym tempie.

– Ja też. Weź jednak pod uwagę, że facet jest urzędasem, i to na skalę wojewódzką. To nie jest zresztą zwykła sprawa. Widziałem nagranie z jego tańców i swawoli. Prokurator też je widział i od razu złożył wniosek o psychiatryk.

– Coś mi tu śmierdzi. Wszystko zapierdala zbyt szybko. Na decyzję o obserwacji czeka się z reguły kilka miesięcy, a tu dziś zwłoki, dziś zatrzymany i dziś wariatkowo. Kurwa, wali zbyt mocno.

– Wiem, ale co mam zrobić? – Ratajczyk wzruszył ramionami. – Zbierajcie na gościa kwity i tyle.

Artur pokręcił głową z niedowierzaniem. Naczelnik podniósł ramiona w geście bezradności.

– Ciekawe, jaką wiedzę chciał się podzielić Szymczak – powiedział Pasewicz.

– Nie drąż. Nie warto.

* * *

Grot wysiadł z windy na ósmym piętrze. Stał na korytarzu i rozejrzał się dookoła. Zamierzał się włamać do mieszkania Kruszewskiego. Nie chciał jednak, aby ktoś go widział.

– W sumie nawet jak ktoś coś zobaczy, to co mi zrobi? – spytał sam siebie.

Stał przodem do drzwi i wyjął z kieszeni komplet wytrychów. Kilkanaście lat temu miał szkolenie z otwierania drzwi. Prowadził je stary esbek w stopniu sierżanta. Facet był specjalistą od przeszukiwań. Umiał nie tylko wejść do

mieszkania bez pomocy klucza, ale też przeszukać je w taki sposób, by właściciel nawet nie zauważył, że ktoś w nim był.

Drzwi otworzyły się gładko. Zamek nie był zbyt wymagającym przeciwnikiem. Typowy model dostępny w każdym markecie budowlanym. Jego wartość nie przekraczała pięćdziesięciu złotych.

Grot chwilę stał w bezruchu. Starał się wyłowić jakikolwiek odgłosy świadczące o tym, że ktoś może być w mieszkaniu. Pół biedy, jakby w środku był jakiś zbir, wtedy doszłoby do starcia. Gorzej, gdyby Kruszewski miał jakąś stałą partnerkę, o której siostra nie miała pojęcia. Nie dałoby się pewne w prosty sposób wytłumaczyć włamania.

Nie słyszał jednak nic podejrzanego. Wszedł więc do środka i zapalił światło. Jeśli miał cokolwiek tu znaleźć, musiał tego szukać, gdy jest jasno. Grzebanie przy świetle latarki nie było najlepszym rozwiązaniem. Stał na środku przedpokoju i się rozejrzył.

Mieszkanie było zwykłą norą, reliktem z czasów komuny. W przedpokoju położona była stara boazeria, parkiet od dawna wymagał co najmniej cyklinowania. Na podłodze zauważył kawałek papieru. Ktoś musiał wsunąć go pod drzwi.

Pochylił się i podniósł kartkę.

– „Marek, byłam u ciebie na Ślężnej i tu. Odezwij się. Przepraszam za to, co złe. Proszę, daj mi szansę. M.” – przeczytał na głos treść wiadomości.

Przez chwilę patrzył na kartkę.

– Kurwa, „u ciebie na Ślężnej”?

Treść wiadomości wyraźnie świadczyła o tym, że Kruszewski miał jeszcze jedno mieszkanie, o którym Zawadzka nie miała pojęcia. Jeśli ona nie wiedziała, to bandyci także mogli o nim nie wiedzieć. To była dla Grota szansa.

– I kim, kurwa, jest M.?

Siostra zaginionego nie wiedziała nic o żadnej aktualnej dziewczynie brata. Z poprzednią się rozstał. Grot nie miał pojęcia, co mogło być powodem. Z doświadczenia wiedział, że w życiu zdarzają się rzeczy, które się nie śniły nawet filozofom. Kim była M? Marta, Monika, Małgosia, a może Marzena? Możliwości było sporo. Mogło się też okazać, że Kruszewski gustował w chłopcach i M. to był Marek lub Michał. Jednak słowo „byłam” rozwiało wszelkie wątpliwości. Kruszewski spotykał się z jakąś kobietą i ona mogła coś wiedzieć na temat artykułu, który zamierzał napisać dziennikarz.

Schował kartkę do kieszeni i wszedł do kuchni. Przez chwilę przeglądał szafki, jednak nic ciekawego w nich nie znalazł. W lodówce było tylko światło.

– Facet żył skromniej niż ja – mruknął.

Poszedł do pokoju. W pomieszczeniu panował wręcz idealny porządek. Jednak on wiedział, że ktoś tu szperał. Widział ślady świadczące o tym, że ktoś czegoś tu szukał. Podczas spotkania w restauracji Zawadzka sama powiedziała, że w mieszkaniu brata pojawił się rzekomy krewny. Była pewna, że lokal został gruntownie sprawdzony. Grot także to widział i stwierdził, że nie ma co marnować czasu. Jeśli coś było tu schowane, to na pewno zostało już odnalezione. Osoba, która przeszukiwała mieszkanie, znała się na swojej robocie.

Poszedł do łazienki i otworzył szafkę nad umywalką. W kubku stała pasta do zębów i jedna szczoteczka. Obok – dezodorant i woda po goleniu. Nie było żadnej pianki ani maszynki. Zaskoczyło to Grotę.

– Facet ma wodę po goleniu, a nie ma żadnej maszynki, pędzla ani kremu? – mruknął pod nosem. – Czym się, chłopaku, goliłeś? Linijką?

Otworzył pralkę i szybko przejrzał zawartość. W środku było parę slipek, trzy koszulki i kilka par skarpet. W koszu na brudną bieliznę odnalazł to, co potwierdziło jego przypuszczenia. Podniósł czerwony stanik.

– A więc M. to laseczka...

Uśmiechnął się. Zawinął biustonosz w leżący na pralce złożony w kostkę ręcznik. Następnie wyszedł z łazienki i udał się w stronę wyjścia. Zdawał sobie sprawę, że będzie musiał pogadać z byłą dziewczyną Kruszewskiego. Jak w bajce o Kopciuszku będzie zmuszony sprawdzić, czy stanik należy do niej.

* * *

Dąb z ukrycia obserwował adres przy Dokerskiej.

Już z daleka rozpoznał Grotę. Spodziewał się, że były gliniarz prędzej czy później tu przyjedzie. Patrzył, jak podchodzi do grupki młodzieży pijącej piwo przed wejściem do budynku. Z zaciekawieniem obserwował, jak mężczyzna rozprawia się z małolatami. W pewnym momencie chciał się nawet wtrącić, gdy jeden z małolatów wyjął pałkę teleskopową. Powstrzymał się jednak i obserwował, jak Grot spuszcza mu łomot.

Potem sytuacja się uspokoiła, a były gliniarz wyjął jakąś kartkę. Dąb podejrzewał, że było to zdjęcie Kruszewskiego. Wiedział, że Grot wypytuje małolatów o dziennikarza. Wszystko trwało kilka minut. Potem detektyw wszedł do budynku.

Gdy zapaliło się światło w mieszkaniu, Dąb był już pewien, że Grot idzie tym samym tropem co on. Wczoraj sam był w tym mieszkaniu, ale niczego nie znalazł. Zastanowiła go jednak kartka leżąca w przedpokoju. Nie wiedział, kim była osoba, która ją zostawiła, ani gdzie na Ślężnej było mieszkanie, o którym pisała tajemnicza M. Nie chciał mieszać innych osób do ustalenia tych danych. Postanowił, że pójdzie tropem Grota. Jeśli facet jest tak dobry, jak mówił Dębskiemu skundlony gliniarz, to bez trudu odnajdzie ten adres.

Teraz Dąb wysiadł ze swojej beemki i ruszył w kierunku samochodu Grota. Rozejrzał się dookoła, po czym wyjął z kieszeni mały przedmiot. Schylił się i umieścił go pod oplem. Lokalizator GPS był sprowadzony specjalnie dla niego z Ameryki. Karta SIM włożona w urządzenie zarejestrowana była na cudzoziemca. Zabezpieczył się dobrze. Praktycznie nie było szansy, aby ustalić, kto podłożył urządzenie.

Rozejrzał się ponownie. Nie widział nikogo w pobliżu i był przekonany, że nikt nie dostrzegł, co przed chwilą zrobił. Spokojnym krokiem wrócił do swojego bmw X6. Zastanawiał się, czy zostać na miejscu, dopóki Grot nie wyjdzie, czy może podjechać na jakąś stację na kawę.

Wiedział, że dzisiaj długo nie zaśnie.

* * *

Po wyjściu z domu Kruszewskiego Grot udał się na adres jego byłej dziewczyny.

Zdawał sobie sprawę, że szansa na to, że Kruszewski się z nią zszedł i całkowicie zapomniał o bożym świecie, była znikoma. Musiał jednak sprawdzić taką ewentualność. Nie chciał się później zastanawiać, czy nie popełnił błędu. Z każdą chwilą malały szanse, że dziennikarz odnajdzie się cały. Jeśli ktoś w tak wprawny sposób przeszukał mu mieszkanie, to oznaczało, że jest profesjonalistą. Jeśli Kruszewski zadarł z kimś takim, oznaczało to, że artykuł, który zamierzał napisać, mógł zatrzęsnać miastem. Kruszewski sam powiedział siostrze, że jak napisze o tym, co odkrył, to polecą łby.

Sprawa była poważna. Grot przypomniał sobie zbirów, których spotkał na parkingu. Oni także byli profesjonalistami. To, że rozłożył tych mięśniaków, o niczym nie świadczyło. Równie dobrze to on mógł dostać od nich łomot. Nie lekceważył ich. Nikogo nie mógł teraz lekceważyć.

Stał przed wejściem do kamienicy na Mickiewicza. To tutaj wraz z matką mieszkała była dziewczyna Kruszewskiego. Nacisnął przycisk domofonu i po

chwili usłyszał kobiecy głos:

– Słucham.

– Dzień dobry. Chciałbym rozmawiać z panią Anetą Wójcik. Moje nazwisko Grot.

– A w jakiej sprawie?

– Mam do niej kilka pytań, a nie chciałbym rozmawiać przez domofon.

– Pan jest z policji?

– Tak – skłamał.

Dwie sekundy później usłyszał dźwięk otwieranej bramy.

Wszedł do środka i udał się na piętro. Na korytarzu czekała już na niego około pięćdziesięcioletnia kobieta.

– Proszę wejść – powiedziała, uważnie rozglądając się na boki. – Nie chcę, żeby sąsiedzi gadali.

Grot wszedł do mieszkania i zobaczył stojącą w przedpokoju młodą dziewczynę. Była nadzwyczaj ładna, miała wprost idealną figurę.

– Pan do mnie? – spytała.

– Tak. Chciałbym z panią porozmawiać na temat Marka Kruszewskiego.

– Marka? Nie rozumiem... Niech pan wejdzie do pokoju.

Wszedł do środka i zajął wskazane przez dziewczynę miejsce. Aneta Wójcik usiadła na wersalce. Jej matka stała w progu.

– Może zaparzę herbatę lub kawę? – spytała kobieta.

– Poprosimy, mam – powiedziała Aneta. – Kawy?

– Chętnie – odparł Grot.

– A więc co pan chce wiedzieć na temat Marka? – spytała dziewczyna, gdy jej matka wyszła.

Poprawił się na krześle.

– Wiem, że była pani kiedyś jego dziewczyną. Wiem także, że rozstali się państwo w cywilizowany sposób. Z tego, co mówiła siostra Marka, żyliście potem w przyjaźni.

– W sumie tak było... Gdy zaczęliśmy się spotykać, myśleliśmy, że to jest coś wyjątkowego. Mieliśmy nawet udany związek. Na początku. Potem jednak coś wygasło. – Dziewczyna patrzyła w jakiś punkt na ścianie. Grot wiedział, że wspomina byłego chłopaka. – Po rozstaniu nawet nam się układało. Byliśmy przyjaciółmi, chociaż to może wydawać się dziwne. My jednak nie mieliśmy do siebie żadnej urazy. Od czasu do czasu rozmawialiśmy przez telefon. Kilka razy wyskoczyliśmy na piwo.

– A kiedy ostatni raz pani z nim rozmawiała?

– A co się stało? – Aneta Wójcik spojrzała na Grotę uważnie.

– Marek zaginął. Zostałem wynajęty przez jego siostrę. Mam go odnaleźć. Szukam osób, które mogą mieć jakąkolwiek wiedzę na temat tego, gdzie może przebywać.

– Niedobrze... Ostatni raz gadaliśmy kilka dni temu. Będzie z tydzień.

Do pokoju weszła matka dziewczyny z tacą, na której stały dwa kubki z kawą i cukiernica.

– A o czym rozmawialiście? – spytał Grot.

– Przepraszam, czy pan o coś podejrzewa moją córkę? – zapytała kobieta.

– Nie, broń Boże. Szukam śladów, jakiegoś punktu zaczepienia.

– To może powiesz panu, Anetko...

– Mamo! – gwałtownie przerwała dziewczyna.

Grot zwrócił uwagę na jej zachowanie. Wiedział, że Aneta Wójcik coś ukrywa.

– Niech pani mówi – zachęcił. – Jeszcze jest szansa na uratowanie Marka.

– Uratowanie? Czy coś mu grozi? – spytała dziewczyna. Widać było, że jest zaniepokojona.

– Tego nie wiem. Wiem jednak, że może być w niebezpieczeństwie. Z tego, co do tej pory udało mi się ustalić, zadarł z bardzo groźnymi ludźmi.

– Marek był tu jakiś czas temu. Mówił, że ma dostać coś ekstra. Że to, co napisze, wstrząśnie opinią publiczną. Nie mówił jednak co.

– Czy coś zostawił? Może jakąś dyskietkę albo pendrive'a? – spytał Grot.

– Nie. Powiedział jednak coś, czego nie rozumiem. Powiedział: „Opel, pamiętaj, że to jest opel”. Ale nie wiem, o co chodzi. Przez jakiś czas nad tym myślałam. Zastanawiałam się, o co mu chodziło, ale nic nie wymyśliłam. Nie rozumiem tego.

– Ja też nie. A jak się zachowywał?

– W sumie normalnie, ale jakoś tak nerwowo się rozglądał. To było trochę dziwne. Myśli pan, że został porwany, a nie zaginął?

Kobieta patrzyła na Grotę uważnie. Nie wiedział, co ma jej powiedzieć. Z jednej strony nie chciał jej straszyć. Nie chciał też dawać jej złudnej nadziei. Uważał, że nawet jeśli Kruszewski wciąż żyje, jego godziny są policzone.

– Każdą wersję bierzemy pod uwagę. Jeśliby się z panią skontaktował, to proszę dać mi znać. Tutaj ma pani mój numer telefonu. – Wyjął z kieszeni wizytownik i wręczył dziewczynie kartonik.

Potem wstał od stołu i zaczął się kierować w stronę wyjścia. Już pod drzwiami odwrócił się i spytał:

– A czy wiadomo coś pani na temat jego życia prywatnego? Spotykał się z kimś?

Aneta Wójcik pokręciła głową.

– Nic mi nie mówił.

– Z tego, co udało mi się dowiedzieć, spotykał się z jakąś dziewczyną. Ma imię zaczynające się na literę „M”.

– Nie chwalił się, ale w sumie to nic dziwnego. Jak się rozstawaliśmy, podjęliśmy wspólną decyzję, że nie będziemy się ranić i opowiadać sobie o swoich kolejnych związkach. Wie pan, my generalnie się kochaliśmy, a tylko pewne niezależne od nas okoliczności sprawiły, że nie jesteśmy razem.

– Rozumiem. Nie będę już paniom przeszkadzał. Do widzenia.

– Do widzenia. I niech pan odnajdzie Marka – powiedziała Aneta.

– Niech mi pani wierzy, staram się – zapewnił Grot, naciskając klamkę.

Kilka sekund później schodził już po schodach.

* * *

Pasewicz dostał od dyżurnego adres siostry denata znalezionej w bagażniku volvo. Wiedział, że będzie musiał do niej pojechać i powiadomić o odnalezieniu ciała jej brata.

Zawsze miał z tym problem. Źle się czuł, widząc, jak bliscy ofiar dowiadują się o bezpowrotnej stracie. Jedni reagowali płaczem, inni zadawali masę pytań, jeszcze inni zamykali się w sobie. W takich sytuacjach musiał być nie tylko posłańcem złej nowiny, ale poniekąd psychologiem i pocieszycielem. Wielokrotnie musiał powiadamiać rodzinę o znalezieniu zwłok i za każdym razem to przeżywał.

Najbardziej nie lubił, gdy musiał powiadomić o śmierci w obecności dzieci. One reagowały najbardziej emocjonalnie. Nie wiedziałyby, jak wytłumaczyć maluchom, że ich ojciec lub matka już nigdy nie wrócą do domu, że nigdy ich nie przytulą, nigdy nie poczytają im bajki. Dorośli mają świadomość, że życie to nie tylko cud narodzin, ale także ból śmierci, że każdy z czasem odchodzi, a niektórzy w sposób tragiczny. Z dziećmi jednak jest inaczej – one nie znają praw rządzących tym światem.

Artura czekało teraz trudne zadanie. Joanna Zawadzka będzie zła. Zgłosiła zaginięcie brata, ale policjant przyjmujący zgłoszenie zbagatelizował sprawę. Ona i jej bliscy na pewno tak tego nie zostawią. Będą żądali wyjaśnień. Podejrzewał, że sprawą zainteresują się lokalne media i siostra zmarłego będzie

starła się doprowadzić do ukarania winnych zaniedbań. A on, Pasewicz, jako posłaniec złych wiadomości oberwie jako pierwszy. Liczył się z tym. Miał jednak nadzieję, że Zawadzka zrozumie, iż on tylko prowadzi śledztwo w sprawie śmierci Kruszewskiego, a nie jest odpowiedzialny za całą formację.

Wyszedł na parking i otworzył służbowego fiata. Już miał zamiar wsiąść, gdy zaczęła dzwonić jego komórka. Spojrzał na wyświetlacz. Telefonował Walczak. Kusilo go, aby odrzucić połączenie, wiedział jednak, że stary nie odpuści i będzie się dobijał. Wolał mieć tę rozmowę za sobą.

– Słucham. – Zbliżył telefon do ucha.

– Słuchaj pan, jesteś pan w domu?

– W pracy jestem.

– A kiedy pan będziesz? Bo jest ten pan z ubezpieczeń i możemy teraz podjechać.

– Panie Walczak, niech mi pan da tego człowieka do telefonu.

Przez chwilę słyszał w słuchawce jakieś szmery. W końcu rozległ się głos:

– Dzień dobry, Ambroziak. Jestem rzeczoznawcą i chciałbym wycenić szkodę. Chodzi o to zalanie.

– Dzień dobry, Pasewicz. Rozumiem, że chce pan zakończyć tę sprawę, ale musi pan wziąć pod uwagę, że ja także pracuję i mam nienormowany czas pracy.

– Rozumiem, ale wie pan, jak jest. Właściciel mieszkania naciska na mnie. Praktycznie już chce wypłaty odszkodowania.

– Dobrze, jutro rano, gdzieś tak do ósmej będę w domu. Jeśli panu pasuje siódma trzydzieści, to zapraszam.

– Dobrze, dostosuję się. Coś tam poprzesuвам... Czyli jesteście umówieni?

– Tak. Niech mi pan jeszcze da Walczaka.

Mężczyzna przekazał telefon właścicielowi mieszkania.

– Panie Walczak, na jutro rano umówiłem się z panem Ambroziakiem... – zaczął Artur.

– Ale mnie nie pasuje. Mam iść do kolegi pomóc mu w naprawie daszku w altance.

– Panie Walczak, nie interesuje mnie remont jakiegoś daszku. Nie będziemy kombinować z kolejnym terminem. Naciskał pan od dłuższego czasu, więc jutro sprawa będzie załatwiona.

– Słuchaj pan, a nie można na piętnastą? Wie pan, remont, ja obiecał...

– Ja jestem jutro do ósmej w domu. Albo pan będzie, albo będziemy czekać na kolejny termin.

– Ale będziesz pan? Bo chcę też pogadać o zaległościach. Pan nie płaci czynszu i trzeba to załatwić.

– Ja nie płacę? Z tego, co wiem, wszystko jest uregulowane. Mniejsza teraz z tym. Zajęty jestem. Jutro pogadamy.

Artur przerwał połączenie i schował komórkę do kieszeni.

– Co ten stary znowu wymyśla? – mruknął do siebie, wsiadając do auta.

* * *

Grot przyjechał do Zawadzkiej. Miał do niej kilka pytań. Poza tym ciekawiło go, czy znalazła coś, przeszukując dom.

Wjechał na teren posesji i od razu zauważył samochód, którego wcześniej tu nie widział. Było to czarne audi Q7, na pierwszy rzut oka prosto z salonu. Był ciekaw, do kogo może należeć. Podejrzewał, że dzisiaj pozna męża Zawadzkiej.

Wysiadł z opla, podszedł do drzwi i nacisnął dzwonek. Kilkanaście sekund później w progu stanęła pani Stasia.

– Dzień dobry panu... To chyba nie jest najlepszy moment.

Do uszu Grota dobiegły odgłosy awantury na piętrze. Wśród nich wyróżniał się donośny męski głos. Mężczyzna wyraźnie robił komuś wyrzuty. Po chwili Zawadzka także podniosła głos. Krzyczała, że mężczyzna szasta pieniędzmi, że ciągle kupuje nowe samochody, że nie liczy się z jej zdaniem.

– Muszę porozmawiać z panią Joanną – powiedział Grot.

Nie zdążył nic więcej dodać, bo trzasnęły jakieś drzwi i po schodach zaczęła schodzić pani domu.

– Wracaj tutaj! Jeszcze nie skończyłem! – dobiegło zza jej pleców.

Zawadzka nie zważała na słowa męża. Spojrzała na Grota i uśmiechnęła się smutno.

– Proszę, niech pan wejdzie. Zapraszam do kuchni – powiedziała, wskazując kierunek.

Po chwili na schodach pojawił się mężczyzna. Grot wiedział, że to mąż klientki. Zlustrował go, oceniając szybko. Był to typowy goguś z brzuszkiem wylewającym się z paska dżinsów. Miał na sobie obcisłą koszulkę, a na nogach jakieś pikolaki. Zafarbowane na czarno włosy ulizał żelem. Całości dopełniały okulary Ray Ban. Wyglądał jak lalusz, który ma kasę i nie musi się przejmować tym, czym zwykli przejmować się inni ludzie. Zwykły placek korzystający z życia i pieniędzy, które ma, a właściwie, które ma jego żona.

Facet był wyraźnie zdenerwowany i nawet nie zauważył obecności Grota. W dalszym ciągu dążył do awantury.

– Wracaj, do cholery! – krzyknął w stronę żony. – Co ty sobie myślisz!

– Daj mi już spokój – westchnęła słabo Zawadzka.

– Ja mam dać ci spokój? No kurwa! Ja mam dać ci spokój?

– Tak. Nie chcę się kłócić. Mam dość takiego życia.

– Jakiego? Co ty pierdolisz? – Mężczyzna podszedł do niej bliżej, tak że stanęli twarzą w twarz.

– Jesteś wulgarny. Nie chcę żyć z kimś, komu zależy tylko na moich pieniądzach.

– Mnie zależy na pieniądzach? Pierdolisz głupoty.

– A nie? Ciągłe cię nie ma. Ciągłe tylko kupujesz jakieś samochody. Gdyby nie ja, jeździłbyś autobusem. Udajesz bogacza, a jesteś zwykłym podstarzałym playboyem...

W tym momencie mężczyzna uderzył Zawadzką z otwartej dłoni w twarz.

Niewiele myśląc, Grot pokonał kilka metrów, które go od niego dzieliły. Zanim mąż Zawadzkiej uderzył ją po raz drugi, chwycił go za nadgarstek i ścisnął z całej siły. Mężczyzna odwrócił się i spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– Kim ty, kurwa, jesteś? – spytał, zaciskając zęby z bólu.

– W sumie nikim – odparł Grot, patrząc mu prosto w oczy. – Ale nie lubię, gdy ktoś bije kobietę.

Joanna Zawadzka stała bez ruchu. Po jej policzkach płynęły łzy.

– Niech pan go puści – powiedziała cicho. – Już go pan wystraszył.

Detektyw spojrzał w jej stronę. Wiedział, że ona najlepiej zna swojego męża. Okazało się, że to typowy damski bokser. Do kobiety odważny, ale gdy poczuje, że może oberwać, staje się miękki jak członek stulatka.

Puścił jego dłoń. Facet zaczął rozmasowywać bolący nadgarstek. Z wściekłością patrzył na Grota.

– Załatwię cię – wysyczał.

– Chłopie, nie strasz – prychnął Grot. – Powiem ci jedną rzecz. Przez lata łapałem zabójców, znam ich metody i wiem, w jaki sposób ukrywali zwłoki. Ja je odnajdywałem. Rozumiesz, co to znaczy? Skoro wiem, jak odnajdywać ciała, mam też wiedzę, jak je ukryć, tak żeby nikt ich nie znalazł.

Zawadzki przez chwilę się wahał. W końcu odwrócił się i skierował do wyjścia. Usłyszeli trzaśnięcie drzwi, a po kilku sekundach odgłos odpalonego silnika i pisk opon na podjeździe.

Grot odwrócił się w kierunku swojej klientki.

– Wszystko w porządku? – spytał.

– Tak, jutro mu przejdzie. Przepraszam za to, co pan zobaczył – powiedziała Zawadzka.

– Gorsze rzeczy widywałem.

– Pójdziemy do mojego gabinetu czy woli pan posiedzieć tutaj przy herbacie?

– Jak pani woli. Mnie to obojętne.

Widział, że Zawadzka jest zawstydzona całą sytuacją. Nie chciała, żeby to wszystko zobaczył.

– To chodźmy na górę – zdecydowała, po czym zwróciła się do gosposi: – Pani Stasiu, może pani przygotować dwie herbaty i przynieść do gabinetu?

– Tak, już robię.

Ruszyła w stronę schodów. Grot swoim zwyczajem patrzył na jej zgrabne nogi. Podobała mu się. Uważał, że jest warta grzechu. Wielu facetów chętnie związałoby się z taką kobietą. On był jednym z nich. I bynajmniej nie chodziło tu o aspekt finansowy, choć musiał przyznać, że on też miał spore znaczenie. Bardziej pociągał go jej intelekt i wygląd. Dziwił się, że mąż jej nie docenia. Przecież gdyby nie ona i jej pieniądze, facet nie miałby możliwości wożenia dupska takimi furami.

Weszli do gabinetu. Grot usiadł na swoim miejscu, a Zawadzka jeszcze przez moment stała przy oknie. W końcu ona też zajęła swój fotel.

– Jeszcze raz przepraszam za to, czego był pan świadkiem – odezwała się. – A teraz przejdźmy do rzeczy. Przeszukałyśmy z panią Stasią większość domu. Każdą płytę CD, DVD, pendrive i inne nośniki spakowałyśmy do kartonów. Potem będziemy musiały to przejrzeć. Oczywiście istnieje możliwość, że Marek schował coś w miejscu, gdzie nie spodziewałyśmy się czegokolwiek znaleźć. Będziemy to jednak wiedziały dopiero, gdy dokończymy poszukiwania.

– Dobrze. A teraz mam do pani kilka pytań – powiedział Grot.

– Niech pan pyta.

– Co pani wie o życiu prywatnym Marka?

– Nie rozumiem?

– Chodzi mi o jego związki. Czy wie pani coś o dziewczynie o imieniu na literę M?

– Nie, nic nie wiem o żadnej dziewczynie. A skąd to pytanie?

– Znalazłem w mieszkaniu pani brata kartkę i stanik w koszu na brudną bieliznę. Oto ona. – Grot wyjął z kieszeni kartkę i wręczył ją Zawadzkiej.

Klientka długo się w nią wpatrywała. W końcu położyła ją na blacie biurka.

– Nic nie wiem o tej dziewczynie. Marek nic mi nie mówił, nawet się nie zająknął. Nie mam pojęcia dlaczego. Nasze relacje były poprawne. Można nawet powiedzieć, że byliśmy nie tylko rodzeństwem, ale i przyjaciółmi. Wie pan, że Marek doradzał mi rozstanie z mężem?

– Nie dziwię się. Taki facet nie pasuje do pani. – Grot wzruszył ramionami. – Ale to pani sprawa, ja nie wnikam w pani życie prywatne. Muszę jednak wiedzieć jak najwięcej o życiu pani brata.

– Rozumiem. Na tej kartce jest napisane, że ta M. była w mieszkaniu Marka na Ślężnej. Nie miałam pojęcia o tym, że ma dwa mieszkania...

– Czyli pani brat miał jakieś tajemnice. Może nie było to drugie życie, ale coś skrywał.

Detektyw spojrzął uważnie na klientkę. Była zawstydzona tym, że odkrył więcej na temat życia prywatnego jej brata, niż ona sama wiedziała.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi.

* * *

Stojąc w korku na wysokości cmentarza Armii Czerwonej przy Karkonoskiej, Pasewicz patrzył na sąsiednie samochody. Kilka z nich mogło budzić podziw. Zastanawiał się, skąd ludzie brali pieniądze na takie cacka. On, choćby pracował w policji całe życie, nie byłby w stanie pozwolić sobie na taki zakup. Dziwiło go, że część ludzi ciężko zasuwa i ledwo wiąże koniec z końcem, a niektórym wszystko spada jak manna z nieba.

Kilku jego kumpli z podwórka i ze szkoły miało własne firmy. Pobudowali wspaniałe domy. Co roku jeżdżą na wakacje do ciepłych krajów. Na brak pieniędzy także nie narzekają. Mogą sobie pozwolić praktycznie na wszystko. A on musiał liczyć każdą złotówkę. Zanim cokolwiek sobie kupi, zastanawia się kilka razy. Kasia także nie zarabia kokosów. Pracowała tylko na pół etatu, więc jej dochody znacząco nie poprawiały ich sytuacji.

Paru innych kolegów dorabiało, stojąc na bramkach w lokalach nocnych. Narzekali na zarobki w policji i łapali każdą fuchę. Namawiali Artura, by zajął się czymś poza robotą w zabójcach. Nie zdecydował się jednak. Uważał, że służba w policji to służba, a nie praca. Żeby być dobrym gliną, trzeba

maksymalnie poświęcać się robocie. Nie można być gliniarzem od szóstej do czternastej.

Patrzył na powoli poruszające się samochody i kusiło go, żeby włączyć koguta i syrenę. Był w pracy, więc miałby uzasadnienie. Z drugiej strony podświadomie chciał odwlec moment, kiedy stanie przed Zawadzką i powie jej o śmierci brata.

Samochody znowu stanęły. Nie było na co czekać. Musiał jak najszybciej załatwić to, co trudne, i zająć się śledztwem. Wyjął ze schowka koguta i położył go na dachu. Kilka sekund później jechał już w miarę szybko. Samochody zjeżdżały mu z drogi.

Dotarł na Bielany w niespełna cztery minuty. Zaparkował przed wjazdem na posesję. Zdjął koguta z dachu, wysiadł i ruszył do drzwi.

* * *

– Proszę! – zawołała Joanna Zawadzka.

Drzwi się otworzyły i do gabinetu weszła gospoia. Na tacy miała dwie filiżanki i cukiernicę.

Nagle rozległ się dzwonek do drzwi. Pani Stasia postawiła tacę na stole i wyszła.

– Czyli podsumowując – odezwał się Grot – na tę chwilę nie jesteśmy nawet o krok bliżej odnalezienia pani brata. Wiemy, że ma lub miał dziewczynę. Wiemy też, że ma jakieś tajne mieszkanie na Ślężnej. Gdyby udało się ustalić, gdzie dokładnie się ono znajduje, może znaleźlibyśmy w nim coś, co pomogłoby w poszukiwaniach.

– Co pan sugeruje?

– Przede wszystkim musimy się dowiedzieć, kim jest ta M. Ona będzie wiedzieć, gdzie jest mieszkanie. A to już jakiś krok naprzód.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę – powiedziała Zawadzka.

W progu znów stanęła gospoia.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale jest tutaj jeden pan z policji. Chciałby z panią porozmawiać.

– Niech go pani wpuści na górę.

Zawadzka wstała z fotela i obeszła biurko, żeby przywitać kolejnego gościa.

Grot spojrział na nią. Wiedział, że nie jest świadoma powodu wizyty policji. Skoro zgłosiła zaginięcie brata, a teraz odwiedza ją funkcjonariusz, mogło to

oznaczać tylko jedno. Stało się coś złego. Podejrzał, że znaleziono Marka Kruszewskiego. Czuł, że jego praca nie ma już sensu. Został wynajęty, aby odnaleźć mężczyznę, i nie wykonał roboty należycie. Dziennikarz został znaleziony i prawdopodobnie był martwy.

Gdy do pokoju wszedł Pasewicz, jego kumpel z czasów, gdy Grot był jednym z zabójców, upewnił się, że się nie myli. Obecność Artura świadczyła jednoznacznie o tym, że sprawy przybrały tragiczny obrót.

– Cześć, Artur – przywitał dawnego kompana.

– O... Cześć! – Pasewicz ewidentnie się go nie spodziewał. Na jego twarzy malowało się zdumienie

– Nie musisz nic mówić. Wszystko już wiem.

– Co pan wie? – spytała Joanna Zawadzka, patrząc z zaciekawieniem na Grotę.

– Pani Joanno, Artur przyjechał tutaj w celu spełnienia przykrego obowiązku. Musi panią powiadomić o śmierci pani brata – odpowiedział Grot.

Czuł, że Pasewicz jest mu wdzięczny za wyręczenie go z obowiązku, który na niego spadł. Skinął tylko głową na znak, że Grot ma rację.

Joanna Zawadzka zaczęła osuwać się na podłogę. Grot złapał ją w ostatniej chwili.

* * *

Dąb przyjechał za Grotem aż na Bielany.

Patrzył, jak były gliniarz parkuje opla na posesji. Z informacji, które miał, wynikało, że mieszka tu siostra Kruszewskiego. To wiele wyjaśniało – kobieta wynajęła byłego policjanta do odnalezienia brata. Może i Grot go znajdzie, ale chłopak raczej nie będzie w stanie opowiedzieć, co go spotkało. Policja już zatrzymała Szymczaka w sprawie zabójstwa. Zwłoki znalezione w jego samochodzie były kluczowym dowodem w sprawie. Dąb wiedział też, że prokurator zawnioskował o badania psychiatryczne, a sąd przychylił się do wniosku. Z badań Szymczak już raczej nie wróci.

Zlecona mu sprawa praktycznie była zakończona. Teraz zajmował się nią już czysto prywatnie. Mocodawcy nie mieli o tym pojęcia, ale Dębskiego zwyczajnie interesował ten cały Grot. Uzyskał na jego temat sporo informacji i wiedział, że kilka lat temu facet był asem wrocławskiej policji. Pragnął się z nim zmierzyć.

Ci, którzy zlecili mu odnalezienie dokumentów, prawdopodobnie nie poparliby tego, że on nadal węszy. Uważali, że sprawa jest zamknięta. Dąb nie wykluczał jednak możliwości, że Kruszewski zrobił kopie swojego artykułu i dokumentów. Trzeba było tylko je odnaleźć, a do tego idealnie nadawał się Grot. Zastanawiał się, czy Zawadzka wie coś na temat tych papierów. Może powinien z nią pogadać po swojemu.

Wyciągnął ze schowka zdjęcie kobiety i przez chwilę mu się przyglądał. Podobała mu się. Była zgrabna, ładna i miała coś, co sprawiało, że serce biło mu szybciej. Na fotografii nieznacznie się uśmiechała, choć wzrok miała smutny, melancholijny. Ciekawiło go, czy jakby się nią zajął po swojemu, to też by tak melancholijnie patrzyła.

Jeszcze kilka lat temu zwyczajnie włamałby się do tego domu. Zawadzką by zgwałcił, a chatę okradł. Jednak sposób jego działania radykalnie się zmienił. Odkąd Dębski zaczął się doksztalać, skończył studia i otworzył przewód doktorski zmienił się o sto osiemdziesiąt stopni. Więcej teraz czytał, uczył się też niemieckiego i hiszpańskiego. Angielski oraz rosyjski już znał. Minęły czasy, gdy był zwykłym bandziorem. Teraz był biznesmenem prowadzącym intratny interes.

Wciąż pamiętał, jak dwadzieścia lat temu zaczynał swoją przestępczą karierę. Jako nastolatek szukał swojego miejsca na ziemi. Czasy były inne – w mieście rządziły grupy przestępcze, a policja nie umiała z nimi walczyć. Przemoc była na porządku dziennym. Ktoś, kto nie umiał być brutalny, nie robił kariery w bandyckim fachu. Dąb po zakończeniu liceum związał się z grupą Dzikiego. W mieście były wtedy dwa gangi. Grupa Dzikiego i dopiero rosnąca w siłę banda Maruchy. Wrocławskim podziemiem rządził gangster, z którym on związał swój los. Był jednym z najbardziej lojalnych ludzi bossa. Nigdy nie wysypał się na psach, nigdy nie wyciągnął łapy po nie swoje. W rozliczeniach z szefem był uczciwy i nie kantował. Po krótkim czasie miał już pod sobą kilkunastu zakapiorów. Zajmował się haraczami i narkotykami. Handlowało dla niego ponad siedemdziesięciu dilerów. Od każdego miał swoją działkę, resztę oddawał Dzikiemu. Nie protestował. Zdawał sobie sprawę, że dopóki tak robi, jest bezpieczny i nie musi się o nic martwić. Z czasem jednak zadawanie się z dilerami zaczęło mu ciążyć. Uważał, że są tumanami z mózgami przeżartymi przez narkotyki. Tacy ludzie bez skrępowań sprzedaliby go podczas przesłuchania. Nie mógł liczyć na lojalność ćpunów. Podjął wtedy najważniejszą decyzję w swoim życiu – postanowił nadrobić

braki w edukacji. Rozpoczął studia na Uniwersytecie Wrocławskim i ukończył politologię.

Teraz miał zamiar zostać doktorem politologii. Oczywiście nie zaniechał swojej przestępczej działalności, zmienił tylko taktykę i klientelę. Teraz czyścił brudy, które zostawiali po sobie politycy i biznesmeni.

I wiedział, że roboty będzie miał pod dostatkiem.

* * *

Grot położył swoją klientkę na skórzanej sofie. Zawadzka powoli dochodziła do siebie, choć wzrok miała jeszcze rozbiegany, a ręce jej drżały.

Pani Stasia obejmowała ją i starała się uspokoić. Widać było, że informacja o śmierci brata przybiła Joannę.

– Powiesz o okolicznościach? – zapytał detektyw, spoglądając na Pasewicza.

– A w jakim charakterze tu jesteś? – Artur uniósł brwi.

– Pan Grot jest przyjacielem rodziny – wtrąciła Zawadzka, wycierając oczy chusteczką. – A zarazem pomaga... pomagał odnaleźć mojego brata.

Artur skinął głową i wziął głębszy wdech.

– Pani brat został znaleziony w bagażniku samochodu. Sprawca go zastrzelił. Mamy już podejrzanego. Został zatrzymany i decyzją sądu trafił na badania poczytalności. Więcej szczegółów nie mogę ujawnić.

– Tak od razu na badania? Nie uważasz, że coś tu śmierdzi? – spytał Grot. Szybko zaczął pisać na kartce wiadomość dla Artura. Chciał się z nim spotkać, ale tak, żeby klientka o tym nie wiedziała.

– Nie mnie oceniać. Ja tylko znalazłem sprawcę i przekazuję informację o odnalezieniu zwłok – zaznaczył Pasewicz.

– Czy sprawca się przyznał?

– Nie mogę powiedzieć. Wszelkie pytania mogą państwo składać do prokuratury – powiedział chłodno Artur.

– Nie omieszkać – odparła Joanna Zawadzka. – Mam do pana prośbę. Czy mógłby pan już sobie pójść? Muszę oswoić się ze stratą. Dziękuję, że pan przyjechał. Co prawda przywiózł pan smutne wiadomości, ale mimo wszystko lepiej znać prawdę, niż karmić się nadzieją. Nie chcę, żeby pan pomyślał, że jestem niegrzeczna, ale naprawdę muszę to wszystko przetrwać.

– Oczywiście – powiedział Artur, po czym dodał: – Jest mi bardzo przykro z powodu pani straty.

Zawadzka skinęła głową i zamknęła oczy. Grot wziął Artura pod ramię i wyprowadził z pokoju. Ucisnął mu rękę jednocześnie, wciskając w garść zmiętą kartkę papieru.

Pani Stasia odprowadziła policjanta do drzwi domu, a Grot wrócił do gabinetu, w którym leżała pogrążona w smutku siostra zamordowanego dziennikarza.

– I co pan myśli? – spytała, ponosząc wzrok na detektywa.

– Myślę, że jutro przywiozę pani pieniądze, które pani mi przekazała. Odliczę należne wynagrodzenie, a resztę zwrócę.

– Chce pan tak to zostawić? – Kobieta podniosła się na wersalce.

– A co jeszcze można tu zrobić? Miałem znaleźć pani brata, został znaleziony. Niestety nie w takim stanie, na jaki oboje liczyliśmy...

– To zmieniamy zasady. Wynagrodzenie jest pańskie, ale zmieniamy cel poszukiwania. Teraz chcę, żeby odnalazł pan zabójcę Marka.

Grot uniósł brwi.

– Jak pani pewnie słyszała, zabójca został już znaleziony.

– Wierzy pan w tę bzdurę, że zatrzymali prawdziwego zabójcę? Bo ja nie. Marek zamierzał coś ujawnić. A osoby, które miały być negatywnymi bohaterami artykułu, nie chciały do tego dopuścić. Ci ludzie go zabili. A to byli mocno ustosunkowani ludzie. Nie wierzę, żeby tak łatwo dali się złapać.

Grot wiedział, że Zawadzka może mieć rację. Kruszewski zginął, bo coś wiedział. Przez jego artykuł pewne osoby miałyby problemy. Musiało to być na tyle mocne, że zdecydowano się na zabicie dziennikarza, by nie dopuścić do ujawnienia machlojek.

– Jeżeli ma pani rację, a oboje wiemy, że pani rozumowanie jest prawidłowe, to będzie to niebezpieczne – zauważył uczciwie.

– Dostanie pan większe wynagrodzenie – odparła Zawadzka.

– Tu nie chodzi o pieniądze. Oni będą chcieli panią skrzywdzić, a przy okazji mnie. Będzie pani musiała wynająć jakąś firmę do ochrony. Zamykać bramę, bo zauważyłem, że nie ma pani tego zwyczaju. Zmienić swoje przyzwyczajenia. Na zakupy nie może pani jeździć sama. W pani codziennym życiu będzie potrzebna masa zmian.

– Jestem gotowa na wszystko, byleby odnalazł pan winnych śmierci mojego brata.

– Zgoda, ale pod jednym warunkiem.

Kobieta spojrzała na niego zaciekawiona.

– Zgadzam się na wszystko.

– Musi mi pani obiecać jedno. Jak już znajdziemy osoby odpowiedzialne za śmierć pani brata, nie będzie pani próbowała się mścić. Nie będzie pani mnie zmuszać, żebym ich pozabijał. Nie będzie pani też szukać kogoś, kto to zrobi. Policja i sąd niech się zajmą wymierzeniem sprawiedliwości.

Klientka spojrzała na Grotę. Przez chwilę milczała. Detektyw wiedział, że myśli o zemście. W końcu jednak skinęła głową.

– Dobrze, mogę to obiecać. Chcę, żeby sprawiedliwość zatriumfowała. Nie szukam zemsty, chociaż jej pragnę. Chcę, by winni odpowiedzieli za swoje czyny.

Grot westchnął. Jakieś przeczucie mówiło mu, że może mocno oberwać. Ktoś, kto zacierał ślady, niewątpliwie zna się na swojej robocie. Ledwie zwłoki zostały znalezione, a kilka godzin później zatrzymano potencjalnego sprawcę.

Czuł, że ta sprawa może mieć tragiczny koniec.

* * *

Świat w ciągu ostatniej doby zmienił się radykalnie. Wiktor czuł się jak na karuzeli. Wszystko wirowało w zawrotnym tempie.

Jeszcze kilka dni temu wiódł uporządkowane życie. Miał mieszkanie, dobrą pracę, i wszystko mu się układało. No, może brakowało mu dziewczyny, ale w sumie było kilka chętnych. Na randki chodził systematycznie. Po prostu szukał tej jednej jedynej.

Od imprezy w urzędzie wszystko runęło jak domek z kart. Najpierw ktoś go naćpał, a potem Wiktor wpadł w jakiś amok – podskakiwał, krzyczał, zachowywał się nieobyczajnie. Został zwolniony, skradziono mu samochód, a w dodatku ktoś włamał się do jego mieszkania. To było już za dużo jak na jedną osobę. Jednak los okazał się jeszcze bardziej nieobliczalny. Wiktor został zatrzymany przez policję, oskarżony o zabójstwo Marka Kruszewskiego i w końcu skierowany do psychiatryka.

Starał się wytłumaczyć policjantom, że to pomyłka, jednak nikt nie chciał go słuchać. Wszyscy traktowali go jak wariata, i to na dodatek groźnego. Całą drogę z Podwala na Kruszewskiego próbował przekonać dwóch mundurowych o swojej niewinności, ale ci go nie słuchali, a jeden wręcz w wulgarny sposób kazał mu się zamknąć. Bał się, że zaraz zostanie pobity.

Gdy dojechali do szpitala dla osób psychicznie chorych, przed budynkiem czekało już na Wiktora dwóch pielęgniarzy, jakaś pielęgniarzka i lekarz. Pielęgniarze chwycili go pod ręce i mocno ścisnęli. Zaczął przeraźliwie

krzyczeć, a wtedy pielęgniarka bez uprzedzenia zrobiła mu jakiś zastrzyk. Po chwili trochę się uspokoił. Chciał im wprawdzie wykrzyczeć, że to pomyłka, ale nie mógł nic powiedzieć. Wszystko wydawało mu się narkotycznym zwidem, a nie rzeczywistością. Policjanci poszli gdzieś z lekarzem i jakimiś dokumentami, a pielęgniarze zaprowadzili Wiktora do pokoju. Tam został siłą rozebrany. Słyszał, jak komentują jego wygląd, jak się z niego naśmiewają i ubliżają mu od wariatów. Nic jednak nie mógł zrobić.

W pewnym momencie ktoś nim szarpnął, a potem uderzył w brzuch. Szymczak był zaskoczony przemocą – przecież nie stwarzał zagrożenia. Po tym dziwnym zastrzyku był prawie bezwolny. Dostał jeszcze kilka kuksańców, po czym ubrano go w szpitalną piżamę i położono na łóżku. Cały czas starał się wytłumaczyć personelowi, że to pomyłka, że nie zrobił nikomu krzywdy, ale z jego ust dobywał się jakiś niezrozumiały bełkot. Nikt go zresztą nie słuchał.

Za jakiś czas przyszła pielęgniarka i dała mu jakieś pigułki. Nie chciał ich przełknąć, więc został do tego zmuszony siłą przez dwóch pielęgniarzy. Robił wszystko, by uwolnić się z ich rąk. W pewnej chwili poczuł uderzenie prądem. Dostał drgawek. Okazało się, że obok łóżka stoi jeden z pielęgniarzy z paralizatorem w dłoni. Wiktor nie miał sił do dalszej walki. Nawet już nie chciał. Pogodził się ze swym losem. Otumanionym wzrokiem patrzył, jak pielęgniarze przywiązują go pasami do łóżka. Czuł, jak odpływa w niebyt. Zaczął się ślinić. Przebywający w sali ludzie coś mówili, ale zupełnie ich nie rozumiał. Wszelkie dźwięki docierały do niego jak zza pancерnej szyby.

Patrzył na biały sufit nad swoją głową. Na środku była żółta plama, jakiś zaciek. Patrzył na nią i patrzył...

Razem i osobno

Grot wstał z samego rana. Dopiero dziś dopadł go głód alkoholowy. Czuł się fatalnie. W skroniach pulsował mu ból, ręce mu się trzęsły, usta miał spierzchnięte, a w gardle sucho jak na pustyni. Kac w porównaniu z tym, co się teraz z nim działo, był czystą rozkoszą.

Wiele by dał, żeby walnąć chociaż setę wódki. Wiedział jednak, że ulga byłaby tylko chwilowa. Na dłuższą metę bardziej by mu to zaszkodziło, niż pomogło. W wychodzeniu z każdego nałogu jest moment zwątpienia. Alkoholik po odstawieniu picia przeżywa prawdziwe katusze. Takie jak on teraz. Zdawał sobie sprawę, że najważniejsze to zacisnąć zęby i starać się wytrwać w postanowieniu. Wiedział, że musi się uzbroić w cierpliwość i nie dać się złamać. Musi spróbować funkcjonować w miarę normalnie.

Wyjął z apteczki kilka tabletek. Dwie przeciwbólowe, witaminę C i magnez. Miał nadzieję, że ta mieszanka pomoże mu przetrwać trudne chwile. Popił wodą z kranu. Zastanawiał się, czy nie powinien czegoś zjeść, a właściwie czy w ogóle da radę cokolwiek przełknąć. Otworzył lodówkę i zobaczył, że wędlina, którą ostatnio kupił, zdążyła zmienić kolor. Może to była jakaś zmodyfikowana genetycznie szynka, do której dodano gen kameleona? Kiedyś wędliny nie psuły się po kilku dniach. Powąchał szynkę i zmarszczył się z obrzydzeniem.

Nagle poczuł mdłości. W ostatniej chwili dobiegł do łazienki i się zrzygał. Po chwili podniósł się z klęczek, starając się uspokoić oddech. Opłukał twarz wodą i wrócił do kuchni.

Pierwsze, co zrobił, to wyrzucił wędlinę. Następnie podszedł do stołu i wziął łyk kawy, którą zrobił sobie zaraz po przebudzeniu. Nie smakowała tak jak zwykle. Wylał zawartość kubka do zlewu i odpalił papierosa. Tutaj na szczęście wszystko było w porządku, fajka smakowała tak samo jak zawsze. Zaciągnął się szybko kilka razy, zagaszył ją w popielniczce i od razu odpalił kolejną.

Pałac, zaczął myśleć o prowadzonej sprawie. Odnalezienie zwłok Marka Kruszewskiego zakończyło pewien etap w jego śledztwie. Wiedział, że teraz musi zmienić metodę działania. Był jeden plus – nie musi już się spieszyć. Denatowi i tak nie pomoże. Teraz może metodycznie i na spokojnie weryfikować tropy. A było ich kilka. Przede wszystkim należało się skupić na odnalezieniu tajemniczej dziewczyny o imieniu na literę M. Ona mogła być kluczem do wyjaśnienia całej sprawy. Znała adres tajnego mieszkania Kruszewskiego, a w nim mogły być ukryte materiały, za które zginął dziennikarz.

Grot miał świadomość, że aby wytypować podejrzanych, musi się dowiedzieć, o czym pisał Kruszewski. Temu, o kim miał być artykuł, z pewnością najbardziej zależało na uciszeniu dziennikarza.

Zaczynał polowanie.

* * *

Artur wstał o piątej rano. Z reguły nie budził się tak wcześnie, ale dzisiaj miał przyjść rzeczoznawca. Musieli z Kasią ogarnąć mieszkanie przed jego wizytą.

Po wizycie Ambroziaka zamierzał pojechać do komendy i pogadać z naczelnikiem na temat podwyżki. Ostatni awans na wyższy stopień nie wiązał się z żadną podwyżką. A Pasewicz uważał, że wraz z nowym stopniem powinny wzrosnąć jego zarobki. Podejrzewał, jak przebiegnie rozmowa z Ratajczykiem. Naczelnik powie, że nie ma kasy i może w kolejnym roku uda się coś wywalczyć. Wiedział, że nie zmusi przełożonego do wypisania wniosku o podwyżkę. Mógł jedynie apelować do jego poczucia sprawiedliwości i solidarności pracowników budżetówki. Nie spodziewał się znaczących sukcesów, przyjął jednak założenie, że zawalczyć o większą kasę może, a nawet powinien.

Kasia wstała razem z nim. Przygotowała śniadanie i kawę, a potem dała się namówić na igraszki. Byli ze sobą już prawie półtora roku, a w łóżku nadal potrafili się zaskakiwać. Po seksie wzięli wspólny prysznic i znowu się kochali.

Gdy skończyli, Artur poszedł do sypialni i wyciągnął z szafy świeże ubranie. Ledwo zdążył założyć spodnie, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Spojrzał na zegarek – dochodziła siódma. Podeszedł do drzwi i zerknął przez wizjer. Na korytarzu stał Walczak i jakiś mężczyzna. Pasewicz był wściekły. Umówili się przecież na późniejszą godzinę.

Otworzył drzwi i popatrzył na mężczyzn.

– Jesteśmy już – powiedział Walczak.
– Byliśmy umówieni na później – odparł chłodno Artur.
– No mieliby być później, ale jesteśmy już. Lepiej szybciej to wszystko załatwić.

– Ale zdaje pan sobie sprawę, że komuś może nie pasować to, że jest pan wcześniej? Może ktoś ma inne plany? Może akurat miałem zamiar uprawiać seks ze swoją kobietą?

– Słuchaj pan, my zrobimy to, co trza, i sobie pójdziemy. Pan z ubezpieczeń zrobi zdjęcia i zaraz będzie kasiora.

Artur westchnął i odwrócił głowę w kierunku mieszkania. Kasia akurat wyszła z pokoju, na szczęście już ubrana.

– Artur, wpuść panów – powiedziała, kręcąc z niedowierzaniem głową. Ona też miała już dość Walczaka. Uważała jednak, że lepiej sprawę załatwić od ręki, niż się z dziadkiem użerać.

– Dobrze, niech panowie wejdą – westchnął Artur, przepuszczając obu mężczyzn.

Wszyscy weszli do pokoju, w którym doszło do zalania. Na suficie widniała duża żółta plama. Kawałki tynku zwisały ponuro.

Rzeczoznawca usiadł i wyciągnął z teczki jakieś druki do wypełnienia. Walczak patrzył przez chwilę na sufit. W końcu spytał:

– Panie, a ile to wy dacie za to zalanie?

– Jak wycenię, to powiem – odpowiedział spokojnie przedstawiciel ubezpieczyciela.

– A kiedy będzie kasa na koncie?

– To już nie zależy ode mnie. Ja mam tylko udokumentować szkodę, zrobić dokumentację zdjęciową i wypełnić dokumenty. Towarzystwo decyduje o wypłacie.

Mężczyzna zaczął fotografować sufit. Zrobił także kilka zdjęć zalanej wcześniej fekaliami łazienki. Zabudowa starego grzejnika, którą Artur wykonał z regipsu, również została wpisana do protokołu.

– Czy jakieś przedmioty uległy zniszczeniu? – spytał Ambroziak.

– No zalany został telewizor i instalacja elektryczna – odparł Walczak, choć pytanie nie było skierowane do niego.

– Telewizor jako sprzęt elektroniczny musi zostać oddany do serwisu. Tam stwierdzą uszkodzenie, przyczynę i wtedy możemy wypłacić należne odszkodowanie.

– Przepraszam, a na czyje konto będzie odszkodowanie? – spytał Artur.

– Na konto właściciela mieszkania – odpowiedział rzeczoznawca.

– Ale telewizor jest mój i to mi go zalało. Dlaczego pieniądze ma dostać ktoś inny?

– Słuchaj pan, ja panu odliczę te pieniądze od czynszu – zapowiedział stary.

– Przepraszam bardzo, ale jakoś panu nie wierzę. Teraz pan chce odszkodowanie za konstrukcję z płyt kartonowo-gipsowych, a kilka tygodni temu mówił pan, że zrobiłem ją nielegalnie. To jak to jest? Nielegalnie i jako mój koszt, a pan przytuli pieniądze? Czy legalnie i pan mi te pieniądze odda? Poza tym jaką mam gwarancję, że rzeczywiście mi pan obniży czynsz?

Walczak zrobił się czerwony na twarzy. Otarł dłonią czoło i powiedział:

– Słuchaj pan, nie ma się co kłócić. Ja powiedziałem, że obniżę, to obniżę.

– Do tej pory nie zwrócił mi pan za elektrykę ani za bojler, a też pan obiecywał.

Rzeczoznawca przysłuchiwał się rozmowie, ciągle coś notując. Nagle Artur spojrział na niego i zapytał:

– A jak telewizor nie zostanie oddany do serwisu?

– To nie będzie odszkodowania za uszkodzenia. Muszę mieć pewność, że telewizor wcześniej był sprawny i uległ awarii w wyniku zalania.

– To niech pan wykreśli go z dokumentacji – powiedział Pasewicz.

– Słuchaj pan, po co stwarzasz pan problemy? – burknął Walczak. – Oddam telewizor i potwierdzą, że jest zepsuty po zalaniu.

– Pan odda? Mój telewizor? – Artur nie dowierzał własnym uszom.

– No jest w moim mieszkaniu, mieszkanie zalało, więc trzeba oddać.

– Ale telewizor jest mój i wieża stereo też. Ja nie zgłaszam żadnych roszczeń – powiedział Pasewicz.

Kaśka stała z boku z założonymi rękami i tylko przysłuchiwała się tej wymianie zdań. Rzeczoznawca nadal coś notował.

– Panie, pan gadasz głupoty. W mieszkaniu było i trza zgłosić. Będzie kasa i ja panu odliczę – zdenerwował się Walczak.

– Mnie nic nie zalało – odpalił Artur. – W łazience ten regips też zniszczyłem, bo przestał mi się podobać. Nie chcę, żeby pan wpisywał go w kwestionariusz szkody. W wyniku zalania zepsuł się tylko sufit. Nic więcej nie ucierpiało.

Rzeczoznawca odłożył długopis i spojrział na niego uważnie.

– Panie, pan tutaj kombinujesz, abym nie dostał odszkodowania! – oburzył się Walczak. – Najpierw pan nie chcesz wpuścić do domu, teraz pan gadasz, że nic nie zniszczone! Co jest z panem?

– Panie Walczak, za pańskie rzeczy, które zostały zniszczone, może pan wziąć odszkodowanie. Za moje ubezpieczyciel powinien wypłacić mnie. Skoro jednak nie może i pieniądze ma dostać pan, to ja wolę nie zgłaszać żadnych roszczeń. Ja nie sięgam po cudze i nie chcę, żeby ktoś brał kasę za moje. Koniec.

– To co piszemy? – spytał rzeczoznawca.

– Sufit. Tylko i wyłącznie. To jestem skłonny uznać, chociaż i tak farba do jego malowania była za moje pieniądze.

– Panie, pan jesteś nierozsądny. Jak dają kasę, to trza brać. Odliczę od czynszu i będzie pan zadowolony... – próbował jeszcze Walczak.

– Przepraszam, panie Walczak, z całym szacunkiem, ale my chyba lepiej wiemy, co zostało zniszczone – wtrąciła się Kasia. – Uważam, że powinien pan zamilknąć.

– Pani niech się nie odzywa. Pani jest tu nielegalnie – syknął w jej stronę stary.

– Nielegalnie? O czym pan mówi?

– No ja mam umowę z panem, a nie z panią, więc pani jest tu nielegalnie.

– Panie Walczak, umowę podpisał pan ze mną, ale wiedział pan, że będę tu mieszkał z narzeczoną, więc proszę nie gadać głupot – zirytował się Artur.

– To moje mieszkanie i ja decyduję, kto będzie mieszkał!

– Panie Walczak, dość tego! Wynajął pan mieszkanie, więc zrzekł się pan części praw do niego. Proszę o opuszczenie tego lokalu, zanim zadzwonię po policję i zgłoszę naruszenie miru domowego.

– Słuchaj, nie ze mną te numery. Ja jestem właścicielem tego mieszkania i ja decyduję o wszystkim. Pisz pan też ten telewizor – powiedział Walczak, ostatnie słowa kierując do rzeczoznawcy.

– Przepraszam, czy pan wykonał niezbędną dokumentację fotograficzną? – Artur też spojrzał na przedstawiciela ubezpieczyciela.

– W sumie tak. Teraz właściciel musi mi podpisać kilka dokumentów – powiedział Ambroziak.

– To akurat można zrobić na korytarzu. Ja dziękuję panom za spotkanie, do widzenia.

Ambroziak skinął głową, po czym spakował do teczek dokumenty i wstał.

– Panie Walczak, proponuję, żebyśmy resztę spraw załatwili w innym miejscu – powiedział, kierując się do wyjścia.

Walczak chciał coś jeszcze dodać, ale zrezygnował.

Po ich wyjściu Artur zamknął drzwi na klucz i spojrzął na Kasię. Ta uśmiechnęła się słabo.

– Mam już dość tego starego dziada. Sknera i naciągacz – powiedziała.

– Spokojnie, to tylko Walczak – odparł Artur, mocno ją przytulając.

* * *

Szczot był wściekły. Na szybie jego biura poselskiego ktoś napisał: „Złodziej, oszust i łapówkarz” oraz „Jebać Szczota”.

Policja wykonała niezbędną dokumentację. Zabezpieczyła nagrania monitoringu z okolicznych sklepów oraz lokali. Rozpytała sąsiadów, czy czegoś nie widzieli.

Gdy po niespełna godzinie funkcjonariusze odjechali, Szczot kazał swojej asystentce pozbyć się tych napisów. Ta w ekspresowym tempie załatwiła ekipę, która od razu zabrała się do pracy. Szczot patrzył, jak dwóch mężczyzn szoruje szybę jakimś środkiem chemicznym. Po napisie prawie nie było już śladu.

Mężczyzna usiadł za swoim biurkiem, przeklinając co jakiś czas. Asystentka zaparzyła mu kawę, a z cukierni przyniosła jego ulubione ciastko. Starła się poprawić posłowi humor, jednak bezskutecznie. Kazał jej zabrać łakoc z powrotem.

Miał dzisiaj umówione spotkanie z Wielgusem. Wiedział, że dłużej nie może zwodzić właściciela AW TECH-u. Już kilka razy przenosił spotkanie i w ostatniej rozmowie Wielgus zapowiedział, że następnym razem nie da się spławić. Jak zajdzie konieczność, przyjdzie z dziennikarzami z *Interwencji*. Szczot nie zamierzał rozmawiać z mediami, więc chcąc nie chcąc, zgodził się na spotkanie. Miał nadzieję, że uda mu się namówić biznesmena do sprzedaży firmy. Tak byłoby najlepiej. Już widział siebie jako członka zarządu AW TECH-u. Będzie musiał pogadać z kilkoma osobami, aby dofinansować firmę będącą na skraju bankructwa. Opłaci się to każdemu. Po układzie politycznym i po znajomościach załatwi kilka lukratywnych kontraktów od rządu i kasa zacznie płynąć szerokim strumieniem do jego kieszeni.

Zastanawiał się tylko, czy ten Wielgus będzie na tyle rozsądny, żeby sprzedać swoją firmę. Do tej pory nie wykazywał się szczególną roztropnością. Skoro zaczęły się jego problemy, mógł skorzystać z propozycji, którą otrzymał. Uniknąłby wtedy wielu kontroli, komorników, poborców skarbowych i nerwów. Teraz miał ostatnią szansę, by załatwić sprawę polubownie. Szczot wiedział, że jak nie uda się przekonać Wielgusa po dobroci, to trzeba będzie

sięgnąć po bardziej drastyczne środki perswazji. Miał dwa wyjścia – mógł polecić Żelichnowskiemu, żeby ten zamknął Wielgusa w areszcie, albo nasłać na biznesmena Dęba. Wolałby jednak nie angażować bandyty. Nie podobał mu się ten cały Dębski. Nie był sterowalny jak policja czy przedstawiciele prokuratury. Robotę wykonywał co prawda dobrze, jak dotąd nie nawalił, nie narzekał na trudność zadania, nie oszukiwał ich przy rozliczeniach i nie podnosił wcześniej ustalonej ceny, jak to niektórzy mieli w zwyczaju. Nie zadawał zbędnych pytań, tylko od razu brał się do pracy. A jednak nie podobał się Szczotowi. Poseł już jakiś czas temu się zastanawiał, czy Dąb nie jest tajnym agentem którejs z służb mających za zadanie łapanie skorumpowanych polityków i wszelkiej maści przestępców. Ale ostatecznie odrzucił taką możliwość. Brutalność, jaką wykazywał się Dębski i jego podwładni, nie byłaby dopuszczalna w żadnej służbie. Szczot wiedział jednak, że coś będzie musiał z nim zrobić. Facet miał zbyt dużą wiedzę na temat tego, co on i kilkunastu jego znajomych wyrabiali w mieście.

– Już niedługo przyjdzie czas na ciebie... – powiedział cicho.

– Pan mnie wzywał? – spytała asystentka, zaglądając do jego gabinetu.

– Nie. Gdzie to ciastko?

Chwilę później kobieta postawiła przed Szczotem talerzyk z wuzetką.

* * *

Zawadzka z samego rana zgłosiła się do komendy. Chciała odebrać rzeczy osobiste swojego brata. Towarzyszył jej adwokat mecenas Adam Stüdbaher. Zamierzała też jak najszybciej dokonać identyfikacji ciała. Wolała mieć za sobą ten przykry obowiązek. Musiała zająć się przygotowaniem do pogrzebu.

Gdy jednak policjant, z którym rozmawiała, pokazał jej najpierw zdjęcie zwłok Marka, stwierdziła, że nie będzie w stanie obejrzeć ciała. Identyfikacji dokonał więc adwokat. Sam wiele razy widział Kruszewskiego, więc nie stanowiło to dla niego problemu. Po stwierdzeniu, że zamordowanym jest jej brat, Zawadzka została poproszona wyrażenie zgody na pobranie od niej próbki materiału DNA w celu ostatecznej weryfikacji tożsamości. Prawnik był przeciwny takiemu postępowaniu śledczych wobec swojej klientki, jednak Zawadzka stwierdziła, że skoro organy ścigania od niej tego oczekują, to się dostosuje.

Po wyjściu z budynku komendy udała się do ZUS-u, by załatwić formalności dotyczące zasiłku pogrzebowego. Na koniec udała się do firmy Styks, aby

omówić przebieg ceremonii i wybrać trumnę, w której w rodzinnym grobowcu spocznie jej brat. Chciała, żeby wszystko przebiegło idealnie – bez żadnych zgrzytów, pijanych grabarzy czy innych niedociągnięć. Przedstawiciel zakładu doradził jej dębową trumnę z mosiężnymi uchwytami. Spodobała się Zawadzkiej. Była naprawdę elegancka.

Ustalając szczegóły, nie mogła się jednak skupić. Przed oczami wciąż miała twarz Marka. Widziała uśmiechniętego, zawadiackiego optymistę, marzącego o zmienieniu świata na lepsze. Wiele razy się zastanawiała, gdzie popełniła błąd. Nie spodziewała się, że praca dziennikarza może wiązać się z takim ryzykiem. Przecież tysiące osób wykonują ten zawód i każdy wraca na noc do domu cały i zdrowy. W Polsce nie morduje się dziennikarzy niewygodnych dla władzy, to nie Białoruś.

Pragnęła, aby osoba odpowiedzialna za śmierć jej brata poniosła karę. Nie była do końca szczerą z Grotem. Tak naprawdę planowała zemstę. Obiecała, że nie poprosi go o zabicie oprawcy Marka – i nie poprosi. Chce poznać jego tożsamość, a resztą zajmie się sama. Była bogata i miała wystarczające środki, aby dotrzeć do odpowiednich ludzi. Wiedziała już nawet, z kim może na ten temat porozmawiać. Zanim poznała swojego męża, spotykała się z lokalnym gangsterem. Kondzi miał kontakty w półświatku. Przypomniała sobie jego słowa: „Jak kiedykolwiek będziesz potrzebować pomocy ludzi z miasta, to daj cynk. Znam jednego gościa, wołają na niego Dąb. Facet jest mocno poukładany. On ci pomoże rozwiązać każdą sprawę”.

Zawadzka zastanawiała się, czy nie zwrócić się o pomoc do byłego chłopaka i poprosić, aby skontaktował ją z tym całym Dębem.

Zabójca jej brata musi ponieść karę.

* * *

Od wczoraj na przemian tylko spał i się budził. Leki, które mu podawali, powodowały u niego zaburzenia percepcji i omamy wzrokowe. W nocy wydawało mu się, że poluje na niego gigantyczny pająk. Obrzydliwe włochate odnóża prawie go dorwały, mocne szczęki chciały rozszarpać go na strzępy. Na szczęście się obudził.

Rano przyszła pielęgniarka. Podłożyła mu basen i podłączyła kroplówkę. Kilkanaście minut później znowu spał. Wydawało mu się, że jest zakopany żywcem. Wręcz czuł wilgotny zapach gleby, a na piersi ciężar, kiedy ogromna

łopata sypała ziemię na jego ciało. Wtedy ponownie się obudził. Nie miał pojęcia, jak długo spał – kilka minut, kilka godzin czy kilka dni.

Ilekcóż ktoś wchodził do sali, starał się mu wytłumaczyć, że to pomyłka. Jednak każde słowo wydobywające się z jego ust brzmiało jak niezrozumiały bełkot. Był przekonany, że te wszystkie kroplówki i pigułki powodują u niego jakieś uszkodzenia w korze mózgowej. Miał świadomość, że im dłużej będzie trwała ta „terapia”, tym gorzej będzie. Bał się, że skończy jak warzywo – będzie tylko tępo patrzył w sufit, ślinił się i robił pod siebie.

To był jego koniec. Na pewno nie opuści tego szpitala. Ci, którzy zdecydowali o poddaniu go obserwacji psychiatrycznej, mieli tylko jeden cel – chcieli się go pozbyć. To miała być zemsta za to, że skontaktował się z mediami. Zaczynał żałować, że zainteresował się machlojkami najważniejszych ludzi w województwie. Nie spodziewał się, że ci ludzie dowiedzą się o jego roli w całej historii, a nawet jeśli – że w taki sposób będą się starali go uciszyć.

Teraz patrzył na jakiegoś doktora w okularach i towarzyszącą mu lekarkę. Zastanawiał się, w jakim celu tu przyszli.

– Wydaje mi się, że za mało dostał xylodrexopadionu. W nocy miał omamy – powiedziała kobieta.

– Trzeba zwiększyć dawkę. Jakie omamy?

– Krzyczał o jakichś pająkach. Potem ciągle powtarzał, że jest niewinny.

– Dodatkowo podamy artermin w dwóch dawkach co dwanaście godzin. Można dołożyć tramexydrynę. Tutaj jednak trzeba uważać, aby nie uszkodzić mózgu w szybszym tempie niż zamierzone.

Szymczak nie wierzył w to, co słyszy. Już w tej chwili praktycznie nie wiedział, co się wokół niego dzieje, Wiedział tylko, że gdy zwiększą dawkę, stanie się warzywem. Zastanawiał się, o czym ten lekarz mówi. Zdawał sobie sprawę, że jedyny ratunek to wymyślić sposób, żeby stąd uciec. W głowie miał gonitwę myśli.

Starał się unieść dłoń, ale nie był w stanie. Czuł, jak po jego policzku spływa pojedyncza łza.

Łza bezsilności.

* * *

Już za progiem wydziału Pasewicz wiedział, że zaraz zaczną się problemy.

Ratajczyk siedział przy jego biurku i co chwila przeklinał pod nosem. Pozostali starali się nie rzucać mu w oczy. W każdej chwili można było się spodziewać wybuchu.

– O, dobrze, że jesteś. Chodźmy do mnie – powiedział naczelnik, wstając z krzesła.

Artur poszedł za nim do jego gabinetu. Gdy tylko weszli do środka, Ratajczyk polecił:

– Zamknij drzwi i siadaj.

Pasewicz spełnił polecenie, jednak naczelnik nie zajął miejsca, tylko zaczął nerwowo chodzić po pokoju. Widać było, że w środku cały się trzęsie. W końcu się odezwał:

– Jak długo jestem waszym szefem?

– Nie prowadzę kalendarza. – Artur wzruszył ramionami. – Czemu pytasz?

– Macie do mnie zaufanie?

– Szefie, po co ta gadka? Konkretnie powiedz, o co chodzi, a nie dobierasz się jak prawiczek do kurwy.

Ratajczyk oparł się o parapet i popatrzył na podwładnego.

– No dobra, słuchaj. Jak pewnie wiesz, staram się nie być sterowalny z góry. Staram się mieć w dupie statystyki. Oczywiście w papierach musi być porządek, ale ja mam inne priorytety...

– No fakt, wykrywalność ważna sprawa.

– Nie przerywaj. Chodzi o to, że lubię, jak jest zbrodnia i jest sprawca, innej opcji nie ma. Nie znoszę natomiast, jak jest zbrodnia i ktoś próbuje mnie robić w chuja, podstawiając rzekomego sprawcę.

– Co szef ma na myśli? – Pasewicz podejrzewał, że Ratajczykowi chodzi o zwłoki znalezione w bagażniku samochodu Szymczaka.

– Znaleźliśmy trupa. Trop prowadził jak po nitce do kłębka prosto do urzędnika. Nawet nieogarnięty śledczy wytypowałby gościa na sprawcę.

– Dzięki – powiedział Artur z uśmiechem.

Ratajczyk uniósł dłoń na znak, by mu nie przerywał.

– Wiesz co tu, kurwa, śmierdzi? Wniosek o badania psychiatryczne dla gościa trafił do sądu, zanim ty i Grodzki do niego pojechaliście. Jarzysz? Ktoś, kurwa, wiedział, że on jest podejrzany! A właściwie zrobił go podejrzany, zanim faceta zawinęliście.

– Kurwa, przecież to są jakieś jaja – prychnął Pasewicz. – Skąd wiesz?

– Spotykam się z jedną laską z sądu. Wczoraj z nią gadałem na kolacji. Powiedziała mi, że Żelichnowski osobiście przyjechał do sądu o dwunastej.

W ręku miał gotowy papier z wnioskiem o sanki dla Szymczaka. A wy zawinęliście gościa po południu. Rozumiesz?

– Co mam nie rozumieć. Ktoś wrabia typa w zabójstwo. Od początku mi trochę śmierdziało, ale dowody świadczyły przeciwko niemu. Dodatkowo obciążały go zaniki pamięci. Wiesz, jak to jest. Ja mogę mieć swoje zdanie, ale dowody były jednoznaczne. Tego nie da się olać, udać, że się nie widzi.

– Masz rację, ale nie chcę mieć na sumieniu niewinnego człowieka. Czapy nie dostanie, ale wyobraź sobie, że niewinny facet idzie na dożycie do pierdła. Czujesz to? Jak mógłbym patrzeć w lustro, wiedząc, że skazano kolesia za niewinność na maksymalny wymiar kary.

Artur myślał podobnie. Nie chciał, żeby potem gadano, że to przez niego skazano niewinnego człowieka. Już ostatnio była afera, że jeden facet siedział blisko dziesięć lat za zbrodnię, z którą nie miał nic wspólnego. Pasewicz nie chciał się za parę lat tłumaczyć dziennikarzom, że był jednym z tych, którzy skrzywdzili Szymczaka.

– No dobra, co chcesz zrobić? – zwrócił się do naczelnika. – Chyba będzie trzeba pójść do Żelichnowskiego i dowiedzieć się, o co w tej sprawie biega.

– Byłem z samego rana. Wiesz, co mi powiedział? Cytuję: „Temat zamknięty, jest sprawca, teraz sprawdzi się jego poczytalność, a jak się okaże poczytalny, to sprawa trafi do sądu. Sąd rozstrzygnie winę i wyda wyrok”. Kiedy zacząłem oponować, stwierdził, że chyba się pomyliłem, przychodząc do niego. Użył co prawda innych słów, ale sens był taki sam.

– Co dokładnie powiedział?

– Że się z chujem na łby zamieniłem.

– A to skurwiel... Co teraz?

– Czekaj, to jeszcze nie koniec. Wróciłem do komendy i wezwano mnie do samego szefa. Wiesz, co usłyszałem? Że z powodu oszczędności trzeba będzie rozwiązać wydział. Sprawami zajmie się wydział kryminalny, a wy traficie do nich.

– Co ty gadasz! – oburzył się Artur. – Stary tak powiedział? Przecież już ten temat przerabialiśmy i był zadowolony, że wydział funkcjonuje jako osobny twór.

Ratajczyk w końcu usiadł za swoim biurkiem.

– Tak było wtedy, a teraz jest teraz. Ja mam zostać komendantem w Środzie Śląskiej. Kurwa, to jest zesłanie – westchnął ciężko.

– Ktoś chce się nas pozbyć... Żelichnowski? – spytał Artur po chwili namysłu. – Myślisz, że on za tym stoi?

– A kto niby? Facetowi wszystko pasowało, ja się wpierdoliłem z wątpliwościami, więc zaciera ślady i pozbywa się niewygodnych osób i pytań.

– Więc co robimy?

– Uważam, że trzeba wyjaśnić sprawę do końca, ale po cichu, tak żeby nikt nie wiedział. Komuś tu zależy na zamieceniu tematu pod dywan. To wszystko od początku było dziwne. Najpierw zaginięcie Kruszewskiego, potem ten cały Szymczak.

Pasewicz się zastanawiał, czy wyznać Ratajczykowi, że Grot pracuje dla siostry zamordowanego dziennikarza. W końcu podjął decyzję, że może mu zaufać.

– Powiem ci coś. Na zlecenie siostry tego Kruszewskiego pracuje Radek Grot.

Ratajczyk zrobił zdumioną minę.

– Grot? Rzucił picie?

– Tego nie wiem. Ale jak go widziałem, był trzeźwy i wyglądał całkiem nieźle. Szukał Kruszewskiego, a teraz chce się ze mną spotkać. Wydaje mi się, że on tego nie zostawi i będzie chciał znaleźć prawdziwego sprawcę.

– I znajdzie – odparł naczelnik. – Myślę, że on może nam pomóc, a my jemu. Jeśli złapie prawdziwego zabójcę dziennikarza, będziemy kryci. Nikt nam niczego nie zarzuci. Wydzwoń się z nim i umów nas na spotkanie.

– Dobra, załatwię to.

Ratajczyk uśmiechnął się do Artura.

– Masz dziś jeszcze jedno zadanie. Trzeba przesłuchać babkę. Zabiła męża z zazdrości. Ty i Wojtek weźmiecie ją na magiel. Uważaj tylko, bo to stara zołza. Kilku lat temu została feministką. Walczy o prawo do przerywania ciąży, równouprawnienie kobiet i mężczyzn, takie tam pierdoły. Jest z okolic Lubina, ale przewieziono ją do nas.

– Do nas? – zdziwił się Artur. – A po chuj? W Lubinie nie dali rady?

– Nie. Babka się pcha do polityki i jest spokrewniona z prokuratorem na tamtym terenie. Jakaś daleka krewna, ale jednak. Nie chcieli nacisków ani żadnych kwasów, dlatego my ją przesłuchamy.

– Dobra, idę. A ty się nie łam. Środa Śląska to całkiem spoko miejscówka. – Pasewicz uśmiechnął się szeroko.

– Spierdalaj – mruknął Ratajczyk.

Artur robił dobrą minę do złej gry. Wiedział, że jeśli coś spieprzą, to nawet Środa Śląska ich nie uratuje.

Grot miał przed sobą trudne zadanie. Przede wszystkim musiał ustalić, jakim tematem zajmował się Marek Kruszewski. To wiele by mu powiedziało o tych, którym mogło zależeć na uciszeniu dziennikarza. Bo to, że ktoś zlecił jego zabójstwo, było więcej niż pewne. Dla Grota zaś ważniejsze było, kto je zlecił, niż kto pociągnął za spust.

Kolejną rzeczą do ustalenia było to, kim był informator dziennikarza. Podejrzał, że to jakaś osoba związana z urzędem wojewódzkim. Wtedy na parking, zanim stracił przytomność, widział jakąś fakturę. Bandyci mu ją zabrali, ale zapamiętał nazwę firmy – PR Max zainkasował ponad milion złotych za doradztwo. Duża kwota jak dla przeciętnego zjadacza chleba. Grot nie znał rynkowych cen takich usług, ale domyślał się, że są sporo niższe. Podejrzał, że faktura mogła być formą łapówki, jednak nie miał teraz czasu ani chęci, by to udowodniać. Gdy już się dowie, kto zlecił uciszenie Kruszewskiego, powiadomi CBA. Niech zainteresują się tematem.

Musiał także się dowiedzieć, kim jest kobieta o imieniu na literę M. Przeczuwał, że to ktoś ważny w tej historii. To, że siostra i była dziewczyna Kruszewskiego nie miały pojęcia o jej istnieniu, mogło oznaczać tylko jedno – dziennikarz chciał ją ukryć. Może to ona była tym informatorem, pomyślał detektyw. Bardziej prawdopodobne jednak, że Kruszewski ufał jej na tyle, iż zostawił u niej kopie materiałów uzyskanych od swojego źródła. Może dlatego nikomu o niej nie powiedział? Wtedy porywacze też by o niej nie wiedzieli.

Zagadką wciąż pozostawało również mieszkanie na Ślężnej, o którym wspomniała w liście tajemnicza kobieta. Tam też coś mogło być schowane. Jak tylko się dowie, kim jest ta cała M., bez problemu ustali adres na Ślężnej.

Siedział teraz w opłu i obserwował wejście do bloku, w którym mieszkał Marek Kruszewski. Liczył, że tajemnicza dziewczyna przyjdzie tu sprawdzić, czy dziennikarz wrócił do mieszkania. Starał się zapamiętać twarze osób wchodzących i wychodzących z klatki. Dziewczyna na pewno skorzysta z domofonu, a nie otworzy drzwi własnym kluczem. Założył, że nie wsuwałaby kartki pod drzwiami, gdyby miała własny klucz i mogła po prostu wejść do środka.

Musiał się uzbroić w cierpliwość. W normalnych okolicznościach nie byłoby to dla niego trudne, dziś jednak doskwierał mu głód alkoholowy. W skroniach mu pulsowało, a w ustach czuł piasek. Sięgnął do kieszeni i wyjął opakowanie tabletek przeciwbólowych. Niestety została ostatnia.

Spojrzał w stronę pobliskiego sklepu spożywczego. Postanowił tam pójść i kupić coś do picia, może jakieś batoniki i ze dwa opakowania ibupromu.

* * *

Dwaj mężczyźni w czarnym bmw X5 zaparkowali na Dokerskiej, kilkanaście metrów od Grota.

Szef kazał im go śledzić. Stwierdzili, że nie ma sensu spalać paliwa, skoro facet ma podłożony lokalizator, Dąb jednak spojrzał na nich takim wzrokiem, że pokornie spuścili głowy i wsiedli do samochodu.

– Co myślisz o gościu? – spytał Mongoł.

– Niezły zawodnik – odpowiedział Siwy.

– No wpierdol spuścił wam koncertowo. Dracha do tej pory ledwo łązi. Szczęka będzie mu się zrastała kilka miesięcy.

– Gdybyś był wtedy z nami, też byś oberwał. Teraz jesteś cwany, a pamiętasz, jak w zeszłym miesiącu dostałeś baty na baletach? Tydzień z fifą pod okiem łąziłeś.

– Odjeb się, okej? Pijany wtedy byłem i na koksie. A swoją drogą ten facet nie wygląda na jakiegoś siłacza.

– Może i nie wygląda, ale skurwiel jest szybki i ma powera w łapie – rzucił Siwy.

– Może kiedyś się przekonam.

Przez chwilę Mongoł patrzył na opla w milczeniu. W końcu powiedział:

– Coś ostatnio na siłkę nie łązisz. Olewasz?

– Nie mam siana. Napieprzam w chałupie. Kupiłem trochę mety i teścia, to na siłkę mi brakło.

– Przecież szef dobrze płaci. Na co wydajesz siano? Na dupy?

– Na automatach sporo ostatnio przejechałem – przyznał Siwy. – Wiesz, jak to jest. Myślałem, że się odegram, a tu chuj.

– Rzuć to w pizdu! Kasę tracisz, wkurwiasz się tylko. Zobacz szefa. Widziałeś kiedyś, żeby grał na automatach?

– Nie. W ogóle nie widziałem, żeby zajmował się czymś innym oprócz pracy.

– A ja widziałem. Dąb dużo czyta. Różne takie książki. Wiesz, że skończył studia i teraz robi doktorat?

– No co ty? Po co mu to?

– A bo ja wiem. Słyszałem, że chce jakieś legalne biznesy robić. Już teraz ma kilka takich rzeczy i przynoszą mu nawet fajne pieniądze.

Siwy zerknął w stronę opla i wyprostował się w fotelu.

– Kurwa jebana rasa – zaklął.

– Co jest?

– Chuj zniknął.

Patrzyli na pusty samochód i zastanawiali się, jak zareaguje Dąb, gdy się dowie, że zgubili Grota.

* * *

Artur wszedł do pokoju przesłuchań. Na wprost Grodzkiego siedziała kobieta podejrzana o zabójstwo męża. Po minie partnera wiedział, że czeka ich ciężka przeprawa.

Usiadł za stołem i postawił na blacie dwa kubki z kawą. Jeden dla siebie, a drugi dla Grodzkiego. Następnie spojrzął na zatrzymaną. Miała około sześćdziesięciu lat i sporą nadwagę. Krótко obcięte włosy zafarbowwała na jakiś dziwny kolor. Patrzyła na Artura z wyraźną niechęcią. Coś w niej go odpychało, nie potrafił jednak określić co.

Gdy się odezwała, poczuł ciarki na plecach. Jej głos był skrzypiący, brzmiał jak tarcie paznokciami po tablicy.

– A dla mnie to kawy nie ma? – zapytała.

– Nie ma – odparł Grodzki, sięgając po kubek.

– No i to właśnie są mężczyźni. Sami kawę będą żłopać, a kobiecie nikt nie zaproponuje.

– Jeśli jeszcze pani nie zauważyła, jest pani na przesłuchaniu, a nie w kawiarni. Rozumie to pani? – spytał Artur.

– Ja rozumiem, ale kultura wymaga...

– Jak będę chciał kultury, to do teatru pójdę – przerwał jej. – Nazwisko.

Grodzki spokojnie mieszał swoją kawę. Wyglądał tak, jakby nie chciał brać aktywnego udziału w przesłuchaniu.

– Ma pan wszystko w dokumentach – zaskrzeczała zatrzymana.

– Proszę pani, albo współpracujemy, albo dajemy sobie z tym spokój. Pani wybór. Ja zaraz wezwę funkcjonariusza, który zaprowadzi panią do izby zatrzymań. Potem prokurator zdecyduje, kiedy będzie kolejne przesłuchanie. W areszcie może pani spędzić nawet trzy miesiące, zanim spotkamy się po raz kolejny. Ja chcę zakończyć swoją pracę. Więc jak?

– Różalska.

– Imię?

– Irena.

– Adres, imiona rodziców?

– Czereśniowa sto dwadzieścia dwa Osiek. Antoni i Genowefa.

– Dobrze. Niech mi pani teraz opowie o okolicznościach zdarzenia. Zatrzymano panią pod zarzutem zabójstwa męża, Mariana Różalskiego. Zgadza się?

– A dlaczego nie przesłuchuje mnie kobieta? – zapytała niespodziewanie Różalska. – To jest dyskryminacja płci.

Artur spojrział na nią, a następnie przeniósł wzrok na Grodzkiego. Ten wywrócił oczami i uśmiechnął się pod nosem. Baba była wkurzająca, ale musieli wykonać swoją robotę.

– Proszę mi wierzyć, wolałbym, żeby zamiast mnie siedziała tu jakaś policjantka. Niestety nie ma takiej opcji. Naczelnik kazał mi się panią zająć. Mówi się trudno. Więc jak? Współpracujemy czy spotykamy się za jakieś dwa miesiące?

W pomieszczeniu zapadła cisza. Kobieta najwyraźniej trawiła to, co powiedział Artur.

– No dobrze, trudno – zaskrzeczała po chwili.

– Dlaczego zabiła pani męża?

– Zdradzał mnie. Byliśmy małżeństwem od trzydziestu pięciu lat. Mamy dorosłe dzieci, wnuki, a on takie rzeczy. Powiem więcej: ciągle siedziałam w domu, prałam, sprzątałam, gotowałam. A on co? Tylko pracował. Cztery lata temu zapisałam się do organizacji feministycznej i do partii lewicowej. Wtedy postanowiłam pójść na studia. Chciałam wyrwać się z domu. On jeździł w góry co tydzień. Mówił, że ładuje akumulatory, a miał romans. Ze mną nie jeździł, a ja sama też nie jeździłam, bo nie mam prawa jazdy. Pogadałam z córką i postanowiłam go śledzić. No i nakryłam go z jakąś babą. Przedstawił mnie jej. Powiedział, że jestem jego koleżanką. Potem odeszli, a ja stałam jak zamurowana.

– Rozumiem, że mąż miał romans. Czy z panią też w tym czasie współżył? – zapytał Pasewicz. – To może być dla sądu pewna okoliczność łagodząca.

– Ja miałabym z nim sypiać? – obruszyła się Różalska. – Od ponad dziesięciu lat nie spaliśmy ze sobą. Nie miałam ochoty. Jak można spać z kimś, kto intelektualnie jest wyraźnie niżej? Sypialnie też mieliśmy osobne. Wie pan, ja rozumiem, że ludzie sypiają ze sobą, aby mieć dzieci. Inni nawet uprawiają

seks potem, jak już mają potomstwo. Bez przesady jednak. Życie to nie tylko seks. Poza tym dla mnie to takie ohydne, jak zwierzęta, taki popęd. Byle tylko się spuścić.

– Uhm, i co było dalej? – Artur odnosił wrażenie, że kobieta ma coś z głową. Nawet zrobiło mu się jej szkoda. Nie było tu jednak miejsca na współczucie. Musiał wykonać swoją pracę.

– Wróciłam do domu i czekałam.

– Do Osieku?

– Osieka! Mówi się Osieka, a nie Osieku! – wrzasnęła skrzekliwie zatrzymana.

Grodzki prawie oblał się kawą. Na wszelki wypadek odstawił kubek na stół.

– Więc wróciła pani do Osieka i co było dalej?

– Czekałam, aż przyjedzie. Długo czekałam. W końcu przyjechał. Nic nie powiedział, tylko położył się spać. Wtedy wzięłam nożyce do cięcia blachy i obciąłam mu kutasa. Zerwał się na równe nogi. Zaczął uciekać, krzyczał, krew mu się lała. Gdy po chwili upadł w przedpokoju, walnęłam go w głowę ciężkim wazonem. Potem poszłam do kuchni i wzięłam tłuczek do mięsa. Uderzałam go w łeb chyba z dwadzieścia razy. Jak już się nie ruszał, usiadłam i patrzyłam na ciało.

Grodzki skrupulatnie notował jej słowa.

– Jak chciała się pani pozbyć zwłok? – spytał Artur.

– Miałam zamiar go pokroić. Przygotowałam nawet worki na śmieci i ręczniki. Chciałam go wywieźć, a ludziom powiedzieć, że wyjechał w te swoje góry.

Pasewicz starał się wyczytać z twarzy zatrzymanej, czy ta odczuwa jakiegokolwiek wyrzuty sumienia, nic takiego jednak nie zauważył.

– Mąż jeździł w góry samochodem?

– Tak. Samochód zamierzałam porzucić gdzieś koło Karpacza.

– Wcześniej pani zeznała, że nie ma pani prawa jazdy. To jak wywiozłaby samochód? – wtrącił się Grodzki.

Różalska spojrzała na niego i spokojnie powiedziała:

– Poprosiłabym córkę.

– Myśli pani, że chciałyby pani pomóc? – zaciekawił się Artur.

Kobieta skinęła głową.

– Wiele razy mi mówiła, żebym się go pozbyła. Sądzę, że by pomogła.

– Ale może nie miała na myśli takiego sposobu pozbycia się? – Pasewicz sięgnął po swój kubek i wziął dwa łyki kawy.

– Wie pan, córkę ja mam dobrą, wspiera mnie. Zięć to leser. W domu robi, nie powiem, ale jakiś taki, no nie wiem... Nie lubię go. Synowej zresztą też nie lubię. Żałowałam, że syn związał się z kimś takim. Nie przyjdzie, nie pomoże. Siedzą tylko w domu, matki nawet nie odwiedzają. Mąż to do nich chodził, a jakże, ja jednak nie utrzymuję z nimi kontaktu. Wie pan, oni jak to faceci, mieli swoje sprawy.

– Dobrze. Zabiła pani męża i co dalej?

– No... siedziałam i patrzyłam. Nie miałam siły go zanieść do łazienki, więc zadzwoniłam po córkę. Przyszła i miała mi pomóc, ale przylazł z nią zięć. On nie chciał mieć z tym nic wspólnego i sobie poszedł. Potem przyjechała policja.

– Rozumiem. Kto powiadomił policję? Zięć?

– Chyba on. Wie pan, facet. Wy wszyscy jesteście tacy sami. Jak trzeba pomóc kobiecie, to was nie ma, ale jeden za drugim w ogień pójdzie. Gdybym miała lepszego zięcia, tobym tu teraz nie siedziała.

Artur stwierdził, że kobieta musi być niespełna rozumu. Te wszystkie feministyczne gadki i złość na mężczyzn spowodowały, że postradała zmysły.

– Dobrze, a córka? – spytał Grodzki. – Zanim przyjechał radiowóz, pomogła pani jakoś?

– Rozłożyła folię w łazience, taką malarską. Miałyśmy przenieść ciało, ale podjechał radiowóz i wtedy ona wyszła tylnym wyjściem.

Grodzki uśmiechnął się do Artura.

– To chyba wszystko mamy – stwierdził. – Teraz podpisze pani protokół i na tę chwilę zakończymy czynności. – Dał kobiecie do podpisania to, co spisał w trakcie przesłuchania.

Artur wstał i zawołał czekającego na korytarzu funkcjonariusza. Chwilę później mundurowy wyprowadził Różalską z pokoju.

– Ja pierdolę, co za babsztyl – sapnął Pasewicz.

– No, teraz wiem, skąd się wzięły kawały o teściowych. – Grodzki się zaśmiał. – Jarzysz? Ucięła chłopu fiuta! Nie bzykała się z nim od dziesięciu lat, bo to tylko spuszczenie z kija. Ja pierdolę! Baba jest pierdolnięta.

– Jej córka też taka będzie. Takie coś w genach może siedzieć. Na szczęście stara ją wkopała. Trzeba zawinąć córcię za pomocnictwo i nakłanianie do czynu zabronionego.

– To się sucz zdziwi. Kurwa, własnego starego chciała się pozbyć, nawet folię już rozłożyła. Udało jej się spieprzyć, a teraz własna matka ją wpierdoliła na minę. Teraz już nawet krewny w prokuraturze jej nie pomoże.

* * *

Zawadzka bez trudu znalazła w starych notesach numer swojego byłego chłopaka.

Wbiła w komórce ciąg cyfr, ale przez chwilę jeszcze się wahała. W końcu wzięła głęboki wdech i nacisnęła zieloną słuchawkę.

– Słucham – usłyszała po kilku sekundach.

– Cześć... Tu Asia Zawadzka – powiedziała niepewnie.

– Kto?

– Sorki, Asia Kruszewska.

– Oooo, cześć, mała! Ja pierniczę, kupę lat!

– No, minęło sporo czasu.

– Czekał, czekał... Powiedziałaś Zawadzka? Za mąż wyszłaś?

– Już jakiś czas temu.

– Moje gratulacje! Szkoda, że nie dałaś znać. Poprowadziłbym cię do ołtarza, jakiś prezent dał. – Kondzi się zaśmiał.

– Nie ma czego gratulować. Słuchaj, dzwonię, bo mam problem i potrzebuję pomocy – wyznała Joanna.

– Co się stało?

– Moglibyśmy się spotkać? Wolę porozmawiać osobiście niż przez telefon.

– Jasne. Nigdy nie wiadomo, kto słucha. Sam mam od zaje... od groma kart i jak mam... Kurde, wróć. Zobacz, gadam ci, że nie wiadomo kto słucha, a sam się wysypuję. Dobra. Kiedy ci pasuje i gdzie?

– Jak najszybciej. Mogę nawet w ciągu godziny.

– Dobrze, za godzinę będę wolny. Spotkajmy się w Galerii Dominikańskiej, obok fontanny. Potem pójdziemy coś zjeść. Pasuje?

– Jak najbardziej. To do zobaczenia.

Joanna położyła aparat na biurku i przez chwilę patrzyła w okno. Zastanawiała się, czy dobrze robi, prosząc o pomoc ludzi z miasta. Ale przecież wcale nie musiała zlecać Kondziemmu zabójstwa. Mogła się z nim spotkać na kawie, pogadać o starych czasach, powspominać wspólnych znajomych. Tak naprawdę nie wiedziała, co ma zrobić.

– Może jednak Grot ma rację, mówiąc, że dążenie do zemsty jest błędem. Może lepiej pozwolić, żeby sprawiedliwość zatriumfowała, żeby to sąd ocenił winę i zdecydował o karze – powiedziała cicho.

Jednak chęć odwetu była silniejsza. Nie zasnęłaby spokojnie, wiedząc, że ten, kto zabił jej brata, jest na wolności. Skoro ludzie, którzy uciszyli Marka,

byli wpływowi, istniało ryzyko, że unikną sprawiedliwości. Na to nie mogła pozwolić.

Wstała i wyjęła z szafy elegancką czarną sukienkę. Włożyła do niej czarne rajstopy i buty na niskim obcasie. Przygotowując się do wyjścia, wciąż myślała o swoim zamordowanym bracie.

Były partner lubił Marka – zresztą z wzajemnością. Jej brat co prawda dziwił się, że Kondzi zarabia w sposób nie do końca zgodny z prawem, ale nie uważał go za kogoś gorszego od siebie. Twierdził, że każdy jest kowalem swojego losu i ma prawo do własnych decyzji. Jej były chłopak traktował Marka jak młodszego brata. Doradzał mu, jak podrywać dziewczyny, jak im zaimponować. Kondzi był zdania, że kobiety należy uwodzić zachowaniem i kulturą osobistą, a nie drogimi prezentami. Joannę zawsze dziwiło, że osiłek pracujący dla gangsterów ma takie poglądy.

W ogóle jej związek z Kondzim był trochę dziwny. Pochodzili z dwóch różnych światów. Zaczęła się z nim spotykać, żeby zrobić na złość rodzicom. Przechodziła wtedy okres buntu. Rodzice tłumaczyli jej, że związek z przestępcą nie ma żadnej przyszłości, ale Joanna ich nie słuchała. Z czasem odkryła, że Kondzi ma sporo zalet. Był uprzejmy, troskliwy, dbał o nią. Interesował się historią i pokazał jej wiele ciekawych miejsc. Zwiedzali stare bunkry, sztolnie i zamki. Potrafił godzinami rozprawiać o swojej pasji.

Związek się rozpadł, gdy został zatrzymany przez policję pod zarzutem wymuszenia haraczu. Prokurator zawnioskował o areszt. Gdy po trzech miesiącach Kondzi wyszedł, wszystko się zmieniło. Ich relacje uległy rozluźnieniu, spotkania były coraz rzadsze. Po jakimś czasie wspólnie zdecydowali o zerwaniu. W następnych miesiącach kilka razy jeszcze spotkali się na mieście, chwilę pogadali i na tym się kończyło.

Odkąd Joanna poznała swojego przyszłego męża, nie mieli już żadnego kontaktu. Dziś mieli się zobaczyć po raz pierwszy od przeszło pięciu lat.

* * *

Szczot patrzył na Wielgusa z mieszanymi uczuciami. Biznesmen opowiedział mu o swoich problemach z instytucjami, które kontrolowały jego firmę.

Najpierw mówił, że dostał propozycję sprzedaży. Było to tuż po pierwszej kontroli urzędu skarbowego, która nie wykazała znaczących nieprawidłowości. Kazali mu tylko usunąć drobne błędy, które miał w deklaracjach podatkowych.

Oferta sprzedaży była dość korzystna, jednak on nie miał zamiaru pozbywać się firmy. Była dla niego jak dziecko.

Już kilka dni po odrzuceniu propozycji zaczęły się kolejne kontrole. Najpierw przyszedł inspektor Państwowej Inspekcji Pracy. Ta kontrola także nie wykazała nieprawidłowości, mimo to urzędnik wystawił mandat na tysiąc złotych. Gdy Wielgus spytał dlaczego, usłyszał, że zawsze musi być mandat. Zdziwił się, jednak machnął na to ręką. Tysiąc złotych to nie majątek, żeby się tym przejmować.

Potem ponownie pojawił się urzędnik skarbowki. Zaledwie tydzień wcześniej kontrolował dokumenty księgowe i nie dopatrywał się poważniejszych uchybień. Teraz jednak uznał, że naruszenia przepisów skarbowych są na tyle duże, iż musi zablokować firmowe konta.

Jeszcze przed końcem kontroli skarbowki pojawił się rzekomy problem z płatnościami do ZUS-u. Nie miało znaczenia, że Wielgus dostarczył potwierdzenia dokonania przelewów. Urzędnik stwierdził, że pieniądze nie dotarły na konta ubezpieczyciela. Gdy przedsiębiorca pisał odwołanie od decyzji pracownika skarbowki odnośnie do blokady kont, pojawił się kolejny problem – bank wypowiedział mu umowę leasingową. Musiał praktycznie z dnia na dzień dokonać płatności za maszyny lub je zwrócić. Stał na głowie, żeby nie stracić sprzętu. Wziął kredyt pod zastaw domu i dwóch mieszkań i spłacił leasing.

Wtedy ponownie przyszedli jacyś faceci w garniturach i zaproponowali mu odkup firmy. Gdy ich pogonił, do całej sprawy wmieszała się prokuratura, stwierdzając, że wręczył korzyść majątkową pracownikowi urzędu skarbowego. Na przesłuchaniu prokurator nawet nie starał się go wysłuchać, tylko się uśmiechał znacząco. Zastosowano wobec Wielgusa areszt tymczasowy. Przesiedział dwa tygodnie, zanim sąd zgodził się na zmianę środka zapobiegawczego. Wyszedł za poręczeniem majątkowym w kwocie miliona złotych.

Na kaucję zrzucili się jego najlepsi przyjaciele. To był także początek ich problemów. Ich firmy w mgnieniu oka wzięli pod lupę kontrolerzy. Już wkrótce nikt nie chciał ryzykować znajomości z nim. Dosłownie wszyscy się od niego odwrócili. Kontrahenci pozrywali kontrakty, bank wypowiedział umowę o kredyt. W końcu pojawił się wyrok sądu nakazujący eksmisję z domu i mieszkań, pod zastaw których uzyskał kredyt. Wielgus myślał, że nic gorszego już go nie spotka. Pomylił się kolejny raz.

Skarbówka nałożyła na niego karę w wysokości dziewięciu milionów złotych. Komornicy praktycznie mijali się ze sobą w drzwiach. Dwie firmowe ciężarówki zostały przehandlowane za bezcen, a pozostałe maszyny trafiły na licytację. Nowe komputery sprzedano za dziesięć złotych od sztuki. Wszystko, co miało jakąś wartość, zostało zajęte i zlicytowane za ułamek swojej ceny.

Teraz biznesmen mieszkał kątem u rodziny. Był wrakiem człowieka. Z prężnego przedsiębiorcy stał się biedakiem. Firma, która jeszcze kilka miesięcy wcześniej była na najlepszej drodze, aby trafić na giełdę, stała na skraju bankructwa.

Kilka dni temu ponownie pojawili się u niego kupcy. Zaproponowali odkupienie firmy za pięć procent wartości. Odmówił po raz kolejny. Nie wiedział, do kogo ma się zgłosić. W końcu zdecydował, że polityk z pierwszych stron gazet, aspirujący do najwyższych stanowisk w kraju, może go jakoś wesprzeć.

Szczot wysłuchał Wielgusa uważnie, po czym zapytał:

– A dlaczego uważa pan, że powinienem panu pomóc?

– Ktoś musi stać na straży prawa. Nie można pozwolić na bezkarność urzędników, prawda?

– Panie Wielgus, z całym szacunkiem, ale uważam, że prawo jest takie samo dla wszystkich. Skoro kontrole wykazały jakieś nieprawidłowości, to musi być kara.

– Ale niech pan zrozumie, panie pośle, że nie było żadnych nieprawidłowości. Wszystko w papierach się zgadzało. Sprawdzałem po kilka razy – powiedział biznesmen.

– To tylko pańskie słowa. Ja zaś muszę się opierać na faktach i dokumentach.

– Ale właśnie dokumenty świadczą na mają korzyść!

Szczot sięgnął po leżący na stole długopis. Przez chwilę się nim bawił. W końcu wziął głęboki wdech i powiedział:

– Załóżmy, że ma pan rację. Tylko co ja mogę zrobić? Nie wmieszam się przecież w sprawy, które prowadzą urzędy i prokuratura. Wyobraża pan sobie, jaki byłby krzyk, gdybym zaczął cokolwiek robić? Zaraz by mówili, że polityk chce sterować prokuraturą.

– Panie pośle, rozumiem, co pan mówi, ale ja naprawdę jestem niewinny. Nigdy nie miałem zaległości podatkowych. Każdą zarobioną złotówkę odpowiednio opodatkowałem. Zatrudniałem blisko dwieście osób. Teraz nikt już dla mnie nie pracuje.

– No tak, zwiększył pan bezrobocie...

– Ale nie ze swojej winy. Uważam, że komuś zależy na tym, aby mnie pognać i odkupić moją firmę.

– Ooo! Widzę, że pan węszy spisek. A kim mieliby być spiskowcy? Prokuratura? Skarbowka? Panie Wielgus, trochę powagi. Takie rzeczy się nie zdarzają. No, może w amerykańskich filmach...

– Panie pośle, ja wiem, że takie rzeczy zdarzają się także u nas – westchnął Wielgus. – Ale wnioskuje z pańskiego zachowania, że nie ma pan zamiaru mi pomóc.

Szczot odłożył długopis na biurko.

– To nie tak. Ja chciałbym pomóc, ale nie wiem, w jaki sposób. Nie jestem w stanie wpłynąć na decyzje urzędów. Mogę panu coś doradzić?

– Proszę. – Wielgus patrzył na niego uważnie. W oczach miał łzy. Czuł się kompletnie bezradny.

– Niech pan sprzeda firmę. Po co ona panu? Więcej problemów, niż to warte.

Biznesmen przełknął głośno ślinę. Wytarł oczy i powiedział:

– Panie pośle, jak zaczynałem, byłem jedyną firmą w kraju o takim profilu. Powodziło nam się wspaniale. Staliśmy się prekursorem nowoczesnych technologii. Polski biznes nie musiał sprowadzać z zagranicy tego, co my produkujemy. Dla polskich firm to spora oszczędność. Co roku przekazywaliśmy stypendia dla wybitnie uzdolnionych dzieciaków. Tworzyliśmy pracownie komputerowe w szkołach...

– Gratuluję – przerwał mu Szczot. – Tylko że ja mam związane ręce. Nic nie mogę zrobić. Przykro mi.

Wielgus pokiwał smutno głową.

– Trudno. Widzę, że będę musiał pójść do mediów. Opowiem przed kamerami swoją historię. Może wtedy ktoś się zainteresuje moją sprawą.

– Pański wybór. Przykro mi. – Polityk spojrział na zegarek. – Niestety musimy już kończyć. Obowiązki, sam pan rozumie.

Wielgus spuścił wzrok.

– Dziękuję za poświęcony mi czas. Mimo wszystko dziękuję. Do widzenia. – Wstał i wyciągnął dłoń na pożegnanie.

Szczot uściskał ją z uśmiechem. Odprowadzając przedsiębiorcę wzrokiem, zdecydował, że musi jak najszybciej zwołać zebranie wspólników. Wielgus mógł im narobić sporo problemów. Mieli oczywiście znajomości w mediach i był pewny, że żadna licząca się telewizja ani gazeta nie zainteresuje się rewelacjami biznesmena, ale nie wiedział, do czego jeszcze jest zdolny postawiony pod ścianą bankrut.

Poseł wolał uniknąć problemów. Zwołają naradę i wspólnie ustalą, co zrobić z facetem.

* * *

Grot wszedł do sklepu i od razu zwrócił uwagę na ekspedientkę. Jej twarz nie wzbudzała zaufania. Kolczyki w różnych nietypowych miejscach powodowały, że wyglądała bardziej na jakiegoś lumpa niż na sprzedawczynię.

Przeszedł się po sklepie, wspominając program, który kiedyś oglądał. Mówili w nim o sztuczkach stosowanych w marketach dla zwiększenia obrotów. Towary droższe ustawiane są z reguły na wysokości wzroku, tańsze, choć nie mniej dobre, na samym dole, w miejscu trudno dostępnym. Nikt przecież nie lubi się schylać, żeby wziąć towar z samej podłogi. W programie powiedziano też, że najlepiej iść na zakupy po wcześniejszym zjedzeniu posiłku. Człowiek głodny kupuje więcej. Wielkie sieci handlowe przy wejściu umieszczają specjalne pojemniki zapachowe, które sprawiają, że zakupy kojarzą się ludziom z przyjemnością. Najlepiej działa na klientów zapach świeżego chleba, takiego z przyrumienioną skórką. I nie ma znaczenia, że w danym sklepie takiego pieczywa się nie kupi. Liczył się efekt, jaki wywołuje ta smakowita woń. Kolejnym chwytem jest smarowanie owoców oliwą. Grot w dawnym życiu sam nieraz dał się na to złapać. Kupował piękne, błyszczące jabłka, które po przyniesieniu do domu okazywały się zwykłymi owocami niewartymi swojej ceny. Każdy kombinował tak, aby zarobić jak najwięcej. Rozumiał to i się na to godził. Nie tolerował tylko oszustwa. A te niestety się zdarzały. Kiedyś robił grilla dla znajomych. Kupił w markecie paczkę karkówki. Była zapakowana próżniowo i data ważności była jeszcze długa. Gdy jednak otworzyli opakowanie, smród, jaki wydobył się ze środka, przypominał odór zwłok w trakcie rozkładu. Wszystko poszło do kosza. Po bliższym przyjrzeniu się dacie ważności okazało się, że ktoś ją przerobił i mięso było już tydzień po terminie. Grota kusilo, żeby pojechać do sklepu i zrobić awanturę, ale odpuścił.

Teraz chodził po sklepie, czując na plecach wzrok ekspedientki. Był pewny, że kobieta patrzy, czy czegoś nie ukradnie. To, że miał pod okiem siniaka, nie oznaczało przecież, że jest menelem czy złodziejem. Spakował do koszyka paczkę parówek, musztardę i pięć bułek. Z półki ściągnął też oranżadę. Miał nadzieję, że będzie smakowała tak, jak zapamiętał z dzieciństwa.

Podszedł do kasy i spojrział na sprzedawczynię. Sekundę później jego wzrok powędrował nad jej ramieniem, na półkę pełną butelek. Przełknął głośno ślinę. Jego organizm domagał się alkoholu. Grot był pewny, że jeden kieliszek postawiłby go na nogi szybciej niż paczka tabletek przeciwbólowych. A cała butelka mogła zdziałać cuda. Przemógł się jednak i odwrócił wzrok od kuszącego widoku. Wziął z półki przed kasą dwie paczki tabletek przeciwbólowych i opakowanie magnezu, po czym położył wszystko na ladzie.

– Coś jeszcze? – spytała ekspedientka, gdy już skasowała towary i spakowała je do jednorazówki.

– Paczkę czerwonych viceroyów – powiedział Grot.

Kasjerka sięgnęła po papierosy i nabiła je na kasę.

– Czterdzieści trzy dziewięćdziesiąt dziewięć.

Dał dziewczynie banknot pięćdziesięciozłotowy, a ta sprawnie wydała resztę.

– Grosik będę winna – rzuciła jakby nigdy nic.

– Dlaczego?

– Bo nie mam wydać.

Grot spojrział na nią uważnie.

– Przepraszam, ale jakby pani zapytała: „Czy mogę być winna grosik?”, to ewentualnie mógłbym się zgodzić. Pani jednak stawia mnie przed faktem dokonanym. Nie podoba mi się coś takiego. Proszę mi wydać grosik.

– Ale ja nie mam. Poza tym przecież to tylko grosik – powiedziała zuchwale dziewczyna.

– Tak? Skoro to tylko grosik, to zamiast tego grosika niech pani mi wyda dwa grosze.

– Panie, będziesz się pan czepiać o jednego grosza?

– Tak. Dlaczego to ja mam być stratny?

– Ja pierniczę... – prychnęła kasjerka, otwierając kasę. Pogrzebała w środku, wyjęła monetę jednogroszową i rzuciła ją na blat. – Proszę.

– Ooo, znalazł się jednak grosik. Całe szczęście. Teraz żadne z nas nie jest w plecy.

Dziewczyna nic już nie odpowiedziała, tylko zaczęła się bawić swoim telefonem.

Grot popatrzył na nią z dezaprobatą i wyszedł ze sklepu. Tuż za progiem wyjął z blistra dwie tabletki i popił je oranżadą. Niestety nie smakowała tak, jak zapamiętał z dzieciństwa.

Odpalił papierosa, po czym ruszył w stronę swojego auta. W pewnym momencie się zatrzymał. Zwrócił uwagę na zaparkowany w pobliżu opla

samochód. Terenowe bmw wydało mu się znajome, był pewien, że gdzieś już je widział, ale nie umiał sobie przypomnieć w jakich okolicznościach. W środku siedziało dwóch gości. Jeden mocno umięśniony, drugi trochę węższy. Minął bmw z lewej strony i ponownie spojrzał na twarze siedzących w nim ludzi. Jeden był dziwnie znajomy. Detektyw się zastanawiał, czy nie miał z nim do czynienia, gdy jeszcze był gliniarzem. Może to jakiś gangus z grupy Maruchy? Teraz jednak miał inne sprawy na głowie.

Ruszył do swojego auta.

* * *

– A pamiętasz tę laskę, co ją wyrwałem w El Paco? – spytał Mongoł.

– Tę cizię, co polazłeś z nią do kibla?

– No! Wczoraj zadzwoniła i gada coś, że okres jej się spóźnia. Głupia cipa.

– I co, że się spóźnia? – zdziwił się Siwy. – Trochę się spóźni i przyjdzie.

Mongoł z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Kurwa, chłopie, jaki ty głupi jesteś. Te dragi całkiem ci mózg zlasowały.

Okres jak się spóźnia, to znaczy, że jest w ciąży.

– Ej, nie gadaj, że jestem głupi! Wkurwia mnie taka gadka. – Siwy zamilkł na chwilę, po czym spytał: – I co zrobisz?

– A co ja mam robić? Jej bachor, niech ona robi. Może wyskrobać. Kasę se narucha i wyskrobie.

– Ha, ha, ha! – Siwy się zaśmiał. – Będiesz miał bachora z dyskotekową kurewką. Dzieciak ze zwykłym lachociągiem, co gałę opierdala za drinka. Ja pierdolę, grubo!

– Nic nie będę miał. Zresztą laski już nie pamiętam dokładnie. Wczoraj jej powiedziałem, że mam w dupie ją i jej bachora. Uprzedziłem, że jak będzie mnie wkurwiać i wydzwaniać, to wywozę ją do lasu, ryj potnę i zakopię.

– I co?

– Popłakała się i stwierdziła, że nie spodziewała się tego po mnie. Kazałem jej spierdalać. Ostrzegłem, że jeszcze jeden telefon i połamię kulasy jej ojcu. Myślę, że zrozumiała. – Mongoł pociągnął nosem, odcharknął, po czym otworzył okno i splunął na zewnątrz.

– No i po kłopotcie – podsumował Siwy. – Ale słuchaj, wczoraj byłem u Basiora, wiesz, kasę mi wisi i chciałem odebrać. Dał mi telefon, takiego jakiegoś szajsunga. Ale nie o tym. Siedział u niego Mały i jakaś dupcia. Laska chyba z domu spierdoliła. I słuchaj, Mały kazał lasce zrobić mu loda i nam przy

okazji też. Panna płakała, bo pała Małego nie chciała stać. Wiesz, taka kluska po fecie. Kurwa, ile ona się narobiła, żeby ją postawić! W pewnym momencie powiedziała, że nie da rady. Chłopie, rznąliśmy ją przez cały wieczór! Płakała, błagała, a my ją dawaj, na różne sposoby! Wyszedłem stamtąd o trzeciej w nocy. Głupia pizda. Po chuj szła do Basiora?

– Debil jesteś. – Mongoł spojrział na kumpla z dezaprobatą. – A jakby to była twoja siostra?

– Nie mam siostry.

– Ech, szkoda słów... – Nagle gangus zmrużył oczy. – Ty, patrz, ten gliniarz wraca.

– No wreszcie.

– Ma torbę z zakupami, więc po prostu był w sklepie.

– A jak polazł też gdzieś indziej?

– Kurwa, Siwy, ogarnij się. Gadamy, że polazł tylko do sklepu. Nigdzie indziej nie laźł.

– Wiesz...

– Nie ma „wiesz”. Dąb by nam łby urwał, jakby się dowiedział, że facet se gdzieś łąził, a my nie poszliśmy za nim. Szef nie musi wiedzieć nic więcej. Powiemy, że polazł do sklepu i tyle.

W tym samym momencie zaczął dzwonić telefon Mongoła. Mięśniak spojrział na wyświetlacz i mruknął:

– Kurwa mać... Szef ma chyba jakiś ósmy zmysł. Właśnie dzwoni.

Siwy zaczął się rozglądać dookoła.

– Może przyjechał tu i nas widzi? Mógł też widzieć, jak tamten wraca...

– Słucham – powiedział Mongoł, odbierając połączenie

– Zjeżdżajcie stamtąd – zarządził Dębski. – Robotę mamy. W razie czego będziemy wiedzieć po lokalizatorze, gdzie gość jest.

– Dobrze, szefie, już zjeżdżamy.

– Działo się coś ciekawego?

Mongoł spojrział na Siwego.

– Nic. Polazł tylko do sklepu i wrócił. Nie szliśmy za nim, żeby nas nie zauważył.

– Dobra, to wracajcie.

Mongoł rozłączył się, odetchnął głęboko i odpalił silnik bmw.

* * *

Grot patrzył, jak kierowca bmw odbiera telefon. Niespełna dwie minuty później terenowe auto powoli wyjechało na drogę.

Odprowadził je wzrokiem, a gdy zniknęło za zakrętem, wyjął z reklamówki bułki i paczkę parówek. Gdy kończył bułkę, przypomniał sobie, skąd kojarzył faceta z beemki.

– Kurwa mać... – zaklął pod nosem. – Przecież to jeden z tych mięśniaków, którzy przeszukiwali auto Kruszewskiego.

Był już praktycznie pewny, że śmierć dziennikarza nie zakończyła ich poszukiwań. Nadal nie mieli wszystkich materiałów, z których korzystał. Nie odpuszczą, dopóki się nie upewnią, że informacje, które chciał ujawnić brat Zawadzkiej, im nie zagrażają. Podejrzewał, że zdawali sobie sprawę, iż on też nie przerwał swoich działań. Nie dał się nabrać na przedstawienie w wykonaniu prokuratury. Był zbyt doświadczonym śledczym, żeby uwierzyć, że zabójcą redaktora jest wytypowany mężczyzna. Zbyt dużo rzeczy tu śmierdziało. Teraz będzie musiał być ostrożniejszy. Nie może pozwolić, żeby bandyci za nim jeździli. Musi sprawdzać, czy nie ma ogona.

Sięgnął po kolejną parówkę. Przeżuwając, patrzył na bramę. Był ciekaw, czy ta dziewczyna w ogóle się pojawi. Oczywiście prościej byłoby ją ściągnąć tutaj albo w jakieś inne miejsce. Gdyby zobaczyła w prasie nekrolog z informacją o pogrzebie Kruszewskiego, na pewno przyszłaby na cmentarz go pożegnać. Nagle wpadł na jeszcze jeden pomysł. Zostawi kartkę w drzwiach mieszkania dziennikarza. Napisze: „Zadzwoń” i poda swój numer telefonu. Może tajemnicza M. złapie się w pułapkę. A wtedy ustalenie, kim jest, będzie już dziecinnie proste.

* * *

Cały parking Galerii Dominikańskiej zastawiony był samochodami. Ludzie tłumnie rzucili się na wyprzedaje. Joannie ledwo udało się znaleźć wolne miejsce.

Po wejściu do pasażu skierowała się prosto w stronę fontanny. Rozglądała się dookoła. Widziała mężczyzn czekających na ławkach, aż ich partnerki znajdą coś dla siebie. Jakieś dzieci biegały, krzycząc i potracając przechodniów. Ich rodzice kompletnie nie reagowali na zachowanie swoich pociech. Słyszała fragmenty rozmów. Ludzie chwalili się swoimi zdobyczami, uradowani, że udało im się skorzystać z okazji.

Ona jednak nie przyjechała tu na zakupy. Miała zlecić zabójstwo. Robiła coś złego i zdawała sobie z tego sprawę. Chęć zemsty była jednak silniejsza niż poczucie winy lub wyrzuty sumienia.

Już z daleka dostrzegła umięśnioną sylwetkę swojego byłego chłopaka. Rzucił się w oczy. Ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu, szeroki w barkach, z dużą klatką piersiową. Tacy ludzie zwykle ubierają się stereotypowo – chodzą w dresach i obuwii sportowym – Kondzi jednak był inny. Miał na sobie koszulę z krótkimi rękawami, spodnie od garnituru i czarne skórzane mokasy, na pewno drogie. Wyglądał jak biznesmen, a nie jak bandzior.

Joanna uśmiechnęła się na jego widok. Dostrzegłszy ją, on także się rozpromienił.

– Cześć, chłopaku – powiedziała, podchodząc bliżej.

– Boże, mała! Nie poznałbym cię na ulicy! Zawsze byłaś piękna, ale teraz to z ciebie prawdziwa bogini – rzucił Kondzi.

– Przesadzasz, ale dziękuję za komplement. Usiądziemy gdzieś? – Zawadzka rozejrzała się dookoła.

– Nie przesadzam. Widzę, że małżeństwo ci służy. Chodźmy, znam tu fajną kawiarenkę. Tam możemy spokojnie porozmawiać – powiedział Kondzi, biorąc ją pod ramię.

W kawiarence na szczęście nie było takich tłumów jak w pozostałej części galerii. Zajęli stolik w kącie. Kondzi podszedł do kelnerki i zamówił dwie kawy latte. Po chwili wrócił, usiadł obok Joanny i spojrzał na nią uważnie.

– Ej, mała, co się dzieje? – zapytał z troską.

– Czemu uważasz, że coś się dzieje?

– Wyglądasz jak psiak w schronisku. Oczy takie spanielowate, smutne. Opowiadaj.

Zawadzka uśmiechnęła się ponuro.

– Pamiętasz Marka, mojego brata?

– Jasne, że pamiętam. Co u niego? Fajny chłopak. Lubiłem go.

– Marek nie żyje.

– O kurwa... Przepraszam. Nie miałem pojęcia.

– Ktoś go najpierw porwał, a potem zabił. Zabójca strzelił mu w oko. Za trzy dni jest jego pogrzeb. Nie będę mogła wystawić otwartej trumny, bo praktycznie nie ma części głowy. Żaden zakład pogrzebowy nie przywróci mi w miarę przyzwoitego wyglądu.

– Kurczę, Asia. Nie wiem, jak ci pomóc. Nie znam żadnego specjalisty od zwłok. Znacząco znam ludzi, którzy się ich pozbywają. Znam ludzi, co tworzą

zwłoki, ale nikogo, kto mógłby je naprawić.

Zawadzka patrzyła, jak w ich stronę idzie kelnerka. Młoda dziewczyna postawiła przed nimi kawy i się oddaliła. Wtedy Joanna spojrzała z powagą na byłego chłopaka.

– Nie o to chciałam cię prosić. Potrzebuję innej pomocy.

– Więc słucham – powiedział Kondzi.

– Chcę, żebyś pomógł mi znaleźć kogoś, kto zabije mordercę Marka.

Mężczyzna uniósł brwi.

– Asia, co ty gadasz?

– Zrobisz to dla mnie? Zapłacę.

– Kurczę, mała... Wiesz, że dla ciebie zrobiłbym wszystko, ale to? Wiesz, o co mnie prosisz? Jak już raz się wejdzie na tę drogę, to nie ma z niej powrotu.

– Ja nie chcę z niej wracać. Ja chcę zemsty. Nie byłabym w stanie zrobić tego sama, ale są ludzie, którzy robią takie rzeczy. Sam mi kiedyś mówiłeś, że znasz takich ludzi.

– Znam, Asia. Ponowię pytanie: wiesz, o co prosisz?

– Wiem. I wiem, że mi pomożesz.

Kondzi westchnął głęboko, po czym upił łyk kawy.

Patrząc na niego, Joanna zastanawiała się, czy będzie chciał jej pomóc. Liczyła, że przez wzgląd na dawne czasy jej nie odmówi. Wiedziała jednak, że prosi go o coś, co już na zawsze zmieni ich relacje.

– Dobra, umówię was – powiedział w końcu. – Zresztą czekaj. Od razu zadzwonię i zapytam, kiedy możemy się spotkać. Ale pamiętaj, będziesz musiała z tym później żyć.

– Wiem. Ale życie bez Marka będzie dla mnie trudniejsze.

Kondzi wyszedł z kawiarenki. Joanna patrzyła, jak mija się z kelnerką niosącą zamówienie do innego stolika. O mały włos by się z nią zderzył. Stał przed wejściem i przez chwilę rozmawiał z kimś przez komórkę. Gdy skończył, wrócił na miejsce naprzeciwko Zawadzkiej.

– Masz szczęściem, mała – powiedział. – Mój kumpel może się z tobą spotkać. Tylko nie tutaj. Podjedziemy w inne miejsce. Będzie tam czekał. Dopijmy kawę i możemy jechać.

Uśmiechnęła się na te słowa.

* * *

Leki, które dostawał, coraz częściej powodowały u niego omamy. Rzeczywistość mieszała się z fikcją. Nawet osoby, które przychodziły do sali, wyglądały dziwnie.

W nocy była pielęgniarka, żeby zmienić mu kroplówkę. Najpierw wyglądała normalnie, a potem zaczęła się zmieniać. Nos rósł jej z każdą sekundą, aż osiągnął niebotyczne rozmiary. Reszta twarzy też się zmieniła. Wyrosły jej długie kły, a oczy zaczęły świecić dziwnym blaskiem. Stawała się wilkołakiem. W pewnym momencie rzuciła mu się do gardła. Starał się wezwać pomoc, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu. Próbował unieść rękę, lecz zamiast niej miał mackę ośmiornicy. Po chwili zapadł w sen.

Rano nikt nie przyszedł, jednak stało się coś gorszego. Z każdego rogu pokoju zaczęły wychodzić pająki, węże i inne dziwne zwierzęta, których nazw nawet nie znał. Słyszał jakieś głosy dochodzące spod łóżka, zupełnie jakby umieszczono tam jakiś magnetofon. Szymczak nie wiedział już, czy to wytwór jego wyobraźni, wpływ leków czy czyjeś celowe działanie. Może ktoś chciał go wpędzić w chorobę psychiczną?

Teraz leżał i patrzył w sufit. Tylko w ten punkt mógł jeszcze patrzeć. Godzinę temu w sali pojawili się pielęgniarze i przywiązali mu głowę do jakiejś obejmy. Nie mógł nią poruszyć w żadną stronę. Ręce i nogi miał przypięte pasami od samego początku pobytu w szpitalu. Na wysokości klatki piersiowej założono mu szeroki skórzany pas, za pomocą którego był przywiązany do łóżka. Nie mógł się z niego uwolnić.

W nagłym przebłysku świadomości podjął decyzję – ucieknie ze szpitala. Nie miał jeszcze pojęcia, jak to zrobi, ale po prostu musiał się stąd wydostać. Przez leki, którymi go faszcerowali, stawał się wrakiem człowieka. Bał się każdego dźwięku i przestawał rozumieć otaczający go świat. Ucieczka była ostatnią deską ratunku. Musiał tylko wszystko dokładnie zaplanować, przede wszystkim doprowadzić do tego, żeby uwolnili go z pasów. Jak już wstanie i będzie na tyle sprawny, by zrobić krok, wymknie się na korytarz, a potem na zewnątrz budynku.

Pielęgniarze nie mieli przecież broni palnej, a nawet gdyby, chyba nie będą do niego strzelać.

* * *

Po wyjściu biznesmena Szczot kazał asystentce odwołać wszystkie zaplanowane na dziś spotkania. Miał wprawdzie dyżur poselski, ale jego głowę

zaprzętały teraz ważniejsze sprawy niż marudzenie wyborców.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła trzynasta, pora lunchu. Nie lubił jadać w samotności, zawsze starał się znaleźć kogoś do towarzystwa. Nie wiedział, czy zadzwonić do wicewojewody, czy do prezydenta miasta. Z każdym z nich musiał pogadać na temat łączących ich interesów. Zresztą nie tylko interesy ich połączyły. Mieli wspólne poglądy polityczne, a prezydent wywodził się z tej samej partii co Szczot. W ostatnich wyborach samorządowych startował co prawda jako niezależny kandydat, ale każdy wiedział, do kogo jest mu najbliżej.

Z drugiej strony poseł nie chciał rozmawiać przy posiłku o interesach. Wieczorem mieli zaplanowane spotkanie w szerszym gronie. Przy whisky i markowych cygarach zadecydują co dalej. Muszą wymyślić sposób na pozbycie się Wielgusa, zanim ten narobi smrodu. Natrętny biznesmen mógł pokrzyżować ich plany. A plany mieli poważne. To, co zamierzali zrobić, będzie największym z ich dotychczasowych interesów. Prezydent wraz z radą miejską przy poparciu i pomocy wojewody uchwalił nowe prawo. Jeden z jego zapisów mówił, że mienie wypędzonych z miasta Niemców należało przekazać fundacji o nazwie Braterstwo.

Fundacją zarządzał Günter Meller, potomek największego wrocławskiego przedsiębiorcy z czasów, gdy Wrocław był częścią Trzeciej Rzeszy. Braterstwo nie tylko otrzymywało od miasta pieniądze za pozostawione mienie, ale także odzyskiwało nieruchomości. Pieniądze z ich sprzedaży przekazywało spadkobiercom przedwojennych właścicieli. Część nieruchomości lub gruntów po przekazaniu fundacji miasto odkupywało od niej na zasadach ogólnych. Problem w tym, że miasto działkę wartą milion oddawało za darmo, a kilka miesięcy później odkupywało ją za pięć milionów. Spadkobiercy dostawali zaledwie część wartości gruntu. Tylko kilku wybrańców wiedziało, że Günter w rzeczywistości nazywa się Jakub Świdorski i jest dalekim kuzynem Szczota.

Kolejną organizacją, z którą działali, było Polsko-Izraelskie Stowarzyszenie na rzecz Dialogu imienia Icchaka Rabina. Tutaj głównym beneficjentem majątku był Josef Stolzmann. W tym przypadku majątek zwracany był osobom pochodzenia żydowskiego. Największy wół polega na tym, że miasto ten sam grunt najpierw dawało Mellerowi, a potem odkupywało go za zawyżoną cenę. Jak już wracał do miasta, dziwnym trafem znowu był zwracany, tym razem żydowskim właścicielom, a właściwie Stolzmannowi. Prawowici żydowscy spadkobiercy nie otrzymywali zbyt dużych rekompensat. Mieli zwracane raptem dziesięć, góra piętnaście procent wartości mienia.

Interes się krecił i wszyscy zarabiali krocie. Jedynie miasto biedniało. Zresztą nie tylko Wrocław na tym tracił. Podobne grupy powoli zawiązywały się w innych większych miastach Polski, gdzie Szczot dopiero nawiązywał kontakty i starał się nakłonić urzędników do intratnej współpracy.

W ramach kolejnego planowanego interesu chcieli zwrócić rzekomym spadkobiercom wrocławski rynek. W grę wchodziły setki milionów, jeśli nie miliardy złotych. Jeżeli to się uda, na jakiś czas wycofają się z Wrocławia. Przeniosą się do Warszawy, Krakowa lub Poznania. Majątków do odzyskania było jeszcze sporo. Życia im nie starczy, by wszystko zwrócić prawowitym spadkobiercom, fundacjom działającym w ich imieniu lub przynajmniej tym, z którymi sami współpracowali.

Ostatecznie Szczot postanowił, że obiad zje sam. Z nikim nie czuł się tak dobrze jak we własnym towarzystwie.

* * *

Zawadzka jechała za Kondzim przez całe miasto.

Nie miała pojęcia, dokąd zmierzają. Były chłopak powiedział, że ze względów bezpieczeństwa muszą jechać osobno. Starła się nie zgubić jego auta. Gdy raz została na światłach, Kondzi zjechał na pobliski przystanek i na nią poczekał. Kolejne skrzyżowania pokonywali już razem.

Wreszcie opuścili Wrocław i skierowali się w stronę Oławy. Zawadzka zaczynała mieć obawy, czy dobrze robi. Im dłużej jechała, tym większe wątpliwości ją nachodziły.

Gdy dojechali do Siechnic, były chłopak włączył kierunkowskaz i skręcił w lewo. Joanna wykonała taki sam manewr. Kondzi wjechał na parking przed pizzerią Colloseum, gdzie stało luksusowe bmw X6. Zaparkował swoje audi Q5 na sąsiednim miejscu, wysiadł i uśmiechnął się do Joanny, pokazując, że może się zatrzymać przy kontenerze na używaną odzież.

Gdy wysiadła, podszedł do niej.

– Miejsce obok beemki zawsze musi być wolne – wyjaśnił. – Taki kaprys właściciela. Mówi, że to miejsce dla karetki, gdyby zaszła potrzeba jej wezwania.

– Jasne – powiedziała Zawadzka. – Tutaj będzie czekał ten twój znajomy?

– Już jest. Ale wciąż masz szansę się wycofać – zaznaczył Kondzi, patrząc na nią uważnie.

– Wchodzisz czy zostajesz?

Joanna ruszyła w stronę wejścia do pizzerii. Były chłopak tylko się uśmiechnął i poszedł w ślad za nią.

Weszła do środka i rozejrzała się. Z wyjątkiem mężczyzny siedzącego w kącie sali nie było żadnych gości. Zawadzka wiedziała, że to z nim ma się spotkać.

Podeszli do jego stolika. Kondzi uścisnął facetowi dłoń i wskazał na Joannę.

– To właśnie moja znajoma – powiedział. – Ma problem i nadzieję, że jej pomożesz.

– Cześć. Jestem Grzegorz, ale mówią na mnie Dąb. – Mężczyzna podał Zawadzkiej rękę. – To od nazwiska Dębski.

– Joanna – przedstawiła się.

Dąb pocałował ją w dłoń. Takiego przywitania Zawadzka się nie spodziewała. Wygląd mężczyzny sugerował raczej, że zasady dobrego wychowania są mu obce – w przeciwieństwie do przemocy i brutalności.

Gdy cała trójka usiadła przy stoliku, Dąb spytał:

– Zjecie coś? Polecam pizzę szefa. Dużo boczku i kiełbasy. Tłusto i zdrowo.

– Ja na początek wezmę jakiś sok – powiedziała Joanna. – Może być pomarańczowy.

– Pani Joanno, wie pani, ile pizz musiałem zjeść, żeby wymyślić tę jedną? – spytał z uśmiechem Dąb. – Zamówmy i wtedy pani szczerze mi powie, co o niej sądzi. Jestem pewny, że stwierdzi pani, że w życiu nie jadła lepszej.

– To pański lokal? – Zawadzka uniosła brew.

– Jedno z moich przedsięwzięć. Skromne, ale przynosi jakiś grosz.

– Dobrze. W takim razie zjem mały kawałek.

Dębski wstał od stołu i wyszedł na zaplecze. Wrócił po kilku minutach.

– Gotowe, teraz możemy porozmawiać – oznajmił. – Zanim jednak zaczniemy, proszę, żebyście wyjęli swoje telefony i położyli na tacy.

Gdy Joanna i Kondzi spełnili prośbę, jak spod ziemi wyrosła przy nich kelnerka i wyniosła komórki do kuchni. Po chwili wróciła z sokiem dla Joanny.

– Dobrze. Z jakim problemem do mnie przychodzicie? – spytał Dąb.

– Moja znajoma ma kłopot... właściwie to moja była dziewczyna – zaczął Kondzi. – Powiem więcej: moja najlepsza była dziewczyna. Charakterna, nigdy mnie nie wkopała, miałem do niej pełne zaufanie.

– Zachwalasz panią, jakbyśmy byli na targu. – Dębski się zaśmiał. – Kondzi, ufam ci i wiem, że nie wsadziłbyś mnie na minę. Nie opłacałoby ci się to zbytnio.

– Nie ma tu żadnej podpuchy.

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Przyprowadziłeś do mnie swoją najlepszą byłą dziewczynę, więc możemy pogadać. Oczywiście jak coś zacznie śmierdzieć, dla niektórych będzie to ostatnia rozmowa w życiu. Znasz mnie i wiesz, że nie rzucam słów na wiatr. Ale skoro ręczysz za panią, to słucham.

– Panie Grzegorzu, tu nie chodzi o zachwalanie – wtrąciła Joanna. – Pan o wszystkim decyduje. Jak pan nie przyjmie tego zlecenia, to znajdę kogoś innego.

Dąb popatrzył na nią i zmrużył oczy. W końcu poprawił się na krześle i spytał:

– Dobrze, co miałbym dla pani zrobić?

Zawadzka wiedziała, że dotarła do punktu, z którego nie ma już odwrotu.

– Potrzebuję kogoś, kto zabije osobę, która zabiła mojego brata.

Gospodarz przez chwilę w milczeniu wodził wzrokiem pomiędzy Kondzimą a Joanną.

– Zdaje sobie pani sprawę, o co prosi? – spytał wreszcie. – Kto raz zdecyduje się na taki krok, będzie musiał już zawsze z tym żyć.

– Oczywiście. Dobrze to przemyślałam. Czy podejmie się pan takiego zlecenia?

– Kogo miałbym zabić? Od tego zależy wiele rzeczy, także cena za usługę.

Zawadzka wzięła łyk soku.

– Tutaj jest problem – powiedziała, odstawiając szklankę. – Nie mam pojęcia. Jeszcze nie mam pojęcia.

– Hmm, takiego zlecenia nigdy nie miałem. Trzeba zabić, ale nie wiadomo kogo, nie wiadomo kiedy i nie wiadomo, czy w ogóle – powiedział z uśmiechem Dąb.

– Nie, nie, to nie tak. Już poczyniłam pewne kroki, aby ustalić, kto jest odpowiedzialny za śmierć mojego brata.

– Brzmi ciekawie. Niech pani mi o wszystkim opowie.

Zawadzka nabrała powietrza w płuca.

– Dobrze. Mój brat trafił na trop jakiejś afery. Jest... to znaczy był dziennikarzem. Ktoś go porwał, gdy się dowiedział, że ma zamiar o tym napisać artykuł. Potem znaleziono zwłoki Marka. Morderca strzelił mu w twarz.

– Czyli zleceniodawcą zabójstwa mógł być ktoś zamieszany w tę aferę. Ma pani ten artykuł?

– Nie. Dlatego nie wiem, kto zabił ani kto to zlecił.

– A jakaś kopia? Może pani brat zrobił kopię lub zeskanował materiały? To mogłoby pomóc.

– Też tak pomyślałam. Nie wiem, czy istnieje jakaś kopia, ale jej szukam. Wynajęłam detektywa i on jest za to odpowiedzialny. Ma za zadanie znaleźć zabójcę i ustalić jego dane – wyznała Joanna.

Dąb przez kilka sekund na nią patrzył.

– Rozumiem – powiedział wreszcie. – Czyli musimy czekać, aż ten detektyw coś znajdzie. A dobry jest? Może się okazać, że nic nie znajdzie albo też zostanie zabity przez tych samych sprawców.

– Nie sądzę, ale nawet jeśli pojawiłoby się coś, co by mu przeszkodziło, wynajmę kolejnego – odparła Joanna. – Będę ich wynajmować aż do skutku. Dopóki nie ustalę, kto jest winny.

– Rozumiem. Zadam może głupie pytanie, ale tak teraz sobie pomyślałem... Czy istnieje możliwość, że ten detektyw odnajdzie kopię artykułu i dokona... nie wiem... jakiegoś fałszerstwa? Może będzie chciał szantażem zdobyć pieniądze? Może będzie chciał ten artykuł wysłać do jakichś gazet? Wie pani, mi jest obojętne, kogo zniknę. Nie chciałbym jednak potem mieć problemów, jak sprawa zrobi się zbyt medialna. Wolę działać w ciszy, a nie w blasku fleszy.

Zawadzka patrzyła na Dębskiego i zastanawiała się nad jego słowami. Po chwili pokręciła głową.

– Nie ma takiej opcji. Jeśli istnieje jakaś kopia artykułu, od razu po jej znalezieniu ma mi ją dostarczyć. Taką mamy umowę.

Dąb zerknął w stronę zaplecza.

– Przepraszam na chwilę, ale pizza już jest gotowa. Zaraz wracam.

Wstał od stolika i podążył za aromatycznym zapachem.

* * *

Grot zostawił kartkę w drzwiach mieszkania Kruszewskiego i ruszył z powrotem do samochodu.

Ciągle zastanawiał się nad facetami z beemki. Nie potrafił sobie przypomnieć, czy jechali za nim, czy może byli na Dokerskiej, zanim on tu dotarł. Gdy wjeżdżał na parking, nie zwrócił uwagi na beemkę. Nie rozglądał się co prawda, ale raczej by ich zauważył, gdyby tu stali.

Odpalił papierosa i rozejrzał się dyskretnie. Podejrzewał, że tych z beemki ktoś zmienił. Po kilku głębokich machach zgniótł butem peta i wsiadł do opla. Przez chwilę przełączał stacje radiowe w poszukiwaniu muzyki, ale wszędzie

akurat nadawali wiadomości. Redaktor omawiał właśnie kolejną aferę związaną z partią rządzącą. Jakiś polityk tłumaczył, że nepotyzm członków jego partii wcale nie jest czymś złym, ich poprzednicy także opanowywali spółki skarbu państwa.

Grot zmienił stację. Tutaj prowadzący wiadomości mówił o kolejnych protestach górników oraz o tym, że służba zdrowia na najbliższy poniedziałek planuje protest w stolicy.

Detektyw słuchał tego wszystkiego i zastanawiał się, dlaczego w tym kraju ciągle ktoś musi protestować. Sam jak był w służbie, wiele razy narzekał na wynagrodzenie. Uważał, że budżetówka zawsze dostaje po tyłku. Pasek z wypłatą powodował u niego wściekłość i sprawiał, że wiele razy chciał to rzucić w cholerę. Zaciskał jednak zęby, bo wyznawał zasadę, że psem się jest bez względu na wysokość wypłaty. Takich jak on, gliniarzy z powołania, było wielu, chociaż z każdym rokiem ich liczba malała. Wykruszali się.

Przełączył radio na płytę. Z głośników popłynęła ballada z lat dziewięćdziesiątych. Grot się uśmiechnął. Pamiętał ją z czasów, jak jeszcze był kawalerem i chodził na dyskoteki. Wtedy to był hit. Z czasem muzyka przestała mu się podobać. Zauważył, że coraz rzadziej powstają prawdziwe przeboje. Większość puszcanych w radiu utworów to przeróbki tego, co ktoś już nagrał, a to, co było nowe, rzadko okazywało się warte zainteresowania.

Wszłuchał się w znajome dźwięki, gdy po chwili obok samochodu stanęła jakaś kobieta i zaczęła głośno rozmawiać przez komórkę. Początkowo chciał ją zignorować, jednak temat go zainteresował.

– Słuchaj, kochana, powiedziałam Michałowi, że potrzebujemy nowej szafy, bo ja już się nie mieszczę. A wiesz, co on mi powiedział? Że mogę wywalić to, czego już nie noszę! Uwierzysz?

Grot ściszył radio i zbliżył ucho do szyby.

– No! Powiedziałam, że mu nie dam, dopóki nie będzie szafy.

Kobieta odwróciła się w stronę opla. Dopiero teraz zorientowała się, że jego kierowca może ją słyszeć.

– Czekaj, bo jakiś typ słucha, o czym gadamy – powiedziała ciszej, po czym zasłoniła dłonią telefon i warknęła do Grota: – I co się gapisz? Nieładnie tak podsłuchiwać!

Gdy odeszła z telefonem kilka kroków, Grot podkręcił głośność i zatopił się w balladzie.

Dąb wrócił z parującą pizzą i usiadł przy stole.

Zawadzka poczuła głód. Ostatnio nie przywiązywała wagi do posiłków. Jadła, bo wiedziała, że powinna, ale bez szczególnego apetytu. Pizza jednak wyglądała naprawdę dobrze. Duże kawałki boczku, wielkie plastry kiełbasy, mnóstwo ciągnącego się sera. Wciągnęła w nozdrza aromat ziół. Zapach był nie mniej kuszący niż wygląd.

Gospodarz zauważył, że danie zrobiło wrażenie. Uśmiechnął się i powiedział:

– Jedzcie. Najlepiej smakuje gorąca.

Kondzi nałożył sobie duży kawał. Joanna wzięła nieco mniejszy i spróbowała. Smak rzeczywiście był wyjątkowy, składniki idealnie do siebie pasowały. Nie zdecydowała się jednak na kolejny kawałek. Wytarła usta chusteczką i spojrzała na Dęba.

Ten wziął łyk soku i powiedział:

– Widzę, że smakowało.

– Muszę przyznać, że była wyśmienita – odparła szczerze Joanna.

– Nie będę udawał skromnego. Ma pani rację, była wyśmienita. Mam taki dziwny nałóg, że wszystko, co robię, staram się dopracować do perfekcji. To, z czym pani do mnie przyszła, to tylko część mojej działalności. Kiedyś byłem zwykłym łobuzem, Kondzi może poświadczyć. Potem jednak postanowiłem zmienić swoje życie. Skończyłem studia i planuję dalej się kształcić. Otworzyłem kilka legalnych biznesów. Z każdego mam jakieś profity. Ten lokal to jednak oczko w mojej głowie. Zresztą pizzeria to coś więcej niż lokal. To mój azyl. Mogę tu odpocząć, posiedzieć w ciszy, czasem nawet zrobić pizzę.

– Marnuje pan talent. Ktoś, kto robi taką pizzę, powinien otworzyć sieć pizzerii. Miałyby pan tłumy.

– Nie rozumie pani. Ja nie chcę tłumów, ja chcę spokoju. A tutaj go mam. Wie pani, ile takich pizz robię miesięcznie? Dziesięć. Każda smakuje tak samo wyjątkowo. Zwykli ludzie z ulicy jej nie zamówią. Ona jest tylko dla mnie i moich gości. Dla wybranych.

– Rozumiem. Jestem tym bardziej zaszczycona, że zechciał pan ją dla nas przygotować.

– A ja się cieszę, że smakowała. Teraz jednak wróćmy do tematu, z którym pani tu przyszła. Chce pani, abym pozbył się kogoś, kto odpowiada za śmierć pani brata.

– Tak. Chcę zemsty. Chcę, aby ta osoba cierpiała, tak jak cierpiał Marek. Żeby też bała się o swoje życie, a na koniec żeby odeszła w taki sam sposób.

Dąb uśmiechnął się na jej słowa.

– Jestem w stanie to pani zagwarantować. Tylko że coś takiego będzie kosztować.

– Ile?

– Za odpalenie osobnika chcę osiemdziesiąt tysięcy.

– Dobrze. Cena mi odpowiada. Czy dostanę jakieś zdjęcia?

– Nie, musi mi pani zaufać na słowo. Żadnych zdjęć, żadnych filmów. Nic takiego pani nie otrzyma. Ja nie zostawiam po sobie śladów. Dostanie pani tylko informację, że ta osoba już nie żyje.

Zawadzka przypatrywała mu się przez chwilę.

– A jaką mam gwarancję, że wykona pan swoją robotę? Wie pan, jak to jest...

– Asiu, jak Dąb czegoś się podejmuje, to na pewno to zrobi – odezwał się Kondzi. – Ja mu ufam i wiem, że jak powie, że wykonał zadanie, to je wykonał.

– Dobrze, skoro ręczysz za pana, jestem skłonna przyjąć te warunki – stwierdziła Zawadzka.

Dąb znowu się uśmiechnął.

– Dobrze. Pieniądze da pani Kondziem, a on mi je przekaże. Reszta należy już do mnie. Teraz niestety muszę już państwa pożegnać.

Znów jak spod ziemi pojawiła się przy nich kelnerka z tacą, na której leżały telefony Joanny i Kondziego. Zawadzka bez słowa wzięła swój aparat i włożyła do torebki. Po chwili wstała od stolika i wyciągnęła rękę do gospodarza.

– Dziękuję panu za spotkanie. I za niezapomniane doznania smakowe.

Dąb ucałował jej dłoń.

– Cała przyjemność po państwa stronie. Miło było poznać.

Tuż za progiem Zawadzka nagle poczuła się słabo. Kondzi złapał ją w ostatniej chwili i tylko dzięki temu nie osunęła się na ziemię.

– Ej, mała, co się dzieje? – spytał wystraszony.

– Nic, już mi lepiej... To pewnie ze zmęczenia.

– Może odwiozę cię do domu? Twoje auto potem ktoś podstawi.

– Dzięki, dam radę – zapewniła Joanna, uwalniając się z ramion byłego chłopaka.

Gdy szła do swojego samochodu, zobaczyła, jak pod lokal podjeżdża terenowe bmw. W środku siedziało dwóch barczystych mężczyzn. Zaparkowali na miejscu rzekomo przeznaczonym dla karetki, po czym weszli do pizzerii.

– Czyli Dąb ma pracowników – mruknęła pod nosem, wsiadając za kierownicę.

* * *

Po przesłuchaniu Różalskiej Artur wrócił do wydziału. Wyjął z szuflady kanapki, odwinął jedną z papieru śniadaniowego i wstawił wodę na kawę.

Jadł, patrząc przez okno. Widok nie był zbyt ciekawy. Na wprost znajdował się budynek Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, który praktycznie zasłaniał świat. Na dachu siedziało stado ptaków. Kilka z nich ganiało się w jakimś dziwnym tańcu.

Zalał kawę i wrócił za biurko. Musiał skontaktować się z Grotem i umówić spotkanie, najlepiej w jakimś ustronnym miejscu. Nie chciał, żeby ktoś się domyślił, że zamierza poprosić dawnego gliniarza o pomoc w śledztwie. Obaj mieli ten sam cel – dowiedzieć się, kto zabił Marka Kruszewskiego.

Artur miał pewność, że to jakaś mocno ustosunkowana osoba. Jak tylko dostali sprawcę, koleś od razu trafił do psychiatryka. Wniosek o obserwację psychiatryczną złożył ponoć Żelichnowski. Artur nie darzył prokuratora zaufaniem ani sympatią. Żelichnowski był skorumpowany i zdolny do najgorszych świństw. Cała komenda wiedziała, że jak sprawa trafi do niego, namęczą się, a ten i tak sam zadecyduje, co zrobi z materiałem dowodowym. Zdarzały się przypadki, że pomimo iż sprawca przyznawał się do winy i wszystkie dowody świadczyły przeciwko niemu, śledztwo rozmywało się na poziomie prokuratury.

Artur się zastanawiał, kiedy ktoś wreszcie zrobi porządek z tym człowiekiem.

* * *

Dąb patrzył przez okno, jak Joanna Zawadzka odjeżdża spod jego pizzerii.

Gdy do lokalu weszli Siwy i Mongoł, od razu przywołał ich do stolika.

– Widzieliście tę laskę? – spytał.

– No, niezła dupa – odpowiedział Siwy.

– Siwy, zbastuj trochę.

– Przepraszam, szefie. Ale muszę przyznać, że kobietka niczego sobie. To jakaś szefa znajoma?

- Nie uwierzycie. To Joanna Zawadzka.
- Nie kojarzę. Jakaś aktorka?
- Dębski przewrócił oczami.
- Głupi jesteś. To siostra naszego dziennikarza.
- Ooo, a co ona tu robi? Czyżby się dowiedziała, że to szef kropnął jej braciszka?
- Nie. Robotę ma dla nas. Chce, żebyśmy zniknęli osobę, która zabiła jej brata.
- Siwy spojrział na Mongoła, a następnie na Dębskiego.
- Szefie, jak szef to zrobi? Przecież to niemożliwe.
- Gdybym miał dotrzymać danego jej słowa, musiałbym popełnić samobójstwo, a nie mam takiego zamiaru. Dlatego nie wykonamy tego zlecenia
- wyjaśnił Dąb. – Ale dzięki jej wizycie będziemy niezłe poinformowani.
- Co szef ma na myśli? – spytał Mongoł.
- Wiecie, że jak się z kimś tutaj spotykam, to musi zostawić telefon z daleka od stolika. Względy bezpieczeństwa. A więc jak pani Zawadzka zostawiła komórkę, to na zapleczu został jej wgrany program Spyphone.
- Nieźle! – zawołał z uznaniem Siwy.
- Więc jeśli ten Grot coś ustali i skontaktuje się z Zawadzką, będziemy mieli wszystko jak na tacy.
- Czyli koniec roboty?
- Nie, ale na tę chwilę lekko wrzucamy na luz – powiedział Dąb. – Mamy inne zlecenie. Trzeba porozmawiać z pewnym gościem. Czas do końca tygodnia, czyli należy się pospieszyć.

* * *

Po powrocie do domu Artur zrobił sobie herbatę.

Kasi jeszcze nie było. Pojechała do koleżanki na ploty. Miała wrócić około dwudziestej. Teraz była osiemnasta. Siedział przy kuchennym stole i myślał o prowadzonej sprawie. Teoretycznie była już rozwiązana, choć Artur uważał, że poszło zbyt łatwo. Komuś zależało, żeby szybko trafili do Szymczaka. Byli prowadzeni jak po nitce do kłębka.

To właśnie w jego ocenie najbardziej śmierdziało. Niestety oficjalnie nie mogli już nic zrobić. Morderca został zatrzymany i skierowany na obserwację psychiatryczną. Musieli tylko poczekać na opinię biegłych dotyczącą jego poczytalności. Jeśli się okaże, że Szymczak jest zdrowy psychicznie, sprawa

trafi na wokandę. Jeśli będzie chory, resztę życia spędzi w wariatkowie. Rodzina ofiary została powiadomiona. Nie mieli już nic do roboty.

Przypomniawszy sobie, jak bardzo był zaskoczony, gdy zobaczył Grota w domu Zawadzkiej. Nie spodziewał się tam spotkać dawnego kumpla z wydziału. Nie spodziewał się też, że Grot będzie w tak dobrym stanie. Ich ostatnie spotkanie wyglądało zgoła inaczej. Grot był wtedy zarzygany, oszczany i pijany w sztok. Teraz dawny kompan wyglądał bez porównania lepiej.

Prośba o spotkanie także była dla Artura sporym zaskoczeniem. Ostatnio ich relacje uległy rozluźnieniu. Kiedyś może nie byli przyjaciółmi, ale dobrymi kumplami. Razem spędzali czas w wydziale – Grot za partnera miał Tomalę, a on Wróblewskiego. Kilka razy współpracowali przy trudniejszych śledztwach. Po odejściu Grota na pół roku Artur został partnerem Tomali. Gdy ten przeszedł na emeryturę, dostał Grodzkiego.

Dopił herbatę i wstał od stołu. Zgłodniał. Podeszedł do kuchenki i włączył gaz pod garnkiem z żurkiem. W tym samym momencie zaczęła dzwonić jego komórka. Spojrzał na wyświetlacz. Nie kojarzył tego numeru. Podejrzewał, że znowu ktoś chce mu wcisnąć nową taryfę albo poinformować, że wygrał bon na badania dla seniorów.

– Słucham.

– Cześć, tu Radek. Masz chwilę?

Artur od razu rozpoznał głos Grota.

– No cześć. Jasne. Miałem do ciebie dzisiaj dzwonić.

– Słuchaj, Artur, chciałbym się z tobą spotkać. Oczywiście jak masz czas i chęć.

– Dzisiaj? – Pasewicz spojrział na zegar. Nie zamierzał już nigdzie wychodzić.

– Jeśli można, to dzisiaj. Pasuje ci o dwudziestej drugiej pod Milenijnym? Koło basenu.

– Dobra, będę.

– Dzięki – powiedział Grot i się rozłączył.

Artur wyłączył palnik. Odechciało mu się jeść. Następnie włączył skrzynkę nadawczą i sprawnie wystukał esemesa.

Nie mógł się doczekać spotkania z Grotem.

* * *

Grot odłożył telefon na stół. Odpalił papierosa i sięgnął po pilota. Dawno już nic nie oglądał w telewizji. Nawet nie wiedział, czy odbiornik jest sprawny.

Przez chwilę patrzył na to, co się działo na ekranie. Lecił akurat jakiś program, w którym tańczyli celebryci. Większości nie kojarzył. Pijąc, nie był na bieżąco. Minutę obserwował wysiłki na parkiecie, po czym zaczął przełączać programy. Na którymś z kolejnych nadawali dokument o pracy policjantów z drogówki. Przypomniał mu się moment, gdy pojawił się na miejscu wypadku swojej żony i synka. Widział w wyobraźni miejsce, gdzie skończyło się jego wcześniejsze życie. Przed oczyma stanęły mu obrazy sprzed kilku lat. Odjeżdżająca karetka, głosy współpracowników z wydziału zabójstw, wzrok gliniarzy z drogówki, próby pocieszenia. Kadry przebiegały mu przed oczyma jak w zwolnionym filmie. Wszystko wróciło i walnęło go prosto w klatę, jakby dostał ciężkim młotem.

Ze złością rzucił pilotem w telewizor. Ekran nie uległ zniszczeniu, ale z pilota wypadły baterie. Wstał i poszedł do kuchni. Jakaś jego część chciała pójść do sklepu po butelkę wódki. Chciał się nawalić w trupa i zapomnieć o wszystkim. Ostatkami silnej woli odsunął tę myśl.

– Muszę wytrwać – powiedział cicho, ciekaw, czy żona i synek obserwują go z góry i trzymają za niego kciuki. – Muszę być silny. Dla nich.

Wiedział, co musi zrobić. Już dawno powinien odwiedzić ich grób. Nie był na cmentarzu, odkąd wpadł w depresję. Brakowało mu odwagi. Bał się, że ich zawiódł. Miał za zadanie ich chronić i nawalił. Staś był za mały, aby rozumieć, co to jest zagrożenie. Miał zaledwie pół roku. Kamila ufała mężowi i wielokrotnie mówiła, że jest dla niej ostoją. Był jej bohaterem. Jednak w czasie ostatecznej próby jej nie obronił.

Po policzku spłynęła mu łza. Tak bardzo mu ich brakowało.

* * *

Spotkanie rozpoczęło się tuż po dziewiętnastej.

Szczot przyjechał w dobrym nastroju. Przywitał się ze zgromadzonymi i usiadł w głębokim skórzanym fotelu. Lubił spotkania w domu Witolda Szefnera. Dom był przytulny i duży, fotele wygodne, a ciepło z kominka pozwalało się zrelaksować. Z reguły spotkania grupy odbywały się tutaj, ale czasami wynajmowali jakiś hotel i wtedy ostro balowali.

Dziś jednak Szczot był zadowolony, że może usiąść w fotelu ze szklanką chivas regal. Lubił ten trunek, nawet bardziej niż jacka danielsa, którego był

smakoszem. Pamiętał czas, kiedy nie znał smaku whisky, brandy ani innych markowych alkoholi. Był to okres PRL-u, kiedy najczęściej spożywanym alkoholem była czysta wódka. Pił ją nader często i lubił jej smak. Każdą imprezę zaczynał od wychylenia kieliszka. Nie miało znaczenia, jaka była okazja.

Przez wódkę wpadł też w tarapaty. Pamiętnego dnia, a właściwie późnego wieczoru, pił z Heńkiem i Jankiem. Siedzieli za stacją CPN-u przy Żmigrodzkiej. Oprócz wódki mieli też słoik ogórków, które z jakiejś altanki przyniósł Heniek. Byli już mocno pijani. Nie pamiętał nawet, skąd się wzięła tamta dziewczyna. Mogła to być jakaś pracownica Wrozametu lub Zrembu. Albo zwykła małolata czekająca na okazję. W pewnym momencie pojawiła się w ich towarzystwie. Nie trzeba było długo czekać, by alkohol rozbudził żądze. Wszyscy po kolei bzyknęli małolatę. Po seksie dalej pili. Nawet nie tyle pili, co chlali. Po którejś z kolei butelce film mu się urwał. Obudziło go mocne szarpanie. Zobaczył, że dziewczyna leży z szeroko otwartymi oczami. Od razu się zorientował, że jest martwa. W pobliżu kręciło się kilku milicjantów – pakowali jego kompanów do radiowozów. Przewieziono ich na komisariat milicji i każdego wsadzono do osobnego pokoju. Podczas przesłuchania Szczot uparcie twierdził, że nie ma nic wspólnego ze śmiercią dziewczyny. Przesłuchujący nie dawali mu jednak wiary. Wtedy pojawili się jacyś faceci po cywilnemu. Przesłuchiwał go niejaki kapitan Wasiak ze Służby Bezpieczeństwa. Szczot spodziewał się najgorszego. Szybko dał się przekonać do podpisania kilku dokumentów. Najważniejsza była lojalka i protokół przyznania się do winy. Wasiak mówił, że to zabezpieczenie, tak na wszelki wypadek. Po podpisaniu lojalki został wypuszczony na wolność. Spokój trwał jednak zaledwie dwa tygodnie.

Niby przypadkowo spotkał Wasiaka, gdy wraz z matką stał w kolejce w sklepie mięsny. Kapitan SB wtedy tylko się do niego uśmiechnął i skinął głową. Dzień później Szczot znowu na niego wpadł, tym razem na przystanku autobusowym. Wasiak pokazał mu głową kierunek, w którym ma się udać. Gdy doszli do bramy wskazanej przez esbeka, jak spod ziemi wyrosło przed nimi dwóch mężczyzn. Wciągnęli go do środka. Wtedy się dowiedział, że ma pracować dla organów bezpieczeństwa.

Donosił na wszystkich. Na sąsiadów, na znajomych rodziców, którzy działali w podziemiu solidarnościowym, na swoich znajomych z podwórka, ze szkoły, z pracy. Pytano go o każdego, o kim mógł mieć jakąkolwiek wiedzę. Gdy poznał Basię i dostał od niej kosza, doniósł na jej ojca. Powiedział Wasiakowi,

że facet źle się wypowiadał o partii i siłą chciał obalić ustrój komunistyczny. Faceta zatrzymano i w trakcie śledztwa tak obito mu nerki, że już do końca życia miał problemy zdrowotne.

Za donoszenie Szczot nie otrzymywał żadnego wynagrodzenia. Wasiak, który z czasem awansował na majora, był zadowolony z pracy swojego najbardziej skutecznego agenta. Nadano mu kryptonim Krokodyl, a na teczce miał napisane TW „Krokodyl”. Nazwa nawiązywała do jego uzębienia. Szczot miał ostro zakończone zęby, jak u rekina lub krokodyla.

Donoszenie sprawiało mu satysfakcję. Jak ktoś mu podpadł, od razu trafiał w łapy bezpieki. Czuł się panem życia i śmierci. Wszystko się zmieniło po upadku komunizmu. Zaczął się obawiać o swój los. Wtedy znowu z pomocą przyszedł mu Wasiak. Teczke pracy tajnego współpracownika wspólnie spalili w ogrodzie przy domu Szczota. Tamtego dnia zrobili coś więcej – założyli nową teczkę, w której umieścili dokumenty świadczące o tym, że esbecja rozpracowywała go operacyjnie. Wtedy też dowiedział się prawdy o śmierci dziewczyny, która zapoczątkowała jego współpracę ze Służbą Bezpieczeństwa. Sekcja zwłok wykazała, że zadławiła się ogórkiem, którego zjadła. Jej śmierć była wynikiem wypadku, a nie celowego działania. Początkowo ta informacja zdenerwowała Szczota, ale z czasem stwierdził, że pewnie i tak prędzej czy później zbratałyby się z bezpieką.

Kilka lat później postanowił związać się z polityką. Gdy piał się coraz wyżej po szczeblach kariery, zaczął się bać. Nie wiedział, czy Wasiak nie zostawił jakichś fragmentów jego donosów lub kserokopii akt. Postarał się o dostęp do akt zgromadzonych w IPN-ie i od razu przejrzał swoją teczkę. Była dobrze przygotowana. Według akt Służby Bezpieczeństwa był inwigilowany i donosiło na niego kilkanaście osób. Dzięki takiej teczce mógł bez obaw o lustrację starać się o najwyższe stanowiska w państwie. Zresztą takie miał plany na przyszłość.

– Co tam, Grzesiu? Coś się tak zwiesił? – usłyszał z boku.

Szczot odwrócił głowę. Koło fotela stał prezydent Wrocławia Rafał Markiewicz.

– Cześć, Rafi.

– Rozmarzyłeś się?

– A myślę sobie, że jeszcze nie oddałeś mi tych stu trzydziestu koła, co je wzięłeś na dokończenie budowy.

– Kurwa, nie musisz mi przypominać. Przecież mówiłem, że dostaniesz je w przyszłym miesiącu. Zresztą jak mam być szczery, to dzięki mnie masz teraz

kupę kasy. Nie okazujesz wdzięczności, a tylko się czepiasz o takie drobne.

Szczot musiał przyznać mu rację. To dzięki władzom miasta mogli robić swoje interesy.

– Rafi, gdybym każdemu darował takie pieniądze, to teraz nie miałbym takiej kasy, jaką mam. Ale okej, nie wkurwiał się. Będzie w przyszłym miesiącu? Wtedy pogadamy. Napij się.

– Taki mam zamiar. Widziałeś Podgórskiego?– spytał Markiewicz.

– Nie, dopiero co przylazłem.

– Dobra, poszukam go. Nara.

Szczot rozejrzał się po zgromadzonych w poszukiwaniu Podgórskiego. To on skontaktował ze sobą ich wszystkich i to dzięki niemu byli tu, gdzie byli. W sumie niewiele o nim wiedzieli. Pojawił się znikąd i zaproponował zrobienie kilku wałków. Przedstawił plan i załatwił kupno kilkunastu nieruchomości. Wszyscy z grona przyjaciół Szczota na tym zarobili.

To było w połowie lat dziewięćdziesiątych. Potem jeszcze wiele razy Podgórski się pojawiał i za każdym razem wszyscy korzystali na jego obecności. Szczot wiele razy się zastanawiał, kim jest ten facet. Podejrzewał nawet, że to jakaś podpucha, ale nic za tym nie przemawiało. Gdyby to była prowokacja, już dawno wszyscy by siedzieli.

Szczot nigdzie nie widział mężczyzny, dzięki któremu mieli spore majątki. Dostrzegł za to kilku swoich najbliższych współpracowników. Prokurator Żelichnowski rozmawiał z Banasiewiczem z firmy Profi-Bud. Malinowski nalewał sobie drinka. W oddali Aldona Wojciechowska rozmawiała przez telefon.

Po chwili otworzyły się drzwi i w progu stanął Podgórski. Spojrzał po twarzach zebranych i wszedł do środka. Przywitał się z kilkoma osobami po drodze i skierował się w stronę Szczota. Kilka sekund później stał już przy fotelu, który zajmował poseł.

– Co pijesz? – spytał.

– Chivas – odpowiedział Szczot.

– Też sobie należę. Jak tam, Grzesiu, w polityce?

– Czasem lepiej, czasem gorzej, ale jakoś leci. Czemu pytasz?

– A bo mam dla ciebie niespodziankę. Ale to potem.

Podgórski uśmiechnął się do Szczota i wyszedł na środek salonu.

– Panie i panowie, proszę o chwilę ciszy – powiedział do zebranych. – Nasze plany są na ukończeniu, ale mam też nie lada gratkę. Taki bonus do interesów. Zaraz przejdę do rzeczy, ale najpierw mam kilka pytań. Siadajcie.

Wszyscy usiedli w fotelach i na kanapach. Każdy miał jakiegoś drinka, kilka osób paliło papierosy lub cygara.

Podgórski zwrócił się do Szczota:

– Grzesiu, jak tam twoja rozmowa z Wielgusem?

Szczot lekko się zaniepokoił. Nikogo nie informował o spotkaniu z biznesmenem. Dopiero teraz chciał tę sprawę poruszyć i wspólnie z pozostałymi zdecydować, co dalej robić. To, że Podgórski wiedział o ich rozmowie, dowodziło tego, że ktoś go informuje. Kapusiem mógł być tylko ktoś z jego biura poselskiego. Szczot będzie musiał się dowiedzieć, kto jest nielejalny.

– Był u mnie i zalił się na system – odparł ostrożnie. – Chciał pomocy.

– I otrzymał ją? – spytał Podgórski.

– Doradziłem mu, żeby sprzedał biznes, póki jeszcze ktoś chce go kupić. Facet powiedział, że pójdzie ze sprawą do telewizji. Trzeba będzie zdecydować, co z nim zrobić.

– A co proponujesz? – spytał prezydent Markiewicz.

– Myślę, że trzeba będzie wysłać do niego naszego specjalistę od rozwiązywania problemów.

– A czy rozwiązał już problem tego dziennikarza? – dopytywał Markiewicz.

– To, że faceta nie ma, nie znaczy, że problem zniknął. Może ten... jak mu tam?

– Kruszewski – podpowiedział prokurator Żelichnowski.

– Może ten Kruszewski się zabezpieczył i ukrył gdzieś jakieś ksero albo skany?

– Dąb nad tym pracuje – powiedział Szczot.

Po sali przeszedł dziwny pomruk. Poseł nie wiedział, czy wyrażał on zadowolenie, czy dezaprobatę. Wszyscy dziwnie na niego spoglądali. Podgórski także patrzył inaczej niż dotąd. W końcu się uśmiechnął i podniósł rękę.

– Spokojnie, proszę państwa. Proponuję, żeby sprawą Wielgusa zajął się nasz specjalista. Zresztą już z nim na ten temat rozmawiałem. Ma to ogarnąć jeszcze w tym tygodniu.

Podgórski rozejrzał się po sali. Widział na twarzach zebranych akceptację wobec jego decyzji.

– Moi drodzy, zaraz tu będzie mój przyjaciel. W sumie współpracuję z nim od niepamiętnych czasów. To on pomagał mi w interesach, które wszyscy wspólnie robiliśmy. Był takim cichym współnikiem. Teraz postanowił się

ujawnić. Niektórzy może go znają, inni dopiero będą mieli tę przyjemność. Ale zanim tu wejdzie, zadam wam pytanie. Chcecie zarobić dużo pieniędzy?

– A kto nie chce? – rzucił Banasiewicz.

– A więc dzisiaj pojawiła się pewna informacja. Pamiętacie, jak dwa lata temu zaproponowałem wam kupno ziemi w okolicy Jawora?

– No i kupiliśmy – odparł Szczot. – Jakoś do tej pory nie przyniosło to żadnych zysków.

– Spokojnie, Grzesiu. Dziś się dowiedziałem, że ziemią zainteresowała się pewna niemiecka firma. Chcą tam otworzyć fabrykę. Oczywiście zaproponowano im teren, który należy do kilku z zebranych tu osób. W sumie mogliby kupić działki w pobliżu, ale ten akurat najbardziej im odpowiada. Nie ma dla nich znaczenia, że jest znacznie droższy niż inne działki w okolicy. Nasi znajomi z Niemiec przekonali ich do kupna konkretnie tych działek.

– Ile na tym zarobimy? – spytał Banasiewicz.

– Dwadzieścia razy więcej, niż włożyliśmy. Dobra przebitka – odpowiedział Podgórski.

– A kim są ci znajomi z Niemiec? – chciał wiedzieć Żelichnowski.

– To rodzina babci STASI – odpowiedział głos od strony drzwi.

W drzwiach stał wysoki dystyngowany mężczyzna. Miał około siedemdziesięciu lat, siwe włosy i taką samą brodę. Oczy czujnie lustrowały zebranych.

Na jego widok Szczot oblał się zimnym potem. Szklanka, którą trzymał w dłoni, zaczęła się niebezpiecznie przechylać. Nogi mu drżały.

– Witam państwa. Nazywam się Wasiak, pułkownik Tadeusz Wasiak.

Kilka osób zaczęło się rozglądać po sali. Z ich zachowania Szczot wnioskował, że miały już do czynienia z dawnym funkcjonariuszem Służby Bezpieczeństwa. Wiele spotkało go na swojej drodze i nie były to dla nich przyjemne spotkania.

Wszyscy pewnie się tego wstydzili.

* * *

Grot przyjechał na miejsce spotkania przed umówioną godziną.

Zaparkował pod mostem i czekał na Pasewicza. Pamiętał czas, kiedy most budowano. Jeszcze dekadę temu w tej części miasta były zaledwie trzy przeprawy przez Odrę. Powodowało to ogromne korki. Most Milenijny tuż po wybudowaniu niestety kończył się w szczerym polu. Trzeba było zjechać

w Osobowicką i znowu przebijać się przez miasto. Dopiero z czasem wykupiono ziemię i poprowadzono dalszy etap inwestycji. Krążyły pogłoski, że właściciele ziemi żądali od miasta zbyt dużych kwot za sprzedaż gruntów leżących na trasie planowanej drogi. Grot słyszał, że kilka działek należało do lokalnych polityków, jednak nigdy nie weryfikował tych informacji.

Naprzeciwno błysnęły światła nadjeżdżającego samochodu. Spojrzał na zegarek. A więc Pasewicz także był wcześniej.

Wysiadł z opla i odpalił papierosa. Patrzył, jak Artur parkuje w pobliżu. Kilkanaście sekund później policjant z wydziału zabójstw podszedł do Grota.

– Cześć, Artur – powiedział. – Dzięki, że przyjechałeś.

– Cześć. Fajnie cię widzieć. Muszę powiedzieć, że byłem zaskoczony, widząc cię u siostry Kruszewskiego.

– Tak? A co cię zaskoczyło?

– Szczerze? Byłeś trzeźwy. Ostatnio wiecznie byłeś na bani.

– Wiem. Dzięki, Artur.

– Za co?

– Za wszystko. Nie dawałem sobie rady. Nawet nie wiesz, jak mi było ciężko. Tylko nieliczni zostali i nie odwrócili się ode mnie.

Pasewicz spojrział na Grota.

– Nie ma sprawy.

– Dobra. Polizaliśmy się po jajach, obwąchaliśmy sobie dupy, przejdźmy do konkretów.

– Krótko i w temacie.

– Jak wiesz, prowadziłem śledztwo w sprawie zaginięcia Kruszewskiego.

– Zabitego, gwoli szczegółów, ale mów dalej.

Grot odwrócił się, widząc, że w ich stronę jedzie jakiś samochód. Po chwili zaparkował koło nich peugeot 407.

Detektyw spojrział na Pasewicza.

– Spokojnie – powiedział ten drugi. – Spotkanie odbędzie się w trochę większym gronie. Chyba nie masz nic przeciwko?

– Artur, gdybym chciał się spotykać w większym gronie, zwołałbym konferencję prasową.

Grot kusilo, żeby odjechać. Chciał się spotkać w dyskretnych okolicznościach, a nie robić widowisko.

Z samochodu wysiadł jakiś facet i ruszył w ich stronę.

– Cześć. Pogadaliście już? – spytał, stając przy nich.

– W sumie jeszcze nie – powiedział Artur.

– Cześć, Radek, pamiętasz mnie? Ratajczyk. – Mężczyzna wyciągnął rękę do Grot.

– Jak przez mgłę. Musisz mi jednak wybaczyć, ostatnio jakoś nie ćwiczyłem pamięci. Za mało krzyżówek i rebusów.

Ratajczyk się uśmiechnął.

– Dobra. Pewnie Artur już ci powiedział, że jestem naczelnikiem zabójców. Ty jesteś legendą i ciężko byłoby ją przyćmić.

– Brzmi, jakbyś mnie wyrywał. Co jeszcze? Na lody mnie zaprosisz? – prychnął Grot.

– Nie jesteś w moim typie – stwierdził Ratajczyk.

– Słuchaj, Radek – odezwał się Pasewicz – mamy do ciebie sprawę. Możemy sobie wzajemnie pomóc.

Grot skinął głową.

– Mów.

– Prowadziłeś poszukiwania chłopaka, a my go znaleźliśmy. Pojawił się jednak pewien problem. Sprawca był znany, zanim znaleźliśmy zwłoki.

– Pierdolisz. To dziwne.

– Więc wymianka. Mów, co wiesz, a potem my – powiedział Ratajczyk.

Grot odpalił papierosa. Przez kilka chwil palił w milczeniu. Starał się ułożyć sobie wszystko w głowie. W końcu splunął na ziemię i zaczął:

– A więc w skrócie. Zgłosiła się do mnie siostra Kruszewskiego. Powiedziała, że zaginął. Był początkującym dziennikarzem śledczym i wpadł na trop jakiejś afery. Miał zamiar to opisać w gazecie. Ponoć to miała być bomba. O kim lub o czym pisał, nie mam pojęcia. Facet zniknął. Szukałem go i trafiłem na jakichś karków przeszukujących mu samochód. Doszło do małej bitki. Potem wy go znaleźliście. I w sumie to tyle.

Ratajczyk spojrział na Artura.

– Ty mów.

– Okej. My znaleźliśmy samochód z jego zwłokami w bagażniku – zaczął Pasewicz. – Auto należało do młodego urzędnika z urzędu wojewódzkiego...

– Co? – przerwał mu Grot.

– Co „co”?

– Powiedziałeś z urzędu wojewódzkiego? To się układa.

– Co się układa? – zapytał Ratajczyk.

– Słuchajcie, jak doszło do bitki z tymi karkami, widziałem w papierach wyciągniętych z auta Kruszewskiego fakturę na zajębieście dużą kwotę. Miał ją zapłacić urząd wojewódzki.

– Kurwa... To już wiemy mniej więcej, o czym miał pisać Kruszewski – powiedział Ratajczyk.

Grot skinął głową.

– W mojej ocenie zabito chłopaka, bo odkrył coś związanego z urzędem. Musiało to być coś kurewsko mocnego, skoro go odpalono. Ale kontynuuj.

– A więc samochód należał do urzędasza. Pojechaliśmy do niego do roboty. Facet miał wolne. Okazało się, że dzień wcześniej dziwnie się zachowywał. Skakał i narobił syfu w robocie. Jakby był naćpany. Pojechaliśmy do niego do domu. Gość nic nie pamiętał. Zwieźliśmy go do fabryki i poszedł do lochu. W jego chałupie znaleźliśmy broń, z której zastrzelono Kruszewskiego. Klamka była skitrana w spłuczce. Sprawca idealny. Jest tylko jedno „ale”. Żelichnowski złożył wniosek o obserwację w wariatkowie – dokończył Artur.

Grot zaciągnął się głęboko.

– Biorąc pod uwagę zachowanie urzędnika w pracy, takie badania trzeba wykonać. Fakt, że za szybko, ale to normalna procedura.

Artur zerknął na Ratajczyka. Obaj się uśmiechnęli.

– Niby tak, ale wniosek był, zanim zatrzymaliśmy gościa – powiedział Ratajczyk. – Teraz jarzysz? Prokurator wiedział, kogo zatrzymamy, zanim my się dowiedzieliśmy. Śmierdzi na kilometr.

– Kurwa... Czyli prokurator jest w to umoczony. W sumie się nie dziwię, bo to kawał sprzedajnego chuja. Tym razem jednak poszedł po bandzie.

– Powiem więcej – wtrącił Ratajczyk. – Pogonił mnie, jak do niego poszedłem. Powiedział, że sprawa jest zakończona. W ogóle zrobiło się chujowo. My nie możemy prowadzić śledztwa, bo nas wyjebią z fabryki. Ty możesz. Dostaniesz od nas pełne wsparcie i dostęp do akt.

– Czemu to robicie?

– Bo nie chcę wiedzieć, że niewinny chłopak siedzi za zabójstwo.

Grot się nie spodziewał, że w temat może być zamieszany sam prokurator Żelichnowski. Zastanawiał się, czy tylko wziął kasę za ukreślenie sprawie łba, czy może osobiście miał z tym coś wspólnego.

– Dobra, kto jeszcze wie, że macie zamiar mi pomagać? – spytał po chwili.

– Nikt, to taka nasza inicjatywa – powiedział Artur.

– Okej, będę musiał pogadać z tym zatrzymanym urzędnikiem. Może on mi wyjaśni, o co chodzi. Podejrzewam, że był informatorem Kruszewskiego. Aaa, i będzie mi potrzebny dostęp do baz. CEPiK, KSIP...

– Da się załatwić.

- Grot, tylko pamiętaj, nie ryzykuj zbytnio – ostrzegł Ratajczyk. – Nie chcemy cię wyciągać z jakiegoś bagażnika.
- Bez obaw. Będę ostrożny.

Pułkownik

Szczot obudził się na kacu. Odczuwał nie tylko fizyczne skutki działania wypitego wczoraj alkoholu, ale także stres związany z pojawieniem się na spotkaniu Wasiaka.

Obawiał się starego esbeka. Bał się, że pułkownik wyciągnie jakieś kwity na niego i pokaże wszystkim, z kim mają do czynienia, że jego przeszłość ujrzy światło dzienne. Gdyby opinia publiczna dowiedziała się prawdy o jego działalności w czasach Polski Ludowej, byłby skończony. Media by go zlinczowały, stałby się politykiem, z którym nikt nie chce gadać.

Jednak nie to byłoby najgorsze. Prawdziwe piekło czekałoby go w domu rodzinnym. Gdyby jego rodzice się dowiedzieli, że to on donosił na nich i ich znajomych, rozpętałoby się piekło. Ojciec wiedział, że kapuś był człowiekiem z ich najbliższego otoczenia, ale własnego syna nigdy by o to nie podejrzewał. Po upadku socjalizmu ojciec starał się ustalić, kto był donosicielem SB. Wertował akta, które trafiły do Instytutu Pamięci Narodowej, sprawdzał wszystkie tropy. Stało się to jego obsesją. Dzięki tym działaniom dowiedział się, że praktycznie większość jego znajomych ucierpiała w wyniku działań agenta o kryptonimie Krokodyl. Agent Służby Bezpieczeństwa działał prężnie i dzięki jego meldunkom bezpieka co chwilę kogoś zatrzymywała.

Ojciec Szczota najbardziej się zdziwił, gdy poznał prawdę na temat swojego najlepszego przyjaciela. Przez lata myślał, że Dionizy Nowotnik był kapusiem i został zdemaskowany. Rzekomo wyjechał za granicę. Takie pogłoski pojawiły się wśród znajomych. Ktoś powiedział, że Dyziu kapował, a potem ze strachu przed zemstą kolegów z podziemia uciekł prawdopodobnie na Zachód. Nowotnik początkowo wysyłał żonie kartki pocztowe, potem przestał. Nikt nie interesował się jego dalszym losem, nikt nie chciał znać kapusia. Prawda wyglądała jednak inaczej. Przez donos Krokodyla Nowotnik trafił do więzienia w Wołowie. Tam był gnębiony przez klawiszy i recydywistów. Na przesłuchaniach bili go i poniżali. Co chwilę trafiał do izolatki. W nocy nie

pozwalano mu spać. Wszystkie te działania miały na celu złamanie opozycjonisty. I udało się. Nowotnik powiesił się w celi na sznurze zrobionym z prześcieradła. Jego zwłoki pochowano na cmentarzu w Wołowie. Dopiero z akt IPN-u stary Szczot dowiedział się, że jego przyjaciel nie żyje. A wszystko przez niejakiego Krokodyla. Ojciec poprzynosił do domu kserokopie akt i wiele wieczorów je analizował, starając się ustalić, kim był kapuś. Jak dotąd bezskutecznie.

Szczot kilka razy przeglądał te akta razem z nim. Był zaskoczony, bo wielu donosów nie pamiętał. Osób, na które donosił, także było jakby więcej. Niektórych nazwisk wcale nie kojarzył. Podejrzewał, że jakiś oficer wpisywał inne donosy do tych jego. Mógł chcieć uwiarygodnić w oczach przełożonych meldunki innego, mniej ważnego agenta.

Dla niego nie miało to większego znaczenia. Oryginalna teczka uległa zniszczeniu. Stworzono nowego Szczota – działacza opozycji, buntownika i prawdziwego bohatera narodowego. Dziwił się, że nie został jeszcze odznaczony przez prezydenta za zasługi w walce o wolność i demokrację. Pojawienie się Wasiaka wywołało w nim pewne obawy. Pułkownik był jedyną osobą znającą prawdę o przeszłości pośła. Gdyby esbek tę prawdę ujawnił, wybuchłaby afera, która mogłaby zniszczyć całą jego mozolnie budowaną karierę. Byłoby to co prawda słowo przeciwko słowu, ale politycznie Szczot tylko by stracił.

Kojarzył sprawę byłego premiera Kazimierza Starczewskiego oskarżonego o długoletnią współpracę ze wschodnioniemiecką STASI. Nadano mu kryptonim Wiktor. Plotki krążyły, a kariera polityka i szefa jego partii w dalszym ciągu była na fali wznoszącej. Miał nawet szansę w nadchodzących wyborach prezydenckich. Im częściej pojawiał się w mediach, tym częściej sprawa wracała. Sam Starczewski wielokrotnie wyciągał ją w dyskusji, dyskredytując swoich przeciwników politycznych. Mówił, że skoro niektórzy uważają go za agenta, to niech wyłożą karty na stół i to udowodnią. Jak dotąd nikt się nie zdecydował.

Jednak Szczot by tak nie postąpił. Był inny niż Starczewski. Były premier miał większe poparcie w partii, bardziej się liczył, można też powiedzieć, że był bardziej lubiany niż Szczot. Mogło to być spowodowane charakterem Szczota i jego ambicjami. Jakiś czas temu starał się wprowadzić w partii zasadę „dziel i rządź”. Zebrał wokół siebie swoich popleczników, a potencjalnych konkurentów do stanowisk starał się poniżyć w oczach członków partii i opinii publicznej. Kilka osób nie zamierzało być pionkami w jego grze, stwierdziły,

że nie będzie nimi manipulował. Jego duma mocno wtedy ucierpiała. Pamiętał, jak podczas jednej z konwencji partii trafił na dywanik do Starczewskiego. Stał na środku gabinetu i był obsobaczany przez przełożonego. Kilku polityków patrzyło tylko i się uśmiechało. Poprzysiągł sobie wtedy, że za jakiś czas zetrze im te uśmiechy z twarzy.

Jak dobrze wszystko rozegra, za rok lub dwa wystartuje na stanowisko prezesa partii. Zdetronizuje Starczewskiego i zemści się na wszystkich tych, którzy mu źle życzyli.

Tylko ten nieszczęsny Wasiak...

Szczot czuł, że coś zaczyna się dziać bez jego wiedzy. Coś, co może mieć ogromny wpływ na jego polityczną przyszłość.

* * *

Dębski dopiero przed chwilą otworzył Colloseum. Piec do pizzy był jeszcze zimny, a pierwsi goście powinni przyjść dopiero za jakąś godzinę.

Czuł, że mężczyzna, który właśnie wszedł do pizzerii, jest kimś, kto zmieni jego dalsze życie. Z wyglądu był to niepozorny starszy facet, jednak coś w jego postawie i sposobie poruszania się świadczyło o dużej pewności siebie i poczuciu siły.

Zajął miejsce w drugim kącie sali. Siedział na wprost Dębskiego i patrzył. Gdy podeszła do niego kelnerka, zamówił sok pomidorowy, nie spuszczać wzroku z Dęba. Takie zachowanie zastanawiało gospodarza. Nie wiedział, kim jest ten starzec i jaki ma do niego interes. Bo to, że jakiś interes ma, było aż nadto widoczne.

Postanowił jednak nie zwracać uwagi na mężczyznę. Zajął się swoimi sprawami. Właśnie przeglądał faktury zakupowe. Pomimo że lokal nie miał zbyt wielu klientów, Dębski wychodził na swoje. Gdyby poszedł za radą Zawadzkiej, rozszerzył działalność i stworzył sieć, mógłby zarabiać naprawdę konkretne sumy. On jednak wolał, żeby to było kameralne miejsce, oaza, gdzie on sam może sobie posiedzieć w kącie, czasem zrobić pizzę lub napić się piwa. Tutaj też najlepiej umiał się skupić nad swoją pracą doktorską.

– Czy mogę się przysiąść? – usłyszał nagle.

Dąb spojrzął do góry. Przy jego stoliku stał ten dziwny starszy facet.

– Przepraszam, ale jestem trochę zajęty – odparł.

– Rozumiem. Mimo wszystko dobrze by było, gdyby poświęcił mi pan trochę czasu. Myślę, panie Grzegorzu, że pewne rzeczy mogłyby pana

zainteresować.

Dębski patrzył na mężczyznę z rosnącym zaciekawieniem. Nie wiedział, skąd ten zna jego imię. Na pewno nigdy wcześniej się nie spotkali.

– Czy my się znamy? – spytał.

– Osobiście nie, ale wiem o panu bardzo dużo. Wychował się pan bez ojca. Gdy opuścił dom, pan był jeszcze dzieckiem. Matka powiedziała panu, że wyjechał za granicę. A potem zbieg kilku niesprzyjających okoliczności sprawił, że jest pan tym, kim jest – powiedział mężczyzna.

– Czy pan zna mojego ojca?

– Znałem. Powiem więcej: wielokrotnie z nim rozmawiałem. I były to ciekawe dyskusje.

– Wie pan, gdzie on jest? Odkąd wtedy wyjechał, nie dał znaku życia.

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Niestety już nie żyje. Panie Grzegorzu, czy możemy pójść na pewien układ? Ja panu wystawię jak na tacy osobę odpowiedzialną za śmierć pańskiego ojca, a pan zrobi dla mnie pewną rzecz. Ale to za jakiś czas. Czy chce pan poznać prawdę o sobie i swojej rodzinie?

– Prawdę? – zdumiał się Dąb. – Co pan ma na myśli?

Mężczyzna usiadł na krześle na wprost niego.

– Teraz nazywa się pan Grzegorz Dębski, ale to jest nazwisko panięskie pana matki. Pański ojciec nazywał się Nowotnik, Dionizy Nowotnik. Został aresztowany w osiemdziesiątym pierwszym za działalność opozycyjną i wyładował w zakładzie karnym. Niestety długo tam nie zabawił. Zmarł. Nikt nie wiedział o tym fakcie, nawet pańska matka. Służba Bezpieczeństwa fałszowała kartki pocztowe, które niby pisał pański ojciec. Agentura SB wysyłała te kartki z zagranicy. Miał to być dowód na to, że Nowotnik żyje, tylko zerwał kontakty z rodziną i znajomymi. Były też puszczane pogłoski, że donosił bezpiece. To także była fikcja. Gdy pański ojciec trafił w ręce bezpieki, pan miał zaledwie dwa lata. Pańscy rodzice planowali ślub, ale działania agentury pokrzyżowały im plany. Dlatego nosi pan inne nazwisko niż ojciec.

Dąb zmarszczył brwi, analizując słowa, które właśnie usłyszał. Matka unikała tematu, gdy pytał ją o powód odejścia ojca. Udzielała tylko zdawkowych informacji, ale on wiedział, że często płacze po nocach. Znienawidził go wtedy. Uważał, że facet nie powinien w taki sposób postępować. Nie powinien zostawiać rodziny w trudnych czasach. On sam miał przez to ciężko w dzieciństwie. Wychowywał się bez męskiej ręki. Może to spowodowało, że związał się z półświatkiem. Może to było powodem jego

buntu i narastającej agresji. Podejrzał, że gdyby w okresie dojrzewania miał ojca, jego późniejsze życie wyglądałoby całkiem inaczej. Nie związałby się z grupami przestępczymi. W normalnym trybie zakończyłby edukację i teraz byłby szanowanym obywatelem bez przeszłości kryminalnej.

Patrzył beznamiętnie na starca, który właśnie go uświadomił, że tyle lat żył w błędzie.

– Powiedział pan, że wystawi mi pan osobę odpowiedzialną za śmierć mojego ojca. Co pan za to chce? Ile? – spytał.

– Czy pan myśli, że mi chodzi o pieniądze? Nie docenia mnie pan.

– A więc?

– Wiem o panu wszystko. Obserwowałem pańskie życie i pańskie wybory. Wiem wszystko o pańskich przestępczych działaniach. Można nawet powiedzieć, że pozwoliłem się panu w tej dziedzinie rozwinąć.

– Jak mam to rozumieć? – spytał Dąb, coraz bardziej zdumiony obrotem spraw.

– Można powiedzieć, że byłem pańskim najlepszym klientem. Ale to nie o to chodzi. Dam panu nazwisko osoby, która zaprowadziła pańskiego ojca za kraty. Mam tylko kilka warunków.

– Jakich?

– Po pierwsze, pan go nie zabije. Swego czasu uzyskał pan pewne dokumenty, a właściwie zdobył artykuł napisany przez osobę, którą pan zabił. Nie przekaze pan swoim zleceniodawcom tych dokumentów. To jest drugi warunek. Jest też trzeci, ale to już w swoim czasie.

– Ten drugi mogę spełnić. Co do pierwszego nie wiem, czy dam radę. Wie pan, jeśli to, co pan powiedział, jest prawdą, to ta osoba zniszczyła życie mnie i mojej matce.

– Będzie musiał pan z tym żyć. Zabicie osoby, która donosiła na pańskiego ojca, nic panu nie da. Nic oprócz zemsty. Życia ojcu nie zwróci, a tylko narobi więcej kłopotów, niż to warte.

– Dobrze, zgadzam się – zdecydował Dębski. – A teraz niech pan poda nazwisko tej osoby.

– Nie tak szybko, chłopcze. Dopiero jak spełni pan mój trzeci warunek. Ale jak wcześniej wspomniałem, to w swoim czasie. Pan dla mnie coś zrobi, a potem otrzyma pan jego pełne dane. Na tę chwilę mogę tylko powiedzieć, że był zarejestrowany jako TW Krokodyl. Jeśli pan chce, może sprawdzić w IPN. Wtedy zobaczy pan, ile osób skrzywdził ten kapuś.

– A skąd pan to wie?

– Chłopcze, wiem wiele więcej, niż ci się wydaje. Teraz sobie to wszystko przemyśl. Odezwę się do ciebie. Cześć.

Mężczyzna wstał z krzesła, odwrócił się i wyszedł z lokalu.

Dąb patrzył przez okno, jak idzie chodnikiem. Zastanawiał się, czy gdyby go przycisnął, ten wyjawiłby mu nazwisko skurwiela, który zabił mu ojca. Kusiło go, aby to sprawdzić.

Wiedział jednak, że taki krok byłby błędem mającym swoje konsekwencje.

* * *

Artur wstał z samego rana. Czuł się jak nowo narodzony.

Wziął prysznic i się ogolił, a potem usiadł do śniadania, które przygotowała mu Kasia, zanim wyszła do pracy. Przy trzeciej kromce usłyszał pukanie do drzwi. Wstał od stołu i szybko włożył spodnie i koszulkę. Zakładał skarpetki, gdy niespodziewany gość zaczął dobijać się mocniej.

– Ja ci, kurwa, puknę... – mruknął pod nosem Pasewicz i spojrzął przez wizjer.

Na klatce schodowej stał Walczak. Chcąc nie chcąc, musiał mu otworzyć.

– Słucham – powiedział, nie kryjąc niechęci.

– No, ja przyszedłem z panem porozmawiać. – Właściciel mieszkania próbował go ominąć i wejść do środka, Artur jednak zagroził mu drogę.

– O czym?

– Bo pan masz mi płacić czynsz, a ja pieniędzy nie dostałem na konto.

– Przecież jak podpisywałem umowę, mówiłem, że będę płacił według rachunków, które miał mi pan przedstawiać. Pan jednak do tej pory nie przedstawił żadnego rachunku. Więc płacę do wspólnoty mieszkaniowej na ich rachunek.

– Słuchaj pan, ja wtedy mówiłem, że musisz pan płacić mnie. Zaliczkę za wodę sześćdziesiąt złotych, opłaty za czynsz i fundusz remontowy...

– Zaliczkę za wodę sześćdziesiąt złotych? Jak zużyłem w miesiącu za ledwie za dwadzieścia? To mam nadpłacać czterdzieści? Dlaczego? Wspólnota ma wszystko uregulowane.

– Słuchaj pan, ja nie ufam, że pan płacisz te rachunki. Pan mi zadłużysz mieszkanie, a ja potem będę spłacał? Nie, na to nie ma mojej zgody.

– Panie Walczak, rachunki są opłacone. Czy coś jeszcze? Bo spieszę się do pracy. – Pasewicz miał już dość tego faceta. Każda rozmowa z nim wyprowadzała go z równowagi.

– Słuchaj pan, nie podoba mi się to, co pan gadasz. Chcę, żeby się pan wyprowadził. Myślę, że to najlepsze rozwiązanie.

– Słucham? Panie Walczak, pan chyba nie wie, co mówi! Wykonałem tutaj sporo prac, odnowiłem praktycznie całe mieszkanie, zainwestowałem swoje pieniądze, a pan teraz wypowiada mi umowę?

– No tak. Nie będę ryzykował. Zresztą z panem nie idzie się dogadać. Miał mi pan płacić, a pan mi nie płacisz.

Artur czuł, że zaraz straci cierpliwość.

– Płacę do wspólnoty. Na wszystko mam potwierdzenia. Nie ma pan prawa wypowiedzieć mi umowy. A poza tym czy zwróci mi pan włożone w to mieszkanie pieniądze?

– Ja mam panu jeszcze coś zwracać? – oburzył się stary. – Słuchaj pan, ja nic nie będę zwracał.

– W takim razie ja tu będę mieszkał, dopóki nie wymieszkał tego, co zainwestowałem. Żegnam – powiedział Artur.

– Słuchaj pan. Ja tu przyjdę z dzielnicowym i inaczej będziesz pan gadał!

– Dobrze, niech pan już idzie. Nie mam czasu na pierdoły.

Pasewicz zamknął drzwi tuż przed nosem zdziwionego właściciela mieszkania.

– Co za chytry dziad, ja pierdołę... Zrób mu remont, użeraj się z nim, a on potem wypowie umowę. Niedoczekanie! – złorzeczył, idąc do kuchni.

Przez Walczaka całkiem stracił apetyt.

* * *

Grot był na dziś umówiony z Arturem. Miał jeszcze ponad dwie godziny do spotkania. Włączył telewizor. Akurat nadawali wiadomości sportowe. Śląsk znowu przegrał w lidze. Piłkarze prowadzili do osiemdziesiątej minuty, a potem dali sobie wbić dwie bramki. Zajmowali miejsce w dole tabeli. Palił papierosa i popijał go kawą. Smakowała wyjątkowo intensywnie.

Przed spotkaniem chciał jeszcze podjechać na cmentarz. Choć miał pewne obawy, musiał wreszcie stanąć nad grobem bliskich, zapalić znicze i się pomodlić.

Zastanawiał się, jak mu się będzie współpracowało z Pasewiczem. Gdy byli w jednym wydziale, nie mieli zbyt wielu okazji, by razem działać. Teraz po latach znów będzie z kimś działał ramię w ramię.

* * *

Szczot był zaskoczony telefonem od kumpla z czasów studiów. Tadeusz Maksymiuk od lat nie utrzymywał kontaktów z dawnymi znajomymi, a poza tym mieszkał za granicą.

Szczot lubił Tadeusza, kiedyś nawet uważał go za przyjaciela. Wypili razem setki piw i wypalili tysiące papierosów. Potem Maksymiuk wyjechał. Ożenił się i założył firmę. Szczot pamiętał, że już w czasach studenckich snuł plany wyjazdu. Wtedy jednak można było o tym jedynie marzyć. W czasach Polski Ludowej można było wyjechać co najwyżej do krajów demoludów.

Tadeusz jednak uparł się na tę zagranicę i ciągle o tym gadał. Na początku lat dziewięćdziesiątych udało mu się zdobyć paszport i wyjechać do RFN. Zamieszkał w Berlinie, tam poznał Agnieszkę, swoją przyszłą żonę. Z biegiem czasu założył w Niemczech firmę – handlował używanymi samochodami. Po latach się rozwiódł i zmienił branżę. Postanowił być deweloperem. Zakupił kilka gruntów i zaczął budować tanie mieszkania. Do Polski przyjeżdżał od czasu do czasu. Z reguły na wakacje lub odwiedzić bliskich na cmentarzu.

Dzisiaj zadzwonił do Szczota z prośbą o spotkanie. Spotkali się w ustronnej kawiarni w okolicach rynku. Początkowo Maksymiuk kurtuazyjnie wspominał stare czasy, wypytał o rodzinę i zdrowie. W końcu przeszedł do meritum. W skrócie nakreślił swoje plany na najbliższą przyszłość. Zamierzał zainwestować w kraju dużą kwotę pieniędzy i wybudować kilkadziesiąt budynków dla najuboższych. Jego plan zakładał, że państwo da mu za darmo grunty lub sprzeda je po okazyjnej cenie, a potem będzie partycypować w kosztach budowy mieszkań oraz opłacać najem. Lokatorzy mieli płacić na preferencyjnych warunkach, a skarb państwa wziąć na siebie większość kosztów. I tutaj Maksymiuk widział miejsce dla Szczota. Jako polityk – liczący się polityk – mógłby lobbować za takim rozwiązaniem problemów mieszkaniowych najbiedniejszej warstwy społeczeństwa. Oczywiście nie za darmo. Tadeusz zaproponował Szczotowi cichą spółkę – podział czterdzieści do sześćdziesięciu procent. Posłowi przypadłaby mniejsza część zysków.

Szczot nie odpowiedział od razu. Zamierzał to skonsultować ze swoimi wspólnikami. Nie chciał, żeby interes z dawnym przyjacielem zakłócił pozostałe biznesy. No i był jeszcze jeden, chyba najważniejszy argument – współpracując z grupą, miał wsparcie nie tylko urzędników, ale i prokuratury. Postanowił zwołać zebranie w ich stałym gronie.

Było jeszcze coś, o czym chciał z kilkoma osobami porozmawiać. Pragnął się dowiedzieć, co myślą na temat Wasiaka. Pojawienie się starego esbeka sprawiło, że ostatnio źle sypiał. Ciągłe miał koszmary. Dzisiaj śniło mu się, że wpadł do jakiejś dziury, a nad jego głową stał Wasiak trzymający w ręku jego teczkę pracy. Rzucił w niego kartkę po kartce i śmiał się głośno. Wokół kłębił się tłum, który krzyczał: „Powiesić skurwysyna!”. Szczot widział twarze osób, które przez jego donosy wylądowały w więzieniu lub były torturowane przez bezpiekę. Obudził się zlany zimnym potem i do rana już nie zasnął.

Będzie musiał załatwić sprawę Wasiaka. Postanowił zlecić Dębskiemu zajęcie się starym esbekiem. Bał się tylko, czy Wasiak nie ma gdzieś schowanej kopii jego teczek. Jednak po śmierci pułkownika papiery nie byłyby już tak groźne. Szczot mógłby się tłumaczyć, że to zemsta bezpieki po latach. Oczywiście Dąb będzie musiał odzyskać potencjalną teczkę, a także popracować nad esbekiem, żeby się dowiedzieć, czy gdzieś czegoś nie ukrył. Poseł wiedział, że zabicie Wasiaka będzie go kosztowało sporo kasy, ale na bezpieczeństwie nie warto oszczędzać.

Uśmiechnął się na myśl o tym, że dni esbeka powoli dobiegają końca. Kiedyś był panem życia i śmierci innych. Teraz na szalę trafiło jego życie.

* * *

Artur już miał wychodzić z domu, gdy poczuł rozstrój żołądka. Ledwo zdążył do łazienki.

Siedział na sedesie, gdy usłyszał ciche pukanie do drzwi wejściowych. Chwilę nasłuchiwał, ale dźwięk się nie powtórzył.

Pewnie ktoś się pomylił lub zrezygnował, pomyślał. Wtedy rozległ się dziwny dźwięk. Coś jakby terkotanie pracującej wiertarki. Szybko się podtarł, podciągnął spodnie i umył ręce. W momencie, gdy wychodził z łazienki, drzwi mieszkania się otworzyły i oczom Pasewicza ukazał się facet w kombinezonie roboczym i z wiertarką w dłoni. Za jego plecami stał Walczak i policjant w stopniu sierżanta.

– Co jest, kurwa? – zaklął Artur.

– Panie, co tu się dzieje? Mówił pan, że klucz pan zgubił, a tu ktoś jest! – wściekł się ślusarz. – W chuja pan sobie grasz?

Walczak zignorował go i odwrócił się do dzielnicowego.

– Panie władzo, ten człowiek mieszka tu nielegalnie. Dzisiaj ja mu kazał się wyprowadzić. Proszę go stąd zabrać.

- Proszę dokumenty – zwrócił się do Pasewicza sierżant.
- A na jakiej podstawie mam się wylegitymować?
- Na takiej podstawie, że ja panu każę. Dlaczego pan nie otworzył, jak pukałem?
- Znęcałem się w tym czasie nad zwierzętami.
- Co? Jakimi zwierzętami? – Dzielnicowy wytrzeszczył oczy.
- Konia waliłem. Dlatego nie otworzyłem. Chyba nie mam obowiązku otwierać, gdy ktoś puka? Poza tym to, że ktoś puka i nikt mu nie otwiera, nie oznacza, że można się włamać!
- Proszę pana, za takie głupie żarty może pan odpowiedzieć karnie. Proszę dokumenty – powtórzył mundurowy. – Ten pan twierdzi, że przebywa pan tu nielegalnie.
- Sierzancie, zawraca mi pan dupę – prychnął zirytowany Artur. – Zajmuje się pan pierdołami, a był obecny w trakcie dokonywania przestępstwa. Powiem więcej: pan w tym przestępstwie brał udział.
- W jakim znów przestępstwie?
- Tych oto dwóch mężczyzn dokonało włamania do mojego mieszkania. Zniszczyło mienie w postaci zamka do drzwi.
- Dzielnicowy się zawahał. Spojrzał na Walczaka i ślusarza.
- Mnie do tego proszę nie mieszać – odezwał się ślusarz, pakując narzędzia do wielkiej torby. – Nie zrobiłem nic niezgodnego z prawem. Ten facet pokazał swój dowód. Jest tu zameldowany.
- Panie dzielnicowy, skoro już popełnił pan przestępstwo i pozwolił dokonać czynu zabronionego, ma pan problem – powiedział Artur. – Będzie pan musiał sprawować wartę przed tymi drzwiami aż do mojego powrotu. Musi pan pilnować, aby nic z mieszkania nie zginęło. A tutaj ma pan moje dokumenty. – Sięgnął na komodę po policyjną blachę i podetknął ją pod nos zaskoczonemu policjantowi. – Mam z tym panem umowę najmu tego mieszkania. Aktualnie mam z nim też mały konflikt. Jakieś bzdury, ale pan Walczak uważa inaczej. Dzisiaj rano przyjechał i powiedział mi, że mam się wyprowadzić. Ja na coś takiego nie wyrażam zgody, dlatego sąd rozstrzygnie, kto ma rację.
- Dzielnicowy patrzył przez chwilę na Walczaka, a następnie przeniósł wzrok na Artura.
- Wie pan, ale to jest mieszkanie tego pana i to on decyduje, kto może w nim mieszkać. W mojej ocenie powinien pan opuścić lokal – stwierdził.
- Panie sierzancie, ja rozumiem, że nie ma pan obowiązku znać przepisów dotyczących ustawy o ochronie praw lokatorów, nie musi pan też znać kodeksu

cywilnego, ale powinien pan wiedzieć, że tylko wyrok sądu o eksmisji pozwala wyprowadzić kogoś z lokalu. No, chyba że ma pan w dupie przepisy prawa?

– No, nie...

– Więc skoro nie ma wyroku, ja tu zostaje. Pan też. Do czasu, dopóki nie zostanie wstawiony nowy zamek. Teraz niestety muszę iść do pracy. Prawdziwi przestępcy czekają.

* * *

Po wyjściu z pizzerii Wasiak udał się do zaparkowanego w pobliżu mercedesa GLK.

Wsiadł na tylną kanapę i spojrzał na kierowcę. Mężczyzna był jego osobistym ochroniarzem, dobrze wyszkolonym profesjonalistą. Adam Kowalczyk ksywa Kowal jeszcze dwa lata temu był operatorem jednostki specjalnej NIL i brał udział w wielu operacjach. Wasiak miał do niego pełne zaufanie. Zresztą ufał każdemu ze swoich współpracowników. Z większością z nich działał od kilku lat. Miał jeszcze dwóch ochroniarzy, Kajmana i Topora, ale oni wykonywali teraz zadanie w innym miejscu. Każdy z nich był specjalistą i profesjonalistą. Większość wywodziła się z jednostek specjalnych, pozostali pochodzili z resortu spraw wewnętrznych. Wielu służyło w Służbie Bezpieczeństwa.

Po upadku poprzedniego systemu zarówno on, jak i mnóstwo oficerów bezpieczeństwa nie wiedzieli, co ze sobą począć. Część z nich zasiliła grupy przestępcze. Mieli opanowane wszystkie drogi przerzutu kontrabandy za granicę. Jeszcze w czasach socjalizmu kontrolowali przemyt. Byli armią specjalistów. Ze służby znali metody przesłuchiwania i potrafili każdego nakłonić do udzielenia informacji. Potrafili obserwować ludzi i inwigilować każdy ich krok. Mieli także potężną armię konfidentów. Oczywiście wraz z upadkiem komuny i osłabieniem ich pozycji wielu z kapusiów próbowało się urwać ze smyczy, ale kilku ten krok przypłaciło życiem. Jako potencjalni przestępcy byli niezwykle groźni. Nie bali się nikogo. Policja nie była im straszna. Po okresie transformacji ta zresztą była słabo wyszkolona i wyposażona. Gdy najlepsi śledczy odeszli ze służby lub nie zostali pozytywnie zweryfikowani, nowy narybek nie miał się od kogo uczyć. Starzy bezpieczniacy wiedzieli, że nikt nie nauczy lepiej niż starszy, bardziej doświadczony kolega. Tych się pozbyto, więc nowa policja uczyła się z książek i jakichś skryptów. Wykładowcami w szkołach policyjnych zostali ci, którzy

w czasach PRL-u nie dostaliby żadnej sprawy do samodzielnego prowadzenia. No, chyba że chodziłoby o kradzież słoików z przetworami z altanki na działce lub złapanie sprawcy spuszczenia powietrza z kół rowerów. I ci ludzie mieli być elitą nowo powstającej policji i służb specjalnych.

Gdy Wasiak się dowiedział, kto będzie rządził resortem po upadku systemu, któremu przysięgał wierność, ze śmiechu prawie się posikał. Z czasem jednak przestało mu być wesoło. Gdy posiedział kilkanaście miesięcy na bezrobociu, jego spojrzenie na sytuację uległo radykalnej zmianie. Nikt nie chciał zatrudnić byłego esbeka, a dołączenie do bandytów jakoś niespecjalnie mu odpowiadało. Gdyby nie kilka teczek, które wyniósł i schował w swojej daczce na Mazurach, nie miałby co do garnka włożyć.

Wielu z szantażowanych przez niego konfidentów bezpieczeństwa początkowo się stawiało, ale po namyśle zapłacili odpowiednie kwoty za milczenie. W polityce zaczęło się granie i handel teczkami byłych agentów Służby Bezpieczeństwa. Wiele politycznych karier dawnych rzekomych opozycjonistów runęło szybciej, niż się zaczęło. Ludzie byli zaskoczeni nazwiskami osób, które pojawiały się w mediach jako tajni współpracownicy SB. Kapusiami każdy się brzydził, dlatego konfidenti płacili odpowiednie kwoty za to, aby prawda nie ujrzała światła dziennego.

Z handlu teczkami Wasiak żył w miarę spokojnie. Nie martwił się o przyszłość. Swojego ulubionego kapusia Krokodyla nie nękał. Nie dlatego, że nie miał na niego żadnych haków – tych było aż nadto. Powód był bardziej prozaiczny. Brzydził się tym konfidentem. Wielu jego agentów donosiło z pobudek dla niego zrozumiałych, nawet mógł je akceptować. Były to strach o bliskich, szantaż emocjonalny lub obyczajowy, czasem pieniądze. Krokodyl donosił, bo lubił.

Nawet nie musieli nad nim specjalnie pracować. Poddał się podczas pierwszego przesłuchania. Potem już sam dążył do kontaktu. Donosił często i sumiennie. I gotów był donosić na każdego. Nie miało dla niego znaczenia, kogo pomówi, kogo przez to zatrzymają. Gdyby Wasiak chciał, żeby doniósł na swoją matkę, Szczot bez wahania by to zrobił. Wasiak brzydził się tej gnidy, ale musiał przyznać, że facet skutecznie wspinał się po drabinie do najwyższych stanowisk w kraju.

Teczka Krokodyla czekała na odpowiednią chwilę. Wasiak miał jedno marzenie. Chciał, żeby Szczot zajął jedno z najważniejszych stanowisk w kraju. Wtedy będzie bardziej podatny na szantaż.

Handlem teczkami Wasiak zajmował się kilka lat. Aż do dziewięćdziesiątego szóstego wyjmował je z szafy i zarabiał. Potem jednak wszystko się zmieniło. Odezwał się do niego generał Marian Górecki, były szef Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Katowicach. On także nie został pozytywnie zweryfikowany. Stanowisko, które wcześniej piastował, pozwoliło mu nawiązać kontakty zarówno w świecie biznesu, jak i polityki. Wiele razy Wasiak widział Góreckiego w telewizji w towarzystwie polityków lewicy. Były to niby przypadkowe ujęcia, ale nie dało się nie zauważyć zażyłości łączącej byłego generała SB z politykami z lewej strony sceny politycznej.

Wasiak nie wahał się ani chwili, gdy generał złożył mu propozycję współpracy. Chciał znowu czuć się potrzebny, ważny i odpowiedzialny za swój odcinek walki już nie z opozycją, ale z kimkolwiek. Z czasem stworzyli potężną organizację. Mieli swoich ludzi zarówno w WSI, policji, jak i w ABW. Wywierali wpływ na wiele śledztw i decyzji w kraju. Nawet w katastrofę smoleńską mieli swój wkład. Nie dokonali co prawda zamachu, ale wpłynęli na decyzję prokuratury o niebadaniu ciała. To przez nich nie wykonano sekcji zwłok, a wrak samolotu wciąż nie wrócił do kraju. Ich grupa miała wiedzę o tym, kto jest winny katastrofy, kto jakie sprawy zaniedbał, kto najwięcej skorzystał i kto wziął w łapę w trakcie późniejszego śledztwa. Tą wiedzą mieli zamiar podzielić się z opinią publiczną, ale dopiero wtedy, gdy nadejdzie odpowiednia chwila.

Poza tym wykonywali pracę dla kraju. Specyficzną pracę, której nikt by się nie spodziewał. Zaledwie kilka osób wiedziało, czym tak naprawdę się zajmują.

Dzięki współpracy z pewnymi osobami konto Wasiaka było zasilane niebotycznymi kwotami. Nawet w czasach komuny nie mógł śnić, że zdobędzie taki majątek. Śmiało można byłoby go wpisać na listę najbogatszych ludzi w kraju, gdyby oczywiście jego fortuna była jawna.

Jednak to nie pieniądze były najważniejsze. Wasiak miał możliwość wpływania na decyzje podejmowane przez najważniejszych urzędników. Uwielbiał pokazywać dawnym kapusiom, że cyrograf podpisany dekady wcześniej nadal ma moc prawną. Że diabeł zawsze upomni się o swoje. No i było coś jeszcze – był zarówno sędzią, jak i katem. Uwielbiał swoją pracę.

Ponownie spojrzał na swojego kierowcę i powiedział cicho:

– Zawieź mnie do arcybiskupa. Mam do niego sprawę.

* * *

Dębski nie krył zaskoczenia telefonem Szczota. Poseł był jego osobistym wrzodem na dupie. Jednak popełniłby błąd, gdyby potraktował polityka tak, jak na to zasługiwał. Nie gryzie się ręki, która cię karmi.

Polityk w kilku słowach poinformował go, że chce się z nim wieczorem spotkać. Podał godzinę oraz adres i się rozłączył.

– Co za debil – mruknął Dąb. – Przecież zarówno jego, jak i mój telefon może być na podsłuchu.

Musiał się do tego spotkania odpowiednio przygotować. Zamierzał na wszelki wypadek nagrać Szczota. Dotychczas nigdy nie włączał dyktafonu podczas spotkań, ale tutaj zrobi wyjątek. Nagranie miało być zabezpieczeniem, w razie gdyby politykowi zaczęło chodzić po głowie coś głupiego.

Miał dziwne przeczucie, że poseł zamierza zakończyć ich współpracę. Dąb od początku mu nie ufał. Facet był fałszywy i obłudny. Ilekroć Dębski widział go na żywo lub w telewizji, czuł obrzydzenie. Kłamstwa, które wypływały z jego ust, te fałszywe uśmiešky i rozbiegane oczy sprawiały, że czuł niesmak. Poziom intelektualny Szczota także pozostawiał sporo do życzenia. Niby wykształcony, niby pokończył jakieś szkoły, ale inteligencja i wykształcenie nie szły w parze.

Dąb nie raz był zaskoczony, jak łatwo dziennikarze zapędzali Szczota w kozi róg. Łapał się za głowę, słuchając bzdur, jakie wygadywał poseł. Jaka była przyszłość tego kraju, skoro takie osoby sprawowały w nim władzę? Większości z nich w ogóle nie powinno być w polityce. Nie nadawali się do niczego.

Wiele razy się zastanawiał, dlaczego politycy startujący do sejmu lub senatu nie poddają się obowiązkowym badaniom psychologicznym i testom na inteligencję. Nie można przecież tworzyć mądrego prawa, samemu nie będąc mądrym. Najbardziej jednak drażniło go to, że nikt nie chce wprowadzić jednomandatowych okręgów wyborczych. Gdyby zmieniono ordynację wyborczą, do ław poselskich dostawałyby się osoby z największym poparciem wyborców. Teraz głosując na listę, wyborca nie ma wpływu na nic. Są przypadki, że posłem zostaje osoba, która ma poparcie kilku tysięcy osób, ale na liście jest wysoko i zasiądzie w ławach poselskich. Inna partia może mieć polityka z poparciem kilkuset tysięcy głosów, ale sama partia nie przekroczy progu wyborczego. Dębski wiedział, że nikt nie będzie chciał tego zmienić. Nie ma woli politycznej, jak ostatnio w telewizji mówił jakiś poseł z partii, do której należał Szczot.

Dębski brzydził się polityką i politykami. Musiał jednak ich znosić, bo dzięki nim zarabiał całkiem przyzwoite pieniądze.

Wstał od stolika i ruszył na zaplecze. Czas przygotować się do spotkania.

* * *

Grot czekał na Artura na skrzyżowaniu.

Opla zostawił na oddalonym kawałek dalej parkingu. Nie był mu teraz potrzebny, a nie chciał stawiać go przy domu.

Jego relacje z miejscowymi żulikami uległy radykalnej zmianie. Odkąd przestał im dawać drobne, nie odpowiadali mu nawet na zwykłe „cześć”. Grot nie martwił się tym zbyt. Nie byli kimś, za kim by tęsknił, gdyby się stąd wyprowadził. Auto jednak wolał zostawić poza ich zasięgiem. Nie chciał, żeby jakiś menel je porysował lub zarzygał.

Stał na chodniku i obserwował ruch samochodów zmierzających w kierunku centrum. Przypomniała mu się zabawa z dzieciństwa. Siadali na przystanku autobusowym, a słupek z rozkładem jazdy służył za linię. Każdy podawał jakąś cyfrę od jeden do dziesięciu. Liczyli samochody i jeżeli on podał na przykład cyfrę pięć, to piąty samochód był jego. Oczywiście w świecie marzeń. W czasach, gdy na drogach królowały duże fiaty, maluchy lub wartburgi, jak pojawił się jakiś zagraniczny pojazd, to wszyscy zazdrościli. Kiedyś Grot wygrał w tej zabawie pontiaka. To dopiero była frajda!

Teraz dzieci miały tablety, smartfony, smartwatche i nie potrafiły się bawić. Za jego czasów wszyscy bawili się w chowanego, berka lub podchody. Potrafili znaleźć sobie rozrywkę w każdej sytuacji. Nie musieli mieć internetu, żeby miło spędzać czas. I byli szczęśliwi bez wszechobecnej techniki.

Nie tylko czasy się zmieniły, ludzie także. Kiedyś częściej się odwiedzali, utrzymywali ze sobą bliższe relacje. Jego rodzice regularnie chodzili do sąsiadów na imprezy. Teraz wejdiesz do klatki i nikt nie wie, czy tu mieszkasz, czy kogoś odwiedzasz. Starzy lokatorzy się wyprowadzili, pobudowali, a nowi się nie znają. Grot za nastolatka znał każdego sąsiada w długim bloku, nie tylko w swojej klatce.

Przypomniały mu się czasy, gdy co sobotę na jego podwórko wjeżdżała stara śmieciarka. Nie był to jakiś wypasiony mercedes czy inne iveco, ale zwykły liaz, hałaśliwy, z ciekącym silnikiem i zostawiający tłuste plamy na drodze. Przed każdymi świętami ludzie trzepali też dywany. Ustawiały się wtedy długie kolejki przed trzepakami. To były inne czasy, życie wydawało się łatwiejsze.

Patrzył, jak w jego stronę jedzie Artur. Kumpel z wydziału zabójstw zaparkował służbowego fiata kilka metrów dalej i uchylił okno.

– Gotowy na działania? – spytał.

– Jasne – odparł Grot. – Ale mam jedną prośbę.

– Mów.

– Podjedźmy na cmentarz. Chciałbym odwiedzić grób Kamili i Stasia. Da radę?

– Jasne.

Wsiadł do samochodu, zapiął pasy i rozejrzał się po wnętrzu.

– Czysto tu masz. Nie śmierdzi jak dawniej fajami i potem.

– Teraz nie można jarać w wozie. Czasy się zmieniły.

– A nie dopierdoli się nikt, że służbowego używasz do lewizny?

– O to się nie martw. Ratajczyk nas kryje, poza tym według rozpiski mam robotę na mieście. Jakby było jakieś wezwanie, mam dwa wyjścia: pojechać samemu, a ciebie wysadzić po drodze, albo zabrać cię ze sobą.

– Lepiej, jak mnie wysadzisz. Nie chcę, żeby ktoś cię podpierdolił.

Artur się uśmiechnął.

– A więc znowu w robocie.

Gdy odpalił silnik, Grot poczuł się jak za dawnych czasów. Znowu był psem łąpiącym największych zbrodniarzy.

Wasiak patrzył na okazały budynek w centrum miasta. Wartość nieruchomości mogła być liczona w grubych setkach milionów.

Pułkownik wiedział, że zwierzchnik wrocławskiego kościoła lubi pławić się w luksusach. Podobnie było z innymi hierarchami. Kler w tym kraju zawsze był majątny, ale dopiero po upadku poprzedniego systemu ich stan posiadania gwałtownie wzrósł. Powstały wszelkiego rodzaju komisje, których jedynym celem było zrobić tak, aby majątek, który kiedyś należał do Kościoła, został zwrócony z nawiązką.

Zdarzały się nawet takie przypadki, że płacono odszkodowania za majątek, który nigdy nie należał do Kościoła lub został odebrany jakiemuś zakonowi za długi. Były też przypadki, że komisja majątkowa oddawała nieruchomości, które kler sam sprzedał przed wojną, ale nie zostały dokonane odpowiednie wpisy w księgach wieczystych. Wasiak często mówił, że kler w Polsce ma się dobrze i jeszcze wiele wody musi upłynąć w Wiśle i Odrze, by coś się w tej kwestii zmieniło.

Wysiadł z samochodu i spojrzał na stojącego przy schodach rezydencji księdza. Znał go z widzenia. Był to jakiś sekretarz arcybiskupa. Nie pamiętał jego nazwiska, ale na imię chyba miał Roman.

Ksiądz wyciągnął rękę na przywitanie i powiedział:

– Jego Ekscelencja czeka na pana.

Wasiak uścisnął mu dłoń i odwrócił się w stronę kierowcy. Jeden gest głowy sprawił, że samochód odjechał w kierunku parkingu na tyłach budynku.

Pułkownik wszedł za sekretarzem arcybiskupa do rezydencji. Szli długim korytarzem, na końcu którego widać było bogato złożone drzwi do gabinetu metropolity wrocławskiego.

– Wie ksiądz, cały ten wystrój naprawdę budzi podziw – odezwał się Wasiak.

– Powiem więcej: wzbudziłby zachwyt najstarszego Cygana, który w swoim życiu widział nieprzebrane ilości złota.

Ksiądz Roman nie skomentował jego słów, tylko zapukał do drzwi gabinetu.

– Proszę – rozległ się głos z wnętrza.

Weszli do pomieszczenia. Przy biurku na samym środku siedział około sześćdziesięcioletni mężczyzna. Arcybiskup Marian Śniadecki uśmiechał się nieszczercze.

Wasiak pamiętał go z czasów, gdy pracował jeszcze w urzędzie spraw wewnętrznych. Wielokrotnie go przesłuchiwał i sporo o nim wiedział. To on złamał księdza Śniadeckiego, kiedy ten jeszcze nawet nie śnił o stanowiskach. Wasiak wciąż pamiętał dzień, kiedy udało mu się przekonać księdza do współpracy. Robili nalot na rzekomą kryjówkę opozycji. Miały tam być dolary, które Solidarność otrzymała od Amerykanów. Kapuś, który doniósł bezpiece o tym adresie, popełnił jednak błąd. Agent o pseudonimie Waldi wskazał bramę przy ulicy Karola Świerczewskiego i powiedział, że lokal należący do członka Solidarności znajduje się pod dziewiątką. Pech chciał, że na piętrze nie było żadnych numerów mieszkań i bezpieka weszła do sąsiedniego mieszkania. Oczom funkcjonariuszy ukazał się niecodzienny widok – dwóch mężczyzn zabawiało się ze sobą. Jednym z nich był siedemnastoletni Krzysztof, a drugim właśnie ksiądz Śniadecki. Na miejsce wezwano Wasiaka. Gdy wszedł do mieszkania, gdzie zamiast spodziewanej gotówki zastał dwóch nagich mężczyzn, uśmiechnął się. Wiedział, że porażkę da się jeszcze przekuć w sukces.

Jedynie dyskrecji Wasiaka i jego dalszym planom Śniadecki zawdzięczał, że nie wybuchł skandal. W ramach podziękowania przyszedł arcybiskup zobowiązał się nie tylko do zaprzestania działań przeciw systemowi, ale także

do umacniania tego systemu. Podpisanie lojalki było już wyłącznie formalnością. Śniadecki przyjął pseudonim Marianek. Był cennym nabytkiem. Donosił systematycznie i bez większych oporów. Wierni, którzy mu się spowiadali, z czasem trafiali w ręce śledczych z urzędu. Dla Marianka nie istniała tajemnica spowiedzi. Co usłyszał w konfesjonale, to doniósł esbecji. Dzięki jego działaniom udało się ustalić powiązania pomiędzy kurią a opozycją, trasy kolportażu i przemytu materiałów propagandowych, a także uzyskać cenne dane dotyczących kilkunastu księży.

Po upadku systemu Wasiak nie kontaktował się ze Śniadeckim. Nie szantażował go ani o nic nie prosił. Dopiero pięć lat temu przypomniał arcybiskupowi o sobie i o ich wspólnej przeszłości. Śniadecki początkowo się stawiał. Chciał się wykazać odwagą, której zabrakło mu ponad trzydzieści pięć lat temu. Dopiero gdy zobaczył nagrania ze swoich seksualnych ekscesów, spokorniał. Przez lata służba bezpieczeństwa dokumentowała jego spotkania z młodymi chłopcami. Dokumentowanie nie było jedynym działaniem ze strony Wasiaka i bezpieki. Sami podstawiali księdzu nastolatków. Co więcej – wielu z nich niedługo po intymnym spotkaniu ze Śniadeckim pożegnało się z życiem. Jako powód samobójstwa każdy wskazał w pozostawionym liście molestowanie ze strony księdza Śniadeckiego. Arcybiskup widział te listy.

Widział też nagrania, na których nie uprawiał seksu. Było na nich jednak coś, czego wielu by mu nie wybaczyło. Każde jego spotkanie z oficerem prowadzącym zostało udokumentowane na taśmach filmowych. Materiałów, które mogły pogrążyć arcybiskupa, było aż nadto. Duchowny wiedział, że w przypadku ich ujawnienia jego kariera skończyłaby się w atmosferze skandalu.

Od tamtego spotkania Śniadecki był potulny jak baranek. Pogodził się ze swoim losem. Wasiak nie niepokoił go, niczego nie wymagał. Pokazał mu tylko, że nadal ma nad nim kontrolę i pełnię władzy. Dziś jednak miał zamiar to zmienić.

– Niech będzie pochwalony – powiedział na przywitanie.

– Na wieki wieków – odpowiedział arcybiskup. – Księżu Romanie, proszę przygotować dwie kawy. Dziękuję.

Gdy asystent cicho opuścił pomieszczenie, Śniadecki spojrzał uważnie na gościa.

– Co pana do mnie sprowadza, panie pułkowniku?

– A chciałem cię, Marianku, zobaczyć.

Śniadecki wzdrygnął się, gdy usłyszał swój pseudonim. Starął się jednak zachować spokój.

– Mam nadzieję, synu, że mój widok cię usatysfakcjonował.

– Niech ksiądz nie pierdoli głupot – prychnął Wasiak. – Nie jestem księdza synem. I nie przyszedłem tutaj, żeby się księdzu spowiadać, dawać się głaskać po głowie czy co wy tam jeszcze odprawiacie. Interes mam.

Arcybiskup lekko poczerwieniał. Nie przywykł do takiego traktowania.

– Jaki to interes?

– No, wreszcie przechodzimy do konkretów. Arcybiskup też może na tym zarobić. A więc do rzeczy. W latach siedemdziesiątych osiemnastego wieku na terenie kurii wrocławskiej znajdował się klasztor franciszkanów. Braciszkwowie mieli sporo gruntów. Najwięcej w miejscowości Neumarkt in Schlesien, czyli w Środzie Śląskiej. Blisko trzysta hektarów. Niestety zabrane przez cesarza Wilhelma i przekazane protestantom. Chcę, aby kuria wystąpiła do skarbu państwa o zwrot tych ziem.

– A jak skarb państwa nie odda? – spytał arcybiskup. – O jaką rekompensatę mam się w takim przypadku ubiegać?

– Żadnej rekompensaty. Ma być konkretnie ten grunt. Nic w zamian. Powiem księdzu w zaufaniu, mam wyniki badań geologicznych i pod tym gruntem znajdują się wyjątkowo duże pokłady miedzi. Większe niż te w okolicach Lubina. Gdy kuria odzyska te grunty, sprzeda je spółce, którą wskażę. Ta spółka ma koncesję na wydobycie i może rozpocząć zakładanie kopalni.

Oczy Śniadeckiego się rozszerzyły. Wasiak widział w nich błysk. Wiedział, że hierarcha nie odpuści takiego biznesu.

– A co kuria będzie z tego miała? Za ile ma sprzedać ten grunt spółce?

– Kuria otrzyma dziesięć procent wartości wydobycia w różnych dotacjach i darowiznach. A sprzeda na papierze za dwie trzecie wartości rynkowej. Oczywiście z tej wartości kuria nie dostanie ani grosza. Transakcja tylko na papierze, ale późniejsze darowizny spokojnie to wyrównają.

– A ja osobiście ile będę z tego miał?

– Dostanie ksiądz okrągłą bańkę i wszystkie kwity, które mam na księdza. Pasuje taki układ?

Duchowny udawał, że zastanawia się nad propozycją, ale zarówno on, jak i Wasiak wiedzieli, że zgodzi się na taki układ. Nie miał innego wyjścia.

Arcybiskup uśmiechnął się szeroko i skinął głową.

W tym samym momencie rozległo się pukanie do drzwi i w progu stanął ksiądz Roman z tacą.

Wasiak spojrział na przybyłego.

– Dziękuję za kawę, ale przez nadciśnienie muszę odmówić. Dziękuję też za audiencję, arcybiskupie. Do zobaczenia.

Nie oglądając się za siebie, ruszył w kierunku drzwi.

Artur zaparkował w okolicy cmentarza Grabiszyńskiego.

Grot wytarł dłonie w spodnie, były całe spocone. Serce biło mu szybciej. Stresował się.

Na sztywnych nogach wysiadł z punto i skierował się w kierunku cmentarnej bramy. Artur szedł kilka kroków za nim, nie chciał przeszkadzać. Wiedział, że kolega wciąż jeszcze nie uporał się ze stratą.

Zanim Grot wszedł na teren nekropolii, zatrzymał się przy jednym ze stoisk z wiązkami. Wybrał kilka zniczy i jakieś kwiaty.

Tylko raz był na grobie swoich bliskich, ale trafił bez trudu. Teraz stał tu pomnik z czarnego marmuru, był zadbane i czysty. Podejrzewał, że dbała o niego rodzina zmarłej żony. Palilo się kilka zniczy, a w wazonie stały świeże kwiaty. Z rodziną Kamili nie utrzymywał żadnych kontaktów. Jeszcze jak żona i synek żyli, ich relacje były co najwyżej chłodne. Po ich śmierci zupełnie stracili kontakt.

Grot w duchu zmówił modlitwę. Wiedział, że już dawno powinien był tu przyjść. Każdego dnia powinien tu stać i błagać o przebaczenie. Niestety popadł w stan odrętwienia, alkoholizm i załamanie psychiczne. Zamiast pielęgnować pamięć o bliskich, zamiast odwiedzać miejsce, gdzie spoczęły ich ciała, pogrążył się w rozpacz i dryfował w kierunku samounicestwienia.

Zapalił znicze i postawił je na płycie nagrobnej. Kwiaty włożył do wazonu. Stał jeszcze kilka minut, aż poczuł na ramieniu czyjąś rękę.

Odwrócił głowę w kierunku Artura.

– Uwierz mi, że wszystkim nam ich brakuje – powiedział Pasewicz. – Gdy wpadłeś w depresję, wydział rozpisywał dyżury, kto kiedy tu przyjedzie i ogarnie grób. Dbaliśmy o to, żeby zawsze świecił się znicz. A gdy rodzice Kamili chcieli postawić pomnik, zrobiliśmy w komendzie ściepę. Każdy dał parę groszy.

Grota zaskoczyło to wyznanie. Nie spodziewał się, że koledzy z pracy zdobędą się na taki gest. Czuł, jak po policzku płynie mu łza.

– Dzięki, stary – szepnął po chwili. – Nie masz pojęcia, ile to dla mnie znaczy. Wiesz, jak ciężko było mi się pogodzić z ich odejściem? Każdego dnia analizowałem wszystko od nowa. Zastanawiałem się, gdzie popełniłem błąd i co mogłem zrobić, żeby ich uratować. To mnie zżerało. Zamiast pielęgnować pamięć o nich, rozpamiętywałem to, czego nie zrobiłem. Dlatego aż do dziś nie pojawiałem się w tym miejscu. Nie chciałem przyjąć do wiadomości, że oni naprawdę odeszli.

– Nie powiem, że wiem, co czujesz, bobym skłamał. Mogę tylko powiedzieć, że to, co się wtedy wydarzyło, było tragedią dla wszystkich w wydziale.

Grot otarł łzę.

– Masz w fabryce wielu prawdziwych przyjaciół. Kilka osób żałowało, że złożyłeś raport o zwolnieniu.

Grot wzruszył ramionami.

– Musiałem odejść. Czułem się jak zbity pies, a nie chciałem się odpalić w robocie. Nawet sobie nie wyobrażasz, ile razy miałem zamiar palnąć sobie w łeb w tamtym czasie.

– Może nie, ale wiem jedno. Byłeś dla nas prawdziwym kumplem. Nie pierdoliłeś o jakichś statystykach. Jak trzeba było komuś przypierdolić, to nie patyczkowałeś się, tylko przypierdalałeś.

– Dzięki. Te słowa dużo dla mnie znaczą.

Artur podszedł do Grota i go objął.

Dębski obserwował dwóch mężczyzn stojących w pobliżu grobu.

Zaskoczyła go obecność tego drugiego faceta. Nie spodziewał się, że Grot będzie miał kogoś do pomocy. Zastanawiał się, czyj to grób. Będzie musiał to sprawdzić.

Ostatnio nie mógł się skupić. Gdy tamten starszy mężczyzna wyszedł z pizzerii, jego myśli ciągle wracały do ich rozmowy. Jakiś kapuś był odpowiedzialny za śmierć jego ojca. Jakaś gnida, chcąc mieć w życiu łatwiej niż inni, sprawiła, że jego świat legł w gruzach. Zastanawiał się, jak wyglądałoby jego dzieciństwo, gdyby ojciec nie wpadł w łapy bezpieki. Może dziś nie byłby bandytą, a kimś lepszym? Może naukowcem lub prawnikiem? A może zostałby lekarzem i ratował ludziom życie, zamiast je odbierać?

Rano, żeby czymś się zająć, postanowił sprawdzić lokalizację samochodu, którym jeździł Grot. Opel stał w pobliżu mieszkania byłego gliniarza. Z nudów wsiadł w swój wóz i pojechał do Leśnicy. Gdy dojeżdżał na miejsce, dostrzegł Grota stojącego w pobliżu kamienicy. Po chwili zatrzymał się przy nim fiat

punto. Kilka sekund rozmawiał przez szybę z kierowcą, po czym wsiadł do środka.

Dąb postanowił pojechać za nimi. Ruszył, gdy już kawałek odjechali. Nie chciał, aby zauważyli, że mają ogon. Żałował, że nie jechali oplem Grota. Tam zamontowany był lokalizator i nie było obaw, że by ich zgubił. A tak musiał się skupić, by nie stracić ich z oczu. Ale lubił taką robotę. To było dla niego wyzwanie.

Całą drogę się zastanawiał, kim jest znajomy Grot. Auto wyglądało na tajniackiego fiacika. Gdy dojechali na cmentarz Grabiszyński, punto zaparkowało kilkanaście metrów od bramy. On pojechał kawałek dalej. Ze swojej beemki widział, jak Grot kupuje jakieś znicze i kwiaty. W końcu wysiadł i schował się pośród pobliskich drzew.

Gdy weszli na teren nekropolii, ruszył za nimi. Trzymał się dwie alejki z boku, cały czas starając się mieć ich na oku. Kiedy zatrzymali się przy jednym z grobów, skrył się za dużym pomnikiem i z ukrycia obserwował rozwój wydarzeń.

Ciekawiło go, dokąd pojedą potem.

Wasiak wszedł do biura poselskiego Szczota i się uśmiechnął.

Polityk był kompletnie zaskoczony tą wizytą. Jego twarz przybrała niemal biały kolor, jakby odpłynęła z niej cała krew. Wyraźnie nie wiedział, jak się zachować. Początkowo siedział jak zahipnotyzowany, czym wzbudził zainteresowanie swojego asystenta Jarka. Gdy ten zapytał, czy wszystko w porządku, Szczot był w stanie powiedzieć tylko: „Wyjdź i nie przeszkadzaj”.

Widząc zachowanie swojego najbardziej aktywnego agenta, Wasiak kolejny raz się uśmiechnął i nie czekając na zaproszenie, usiadł na krześle na wprost polityka.

– Nawet się nie przywitałeś, Krokodyl. Niemniej ja mogę powiedzieć, że fajnie cię widzieć. Postarzałeś się, zmieniłeś.

– Czemu zawdzięczam tę wizytę? – spytał Szczot. Powoli wychodził ze zdumienia, jednak strach nadal był widoczny. Wróciły mu też normalne kolory.

– Ej, czemu tak oschle? Myślałem, że ucieszy cię mój widok. Nie widzieliśmy się kupę czasu. Ja co prawda uważnie śledziłem twoją karierę i każdy twój sukces należycie celebrowałem. Każda twoja porażka była moją porażką.

– Panie kapitanie, czasy się zmieniły.

– Panie pułkowniku – poprawił Wasiak. – Czasy może tak, ale ludzie nie. Słyszałeś kiedyś o Bibliotece Aleksandryjskiej? Albo może wiesz, że w muzeum jest rękopis *Pana Tadeusza* Adama Mickiewicza?

– No i? Jest i co z tego?

– A to z tego, że zobacz, tyle lat, a papier nadal istnieje. A ty myślałeś, że trzydzieści lat i jakiś papier zniknie? Papier żyje naprawdę bardzo długo, a my w bezpieczeństwie używaliśmy najlepszego. Nie jakiegoś tam z odzysku, z makulatury, ale świeżutkiego prosto z fabryki.

Szczot pobladł.

– Ale przecież wszystkie kwity spłonęły. Sam widziałem. Zresztą pułkownik przy tym był...

Pułkownik spojrzał na Szczota z politowaniem.

– Wiesz, tak się zastanawiam, jak taki głąb jak ty zaistniał w polityce. Z tego, co wiem, chcesz się starać o najwyższe stanowiska w kraju. Czy zdajesz sobie sprawę, że my w resorcie do każdego świstka papieru, każdej notatki robiliśmy kopię? Kalka włożona pomiędzy dwie kartki papieru powodowała, że powstawała kopia. Teraz to się nazywa ksero. My spaliliśmy właśnie takie ksero.

– Ty stary skurwysynu... – wycedził poseł. – Zrobiłeś mnie w chuja! Nie wybaczę ci tego, a mam teraz dużo większe wpływy niż kiedyś.

– Krokodyl, nie strasz. To, że masz dziś wpływy, to tylko i wyłącznie moja zasługa. W każdej chwili mogę zdecydować, że spadniesz na samo dno. Zrozum, że znam każdy twój przekręt. Znam numer każdego twojego konta. Wiem, z kim robiłeś wałki i za jakie łapówki załatwiałeś innym różne sprawy. Jeden mój telefon i cię nie ma.

Szczot głośno przełknął ślinę.

– Ale dlaczego? Kurwa, to było lata temu. Większość już nie żyje, a reszta ma w dupie, co się wtedy działo. Opinia publiczna pogadałaby trochę, a potem zajęłaby się innymi sprawami. Po co chcesz wyciągać trupy z szafy? Nikomu życia to nie zwróci i nic nie zmieni się na korzyść. Po cholere rozdrapywać rany, które się zabiły?

– Ja nie chcę, ale wszystko zależy od ciebie.

– Czego chcesz? Kasy? Ile? – Szczot poprawił się w fotelu.

– Nie doceniasz mnie, Krokodyl. Myślisz, że chodzi mi o kasę? Że to jakiś szantaż?

– To o co chodzi?

– Wreszcie przechodzimy do rzeczy. To, że kręcicie sobie lody na lokalnym rynku, mnie wali. Zresztą jak wiesz, większość tych wałów udaje się dzięki mojej pomocy i ja też na tym zarabiam. To, czego chcę, to trochę większy kaliber.

Szczot słuchał uważnie.

– Czyli?

– Będziesz lobbował, żeby spółka J&W Holding LTD otrzymała koncesję na wydobywanie kopalin. Dokładnie miedzi. Będziesz tłumaczył, że potrzebna jest konkurencja dla KGHM-u, żeby uniknąć kar z Unii Europejskiej. Powiesz, że chodzi o praktyki monopolistyczne spółki skarbu państwa.

– Chłopie, to nie do przejścia. – Szczot pokręcił głową. – Nie mam aż takich pleców, by wprowadzić kapitał zagraniczny w tak strategiczne branże jak bezpieczeństwo energetyczne lub wydobywcze. Kurwa, tego po prostu nie da się zrobić. Trzeba zmienić ustawy, znaleźć ludzi, którzy to poprą...

– Masz trzy miesiące – przerwał mu Wasiak. – Paru ludzi, którzy to poprą, już mam. Wielu dzisiejszych cnotliwych polityków ma za paznokciami sporo brudu. Myślisz, że ty jeden podpierdałeś w tamtych czasach?

Poseł patrzył na niego z nienawiścią.

– Słuchaj, nie musisz mnie obrażać. Pracowałem dla kraju. Nie wiedziałem tylko, że ten kraj jest tak zepsuty. Wtedy się nie patrzyło, że system się wali, że ludziom jest źle. Ważne było, że to ojczyzna. I ja pomagałem ojczyźnie.

– Tak, i brałeś za to kasę. Słuchaj, Krokodyl, to nie jest prośba, tylko polecenie. Jak się sprawdzisz, zapomnę o tym, co kiedyś mi mówiłeś. Zapomnę, że jest na ciebie jakiś kwit.

– Już raz mnie okłamałeś. Myślisz, że teraz ci uwierzę? – spytał Szczot.

– Myślę, że tak. A wiesz dlaczego?

– Nie wiem.

– Bo zostaniesz członkiem zarządu tej spółki i legalnie zarobisz dużo kasy. W ten sposób będziesz mógł też wyprać majątek, który już zgromadziłeś. Czysty układ. Kiedyś sytuacja była inna. Ty kapowałeś, ja robiłem z tego notatki. Teraz będziemy współnikami.

– Ile kasy będę z tego miał? – spytał poseł.

Wasiak wiedział, że ma już polityka w garści. Wizja pieniędzy zaślepiła Szczota całkowicie.

– Więcej, niż możesz sobie wyobrazić – powiedział.

– Napije się pan pułkownik?

– Kto raz się skurwił, zostanie kurwą do końca – mruknął pod nosem stary, myśląc, że Krokodyl nic się nie zmienił.

– Proszę?

– Z miłą chęcią, współniku. Mały kieliszek koniaczku – odparł już głośniejszym, uśmiechając się pod nosem. Szczot jeszcze nie wiedział, że jego czas się kończy. Poseł z jego większym niż Pałac Kultury i Nauki za kilka tygodni przejdzie do historii. – Z miłą chęcią – powtórzył.

Wyszli z terenu nekropolii i usiedli na ławce. Grot odpalił papierosa, zaciągnął się głęboko i zapatrzył w dal.

– Kiedyś te faje cię wykończą – powiedział Artur.

– Wstyd umrzeć zdrowym. Dobra, podsumujmy, co mamy i co możemy zrobić.

– Mówiłeś, że zostałeś wynajęty przez siostrę denata. Chłopak pracował jako dziennikarz i pisał jakiś artykuł dotyczący machlojek. Potem ktoś go porwał, a my znaleźliśmy jego zwłoki.

– Przypomnij mi, jak dotarliście do sprawcy?

– Jak po sznurku. Zwłoki były w bagażniku jego samochodu. Auto nie figurowało jako utracone. Z systemu nic nie wychodziło. Sprawca był urzędasem w urzędzie wojewódzkim. W popołudnie poprzedzające odnalezienie trupa w urzędzie była impreza, jakaś babka szła na emkę. Chłop albo zwariował, albo się czegoś naćpał, w każdym razie zrobił się dziwny. Skakał, wyjmował fiuta, atakował innych urzędników, stroił głupie miny. Gdy znaleźliśmy zwłoki, pojechaliśmy do urzędu. Tam widzieliśmy taśmy ochrony.

Grot słuchał opowieści Artura i zastanawiał się, co sprawiło, że ktoś wybrał tego urzędnika na kozła ofiarnego.

– Potem trafiliśmy do domu gościa – kontynuował Pasewicz. – Facet tłumaczył, że nie pamięta, co się z nim działo. Samochodu nie zgłosił, bo nie wiedział, gdzie go zostawił. Potem w jego chałupie znaleźliśmy broń, z której zastrzelono tego dziennikarza.

– Czyli sprawca idealny. Dzień wcześniej zwariował, potem zabił i wywiózł zwłoki. Wszystko składa się w całość. Broń w domu, jego samochód. Jest tylko jedno „ale”. Kto zabija i zostawia denata we własnym samochodzie? Druga rzecz: po cholere chował w domu klamkę, jak mógł się jej pozbyć? Mógł ją wywalić do Odry lub gdzieś zakopać. A tu chuj. Facet wozi trupa swoim autem, a kopyto chowa na chacie w kłocie. Przecież to się kupy nie trzyma.

– Wiesz, co do samochodu, to mógł zostać przez kogoś spłoszony. Może dlatego zostawił auto i spierdolił. Kopyto chciał mieć, bo może pomyślał, że kiedyś znowu się przyda.

– Artur, wierzysz w to, co mówisz? Przecież siedzisz w interesie od lat! Jakby ciebie ktoś spłoszył i zostawiłbyś trupa, to co robisz? Zapiierdasz na najbliższy komisariat i zgłaszasz kradzież. Jakby znaleziono samochód z denatem w bagażniku, to palisz głupa, że nie wiedziałeś o zwłokach. Klamkę, nawet jak chcesz na potem, chowasz w miejscu, gdzie nikt jej nie znajdzie.

– No fakt – przyznał Pasewicz.

– Poza tym weź pod uwagę, że facet ponoć był naćpany lub zwariował. Jak ktoś taki mógłby prowadzić samochód? Czy jak go zwinęliście, jarzył, co się dzieje? Nie był wariatem?

– Zachowywał się normalnie.

Grot rzucił peta na chodnik i zagasił go butem.

– No właśnie. Czyli wariant, że zwariował, odrzucamy. Bo jak to? Wczoraj zwariował, a dziś wyzdrowiał? Czyli zostaje opcja, że był naćpany, a taki raczej by trupa nie woził, bo rozjechałby się wcześniej na mieście lub został wyhaczony przez pieczarki.

– Dobrze prawisz. Na sto procent drogówka by go złapała.

– Ale idźmy dalej. Jak wiesz z doświadczenia, ludzie, którzy zabijają, działają potem na kilka sposobów. Jedni spierdalają z miejsca zabójstwa i się ukrywają. Inni starają się pozbyć ciała i zacierają ślady. Chowają narzędzie zbrodni, piorą ubrania i wywalają rzeczy, na których jest krew. Inni są w takim szoku, że łatwo się ich zawija. Tutaj facet niby chce się pozbyć zwłok, ale nie chowa narzędzia zbrodni. Dziwne, prawda?

– Poniekąd masz rację.

– Poniekąd? Artur, obaj wiemy, że mam. Kruszewski został zastrzelony. Prosto w twarz, prosto w oko. Czy znaleźliście jakieś ślady krwi na ubraniu tego sprawcy? Może miał dłonie osmolone od gazów prochowych?

– Nic nie znaleźliśmy, a badań na obecność prochu nie robiono. Za szybko nam gościa wyjęli.

– No właśnie. Pośpiech. Komuś zależało, żeby szybko był sprawca. Zabójstwo wyjaśnione, zabójca niepoczytalny i chuj. Koniec.

Artur patrzył na Grota i zastanawiał się nad tym, co usłyszał. W końcu powiedział:

– Możesz mieć rację. To się trzyma kupy.

– Powiem więcej: jeśli facet był naćpany i nawet jakimś cudem udało mu się przejechać całe miasto, nie rozwalając się na pierwszej lepszej lampie, to wyobrazasz sobie, że miałby siłę, żeby porwać młodego chłopaka, spakować go, zastrzelić w jakimś ustronnym miejscu, a następnie pojechać z trupem?

– Radek, sam wiesz, że cuda w tej robocie się zdarzają.

Grot zapalił kolejnego papierosa.

– Może i tak, ale niezmiernie rzadko. Dobra, co wiemy o sprawcy? – spytał.

– Wiktor Szymczak. Kawaler, bezdzietny, niekarany. Znał Kruszewskiego z czasów szkoły. Pracował jako urzędnik. Wcześniej nie było na niego żadnych skarg. Gdyby nie ostatni wyskok, to wszystko cacy. Ostatni mandat dwa lata temu za przekroczenie prędkości o siedemnaście kilometrów. Zapłacony w dniu otrzymania. Jakiś krewny w abwerze.

– Zobacz, facet ma pozytywną opinię. Mandaty płaci od ręki. Czy ktoś taki pasuje do profilu zabójcy? Wiem, powiesz, że każdy może mieć odpał. Może, ale tu za bardzo śmierdzi. I jeszcze krewny. Jakby twojego kuzyna zawinęli za zabójstwo, to co byś zrobił?

– Starabym się dowiedzieć, o co biega. Przecież może to mieć wpływ na moją służbę. Może jakoś udałoby się pomóc.

Grot uśmiechnął się do Artura.

– A czy ten kuzyn interesował się sprawą?

Pasewicz zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie, ale może jeszcze nie wiedzieć.

– Na dwoje babka wróżyła. Wydaje mi się, że Kruszewskiego odpiardolił ktoś trzeci, a zrobił tego Szymczaka. Trzeba tylko się dowiedzieć, co wie Szymczak. Podejrzewam, że to on był informatorem Kruszewskiego. Wszystko mi tu pasuje. Trzeba przesłuchać tego gościa.

– Jest na Kraszewskiego w wariatkowie.

– No to jedziemy tam.

Grot podniósł się z ławki, podszedł do kosza na śmieci i zagasił w nim papierosa.

– Fajnie widzieć, że jesteś w formie – powiedział Artur. – No to lecim.

Grot podniósł z chodnika niedopałek zagaszony wcześniej i jego także zaniósł do popielniczki przy koszu.

– Polowanie czas zacząć – odparł z uśmiechem i ruszył w stronę samochodu.

Przygotowania do pogrzebu Marka szły pełną parą. Nazajutrz miała się odbyć ceremonia w kościele na Pilczyckiej. Następnie zwłoki zostaną przewiezione

na cmentarz Osobowicki i złożone do grobu.

Od momentu, gdy dowiedziała się o śmierci brata, Joanna Zawadzka nie była sobą. Starła się zachować pozory, ale natłok wydarzeń i obowiązków ją przytłaczał. W dodatku jej relacje z mężem uległy znacznemu pogorszeniu. Po jednej z awantur mężczyzna wyprowadził się z domu i zamieszkał w hotelu na Wyścigowej. Zawadzka wiedziała, gdzie przebywa, bo jak zawsze płacił jej kartą i widziała stan konta.

Od czasu, gdy się wyprowadził, nie odezwał się ani słowem. Praktycznie zerwał z nią kontakty. O terminie pogrzebu Marka powiadomiła go esemesem. Próbowała się do niego dodzwonić, ale nie odbierał. Miała nadzieję, że mąż mimo wszystko pojawi się na ceremonii. Ze szwagrem wprawdzie nie łączyły go bliższe relacje, ale też nie było między nimi zatargów.

Dalszą rodzinę Joanna o śmierci Marka poinformowała telefonicznie. Przyjmowała kondolencje, za każdym razem płacząc. Starła się trzymać dzielnie, ale sytuacja ją przytłoczyła.

Na mszy i w trakcie pogrzebu nie spodziewała się wielkich tłumów. Redakcja, w której pracował Marek, zamieściła nekrolog i krótką notkę wspominkową. W kilku innych gazetach umieszczono tylko nekrolog.

Teraz Zawadzka siedziała i patrzyła na czarną sukienkę, którą miała włożyć następnego dnia. Była gustowna, bez żadnych zdobień, o klasycznym kroju. Kupiła ją specjalnie na tę okazję i zaraz po pogrzebie zamierzała ją wyrzucić.

Po stypie wróci do domu i odpocznie. Potem będzie musiała zrobić porządki w mieszkaniu Marka. Przejrzy jego rzeczy, część wyląduje na śmietniku, część trafi do biednych, a kilka zachowa dla siebie. Będą pamiątką po bracie, który był jej przyjacielem i najbliższą rodziną.

Po śmierci rodziców został jej w sumie tylko on. Dbali o siebie i starali się wzajemnie wspierać. Teraz zostanie sama, bez wsparcia bliskich osób. Z mężem za jakiś czas pewnie się rozwiedzie. Miała już go dość. Jego zachowanie stało się męczące. Zamiast jej pomóc w najtrudniejszym dla niej okresie, prowokował awantury, stroił fochy i starał się jej dowalić. Decyzję już podjęła, teraz trzeba wykonać kolejny krok.

Coraz częściej też się zastanawiała, czy nie powinna się postarać o adopcję dziecka. Miała spore szanse. Musiała tylko się dowiedzieć, jakie dokumenty trzeba złożyć. Nie chciała mieszkać sama w tym domu. Po śmierci Marka pragnęła mieć kogoś, dla kogo mogłaby żyć. Z kim spędzałyby czas. Dziecko było dobrym pomysłem. Patrzyłaby, jak rośnie. Jak stawia pierwsze kroki. Jak cieszy się z drobnych prezentów. Na mężczyzn nie miała już ochoty. Może za

jakiś czas dojrzeje do nowego związku, teraz jednak powinna wyleczyć duszę i serce.

Musiła zrobić jeszcze jedną rzecz, zanim zacznie na powrót żyć – zemścić na osobie odpowiedzialnej za śmierć Marka. Liczyła, że Grot szybko ustali, kto go zabił. A potem ten kolega Kondziego załatwi sprawę. Miała nadzieję, że morderca długo będzie cierpieć katusze. Że ten cały Dąb zajmie się nim w okrutny i wyrafinowany sposób.

Trochę ją przerażały własne myśli. Nigdy taka nie była. Ale strata, której doznała, była tak dojmująca, że myśl o zemście uparcie wwiercała się w jej umysł niczym wiertło ogromnej wiertarki. Miała nadzieję, że jak już Dębski załatwi sprawę, wiertarka zniknie, a ona zacznie myśleć o dalszym życiu. Czas pokaże.

Polowanie

Wejście na teren szpitala dla chorych psychicznie nie sprawiło im większych trudności. Blacha pokazana przez Artura zrobiła odpowiednie wrażenie na pracowniku ochrony. Grot, robiąc groźną minę, sprawił, że ochroniarz od razu sięgnął po telefon.

Po pięciu minutach w dyżurce pojawiła się kobieta z identyfikatorem na piersi.

– Doktor Aneta Dobrzycka, psychiatra. W czym mogę pomóc? – Kobieta stanęła z rękami na biodrach i obrzuciła ich groźnym spojrzeniem.

Grot kojarzył skądś jej nazwisko, ale nie potrafił sobie przypomnieć skąd.

– Chcielibyśmy przesłuchać jednego pacjenta – powiedział Artur, wyjmując legitymację służbową.

– No i?

– I chcielibyśmy, żeby ktoś nas do niego zaprowadził – wtrącił Grot.

– To, co panowie chcą, mało mnie interesuje. Czy mają panowie nakaz prokuratora? – spytała lekarka.

– Niech pani posłucha. Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa, którego dokonał ten mężczyzna. Żeby móc skierować sprawę do sądu, muszę zadać mu kilka pytań – wyjaśnił Pasewicz.

Kobieta popatrzyła na niego z kamienną twarzą.

– Bez nakazu prokuratora nie mogę wyrazić na to zgody.

Artur westchnął głęboko.

– Widzę, że pani nie przekonam. Dobrze, powiem, jak będzie. Teraz stąd wyjdziemy, a następnie udam się do prokuratora i załatwię ten nakaz. Tylko że prokurator będzie bardzo wkurwiony tym, że zawracam mu dupę. A dziś ponoć ma kiepski humor. Trudno. Oberwie nam się za to niedopatrzenie.

Jego słowa nie zrobiły na lekarce najmniejszego wrażenia. Nadal patrzyła na niego bez cienia emocji.

Grot postanowił włączyć się do rozmowy.

– Pani doktor – zaczął łagodnie – nie chcemy robić nikomu problemów, ani pani, ani sobie. Chcemy zadać pacjentowi tylko kilka pytań, aby w spokoju zakończyć sprawę i zająć się czymś ważniejszym. Prokuratura kazała nam zadać te pytania, a nie myśleliśmy, że będzie potrzebny papier. Prokurator Żelichnowski polecił nam zająć się przesłuchaniem pana Szymczaka.

Sporo ryzykował, podając nazwisko prokuratora, który był zamieszany w sprawę.

– Wie pan, że obowiązują mnie procedury – upierała się lekarka.

– Rozumiem – odparł. – Dobrze, pojedziemy zatem po ten nakaz.

Wiedział, że żadnego nakazu nie uda im się uzyskać. Ci, którzy wsadzili tu Szymczaka, mieli szerokie plecy w prokuraturze i nie pozwolą grzebać przy tym temacie. Już miał zamiar odejść, gdy przypomniał sobie, skąd kojarzy nazwisko kobiety.

Jak był jeszcze policjantem w wydziale zabójstw, zatrzymał groźnego psychopata, który zgwałcił i zamordował dwóch chłopców. Decyzją prokuratury i sądu zwyrodnialec trafił na obserwację psychiatryczną. Okazało się, że był niepoczytalny i resztę życia miał spędzić w szpitalu. Po roku jednak wyszedł, bo ordynator stwierdził, że nie jest już groźny. Miesiąc po opuszczeniu szpitala porwał i zgwałcił siedmioletnią dziewczynkę. To Dobrzycka podpisała wtedy opinię o niepoczytalności i skierowaniu pedofila do psychiatryka.

– Przepraszam, mam do pani pytanie. – Spojrzał na nią teraz uważnie. – Kojarzy pani sprawę Tomasza Buczkowskiego?

– Tak... – Kobieta zmarszczyła brwi.

– To ja byłem tym policjantem, który go zatrzymał. Dwa razy. Za pierwszym razem po zabiciu tych dwóch dzieciaków, a za drugim, jak uprowadził z placu zabaw dziewczynkę.

– Całe szczęście, że jej nie zabił.

– Ale mógł. Powiem pani, że byłem zaskoczony tym, że został wypuszczony.

– Ja chyba bardziej. W opinii wyraźnie napisałam, że Buczkowski powinien do końca życia przebywać w izolacji. Byłam naprawdę wściekła, że go wypuszczono. – Lekarka pokręciła głową.

Grot uśmiechnął się do niej, po czym wskazał na Artura i rzekł:

– Widzi pani, dlatego teraz chcemy dopełnić wszelkich procedur, żeby ten Szymczak nigdy już nie wyszedł na wolność. Nie ma znaczenia, czy resztę życia spędzi w szpitalu, czy w więzieniu. Ważne, aby społeczeństwo było chociaż odrobinę bezpieczniejsze.

Psychiatra skinęła głową.

– Dobrze. Dam wam pięć minut, chociaż uważam, że nic wam nie da to przesłuchanie. To nie jest mój pacjent. Prowadzą go doktor Łapuszewski i doktor Gniatowska. Ja nawet nie miałam okazji się z nim widzieć, ale wiem, że jego stan wyklucza normalne przesłuchanie.

– Musimy chociaż spróbować. Dziękuję, pani doktor.

Kobieta się uśmiechnęła, po czym zwróciła do pracownika ochrony:

– Panie Stasiu, panowie wchodzą ze mną. Nie będziemy się wpisywać w książkę.

– Dobrze, pani doktor. – Stróż kiwnął głową.

Lekarka ruszyła w kierunku oddziału dla osób obserwowanych na zlecenie sądu, a Grot i Pasewicz podążyli krok za nią. Po drodze mijali osoby łżej chore. Takie, które na pierwszy rzut oka wyglądały normalnie. Ci w poważniejszym stanie przebywali na innym piętrze, gdzie były odpowiednie zabezpieczenia, a także pielęgniarze uzbrojeni w gaz i paralizatory. Grot wiedział, że podejrzany o zabójstwo – a właściwie w nie wrobiony – powinien przebywać na trzecim piętrze. Tam umieszczano pacjentów obserwowanych przed skierowaniem sprawy na wokandę.

Całą trójką wsiedli do windy. Wtedy lekarka spojrzała na Grota i zapytała:

– Dobrze się pan czuje?

– Tak. Czemu pani pyta?

– Wie pan, jestem psychiatrą i pewne rzeczy zauważam.

– A dokładnie co pani widzi?

– Depresję. Problemy ze snem. Ból po stracie kogoś bliskiego.

– Zamordowano mi żonę i dziecko – wypalił Grot prosto z mostu.

Kobieta uniosła brwi.

– Kiedy?

– Trzy lata temu. Już jest lepiej. Dzisiaj pierwszy raz od dawna byłem na ich grobie. Ciężko było, ale dałem radę. Wcześniej rzeczywiście miałem depresję, problemy z alkoholem, dziś już jest dużo lepiej.

– A czy po ich śmierci miał pan zapewnioną opiekę psychologiczną?

Grot uśmiechnął się ponuro.

– Pani doktor, o czym my rozmawiamy? Opiekę? W mojej firmie niby są jacyś psychologowie, ale nigdy nie mają czasu dla zwykłych policjantów.

– Myślałam, że macie tam specjalistów...

– Mamy. Tylko że jeden ma dyżur w kilku komendach. Po śmierci żony i półrocznego syna próbowałam się z takim jednym umówić. Miałem nawet

termin. Było to ponad dwa tygodnie później. Zdaje sobie pani sprawę, co przez dwa tygodnie może zrobić osoba dysponująca służbową bronią, cierpiąca na depresję i mająca myśli samobójcze? Zdąży sobie lub komuś zrobić krzywdę, zanim doczeka się pomocy psychologa.

– To, co pan mówi, jest nieprawdopodobne. – Dobrzycka pokręciła głową.

– Powiem więcej: psycholodzy mają czas tylko dla wyższych stopniem, a nie dla zwykłych gliniarzy. Wie pani dlaczego? Bo policjant, zanim odejdzie na emeryturę, musi wyrobić sobie odpowiednią podstawę. Podstawa zwiększa się w momencie, gdy policjant będzie miał uszczerbek na zdrowiu powstały w wyniku służby. Najłatwiej symulować problemy natury psychologicznej. Gdyby tak sprawdzić, to ponad dwie trzecie wyższych stopniem i stanowiskiem gliniarzy ma bogatą dokumentację medyczną.

– Czyli leczą się u psychologa, aby mieć większą emeryturę?

Grot skinął głową.

– Tak. Gdyby to zweryfikować, większość przełożonych powinna zostać odsunięta od służby lub co najmniej pozbawiona służbowej broni. Facet mający stany lękowe, depresję i myśli samobójcze nie powinien służyć z bronią. Taka patologia w policji. Każdy o tym wie i każdy ma to w dupie. Cierpią na tym tylko ci, którzy rzeczywiście mają problem, a nie starają się kombinować. Dlatego miałem czekać ponad dwa tygodnie, bo lekarz był zajęty swoimi stałymi pacjentami, którzy lada dzień mieli trafić na emeryturę.

– Ma pan rację, to czysta patologia – przyznała lekarka w momencie, gdy drzwi windy się otworzyły i wyszli na korytarz. – Jesteśmy na miejscu. Podczas przesłuchania muszę niestety być obecna na sali.

– Pani obecność nie będzie nam przeszkadzała – powiedział Grot.

Już po chwili weszli do pomieszczenia, w którym leżał mężczyzna podejrzany o zabicie Marka Kruszewskiego. Wiktor Szymczak był przypięty pasami do łóżka. Jego stan rzeczywiście wskazywał, że przesłuchanie nie ma sensu – pacjent miał rozbiegany wzrok i rozczochrane, tłuste włosy, a z ust ciekła mu ślina. Wyglądał, jakby miał utrudniony kontakt z rzeczywistością.

Grot spojrział w stronę lekarki i spytał:

– On dostaje jakieś leki?

Dobrzycka podeszła do łóżka i zdjęła z metalowej ramy kartę pacjenta. Chwilę czytała, a potem podniosła wzrok. Widać było, że jest zaskoczona.

– Dziwne... W czasie obserwacji na zlecenie sądu pacjent nie dostaje tego rodzaju leków, jakie on ma aplikowane – powiedziała.

– To znaczy?

– Wie pan, gdy obserwujemy pacjenta, musimy mieć rzeczywisty obraz sytuacji. Musimy wiedzieć, co dzieje się w jego umyśle. Nie podajemy wtedy żadnych leków psychotropowych. Pacjent dostaje tylko środki na uspokojenie.

– Postukała paznokciem w kartę. – A tu jest praktycznie cała paleta psychotropów w różnej postaci. Kroplówka, tabletki... Pacjent musi mieć od tego takie omamy, że jego mózg pewnie ledwo to znosi.

– Czyli co pani podejrzewa? – spytał Grot coraz bardziej zaintrygowany.

– Nic, a nawet jeśli bym coś podejrzewała, nie mogę wyrazić swojej opinii. Niemniej zastanawiający jest ten zestaw leków.

– Czy w pani ocenie jest jakakolwiek szansa, żeby Szymczak coś nam powiedział? – spytał stojący z boku Artur.

Lekarka pokręciła głową.

– Nie widzę takiej możliwości. No, chyba że chciałby pan słuchać bełkotu i opowieści rodem z horrorów i fantasy. Pacjent nie powie nic sensownego.

– Rozumiem. Czyli niepotrzebnie zawracaliśmy pani głowę. Dziękujemy bardzo.

– Odprowadzę panów do wyjścia.

Grot spojrział w stronę mężczyzny leżącego na łóżku. Rzeczywiście wyglądał fatalnie. Ktoś, kto stara się zatrzeć swój związek z zabójstwem dziennikarza i wrabia w nie urzędnika, zna się na swojej robocie. Facet po takiej „terapii” nie miał żadnej szansy, aby w przyszłości wyjść na wolność. Prawdopodobnie spędzi resztę życia w szpitalu.

Grot ruszył za lekarką i Arturem do wyjścia. W drzwiach minęli się z pielęgniarką. Kobieta spojrzała na nich z wyraźną niechęcią.

* * *

Gdy Wasiak wyszedł z biura poselskiego, Szczot spojrział w stronę stojących na regale segregatorów. W jednym z nich umieszczona była ukryta kamera nagrywająca wszystko, co działo się w biurze. Każde spotkanie było dokumentowane.

To było jego zabezpieczenie na wypadek, gdyby dziennikarze lub służby próbowały zastosować wobec niego jakąś prowokację. Ostatnio jeden z posłów aktualnie rządzącej partii dał się nagrać dziennikarzowi telewizji publicznej. Na nagraniu widać było, że uzgadniał szczegóły dotyczące pozyskiwania dodatkowych nielegalnych funduszy na zbliżającą się kampanię wyborczą do samorządu. Szczot był zadowolony, że poseł konkurencyjnej partii dał się

złapać, ale wiedział, że dziennikarze polują na każdego polityka. To, że mają w garści media, nie oznaczało, że zawsze tak będzie.

Trzeba być ostrożnym i nie dać się na czymś przyłapać.

Całe swoje archiwum miał schowane w piwnicy domu. Umieścił w niej przemyślnie skonstruowaną skrytkę. Wszystkie nagrania i taśmy prawdy były bezpieczne. Szczot wiedział, że nagrania mogą mu się przydać nie tylko jako zabezpieczenie przed różnego rodzaju prowokacji. Mogły służyć też do szantażu.

Już raz je wykorzystał. Kilka lat temu wybuchła afera z jego udziałem. Dziennikarze grzali temat przez bite dwa miesiące. Spotkał się wtedy z kilkoma politykami lobbującymi za uwolnieniem rynku paliw. Chodziło o sprzedaż Orlenu kontrahentom ze Wschodu. Rosyjski koncern naftowy chciał kupić całą firmę i wszystkie należące do niej stacje paliw. Dodatkowo trwały ciche rozmowy z przedstawicielami Lotosu, który miał zostać sprzedany czeskiej firmie zależnej od Rosjan. Spotykali się wtedy w najlepszym miejscu do takich interesów – na cmentarzu. Nikt się nie spodziewał, że służby mogą ich tam podsłuchiwać. Nikt też nie wierzył, że ktoś będzie chciał nagrać ich ustalenia. Okazało się jednak, że tak się stało. Potem nagrania trafiły do mediów i zaczęła się afera, która zmiotła wielu graczy ze sceny politycznej. Ucierpiało kilku kolegów Szczota. On sam tylko na tym zyskał. W trakcie rozmów nie mówił zbyt wiele, a jak już się odezwał, zawsze oponował. Kwestionował słuszność sprzedaży narodowego koncernu paliwowego, twierdził, że lepiej inwestować w polskie firmy, a nie tylko wyprzedawać majątek. Starał się pokazać, że można konkurować z zachodnimi przedsiębiorstwami, że powinni rozbudowywać rodzimy przemysł, a nie być tylko montowniami Zachodu. Wszystko to mówił na potrzeby nagrań. Gdy po spotkaniu wrócił do domu i odsłuchał to, co się utrzymało na dyktafonie, był w szoku. Sam by sobie uwierzył. Brzmiał tak wiarygodnie, że musiał kilka razy sprawdzać, czy to rzeczywiście jego głos.

Wahał się przed wysłaniem nagrań do mediów, ale w końcu stwierdził, że nie ma na co czekać. Kopie rozmów trafiły do wszystkich większych gazet i do każdej telewizji w kraju. Afera znokautowała kilku jego konkurentów do najwyższych stanowisk w partii. To, że dał się nagrać, wbrew pozorom umocniło jego pozycję i pokazało współpracownikom, że jest jednym z nich. Udowodnił, że można mu ufać.

Opinia publiczna była oburzona zachowaniem bohaterów afery, ale umiejętne działania propagandowe sprawiły, że społeczeństwo zapamiętało

Szczota jako kogoś, kto protestował przeciw okradaniu państwa.

Gdy wybuchł kolejny skandal z politykami, którzy dali się nagrać w restauracji, on tylko się uśmiechał. Nie miał z tym co prawda nic wspólnego, ale nagrania sprawiły, że jego pozycja wzrosła. Ktoś odwalił za niego kawał dobrej roboty.

Całe kierownictwo partii z wyjątkiem jego i premiera było umoczone. Obywatele mogli pomyśleć, że tylko tych dwóch polityków jest uczciwych. Jednak nie do końca tak było. Premier nie miał zwyczaju chodzić do tej restauracji z prozaicznego powodu – nie lubił właściciela i uważał, że szef kuchni źle gotuje. On nie dał się nagrać, bo nie chadzał z kolegami z partii na wspólne lunchy. Nie darzył ich sympatią, wolał towarzystwo osób, z którymi mógł załatwiać korzystne dla siebie interesy. To uratowało go przed blamażem w oczach suwerena, a co się z tym wiąże, zwiększyło jego szanse na objęcie coraz wyższych stanowisk w kraju.

Dziś wieczorem miał się spotkać z Dębskim. Początkowo planował, że zleci mu zabicie Wasiaka, ale po rozmowie z esbkiem zdecydował, że to może poczekać. Propozycja, z którą wyszedł Wasiak, sprawiła, że pewne decyzje musiały zostać przesunięte w czasie. Najpierw zobaczy, jak będzie się układała współpraca, a dopiero potem zadecyduje co dalej. Teraz postanowił zlecić Dębskiemu załatwienie problemu Wielgusa. Biznesmen musiał się zgodzić na sprzedaż swojej firmy. Trzeba go przekonać – jak nie prośbą, to groźbą. W ostateczności Dąb sprawi, że spadkobiercy przedsiębiorcy będą usatysfakcjonowani.

Szczot liczył, że z nimi łatwiej będzie wejść w interesy i uda się ich namówić na sprzedaż firmy.

* * *

Stanęli przed budynkiem szpitala. Pasewicz patrzył, jak partner odpala papierosa i głęboko się zaciąga. Sam miał ochotę zapalić.

– Powiem ci, że widok Szymczaka mnie zaskoczył – powiedział Grot. – Nie spodziewałem się, że chłop będzie w takim stanie.

– Komuś zależało na tym, aby go uciszyć. Bo w takim stanie raczej nic nie powie.

– Dziwisz się? Prochy zrobiły mu z mózgu galaretę.

Grot był wściekły. Nie spodziewał się, że w tak krótkim czasie od zatrzymania i skierowania na obserwację psychiatryczną stan podejrzanego aż

tak się pogorszy. Za jakiś czas może się okazać, że facet zostanie warzywem niezdolnym do samodzielnej egzystencji. Już teraz był wrakiem.

– Przejebane. Był chłop, nie ma chłopca – powiedział Artur.

– Trzeba coś z tym zrobić, zanim będzie za późno. O ile już nie jest.

– Co masz na myśli?

– Trzeba złapać prawdziwego sprawcę, zanim z chłopca zrobią warzywo. Tylko taką widzę możliwość. Dopóki prawdziwy sprawca będzie na wolności, facet nie opuści szpitala.

Artur popatrzył na budynek placówki medycznej.

– Tylko że tutaj trop się urwał – stwierdził. – Liczyłem, że zeznania tego gościa jakoś nas przybliżą do końca sprawy. Powiem ci coś. Widząc stan tego Szymczaka, żałuję, że tak szybko go zatrzymaliśmy.

– Nie było wyjścia. Kto mógł wiedzieć, że sprawa tak się rozwinie?

– Dobra, trop się urwał. Co dalej?

– Musimy poszukać nowych. Denat pisał o jakimś wale związanym z urzędem wojewódzkim. Ponoć miał to być pocisk, który zmiecie kilka osób ze sceny politycznej. Rzekomy sprawca był pracownikiem tego urzędu. Na sto procent poinformował dziennikarza o sprawie. Zwłaszcza że znali się z czasów dzieciństwa. Czyli jest trop: urząd. Na parkingu przy aucie Kruszewskiego spotkałem kilku karków. Doszło do małej bitki, ale widziałem, że mieli jakieś papiery. Była wśród nich faktura na sporą sumę wystawioną na urząd. Myślę, że od tego trzeba by zacząć.

– Czyli musimy dotrzeć do kogoś z urzędu – stwierdził Artur. – Może ktoś ma jakąś wiedzę na temat przekrętów i wie, o czym zamierzał pisać Kruszewski.

– To odpada. – Grot pokręcił głową. – Jak były jakieś machloje, zdążyli już zatrzeć ślady. Zwłaszcza że nie wiemy, o co chodziło i kto może być w to zamieszany. Pojawimy się i zaraz się zorientują, że nad tym rzeźbimy.

– Więc jaki jest plan?

– Gdy doszło do bitki z tymi karkami na parkingu, widziałem ich ryje. Potem pojechałem na adres, gdzie mieszkał denat. Oni też tam byli. Mam blachy ich wozu.

– Dawaj, sprawdzimy w bazie i będziemy wszystko wiedzieć.

Grot zdeptał niedopałek papierosa i uśmiechnął się do Artura.

– Spokojnie, po blachach będziemy wiedzieć, kto szukał artykułu. Zanim doprowadzi nas do tego, kto zlecił zabójstwo, może minąć sporo czasu. Ale tym też się zajmiemy. Jutro pogrzeb Kruszewskiego. Zawadzka zamieściła

nekrologi w gazetach. Liczę, że na pogrzebie pojawi się tajemnicza laska, z którą Kruszewski był związany. Facet miał drugie mieszkanie na Ślężnej, a nikt oprócz niej nie wie dokładnie gdzie. Może w tym kwadracie schował kopię artykułu i wszystko się wyjaśni. Będziemy wiedzieć, komu zależało na śmierci dziennikarza i kogo wynajął, aby to załatwił.

– No to prawie w domu. Jak dobrze pójdzie, jutro będzie po wszystkim – powiedział Artur.

– Zbyt optymistyczne podejście – mruknął Grot. – Zanim rozwiążemy sprawę do końca, upłynie jeszcze trochę wody w rzece. Ale ważne, że możemy ruszyć do przodu. Oby tylko ta laseczka przyszła na pogrzeb.

– Dobra, dawaj te blachy. Zobaczymy, co da się ustalić.

Grot wyciągnął z kieszeni notes i napisał na kartce numer rejestracyjny samochodu, który widział na Dokerskiej. Gdy Artur poszedł do fiata, usiadł na ławce przed szpitalem i odpalił papierosa. Oprócz dymu wciągał do płuc powietrze niesione wiatrem znad Odry. Czuć w nim było delikatny zapach środków chemicznych, których używano w szpitalnej pralni.

Spojrzał w stronę pobliskiego więzienia. Na chodniku stało kilka dziewczyn. Za pomocą specyficznego języka gestów porozumiewały się z osadzonymi wyglądającymi przez kraty w oknach. Stojący na wieży strażnik starał się nie patrzeć w ich stronę. Grot był pewny, że klawisz wprowadził w życie zasadę „Mniej widzisz, lepiej śpisz”.

Kończył papierosa, gdy wrócił Artur.

– Mamy go. Samochód należy do niejakiego Grzegorza Dębskiego, ksywa Dąb. Niezły zbój. Kilka razy notowany, ale nic mu nie przyklepano.

– No to możemy złożyć mu wizytę. Adres znamy?

– Znamy – odparł z uśmiechem Pasewicz.

Gdy wsiadali do samochodu, powietrze przeciął przeraźliwy krzyk dochodzący z jednego z okien szpitala. Grot poczuł na plecach ciarki.

* * *

Dębski śledził Grotą i jego kolegę aż do szpitala na Kraszewskiego. Gdy weszli do środka, podszedł do ich samochodu. Dyskretnie spisał numer VIN i numer rejestracyjny, po czym szybko zawrócił.

Siedząc z powrotem w swoim wozie, zadzwonił do jednego z informatorów w policji. Podał mu dane samochodu i zlecił ustalenie, kto aktualnie go użytkuje. Nie minął kwadrans, gdy informator oddzwonił. Okazało się, że

punto jest na wyposażeniu wydziału zabójstw komendy wojewódzkiej policji, a aktualnie jest użytkowane przez aspiranta Artura Pasewicza. Informator był w trakcie dyskretnego ustalania adresu domowego tego gliniarza.

Dąb uśmiechnął się na te słowa. Gdy tylko pozna adres, wyśle tam chłopaków. Niech porozmawiają z młodym gliniarzem i zasugerują mu, żeby nie interesował się sprawą.

Słuchał muzyki, obserwując wejście do szpitala. Kiedy zobaczył, jak mężczyźni wychodzą, spojrzął na zegarek. Zostało mu mało czasu do spotkania z politykiem, a musiał się jeszcze przygotować. Zamierzał kupić nowy dyskretny dyktafon i jakiś aparat fotograficzny. Miał zamiar zwrócić posłowi uwagę, że popełnia błędy, które mogą ich słono kosztować. Rozmowa przez telefon o potencjalnej robocie dla Dębskiego była co najmniej głupotą. Nigdy nie wiadomo, kto może podsłuchiwać.

Miał też dla Szczota niespodziankę – zamierzał mu podarować odpowiednio przygotowaną komórkę, z której będą mogli bezpiecznie się kontaktować. Wmówi mu, że ma system szyfrujący i że to dla ich bezpieczeństwa. Szczot w to uwierzy. Jest debilem i łyknie każdą bzdurę.

Aparat rzeczywiście był specjalnie przygotowany, jednak zamiast programu szyfrującego miał zainstalowany program szpiegujący. Dębski będzie mógł podsłuchiwać rozmowy, przechwytywać maile i esemesy, a nawet dyskretnie słuchać otoczenia w pobliżu aparatu. Będzie wiedział, co planuje poseł.

Szczot w ocenie Dębskiego był idiotą. Uważał, że wszyscy wokół są od niego głupszy i może nimi sterować. Teraz zobaczy, czym grozi niedocenianie potencjalnego przeciwnika. Dębski uśmiechnął się na myśl, że wkrótce załatwi gościa.

Na wszystko jednak przyjdzie odpowiedni czas. Na Szczota także. Najpierw zajmie się innymi, ważniejszymi sprawami. Zamierzał się dowiedzieć, kto jest odpowiedzialny za śmierć jego ojca. Chciał poznać prawdę na temat tego, co się wydarzyło kilkadziesiąt lat wcześniej. Musiał się dowiedzieć, kim był Krokodyl i gdzie go znajdzie.

Obmyślał już zemstę na kapusiu. Zrobi coś, czego jeszcze nigdy nie robił. Gdy skończy z tym esbeckim konfidentem, patolodzy będą musieli brać środki na powstrzymanie wymiotów. Dokona czegoś, co zapisze się na kartach podręczników kryminologii i kryminalistyki.

Włączył silnik i ruszył spod szpitala.

* * *

Dane uzyskane z bazy Cepik pozwoliły im na ustalenie osoby, do której należy samochód. Wiedzieli jednak, że zatrzymanie i przesłuchanie zbira nie będzie łatwe.

Postanowili, że udadzą się do lokalu należącego do Dębskiego. Bandzior oprócz nielegalnej działalności miał także kilka całkiem legalnych biznesów. Z KSIP-u wiedzieli, że najczęściej przebywa w pizzerii Colloseum w Siechnicach.

Całą drogę na miejsce Grot i Artur milczeli. Każdy myślał o Szymczaku. Stan byłego urzędnika był przerażający. Kilku bandytów zniszczyło człowiekowi życie. Nawet jeśli facet kiedykolwiek opuści szpital, pewnie i tak nie wróci do dawnej formy. Pobyt w psychiatryku na sto procent odcisnie na nim piętno. Grot nie chciałby być na jego miejscu. Wiedział, że to byłby jego koniec. Nie wyszedłby żywy z takiej terapii, jaką zafundowano Szymczakowi.

Gdy dojechali do pizzerii, Pasewicz zaparkował tuż na wprost wejścia. Wysiedli z fiata i weszli do lokalu. W środku nie było żadnych gości, jedynie za kontuarem siedziała młoda dziewczyna i bawiła się telefonem.

Gdy podeszli bliżej, nie zaszczyciła ich nawet spojrzeniem. Z jej ust padło jedynie krótkie zdanie:

– Szef nie pozwala tam parkować.

– Gdzie? – spytał Artur.

Wskazała ręką na fiata za oknem.

– Tam, gdzie panowie zaparkowali.

Grot popatrzył na Artura, a następnie na pracownicę.

– My właśnie do szefa – powiedział.

– Nie ma. I nie mam pojęcia, kiedy będzie.

– A czy wie pani, gdzie jest? – zapytał Artur.

– Nie wiem i mnie to nie interesuje. Szef ma swoje sprawy i ja się w nie nie mieszam.

– A czy panienka może zadzwonić do szefa i ściągnąć go do lokalu? – spytał Grot.

– Niby mogę, ale on i tak nie przyjedzie.

Dziewczyna zaczynała go drażnić.

– Dlaczego?

– Bo nie ma takiego zwyczaju. – Wzruszyła ramionami.

Podczas całej tej wymiany zdań małolata nawet nie podniosła wzroku nad telefonu.

Grot dał znak Arturowi, że nie ma sensu tutaj siedzieć.

Gdy wyszli na zewnątrz, detektyw powiedział:

– Dawniej bym ją zawiązał do fabryki, wziął na magiel i wytrząsnął z tego durnego łba odrobinę rozumu. A potem nauczyłbym ją kultury.

– Dyskusja z tym tępakiem to strata czasu. Trzeba będzie poszukać Dębskiego.

W tym samym momencie zobaczyli, że pod lokal podjeżdża czarne terenowe bmw. Grot od razu rozpoznał samochód, który widział na Dokerskiej.

Weszli z powrotem do pizzerii i schowali się z obu stron drzwi, żeby nie było ich widać z ulicy.

Tym razem mięśniak był sam. Wsiadł z samochodu i podszedł do ich fiata. Przez kilka sekund go oglądał, a potem ruszył w stronę Colloseum. Gdy wszedł do środka, Artur szybkim ruchem powalił go na podłogę i założył dźwignię. Po chwili było słychać zatrzaskiwanie kajdanek na przegubach gangstera.

Dresiarz tylko jęknął. Grot pomógł Arturowi go podnieść i posadzić na najbliższym krześle.

– Co jest, do chuja? – rzucił bandzior. – Kim ty, kurwa, jesteś, leszczu?

– Zamknij ryj! – krzyknął Artur, wyciągając pistolet z kabury.

Grot spojrzał w kierunku siedzącej za kontuarem kelnerki. Przestała się tępo gapić w ekran telefonu i z otwartymi ustami obserwowała całą sytuację.

– Wypierdalaj stąd! – wrzasnął w jej kierunku.

Dziewczyna poderwała się i wybiegła na zewnątrz.

Wtedy Grot zwrócił się do bandyty:

– Pamiętasz mnie?

– Spierdalaj.

– Już raz dostałeś w ryj. Widzę, że ci mało. – Strzelił go z otwartej dłoni w twarz. – Będiesz gadał, czy chcesz dokładkę?

– Pierdol się, chuju.

Artur chwycił mięśniaka za szyję i zaczął go przyduszać. Dresiarz zrobił się czerwony na twarzy. Widać było, że brakuje mu tchu. Grot zacisnął dłoń i z całej siły walnął go w brzuch. Pasewicz potrzymał go jeszcze chwilę, po czym puścił.

– Będiesz gadał? – spytał.

– Nie mam nic do powiedzenia... – wykrztusił dresiarz. Ciężko łapał oddech. Usta miał szeroko otwarte.

Artur bez namysłu wcisnął mu w nie pistolet. Usłyszeli trzask kruszonych zębów, po brodzie popłynęła krew. Wtedy gliniarz odciągnął kurek i wycedził:

– Zaraz ci strzelę w ten głupi ryj, skurwielu. Myślisz, że nie dam rady?

Grot patrzył na mięśniaka. Postanowił się włączyć.

– Słuchaj, chłopaku. Jak mój kumpel odjebie ci kawał czachy, zabierzemy twoje ścierwo i wywieziemy w pizdu daleko. Schowamy zwłoki tak, że nikt cię nigdy nie znajdzie. Jarzysz, chامية?

Gangster nie zareagował. Widać było, że nie boi się grózb.

– Dobra, chuj z nim – prychnął detektyw. – Nie chce gadać po dobroci, to zrobimy inaczej.

Artur wyciągnął pistolet z ust bandziora.

– Co masz na myśli? – spytał.

– Weźmiemy go na komendę i tam jakiś czas potrzymamy. Przespacerujemy się po korytarzu, żeby jak najwięcej osób go widziało. Może nawet zawinie się pod byle pretekstem kilku recydywistów. Im więcej osób chuja zobaczy, tym lepiej. Potem przywieziemy go z powrotem tutaj i pożegnamy się jak z najlepszym kumplem.

Artur uśmiechnął się na te słowa.

– Dobra. Trzeba też puścić fafę, że się skurwiel rozpruł i nadaje na kumpli – odparł.

– No to co? Zawijamy?

– Panowie, spokojnie... – powiedział dres.

– Co, kurwa, spokojnie? Najpierw wyzywasz nas od chujów, a teraz spokojnie? – krzyknął Grot.

– A bo myślałem, że wy jakieś zbóje, a nie policja. Ja szanuję policjantów. Sam kiedyś chciałem być gliniarzem.

Grot patrzył na mięśniaka.

– Ale pierdolisz. Dobra, założmy, że jestem głupi i ci wierzę. Jaką masz ksywę?

– Siwy.

– Pamiętasz mnie? Tam w garażu, jak spuściłem wam wpierdol.

– To był fuks.

– Fuks, nie fuks. Kto był wtedy z tobą?

– Dracha.

– Dracha? A skąd taka ksywa? – zapytał Artur.

– Bo dupy nie potrafi dobrze wytrzeć.

Grot ledwo się powstrzymał, żeby nie parsknąć śmiechem.

– Dębski też tam był?

– Tak.

– On mi zakurwił z tyłu?

– On.

Detektyw już wiedział, z kim ma do wyrównania rachunki. Odruchowo dotknął miejsca, w które oberwał.

– Czego szukaliście w samochodzie Kruszewskiego? – spytał Artur.

– Jakiegoś artykułu. Szczegółów nie znam.

– Kto go zastrzelił? Dębski? – chciał wiedzieć Grot.

Zanim dresiarz zdążył odpowiedzieć, dobiegło z boku:

– Panowie mają do mnie jakąś sprawę?

Odwrócili się. Przed nimi stał dobrze zbudowany mężczyzna. Nos miał wielokrotnie złamany. Prawdziwy bandzior, jakiego strach spotkać w ciemnej uliczce.

Grot powoli się podniósł. Stał na wprost Dębskiego i mierzył go wzrokiem.

* * *

Dębski szybko zrobił zakupy w sklepie na Bielanach.

Wybrał aparat fotograficzny i dyktafon, jeden z nowszych modeli Olympusa. Znał tę markę i wiedział, że można na niej polegać. Nie ufał firmom produkującym mydło i powidło. Uważał, że jak ktoś robi wszystko, to robi wielkie nic. Pamiętał, jak kiedyś pewna koreańska firma kupiła FSO. Z czasem się okazało, że oprócz wątpliwej jakości samochodów produkują też telewizory i sprzęt RTV. Nie miał zaufania do takich firm. Wolał dać parę groszy więcej, ale mieć pewność, że kupuje dobrej jakości produkt.

Po zakupach udał się bocznymi drogami do Siechnic. Gdy dojeżdżał do Colloseum, zobaczył dwa znajome samochody. Jeden należał do komendy wojewódzkiej policji i jeździli nim Grot i ten gliniarz Pasewicz. Drugim jeździł Siwy.

Dębski zaparkował od strony zaplecza i wysiadł ze swojej beemki. Pozytywny nastrój prysł jak bańka mydlana. Otworzył drzwi i wszedł do środka. Bezszelestnie ruszył w kierunku głównej sali. Minął kuchnię i stanął z boku.

Widział, jak Siwy siedzi na krześle, a ten cały Pasewicz trzyma pistolet w jego ustach. Słuchał, o czym rozmawiają. Gdy padło pytanie, kto zastrzelił dziennikarza, postanowił się ujawnić. Wyszedł z cienia, wiedząc, że z łowczego stał się zwierzyną.

* * *

Grot stał na wprost Dębskiego, a Artur po jego prawej stronie.

– Panowie mają do mnie jakąś sprawę? – powtórzył Dąb.

– Ano mamy – powiedział Artur.

– Z tego, co widzę, urządzają panowie w moim lokalu jakieś cyrki.

– Cyrk to dopiero zobaczysz – powiedział Pasewicz.

– Czy pan mi grozi, panie oficerze? Jeśli tak, to za takie rzeczy jest odpowiedzialność karna.

– Człowieku, przestań pierdolić – wtrącił się Grot.

– A pan to kto? Bo tamten pan jest policjantem, a pan?

– Nie twój interes – powiedział Artur. – On jest ze mną.

Dębski uśmiechnął się na te słowa. Podeszedł do baru i nalał sobie soku.

– Panowie czegoś sobie życzą? Sok? Albo jakiś browarek?

– Co ty pierdolisz, chłopie? – parsknął Artur. – Nie przyszliśmy tu towarzysko.

Dębski wziął łyk soku.

– Trochę kultury, panie Arturze – powiedział, ocierając usta. – Rozumiem, że ma pan stresującą pracę. Rozumiem też, że towarzystwo, w którym się pan obraca, nie jest najwyższych lotów. Są jednak pewne zasady, których wypadałoby przestrzegać. Trochę mniej wulgaryzmów, a zobaczy pan, że rozmowa będzie o wiele miłsza.

Grot patrzył na Dębskiego. Zastanawiał się, w co bandzior gra.

– Nie wiem, czy pan zdaje sobie sprawę, że jest podejrzany o zabójstwo człowieka – powiedział. – Proszę mi wierzyć, nie ma znaczenia, czy będziemy sobie tutaj grzecznie konwersować, czy polecą chuje.

Dębski wziął kolejny łyk soku i odstawił szklankę na kontuar.

– Panowie, rozumiem, że nie chcecie się napić. Rozumiem też, że chamstwo macie we krwi. Niemniej gadka o byciu podejrzany jest śmieszna.

– Mamy zeznania świadka – oznajmił Artur. – Ten oto pański kolega o ksywie Siwy sporo nam powiedział. To wystarczy.

– Panie Arturze, pan raczy żartować. Siwy, potwierdzisz słowa pana policjanta?

Dresiarz, który nadal siedział na krześle, nagle się ożywił.

– Szefie, ja nic nie mówiłem! Te psy mnie katowały i chciały wymusić zeznania! Chciały, abym nakłamał!

– A więc widzicie panowie, świadek się wypiera. Zresztą z tego, co wiem, macie już zatrzymanego sprawcę. Co więcej, ja tego Szymczaka nawet nie

znam. Mam także alibi na czas śmierci waszego dziennikarza. Jakakolwiek godzina by to nie była – powiedział spokojnie Dąb.

– Każde alibi da się podważyć – zauważył Grot.

– Alibi może tak, ale biorąc pod uwagę okoliczności i to, jak panowie działają, każdy sąd uwierzy w moje słowa. Powiem, że chcieliście groźbami wymusić zeznania mojego kolegi. Że kombinowaliście, żeby obalić moje alibi. Dowodów będę miał dużo.

– Dużo? Myślisz, że ten twój kolega, jak dostanie wybór: zeznać prawdę lub siedzieć do końca życia w pierdlu, będzie cię bronił? – parsknął Pasewicz.

– Panie Arturze, myślałem, że jest pan bardziej inteligentny. Gdyby pan nie zauważył, groził pan mojemu koledze bronią.

– To będzie jego słowo przeciwko mojemu. Sąd prędzej uwierzy mnie niż jakiemuś kryminaliście.

– Niby tak, ale jest pan w lokalu. Niech pan się rozejrzy. Tutaj jest monitoring. Każdy pański ruch był nagrany. Nagrania oczywiście są w rejestratorze i tak pechowo się złożyło, że zostały wysłane na pewien serwer. Czyli jak pan widzi, jest pan w dupie. I to głęboko.

Dopiero teraz Grot rozejrzał się po pizzerii. Widział kilka kamer podwieszonych do sufitu. Zdawał sobie sprawę, że Dębski ma rację. Nie da się wykorzystać zeznań Siwego, żeby posadzić ich na ławie oskarżonych.

– Wiesz, że cię dorwiemy – zwrócił się do Dębskiego. – Wiesz też, że jak przyjdzie pora, będziesz płakał, żebyśmy cię nie zamykali.

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Jak będę płakał, to poproszę pana, panie Radosławie, o chusteczkę. Teraz jednak żegnam. I nie do zobaczenia.

Grot skinął głową w kierunku Pasewicza. Obaj byli świadomi, że tę rozgrywkę źle rozegrali i ponieśli spektakularną porażkę. Wiedzieli jednak już, kto stoi za śmiercią Kruszewskiego.

* * *

Pielęgniarski, który wszedł do sali Szymczaka, od razu wiedział, że będą problemy.

Pacjent był martwy. Już pierwszy rzut oka pozwalał stwierdzić, że nie umarł śmiercią naturalną. Poduszka, którą go uduszono, leżała obok łóżka jako wyraźny dowód zbrodni.

Pracownik szpitala początkowo nie miał pojęcia, jak się zachować. Zastanawiał się, czy powinien zetrzeć z łóżka pacjenta swoje odciski palców. Dopiero po chwili dotarło do niego, że to zbędne. Przez chwilę jeszcze się wahał, czy zadzwonić na policję, czy wystarczy powiadomić kogoś z personelu medycznego. W końcu drżącą ręką wyjął z kieszeni telefon i wybrał numer doktora Łapuszewskiego. W kilku zdaniach streścił mu sytuację, po czym się rozłączył.

Łapuszewski pojawił się w okamgnieniu. Sprawdził puls Szymczaka i spojrzał na pielęgniarkę.

– Ruszałeś coś tutaj? – spytał.

– Nie, panie doktorze. Od razu zadzwoniłem po pana.

– Dobrze. Podnieś tę poduszkę, a potem spróbuj wcisnąć mu głęboko w gardło jego własny język. Jakby co, powiemy, że popełnił samobójstwo.

– Samobójstwo? – zdumiał się pielęgniarka. – Ale jak? Przecież on nawet nie miał jak się ruszyć.

– Można się zabić, połykając własny język.

Pielęgniarka wzruszyła ramionami. Podniósł poduszkę, odłożył ją na łóżko, po czym zaczął na siłę wpychać Szymczakowi do gardła jego język.

W tym czasie Łapuszewski sięgnął po telefon i wybrał numer.

Prokuratora Żelichnowskiego znał od dziecka. Mieszkali na jednym podwórku i chodzili do tej samej szkoły. Można było powiedzieć, że przez te lata nawet się ze sobą zaprzyjaźnili.

– No cześć – powiedział Żelichnowski, odbierając.

– Cześć. Mamy tu problem. Ten wasz klient zszedł.

– Wiem, popełnił samobójstwo.

Łapuszewski był zaskoczony słowami kunpla.

– Działasz u mnie w szpitalu bez mojej wiedzy? – spytał.

– A co? Miałem dzwonić i cię poinformować? Dziś było u denata dwóch gliniarzy. Trzeba było działać szybko. Nie było kiedy dzwonić.

– Ale wiesz, co ja przeżyłem?

– Nie panikuj. Sprawa załatwiona, akt zgonu wystawiony, śledztwo umorzone. Stwierdzono samobójstwo. Czyli po problemie. Weź się napij jakiegoś koniaczku i uspokój.

– Co wpisaliście jako przyczynę zgonu?

– Z tego, co wiem, pacjent się udusił. No, chyba że masz inne propozycje – odpowiedział prokurator.

– Może być. Cześć.

Łapuszewski schował telefon i odwrócił się w stronę pielęgniarza, który wciąż majstrował przy ustach denata.

– Szybciej, do kurwy nędzy, bo ktoś nas jeszcze przyłapie – warknął.

* * *

Po wyjściu z pizzerii bez słowa wsiedli do samochodu.

Odjechali kilkaset metrów i Artur zaparkował. Zgasił silnik, po czym walnął pięścią w kierownicę.

– Kurwa twoja jebana rasa!

– Spokojnie – powiedział Grot. – Miał kutas szczęście. Ale wiemy przynajmniej, że on za tym stoi. Pytanie tylko, na czyje zlecenie.

Pasewicz bębnił palcami po kierownicy.

– Co nam po tym?

– W sumie nic. Mamy tylko pewność. Nie przekłada się to jednak na dowody.

– Więc co proponujesz?

– Trzeba będzie przycisnąć tego Siwego i Drachę. Jak się ich odpowiednio obrobi, może zaczną zeznawać.

– Wierzysz w to?

– Nie, ale co mamy robić? – Grot wzruszył ramionami.

– Dobra, trzeba zobaczyć, co nam wyskoczy z bębna, jak wpisemy tych dresów. Może da się ich zamknąć za jakieś wymuszenie i odpowiednio przerobić.

Artur odpalił silnik punto i powoli ruszył. Ledwo zdążyli przejechać trzydzieści metrów, gdy rozdzwonił się jego telefon. Spojrzał na wyświetlacz.

– Ratajczyk – powiedział, zjeżdżając na pobocze.

– Odbierz. Ja zapalę papierosa.

Grot wysiadł, a Artur odebrał połączenie.

– Pasewicz.

– Cześć, Artur. Siedzisz? – zapytał naczelnik.

– Siedzę, a coś się stało?

– Dostałem informację, że ktoś szukał informacji w systemie. Sprawdzano numer VIN puncika, którym jeździsz. Ale to dopiero początek. Ta sama osoba szukała informacji o twoim adresie zamieszkania.

– Kurwa – zaklął głośno Artur.

Stojący na zewnątrz Grot odwrócił się w stronę auta. Pasewicz uniósł dłoń, dając znać, że wszystko jest w porządku.

– Spokojnie. Wiemy, kto to, i zaraz zawijamy skurwiela – powiedział Ratajczyk.

– Załatwcie to szybko. Nie chcę, żeby jakaś kurwa odwiedziła mnie w nocy.

– Musimy poczekać, bo skurwysyn wyszedł z komendy i poszedł na obiad. Nie chcemy chuja spłoszyć.

Grot zagasił papierosa i podszedł do samochodu.

– Dobra, wracam na komendę – oznajmił Pasewicz. – Chcę być przy przesłuchaniu gnoja.

– Grot jest z tobą?

– Tak.

– To odstaw go gdzieś na obiad i przyjeżdżaj. Czekamy.

Detektyw wszedł do wozu i spojrzał na partnera.

– W fabryce mamy kreta – powiedział po chwili Artur. – Jakiś chuj sprawdzał VIN naszego samochodu i szukał mojego prywatnego adresu.

– No to grubo.

– Jadę do fabryki. Wysadzę cię w pobliżu, to skoczysz sobie na obiad. Nie obraż się, ale lepiej, żebyś się nie pojawiał w komendzie. Nie chcemy, aby ktoś postronny wiedział, że działamy poza regulaminem.

– Spoko, mi nie musisz tłumaczyć. Wysadź mnie przy Świdnickiej. Skoczę do rynku na jakąś kawę.

Artur skinął głową i ruszył z piskiem opon.

* * *

Aspirant Nowaczyk wrócił do wydziału w dobrym nastroju.

Przed chwilą zjadł obiad i zarobił kilka stówek. Tak dobre schabowe robiła tylko jego matka. Kucharz w lokalu, który znalazł, śmiało mógłby z nią konkurować.

Nie odwiedzał matki od świąt, będzie musiał w końcu do niej zajechać. Kupi jej w prezencie jakieś perfumy lub złoty wisiołek. Stać go. Dzięki współpracy z Dębskim całkiem sporo dorabiał do pensji. Pieniądze, które od niego dostawał, trzymał w skrytce w swoim mieszkaniu. Zebrała się już spora sumka – jakieś osiemdziesiąt tysięcy. Jeszcze trochę dla niego podziela i przejdzie na emeryturę.

Nie robił nic strasznego. Czasem tylko coś dla Dębskiego sprawdził w systemie, czasem poinformował go o planowanych akcjach wymierzonych w miastowych. Dzisiaj za sprawdzenie, gdzie mieszka Pasewicz, dostanie osiem stówek. Tyle obiecał mu Dębski. Kwota nie była może oszałamiająca, ale dla kogoś, kto na rękę dostaje dwa siedemset, było to wystarczająco dużo. Pięć minut i jedna trzecia pensji w portfelu, a właściwie w skrytce.

Wszedł do wydziału i się zawahał. Wyraz twarzy Małgośki, jego służbowej partnerki, był jakiś dziwny. Uciekała wzrokiem i wyglądała tak, jakby chciała być w całkiem innym miejscu.

Nowaczyk ją lubił, ale czasem, gdy miała trudne dni, stawała się nie do zniesienia. Postanowił, że nie będzie się nią przejmował. Usiadł na swoim miejscu i otworzył leżącą na stole teczkę. Przez chwilę czytał i robił notatki.

– Kawy chcesz? – spytała Małgośka.

– Nie, dzięki. Kompot piłem. Może potem.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł ich naczelnik wraz z naczelnikiem wydziału zabójstw. Obaj stanęli przed biurkiem Nowaczyka.

– Co się stało, naczelniku? – spytał policjant.

– Musimy pogadać, Krzychu – powiedział Ciesielski.

– O czym?

Nowaczyk zaczął się lekko denerwować. Ratajczyk był naczelnikiem wydziału, w którym pracował Pasewicz. Dziwny zbieg okoliczności. On sprawdza dla Dębskiego adres członka zabójców, a kilkadziesiąt minut później w progu staje przełożony gliniarza.

– Znasz naczelnika Ratajczyka?

– Z widzenia. Wiem, że jest naczelnikiem wydziału zabójstw, ale osobiście nie miałem przyjemności.

– To teraz nadrobimy zaległości – powiedział Ratajczyk z uśmiechem. Patrzył na Nowaczyka uważnie, jak kobra szykująca się do ataku.

– Gosia, możesz nas zostawić na chwilę? – zapytał Ciesielski.

Policjantka wstała i bez słowa wyszła z pokoju.

– Panie aspirancie, mamy pewien problem – odezwał się Ratajczyk. – Chciałbym, aby pan wyjaśnił mi pewne rzeczy. Woli pan rozmawiać tutaj czy u mnie w wydziale?

Nowaczyk przez chwilę się zastanawiał, co lepsze.

– Wolę tu – powiedział w końcu.

– Czyli pogadamy u mnie – stwierdził Ratajczyk.

Policjant spojrzał na swojego przełożonego. Szukał w nim wsparcia.

– No dajesz. Nie ma co zwlekać – popędził go Ciesielski.

Nowaczyk schował teczkę do szuflady, a następnie wstał i ruszył w stronę drzwi.

* * *

Artur wszedł do pokoju i zobaczył siedzącego na krześle Nowaczyka.

Przesłuchanie jeszcze się nie zaczęło. Ratajczyk i Ciesielski napisali odpowiednie notatki i poinformowali komendanta wojewódzkiego oraz Biuro Spraw Wewnętrznych o zaistniałej sytuacji.

Patrząc na policjanta, Pasewicz był pewny, że ten zastanawia się, dlaczego się tu znalazł.

– Możemy pogadać na korytarzu? – zwrócił się do Ratajczyka.

– Pilnuj go – polecił naczelnik mundurowemu.

Gdy wyszli na zewnątrz, Artur zapytał:

– To ten kutas?

– Tak.

– Mówił już coś?

– Nie. Czekamy na chłopców bez skazy. Mają być obecni przy słuchaniu.

Ratajczyk dyskretnie dał znak, żeby poszli do pobliskiej toalety.

Artur ruszył za nim.

Na miejscu naczelnik sprawdził kabiny. Gdy stwierdził, że mogą bezpiecznie rozmawiać, odpalił papierosa i powiedział:

– Powiem ci, że obserwowałem przez kilka minut Nowaczyka. Facet wie, że traci grunt pod nogami. Pewnie się zastanawia, czy iść w zaparte, czy się przyznać.

– Chuj mnie to obchodzi – mruknął Pasewicz. – Gość się skundlił.

– Tak. Możemy to jednak wykorzystać. Oczywiście nie wiem, jak chłopaki z wewnętrznego to ogarną, ale jest szansa, że go odwrócimy. Zacznie nam kapować na bandziorów.

Artur analizował słowa Ratajczyka. Naczelnik miał rację – kapuś bandziorów może im sprzedawać fałszywe informacje. Taki podwójny agent.

Nagle drzwi się otworzyły i do łazienki wsunęła się jakaś głowa.

– O, tu jesteście. Chodźcie, zaczynamy.

Artur patrzył na gliniarza z wewnętrznego. Nie kojarzył jego nazwiska, ale wiedział, że ma na imię Kuba.

Wyszli za nim i ruszyli do pokoju przesłuchań.

Na krzesła na wprost Nowaczyka siedział już inny policjant z Biura Spraw Wewnętrznych. Na Artura i naczelnika czekały krzesła z boku.

– Możemy zacząć? – spytał jeden z policjantów z wewnętrznego.

Ratajczyk skinął głową.

– Dobrze. Panie aspirancie Nowaczyk, najpierw się przedstawię. Komisarz Rafał Tomasik, Biuro Spraw Wewnętrznych. Obok mnie siedzi komisarz Jakub Smolik.

– Nadal nie wiem, w jakim celu tu jestem – powiedział Nowaczyk.

– Zaraz panu wytłumaczę. Chyba że chce pan coś powiedzieć.

Nowaczyk poprawił się na krzesło.

– Nie mam pojęcia, o co chodzi, i liczę, że to nieporozumienie zaraz się wyjaśni.

Tomasik sięgnął po leżącą na stole teczkę i wyjął z niej jakąś kartkę.

– Okej, to zacznijmy. Czy może nam pan wyjaśnić, w jakim celu sprawdzał w systemie Cepik numer rejestracyjny fiata punto należącego do komendy wojewódzkiej?

– Pierwsze słyszę.

– Okej. A może nam pan powiedzieć, z jakiego powodu starał się pan ustalić adres domowy jednego z członków wydziału zabójstw?

– Nie mam pojęcia, o co wam biega. Nic takiego nie robiłem.

Tomasik podniósł leżącą przed sobą kartkę.

– Tutaj mam wykaz sprawdzeń. Wszystkie one wyszły z wtyczki z pańskiego wydziału. Osobą uzyskującą dane był pan.

– Ktoś mnie w coś wrabia.

Tomasik spojrział na Smolika i się uśmiechnął.

– Powiada pan, że ktoś go wrabia? Ciekawe.

– O co wam chodzi? Odpierdolcie się od uczciwych gliniarzy. – Oburzony Nowaczyk zaczął się podnosić z krzesła.

– Siadaj! – wykrzyknął Smolik, na co policjant zastygł w bezruchu. – Uczciwy glina? Zaraz będziemy mieli twoje bilingi. Okaze się, czy jesteś taki uczciwy, jak chcesz nam wmówić. Powiem więcej: za godzinę będziemy mieli nakaz przeszukania twojej chaty. Zobaczymy, co tam ukrywasz. Jestem pewny, że za darmo nie strzelałeś z ucha i masz pokitraną jakąś kasę.

– Dobra. – Nowaczyk opadł z powrotem na krzesło. – Przyznam się do sprawdzenia danych samochodu. – Widać było, że kalkuluje, co mu się bardziej opłaca.

– Dajesz.

– Sprawdziłem, ale nie tego fiata.

– Co ty pieprzysz?

– Chciałem kupić passata i od sprzedawcy wziąłem numer VIN. Machnąłem się jednak i z systemu wyszło, że to fiat należący do firmy.

Zebrani spojrzeli po sobie. Tak głupiego i naiwnego tłumaczenia dawno nie słyszeli. Przecież w coś takiego nikt by nie uwierzył.

– A ustalenie prywatnego adresu policjanta? – spytał z uśmiechem Tomasik.

– Hmm... Jedna znajoma chciała numer Pasewicza. Mówiła, że zabujała się w nim czy coś. Powiedziała, że dałaby wszystko za jego adres.

– A nie prościej dać numer telefonu? – zasugerował Smolik.

– No... prościej.

Artur spojrział na Ratajczyka. Obaj wiedzieli, że Nowaczyk gada bzdury. Gliniarze z wydziału wewnętrznego też byli tego świadomi.

– A co to za znajoma? – spytał Tomasik.

– Iza.

– A nazwisko?

– Nie pamiętam. Adresu też nie kojarzę. W sumie słabo ją znam.

– Chłopie, przestań pieprzyć. Co ty, kurwa, myślisz, że na głupków trafiłeś? – wkurzył się Smolik.

– Nie rozumiem. Macie na mnie coś konkretnego?

Tomasik wyciągnął z teczki kolejne kartki i rozłożył je na stole.

– Mamy. Wiemy, że jesteś kretem. Co jakiś czas z komendy wyciekały różne informacje. Powiem ci, chłopie, że byłeś na długiej liście podejrzanych o kapowanie zbójom. Lista z każdym dniem się kurczyła, aż zostało na niej zaledwie pięć nazwisk. W tym twoje. Dzisiaj jednak dałeś dupy po całości i wpadłeś.

– Nie przyznaję się do niczego. – Nowaczyk pokręcił głową. – Nie kapowałem zbójom. Ktoś próbuje mnie zrobić.

– Skoro tak mówisz. Dobra, nie ma co przedłużać. – Smolik zaczął pakować kartki do teczki. – Zaraz pójdzie wnioch do proroka. Niech wystąpi do sądu o sanki i trafiasz na Świebodzką. Twój wybór. Jakbyś zaczął gadać, to byłaby szansa, że skończy się łagodniej. Ale jak chcesz lecieć w chuja, to my też nie będziemy się z tobą pierdolić.

Nowaczyk spojrział na niego nieco spanikowany.

– Czekaj... Przyznaję się – powiedział cicho.

Smolik nie zareagował. Nadal pakował kartki.

– Powiedziałem, że się przyznaję – powtórzył głośniej Nowaczyk. – Ale chcę mieć zagwarantowane, że nie trafię na sanki.

– Tego akurat ci nie zagwarantuję. Mogę co najwyżej obiecać, że dostaniesz pojedynekę – powiedział policjant z BSW.

– Zgoda. Dobrze i to.

– Kto ci zlecił sprawdzenie? – spytał Tomasik.

– Pewien facet. W sumie znam tylko jego ksywę. Wołają na niego Dąb.

– Ile ci płacił?

Tomasik prowadził przesłuchanie, a Smolik notował. Na stole leżał także włączony dyktafon.

– Kasy mało dawał, jakaś drobnica, nawet nie warto o tym wspominać. Rozeszło się. Czasem dostawałem od niego jakieś prochy, aby przetrwać służbę. Parę razy zasponsorował mi jakieś dupy z agentury – powiedział Nowaczyk.

– Jakie informacje mu przekazałeś?

– No... tę dzisiejszą i jeszcze ze dwa razy sprawdzałem mu blachy samochodów. Dzwonił i mówił, że jakieś auto za nim jechało. Chciał, żebym sprawdził, czy to nikt od nas.

– A jakieś szczegóły dotyczące śledztw?

– Nie, o nic takiego nie prosił. Ale kiedyś mówił, że ma na smyczy wielkiego psa. Ponoć ktoś z góry siedzi mu w kieszeni.

– Jakieś szczegóły?

– Nie znam. Mówił tylko, że gliniarz jest na wysokim stołku i nie boi się nawet wewnętrznego. U was też ponoć ktoś strzela z ucha.

Tomasik spojrział na Smolika. Następnie przeniósł wzrok na siedzących przy ścianie Artura i Ratajczyka. Policjanci z wydziału zabójstw nie brali aktywnego udziału w przesłuchaniu.

– A w jakim celu miałeś ustalić adres policjanta? – spytał Smolik.

– Mówił, że jakieś auto za nim jeździ, i chciał wiedzieć, kto to jest. Potem, gdy mu dałem cynk, że to nasz samochód, powiedział, że chce adres kierowcy.

– Mówił po co?

– Nie. A ja nie pytałem.

– Dobra. Na dzisiaj skończymy. Zaraz dasz nam to wszystko na papier. Potem prokurator zadecyduje. Na tę chwilę jesteś zatrzymany do dyspozycji prokuratora.

– Ale nasz układ jest aktualny? Pojedynek w zamian za współpracę?

Smolik skinął głową.

Artur z Ratajczykiem wstali i wyszli z pokoju przesłuchań.

– Co myślisz? – zapytał Pasewicz.

– Myślę, że facet może wiedzieć więcej, niż mówi – odparł naczelnik.

– Ale co nam to daje?

– Na tę chwilę wiemy, kto za tym stoi i że wziął sobie ciebie na cel.

Artur spojrział na drzwi od pokoju przesłuchań.

– Muszę wywieźć Kaśkę. Nie może zostać w domu.

– Tak zrób. Jak chcesz, pójdę do starego i poproszę o ochronę dla ciebie.

– A co mi to da? Będę miał związane ręce. Nie będę mógł prowadzić śledztwa, a Radek sam może nie udźwignąć.

– Masz rację. Dobra, wywieź pannę i wracaj do roboty. Ja wystawię nakaz zatrzymania tego Dębskiego.

Pasewicz wiedział, że rozgrywka ze zbrojami wkracza na nowe tory. Tory, które mogą prowadzić prosto w przepaść.

* * *

Grot siedział w ogródku kawiarni i obserwował ludzi.

Jeszcze nie złożył zamówienia, bo kelnerzy obsługiwali jakąś niemiecką wycieczkę. Nigdzie mu się nie spieszyło. Miał czas – w przeciwieństwie do ludzi, którzy przemierzali rynek. Każdy gdzieś się spieszył, każdy miał coś pilnego do załatwienia.

Po chwili sięgnął do stojaka z prasą. W tym czasie do jego stolika podeszła kelnerka.

– Kawę poproszę – powiedział Grot, kładąc kilka czasopism na obrusie.

– Jaką? Mamy...

– Zwykłą, czarną, sypaną.

Kelnerka przyjęła zamówienie, a on sięgnął po pierwszą gazetę. Było to jakieś pismo dla maklerów. Odłożył ją na bok. Kolejne także nie zachęcały. Na stole leżały jeszcze tygodniki i dzienniki związane z polityką. Nie było co czytać. Kursy akcji i walut najmniej go interesowały. Wydarzenia polityczne, zmiany w rządzie, plany opozycji na lata do kolejnych wyborów także go nie ciekawiły.

Grot odłożył wszystko i spojrział w lewo. Zobaczył mężczyznę trzymającego za rękę na oko pięcioletniego chłopca. Dzieciak ścisnął w drugiej dłoni wate cukrową i łapczywie ją pochłaniał. Ojciec uśmiechał się do niego. Ten widok był dziwnie nierzeczywisty. Detektyw rzadko coś takiego widywał. Może

dlatego, że większość dorosłego życia poświęcił na łapanie zbrodniarzy i oglądanie trupów.

Nagle zaczął się zastanawiać, jakim byłby ojcem, gdyby nie tragiczna śmierć żony i syna. Czy byłby wymagający, czy może pobłażliwy. Na pewno starałby się spędzać ze Stasiem każdą wolną chwilę. Cieszyłby się z jego pierwszych kroków i pierwszych słów. Byłby dumny z sukcesów i smucił się z drobnych porażek. Chciał być szczęśliwym ojcem i mężem. Chciał mieć rodzinę, dla której mógłby się poświęcić. Ale zostało mu to odebrane. Bandzior związany z półświatkiem w sposób drastyczny zniszczył jego marzenia.

Kelnerka podeszła do jego stolika z zamówieniem, ale Grotowi odechciało się jednak kawy. Położył na blacie banknot dwudziestozłotowy, wstał i nie oglądając się za siebie, ruszył w stronę pręgierza.

* * *

Nowaczyk został wyprowadzony z pokoju przesłuchań. Na dłoniach miał kajdanki.

Nie spodziewał się, że ten dzień tak się zakończy. Miał plany na niedzielę. Chciał odwiedzić matkę. Zamierzał zjeść z nią obiad i pochwalić się osiągnięciami. Każdy sukces policji, o którym mówiły media, przypisywał sobie. Mówił matce, że jest najlepszym śledczym w komendzie i gdyby nie on, to miasto spłynęłoby krwią.

Jakiś czas temu komenda przejęła gigantyczny transport narkotyków z Kolumbii. Pojechał wtedy na miejsce, gdzie znajdował się kontener z kokainą, i przekonał gliniarzy z narkotykowego, żeby pozwolili mu zrobić sobie zdjęcie z prochami. Potem pokazał je matce i powiedział, że to jego zasługa. Gdy w mieście znaleziono zwłoki noworodka, powiedział, że sam komendant wojewódzki poprosił go, aby zajął się sprawą. Wcisnął matce bzdury, a ona we wszystko wierzyła.

W obecnej sytuacji jednak nie miał pojęcia, co jej powiedzieć. Będzie rozczarowana tym, że został zatrzymany. Zawsze lubiła służyć, jaki dobry z niego policjant. Była z niego dumna, a teraz przeżyje srogi zawód. Trochę się obawiał jej reakcji. Była dla niego ważna i liczył się z jej zdaniem.

Matka trzymała go twardą ręką. Gdy zabrakło ojca, to ona zajęła się jego wychowaniem. Może to dlatego jak dotąd się nie ożenił. Każda dziewczyna, która pojawiała się w jego życiu, nie odpowiadała matce i z czasem zniknęła. Nie potrafił się sprzeciwić rodzicielce. Nawet decyzję o wstąpieniu do policji to

ona za niego podjęła. Chciała, żeby był policjantem, bo według niej taka praca to prestiż. W sumie miał do wyboru zostać gliną lub księdzem. Postawił na mundur.

A teraz wszystko runie jak domek z kart. Przez lata budował swój wizerunek, opierając go na kłamstwie. I nagle wszystko się wyda.

Zastanawiał się, czy matka nie dostanie zawału, jak się dowie, że trafił do aresztu. Martwił się o nią. Nie tak sobie to wszystko wyobrażał.

Czuł, że do oczu napływają mu łzy. Ludzie, których mijał, patrzyli na niego z zaciekawieniem. Nie chciał się przy nich rozbeczeć.

Jednak już po chwili nie zdołał powstrzymać łez.

Artur obserwował, jak policjanci z wewnętrznego wyprowadzają Nowaczyka. W oczach sprzedajnego policjanta błyszczał strach. Miał rozbiegany wzrok, a jego czoło rosily krople potu. Skute ręce drżały.

Pasewicz trochę mu współczuł, że zaprzepaścił tyle lat w policji. Jednak Nowaczyk sam był sobie winny. Nikt go nie zmuszał do układania się z bandytami. Nikt nie przykładał mu broni do głowy. Wszystko robił z własnej nieprzymuszonej woli. Skundlony pies czerpał z tej współpracy korzyści. Nie zawsze musiały to być pieniądze. Czasem wystarczał złudny prestiż, czasem prochy lub dziwki.

Artur nie miał do niego szacunku. Każdy pies przechodzący na złą stronę mocy był dla niego zerem. Uważał, że nie po to wstępuje się do policji, żeby od zwykłych bandytów różnić się tylko blachą. Każdy gliniarz powinien wiedzieć, gdzie jest barykada, i pilnować, żeby jej nie przekroczyć. Można z bandytami rozmawiać, tego nikt nie zabroni. Sam miał kilku kumpli z technikum, którzy robili nielegalne rzeczy. Nigdy jednak żaden z nich nie proponował mu współpracy. On nie starał się z dawnych kumpli zrobić uchoi, a oni nie starali się go skundlić.

Cieszył się, że kret w komendzie został zatrzymany. Ciekawiło go jednak, ilu jeszcze takich jest w służbie. Sam Nowaczyk wspomniał o jakimś policjancie piastującym wysokie stanowisko, który donosi miastowym. Ponoć ktoś z Biura Spraw Wewnętrznych także jest na garnuszków bandziorów. Artur miał nadzieję, że ktoś zainteresuje się tymi rewelacjami i zrobi wszystko, by zdemaskować czarne owce.

Teraz jednak nie to było dla niego najważniejsze. Musiał jak najszybciej zawieźć Kasię do jej ojca. Nie chciał, żeby Dąb starał się go nastraszyć, krzywdząc bliską mu osobę. Miał nadzieję, że dzisiaj pozna ojca Kasi. Odkąd

z nią był, jeszcze się nie złożyło. Żałował tylko, że spotkanie przebiegnie w takich okolicznościach.

Nie zamierzał informować dziewczyny, jak poważnie jest zagrożone ich bezpieczeństwo. Powie tylko, że jakiś drobny bandzior mu groził i dlatego prewencyjnie chce ją wywieźć z miasta. Powinna uwierzyć.

Poinformował Grota, że dzisiaj już się z nim nie spotka.

Bezpieczeństwo Kasi było ważniejsze niż jakiegokolwiek śledztwo.

* * *

Dębski spojrzął na zegarek. Spotkanie ze Szczotem miało się rozpocząć o osiemnastej.

On tradycyjnie był wcześniej. Poseł tradycyjnie się spóźniał.

Dąb nie lubił takiego podejścia. Bardzo cenił sobie punktualność. Choćby się waliło i paliło, musiał się pojawić o czasie. Żałował, że polityk nie wyznaje podobnych zasad. Tyle dobrze, że stosował się do wcześniej ustalonych zasad bezpieczeństwa.

Już podczas pierwszej rozmowy ustalili miejsca spotkań. Miało to ich zabezpieczyć przed potencjalną zasadzką. Mieli cztery stałe punkty. Pierwszym była stara mleczarnia na Psim Polu, drugim parking przy Magnolii, trzecim stadion piłkarski na Pilczycach, a czwartym parking leśny przy wyjeździe na Poznań. Dziś czekał na posła w pierwszej z tych lokalizacji.

Kolejny raz spojrzął na zegarek. Zaczynał się denerwować. Wszystko, co zaplanował, było gotowe. Telefon z wgranym programem szpiegującym leżał na fotelu pasażera. Dyktafon był włączony i schowany w kieszeni marynarki.

Wreszcie na teren nieczynnej mleczarni wjechał lexus Szczota. Gdy zaparkował obok jego beemki, Dąb wysiadł.

Gdy uścisnęli sobie ręce, spytał:

– Po co mnie wezwałeś?

– Sprawa jest – powiedział poseł. – Musicie odwiedzić tego biznesmena. Propozycja, którą mu złożycie, jest ostateczna. Albo przy was podpisuje papier o sprzedaży, albo rozpiardalacie mu łeb. Problem ma zniknąć.

Gangster popatrzył na niego.

– Tylko tyle?

– A to mało?

– Nie, wystarczy. Słuchaj, tak na przyszłość, nie wiem, kto słucha mojego lub twojego telefonu, ale musisz być bardziej ostrożny. Mam tutaj komórkę,

przez którą będziemy się kontaktować. Jest czysta. Sam sprawdzałem.

– Masz mnie za idiotę? – zirytował się Szczot. – Myślisz, że nie umiem zadbać o swoje bezpieczeństwo?

– Nie o to chodzi. Uważam po prostu, że telefon, z którego korzystasz, może nie do końca być bezpieczny. Zdajesz sobie przecież sprawę, że to, czym się zajmujemy, nie jest legalne, a ja nie chciałbym, żeby moje życie radykalnie się zmieniło z powodu jakiejś niefrasobliwości z twojej strony.

– Dobra, przestań pierdolić. Dawaj ten telefon – powiedział Szczot wulgarnie.

Dębski przez chwilę miał ochotę go udusić. Wiedział, że kiedyś przyjdzie moment, że polityk trafi w jego ręce. Jeszcze nie teraz, ale nadejdzie ten dzień.

Wyjął z samochodu telefon i podał go posłowi. Ten od razu schował go do swojego lexusa.

– Poinformuj mnie, jak załatwisz sprawę – powiedział Szczot, wyciągając rękę na pożegnanie.

Dębski uściskał ją i udał się w kierunku beemki.

Gdy polityk odjechał, sprawdził, czy telefon działa. Wybrał specjalny numer, który inicjował podsłuch otoczenia. Gdy w słuchawce usłyszał głos Szczota, który w wulgarnych słowach komentował ich spotkanie, miał pewność, że ze sprzętem jest wszystko w porządku.

Odpalił silnik, gdy przyszedł esemes. Spojrzał na wyświetlacz. Numer był mu doskonale znany. Zaintrygowała go treść wiadomości: „Zatrzymali jednego z twoich asów. Nowaczyk. Musisz się gdzieś ukryć. Mają zamiar wystawić za tobą list gończy”.

– Kurwa mać – zaklął.

Ledwo się powstrzymał, by nie rzucić telefonem.

Nowaczyk dał się złapać. To zdecydowanie komplikowało jego pracę.

Dąb czuł, jak wokół jego szyi zaczyna się zaciskać pętla.

Dąb

Ceremonia pogrzebowa została dopracowana w najdrobniejszych szczegółach.

Msza była niezwykle uroczysta – ksiądz naprawdę się postarał, aby w odpowiedni sposób upamiętnić dziennikarza. Stan zwłok Kruszewskiego nie pozwolił jednak na to, aby żałobnicy mogli się z nim pożegnać.

Gości nie było dużo, raptem dwadzieścia osób. Grot spojrzał na zebranych. Nie znał nikogo z wyjątkiem Zawadzkiej i jej gosposi. Mąż klientki nie pojawił się na pogrzebie.

Po mszy pracownicy firmy pogrzebowej włożyli trumnę do karawanu i pojechali na cmentarz. Zawadzka wyglądała, jakby miała się rozpaść na drobne kawałki. Gdy orszak pogrzebowy ruszył, była podtrzymywana pod ramię przez jakieś kobiety.

Grot siedł z tyłu, starając się zapamiętać twarze osób uczestniczących w pochówku. Było mu ciężko. Widok składanej do grobu trumny przywoływał złe wspomnienia.

Orszak zatrzymał się przy grobie i ksiądz zaczął odprawiać modlitwę. W tym momencie Zawadzka lekko się osunęła. Kilka osób musiało ją przytrzymać. Szlochała i co chwila ocierała łzy.

Detektyw nie chciał na to patrzeć. Skupił się na zawodowej obserwacji. Miał nadzieję, że na pogrzeb przyjdzie tajemnicza M. – dziewczyna, z którą spotykał się zmarły. Starał się ją wytypować spośród kobiet, żadna jednak mu nie pasowała, głównie ze względu na wiek.

Gdy ceremonia dobiegła końca, podszedł do swojej klientki i złożył jej kondolencje. Podziękowała mu cicho, a on ucisnął jej dłoń i odszedł.

Stanął kawałek dalej, wodząc czujnym wzrokiem po okolicy. Gdy bliscy Kruszewskiego ruszyli w stronę restauracji, w której miała się odbyć stypa, został na miejscu. Przez chwilę jeszcze patrzył, jak pracownicy zakładu

pogrzebowego uwijają się przy grobie Kruszewskiego. Spojrzał w lewo i zobaczył Dębskiego. Bandzior ewidentnie mu się przyglądał.

Grot zacisnął pięść i ruszył w jego stronę. Dąb nawet się nie poruszył.

Po chwili stanęli naprzeciwko siebie. Ich spojrzenia się spotkały.

– Co tu robisz? – spytał detektyw.

– Przyszedłem na pogrzeb – odpowiedział Dębski.

– Chciałeś się napawać rodzinną tragedią?

– Dlaczego pan mnie tak źle ocenia?

– Bo wiem, że to ty zabiłeś Kruszewskiego.

– To, co pan wie, musi mieć jeszcze poparcie w dowodach. A tych, jak sądzę, pan nie ma. Proszę więc mnie nie obrażać. – Dębski uśmiechnął się nieznacznie.

– Powiem ci coś, skurwielu – wycedził Grot. – Gdyby nie miejsce i okoliczności, strzeliłbym ci w ryj. Może wtedy ten twój głupi uśmieszek by zniknął.

Dębski przestał się uśmiechać. Jego spojrzenie skuł lód.

– Tak. Mamy szczęście, że jesteśmy w takim miejscu. Gdyby nie okoliczności, pan dałby mi w zęby, a ja bym sprawił, że wszelkie pańskie problemy by znikły. Można by nawet powiedzieć, że wraz z panem.

– Wiesz, że cię dopadnę?

Dąb mierzył go wzrokiem. Grot widział w jego oczach czystą nienawiść. Wiedział, że ma w nim śmiertelnego wroga.

– Powodzenia – powiedział gangster, po czym odwrócił się i odszedł.

Grot patrzył za nim. Był wściekły. Zabójca mężczyzny, którego właśnie złożono do ziemi, był na tyle bezczelny, że pojawił się na pogrzebie swojej ofiary.

Wiedział, że za jakiś czas za to też go ukarze.

* * *

Wasiak patrzył, jak Dębski opuszcza cmentarz.

Ten najemny zabójca, zawsze tak opanowany, dziś był cały w nerwach. Widać było, że sporo wysiłku kosztuje go, by nie wybuchnąć. Minął jakiegoś mężczyznę, który niechcący go potrącił. Facet przeprosił, a Dębski zmierzył go takim wzrokiem, że Wasiaka aż przeszły ciarki.

Miał zamiar uczestniczyć w pogrzebie Marka Kruszewskiego, ale się spóźnił. Rano poczuł silny ból w klatce piersiowej i skontaktował się

z lekarzem, który od lat się nim opiekował. Okazało się, że to zwykły nerwoból, choć pułkownik myślał, że umiera. Starość coraz bardziej dawała mu się we znaki.

Teraz patrzył, jak w ślad za Dębem idzie Grot. Ten były policjant był dla Wasiaka kimś wyjątkowym. Od jakiegoś czasu bacznie mu się przyglądał. Ten dawny gliniarz był specjalistą w swoim fachu i potrafił złapać każdego przestępcę. Wasiak żałował, że kariera Grota runęła jak domek z kart po tym, jak stracił najbliższych. Mógł służyć młodym gliniarzom jako wzór profesjonalizmu i zaangażowania. Takich ludzi potrzebowali, gdy jeszcze sam był w resorcie.

Pamiętał, że większość esbeków nie grzeszyła inteligencją. Byli prostymi ludźmi. Robili, co im kazano, i nie zastanawiali się, w jakim celu. Tak było od początku bezpieki. Z czasem sytuacja się poprawiła, ale jeszcze w latach osiemdziesiątych widział wielu głąbów z legitymacją funkcjonariusza Służby Bezpieczeństwa. Gdyby mieli takich ludzi jak Grot, to może system upadłby dużo później.

Teraz Grot był wrakiem człowieka. Niby ostatnio nie pił, ale Wasiak wiedział, że każdy alkoholik z czasem przechodzi kryzys. Jak jest silny, to wytrwa w niepiciu. Jak słaby – znowu sięgnie po flaszkę. Nie miał pojęcia, jaki jest Grot.

Sam też niekiedy lubił wypić. Gdy był młodym oficerem bezpieki, pili całkiem sporo. Można nawet powiedzieć, że chlali. Wtedy wódka była towarem deficytowym. Sprzedawano ją dopiero od godziny trzynastej. Fakt, że zawsze można było dostać trunek na melinie, ale jakoś tego alkoholu pozostawiała sporo do życzenia. Pito wtedy z każdej okazji. Jak się złamało jakiegoś gościa z opozycji, jak się przejęło nielegalną drukarnię, jak się dostało awans lub jak się go nie dostało. Picie było częścią pracy, nieodłącznym elementem służby. Piło się od rana do wieczora i od wieczora do rana.

Pamiętał jedną popijawę w ośrodku Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Karpaczu. Miał wtedy przyjechać Kiszczak, bo zaplanowane było spotkanie z jego odpowiednikiem z Czechosłowacji. Zanim szef bezpieki pojawił się w ośrodku, wszyscy esbecy z zabezpieczenia ledwo już stali na nogach. Jeden z nich, major Świącicki, w pijanym widzie chciał strzelać do oficjalnej delegacji czechosłowackiej bezpieki. Biegał ze służbowym P-64 i krzyczał: „Pozabijam was, łachudry z Solidarności! Gdzie jest ten chuj Wałęsa?”. Ledwo udało się zatuszować skandal. Gdyby nie jakiś trzeźwy członek delegacji, który towarzyszyła Kiszczakowi, mogło dojść do tragedii. Młody porucznik wyjął

majorowi magazynek z pistoletu i założył mu na szyję dźwignię. Miesiąc później Świącicki przeszedł na emeryturę.

Inną słynną imprezą było szkolenie w Łodzi. Popili w hotelu i jakiś kapitan ze stolicy zgubił klucz od pokoju. Zaczął strzelać i przestrzelił zamki w drzwiach. Gdy już się uspokoił i położył spać, wszyscy poszli chlać dalej. Po kilku minutach za oknami zobaczyli parkujące radiowozy. Okazało się, że kapitan jednak nie poszedł spać. Zszedł do recepcji i wziął do swojego pokoju dwie prostytutki. Nożem zmusił je, by zrobiły mu loda. Dziewczyny się starały, ale członek kapitana nie chciał współpracować. Mężczyzna przyłożył więc ostrze do szyi jednej z prostytutek i kazał jej ciągnąć aż do skutku. Obsługa wezwała milicję. Skandal oczywiście zatuszowano.

Czasy inne, ale jakby podobne.

* * *

Dzień wcześniej Artur odwiózł Kasię do jej ojca. Teraz siedział w kuchni i patrzył w okno.

W końcu wstał, podszedł do lodówki i wyciągnął z niej butelkę wódki oraz słoik ogórków konserwowych. Nalał sobie do szklanki solidną porcję alkoholu i wypił jednym haustem. Z reguły nie pił samotnie, ale dzisiaj czuł, że alkohol dobrze mu robi. Zagryzł ogórkiem i ponownie napełnił naczynie. Zastanawiał się, co by powiedziała Kasia na to samotne picie.

Podszedł do okna i podniósł doniczkę z kaktusem. Kiedyś w jednym filmie facet pił z kwiatkiem, zwykłym fikusem. Skoro fikus się nadawał, to czemu kaktus miałby być gorszy? Picie z kwiatem nie było oznaką choroby psychicznej ani alkoholizmu. Taki badył to wręcz idealny kompan. Nie narzeka, nie mędzi, mało pije i zawsze wysłucha.

Artur wiedział, że jest problem. Sprawa, którą wraz z Grotem prowadził, nieoczekiwanie rozwinęła się nie po ich myśli. Gdy zaczynał współpracę z dawnym kumplem z zabójców, nie spodziewał się tego. Mieli odnaleźć winnych śmierci młodego dziennikarza, a z czasem się okazało, że jego bliskim może grozić niebezpieczeństwo.

Dzisiaj pierwszy raz, odkąd był gliniarzem, zaczął się bać. Kapujący gangsterom policjant sprawił, że poczuł lęk o najbliższych. Przypomniała mu się rodzina Radka Grota. Bolesna strata żony i syna sprawiła, że chłop stoczył się po równi pochyłej. Tylko dzięki cudownemu zbiegowi okoliczności powoli wracał do świata żywych.

Artur nie wiedział, jak zareagowałby na wiadomość, że Kasi coś się stało. Każdego dnia oglądał śmierć i najcięższe zbrodnie, ale to zawsze były obce mu osoby. Nie wyobrażał sobie, żeby musiał identyfikować zwłoki Kasi lub jakiegoś innego członka swojej rodziny. Zastanawiał się, czy nie powinien się wycofać z prowadzenia tej sprawy. Wszystko szło w złym kierunku. Naraził zarówno swoje życie, jak i życie ukochanej.

Pił z kaktusem do północy. Rano obudził się na solidnym kacu. Dopiero dwie tabletki przeciwbólowe pozwoliły mu w miarę normalnie funkcjonować. Zrobił sobie kawę i skromne śniadanie.

Dziś był pogrzeb Kruszewskiego. Początkowo miał zamiar uczestniczyć w ceremonii, ale ostatecznie zrezygnował. Nie znał chłopaka, a szczególnie lubił takie wydarzenia. Postanowił, że pojedzie do komendy i powie Ratajczykowi, że rezygnuje z prowadzenia śledztwa. Obawa o siebie i bliskich sprawiła, że zdecydował się odpuścić.

Artur uważał, że nie ma sensu się narażać, zwłaszcza że Ratajczyk miał wystawić list gończy za Dębskim. Wiedział jednak, że do czasu, kiedy Dąb nie zostanie złapany, on i Kasia nie będą bezpieczni.

* * *

Dębski spojrział na swoich nowych współpracowników. Polecił mu ich kumpel, który specjalizował się w handlu narkotykami. Struna poręczył za nich i powiedział, że nie mają żadnych skrupułów.

Było ich dwóch. Jeden wyższy i ponoć bardziej ogarnięty. Drugi niższy o aparycji neandertalczyka; według Struny inteligencją także znacząco od pracłowieka nie odbiegał. Był głupi, ale silny, a to wystarczało do roboty, w której najlepiej się sprawdzali. Nie potrafili rozwiązać krzyżówki, jednak znali się doskonale na wymuszaniu haraczy i biciu. Dębski nie lubił z takimi współpracować. Nie mógł z nimi nawet pogadać, bo odbiegali od niego poziomem. Był tylko jeden plus kooperowania z takimi ludźmi – nie trzeba było brudzić sobie rąk. Wystarczyło wydać polecenie, a oni je wykonywali. Nie widzieli nic zdrożnego w torturowaniu ludzi czy pozbawianiu ich życia.

Ten neandertalczyk miał ksywę Juban. Nikt nie wiedział dlaczego. Tak po prostu kazał na siebie wołać i wszyscy to zaakceptowali. Ten bardziej kumaty to Mario, jakiś daleki kuzyn Kondźiego.

Gdy Dąb dał im znak, że pora brać się do roboty, wysiedli z jego beemki i poszli do biura, gdzie urzędował Wielgus.

W środku Juban od razu rzucił się na biznesmena. Kilka szybkich uderzeń sprawiło, że ten padł pod biurko. Miał rozbity nos i wybite przynajmniej dwa zęby.

Juban był jak taran. Bił i nie zważał na nic. Dębski patrzył na to z niesmakiem. Osobiście wolał bardziej subtelne metody, jednak zadanie, które mieli do wykonania, uzasadniało takie działanie.

Gdy biznesmen broczył krwią z rozbitego nosa i starał się zatrzymać krwotok, Dąb pochylił się nad nim i powiedział:

– Dzień dobry, panie Wielgus.

Biznesmen spojrzał na niego. Oczy miał załamane.

– Posadźcie go.

Juban i Mario chwycili Wielgusa pod ramiona i posadzili na fotelu, z którego neandertalczyk przed chwilą zmiotł go swoimi ciosami. Dębski przysunął drugi fotel i usiadł na wprost przedsiębiorcy.

– Panie Wielgus, mam dla pana korzystną propozycję – zaczął.

– Auu... – jęknął mężczyzna.

– Wiem, że boli. Jak dobrze pójdzie, niedługo przestanie. Moja propozycja jest następująca: pan podpisze mi tutaj pewien dokument, a my sobie pójdziemy.

– Co za dokument? – Co jakiś czas twarz Wielgusa wykręcał grymas bólu.

– Umowa sprzedaży pańskiej spółki.

– Żeby sprzedać spółkę, musi być notariusz.

– Panie Wielgus, nie docenia mnie pan. Podpis i pieczętka notariusza już są. Wystarczy tylko podpisać i po sprawie.

– A jak tego nie zrobię?

Dąb sięgnął po leżący na biurku zszywacz. Chwilę trzymał go w dłoni, patrząc przenikliwie na Wielgusa.

– To już nigdy nic pan nie zrobi. – Odłożył zszywacz na biurko. – Czy zdaje pan sobie sprawę, jakie trudności wywołuje pański upór?

– Nie.

– Niech pan spojrzy, panie Andrzeju. Moi ludzie to prawdziwe zwierzęta. Bestie. Wie pan, jak ciężko nad nimi zapanować? Jakbym nie trzymał ich krótko, rozszarpaliby pana na miejscu. Nie mówiąc o pańskiej żonie i dzieciach. Adres znamy jakby co.

Wielgus patrzył na Dębskiego z rosnącym przerażeniem.

– Ale spółka jest zadłużona. Co chwila są jakieś kontrole. To trup. Nie jest warta mojego życia ani niczyjego.

– A więc po co się dłużej męczyć? Jeden podpis i po sprawie.

– Dobrze – westchnął biznesmen. – Gdzie mam podpisać?

Dąb wstał i otworzył stojący przy biurku nesesor. Wyciągnął z niego kilka kartek, które następnie położył przed Wielgusem. Ten wahał się jeszcze chwilę, w końcu jednak zaczął podpisywać każdą stronę. Gdy skończył, schował twarz w dłonie i zaczął szlochać.

Dębskiemu zrobiło się go szkoda, wiedział jednak, że to tylko interesy. Osobiście nic do faceta nie miał. Pewnie w innych okolicznościach mógłby nawet go polubić. Teraz niestety miał zadanie do wykonania. Musiał uzyskać te podpisy.

Podszedł do Wielgusa i położył mu dłoń na ramieniu.

– Nie martw się, chłopie – powiedział. – Firmę zawsze można założyć nową. Jakbyś nie podpisał, musiałbym cię zabić. Pamiętaj, że życie jest ważniejsze niż jakikolwiek biznes. Osobiście polecam ci zajęcie się czymś innym. Czasem lepiej zarobić mniej, niż narazić się na problemy.

Wielgus w odpowiedzi zaniósł się szlochem.

Dębski kiwnął do swoich ludzi i zebrał ze stołu dokumenty. Gdy wychodził z pomieszczenia, odwrócił się jeszcze. Biznesmen kiwał się miarowo w przód i w tył. Dąb wiedział, że patrzy na kolejną ofiarę chciwości Szczota. Miał nadzieję, że kiedyś ten biedak odpłaci politykowi pięknym za nadobne.

Już on tego dopilnuje.

* * *

Artur przyjechał do komendy i poszedł prosto do Ratajczyka. Niestety okazało się, że naczelnik pojechał do prokuratury i miał być później.

Wrócił do wydziału i usiadł przy biurku. Nie miał pojęcia, jak oznajmić przełożonemu, że rezygnuje z dalszego prowadzenia sprawy. Bezpieczeństwo najbliższych było jednak dla niego najważniejsze. Nie mógł ryzykować, że bandyci skrzywdzą Kasię.

Siedział i patrzył w okno. Wiedział, że za wszystko jest odpowiedzialny ten Dębski. Jednak szanse na jego zatrzymanie nie były zbyt duże. To, co wiedzieli, to jedno. To, co mogli udowodnić, to drugie.

Żałował, że wtedy w pizzerii dał się ponieść. Kamery nagrały, jak grozi bandycie bronią. Dobry adwokat bez trudu wybroniłby przestępcę, a on dostałby zarzuty. Jednak czasu nie cofnie. Teraz muszą wymyślić inny sposób, aby załatwić Dęba. Idealnym rozwiązaniem byłoby, gdyby ktoś chciał

przeciwko niemu zeznawać. Może znalazłby się jakiś świadek, który w zamian za odpuszczenie grzechów pograży gangstera. Siwy prawie dał się złamać. Gdyby nie wejście jego szefa, pewnie wszystko by im wyśpiewał.

Był jeszcze ten drugi, Dracha. Artur czuł, że facet, który nie potrafi się poprawnie podetrzeć, nie jest zbyt lotny. Może za parę groszy lub za obietnicę bezkarności wsypie swojego bossa.

Miał dylemat. Z jednej strony chciał zostawić tę sprawę. Z drugiej jednak, gdy kilka lat temu pojawił się w wydziale, usłyszał coś, co zapamiętał na całe życie. Grot powiedział mu wtedy: „Jeśli chcesz być dobrym psem, powinieneś przyjąć jedną zasadę. Każda zbrodnia musi być ukarana, a sprawca zgnić w pierdłu. Pamiętaj też, że jak raz się skurwisz, to kurwą już zostaniesz”. Przez całą służbę stosował tę zasadę i jak dotąd nie miał sobie nic do zarzucenia. Zawsze starał się dać z siebie jak najwięcej. Starał się, aby każde śledztwo, które prowadził, zakończone było sukcesem.

Gdy trafił do wydziału, był młodym chłopakiem. Grot był dla niego nauczycielem i mentorem. Obserwował jego pracę i marzył, by za kilka lat być takim samym śledczym jak on. Bardziej doświadczony kolega był gliną z krwi i kości. Gdy złapał trop, podążał nim tak długo, aż złapał sprawcę. Nie odpuszczał, nie rezygnował. Artur z czasem też nabył takich umiejętności. On również starał się rozwiązać każdą sprawę, którą prowadził.

Teraz jednak paraliżował go strach.

Śledztwo w sprawie zabójstwa zaczęło iść w złą stronę. Musiał zdecydować, co robić dalej.

* * *

Siwy się nie spodziewał, że dawni koledzy mogą mu cokolwiek zrobić.

Gdy Dąb wysłał po niego Mongoła i Jubana, myślał, że mają jakąś kolejną robotę. Mongoł niczym się nie zdradził. Nic nie wskazywało na to, że Siwy jedzie na własną egzekucję. Juban tępo patrzył przez okno i po nim także nie można było niczego wywnioskować.

Wjechał na teren starego PGR-u w okolicy Obornik Śląskich i zaparkował. Sekundę później został uderzony w tył głowy. Siedzący z tyłu Juban wysiadł i schował do kieszeni kastet.

Nieprzytomnego wnieśli do budynku i przywiązali do stojącego na środku krzesła. Wtedy Mongoł wziął do ręki wiadro z zimną wodą i oblał go. Lodowaty strumień natychmiast go obudził. Siwy zaczął charkać i pluć.

Rozejrzał się po pomieszczeniu. Same znajome twarze. Na koniec spojrzął na Dębskiego.

– Szefie, co się dzieje? – spytał.

– Siwy, stary kumplu. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak serce mi się kraje na myśl, że musimy coś zrobić – odparł Dąb.

– Szefie, ale o co chodzi? Dlaczego mnie przywiązaliście? To jakieś jaja?

– Gadałeś z tymi gliniarzami.

– Nic im nie powiedziałem! Przecież szef wie!

– No, nie do końca. Jak wszedłem, zaczynałeś klepać jak jakiś pierdolony świadek koronny.

– Ale ja nic...

Dębski położył palec na ustach, nakazując Siwemu milczenie.

– Słuchaj, wkopałeś Drachę i już miałeś im powiedzieć, że ja jestem zamieszany w całą tę sprawę z dziennikarzem. Nie wkopałeś mnie tylko dlatego, że wam przerwałem tę miłą pogawędkę.

– Ale szefie, sam szef widział, że miałem kopyto w gębie! Zastraszili mnie! Przecież ja szefa...

– Zamknij się, kurwo – wtrącił Mongoł. – Takie kurwy nie są warte, żeby na nie splunąć.

– Ej, stary, co ty? – Siwy spojrzął na kumpla.

– Nie patrz na mnie. Opuść, kurwa, wzrok! Nie masz prawa, chuju, na mnie patrzeć! – Mongoł się zamachnął i uderzył Siwego w twarz.

Krew trysnęła, ochlapując koszulę Dębskiego.

– No i popatrz. Ochlapałeś mi rękaw – powiedział Dąb, patrząc z niesmakiem na krwawe plamy.

– Widzisz, szmato! Ujebałeś szefowi koszulę! – wrzasnął Mongoł.

Siwy zaczął skamleć:

– Ej, chłopaki, ja nic, ja bym, kurwa...

Dąb ponownie dał mu znak, by zamilkł.

– Stary kumplu. Nawet nie wiesz, jak mi przykro z powodu tej sytuacji. Czuję się, jakbym stracił brata, przyjaciela. Ufałem ci, a ty mnie zdradziłeś jak Judasz Jezusa. Czy źle z nami miałeś? – spytał.

– Szefie, ja za szefa bym życie oddał...

– I oddasz. Cieszę się, że się zgadzasz.

Dębski cofnął się dwa kroki. W tym samym momencie stojący z tyłu Juban przyłożył do potylicy Siwego pistolet.

W pomieszczeniu rozległ się odgłos strzału.

Krew z przestrzelonej głowy chlusnęła w kierunku miejsca, gdzie kilka sekund wcześniej stał Dębski.

– Widzicie? Gdybym się nie odsunął, znowu by mnie ochlapał – powiedział spokojnie gangster.

W tej samej chwili usłyszeli silnik samochodu. Kilkanaście sekund później otworzyły się drzwi i w progu stanęli Mario i Dracha.

Spojrzeli na przywiązane do krzesła zwłoki, wyraźnie zaskoczeni tym widokiem.

– Kurwa, szefie... Co tu się stało? – spytał Dracha.

– Siwy dał się przerobić – odparł Dąb. – Wsypał mnie i ciebie. Policja lekko go przycisnęła i już zaczął gadać.

– Siwy? Kurwa, wierzyć się nie chce!

– Ja też bym nie uwierzył, gdybym sam nie słyszał. Gadał z dwoma psami i sypał na mnie i na ciebie. Przez niego mogliśmy trafić do pudła.

Dracha podszedł do zwłok i na nie splunął.

– Chuj jebany. Wkurwiają mnie kapusie i sprzedajne kurwy – wycedził.

Dębski skinął głową.

– Mnie także. A wiesz, co mnie najbardziej smuci? – spytał.

– Co, szefie?

– Najbardziej mnie smuci fakt, że przez jego gadulstwo życie traci dwóch moich najlepszych ludzi. Prawdziwych kumpli na dobre i na złe.

– Dwóch? – Dracha był zaskoczony.

– Tak. Straciłem Siwego i ciebie.

Dąb uniósł broń i nacisnął język spustowy. Kula trafiła Drachę prosto w czoło.

Gdy mięśniak upadł na posadzkę, gangster spojrzał na ciało.

– Jakby psy przycisnęły Drachę, to też by się wysypał. Uniknęliśmy wielu problemów – stwierdził.

Mongoł pokiwał głową ze zrozumieniem. Juban patrzył na zwłoki dwóch kompanów. Wyglądał, jakby dopiero teraz zaczęło do niego docierać, co zaszło.

– Mongoł, pozbądź się ciała. Siwego trzeba wywieźć gdzieś, gdzie w miarę szybko ktoś go znajdzie. Możesz zostawić go na jakimś parkingu. Co do Drachy, ma zniknąć bezpowrotnie. Ciało rozpuście w kwasie albo zmielcie w masarni należącej do ojca Brandzlaka. Zrozumiano?

– Tak. Myślę, że lepiej go zmielić i dodać do kiełbasy – uznał dresiarz. – Szef zawsze powtarzał, że trzeba czerpać zyski z każdej sytuacji. A jak sto kilo chłopa doda się do kiełbachy, to będzie zysk.

Dębski się uśmiechnął. W najbliższym czasie będzie musiał pamiętać, żeby nie brać wędlin od Brandzlaka. Co jakiś czas zamawiał u niego boczek lub kielbasę i dodawał do pizzy. Nie chciałby zjeść kawałka Drachy.

* * *

Grot przyjechał do Zawadzkiej w godzinach wieczornych. Nie chciał przeszkadzać jej podczas stypy. Uważał, że powinna spędzić ten czas w towarzystwie rodziny i znajomych.

Drzwi otworzyła gosposia i bez słowa zaprowadziła go do kuchni. Grot usiadł na krześle.

– Pani śpi. Wzięła leki na uspokojenie – powiedziała pani Stasia.

– To może ja nie będę przeszkadzał.

– Jak pan chce. Coś mam przekazać pani Joannie?

– Proszę powiedzieć, że byłem.

Detektyw wstał i ruszył w stronę drzwi, gdy z piętra dobiegł go głos Zawadzkiej:

– Pani Stasiu, mamy jakichś gości?

– Tak, przyszedł pan Grot – odpowiedziała gosposia.

– To proszę go do mnie przysłać.

Gosposia spojrzała na Grota.

– Niech pan jej nie męczy. Miała ciężki dzień – poprosiła.

Kiwnął głową ze zrozumieniem i zaczął wchodzić po schodach. Kiedy dotarł pod gabinet, z wnętrza rozległ się głos jego klientki:

– Niech pan wejdzie. Tylko proszę nie zapalać górnego światła.

Wszedł do pogrążonego w półmroku pomieszczenia i usiadł na krześle na wprost biurka. W ciemności widział zarys sylwetki Zawadzkiej.

– Dziękuję, że był pan dziś na pogrzebie – powiedziała kobieta. – Widziałam, że jest pan w pobliżu, chociaż nie chciał pan podejść.

– Miałem swoje powody. Jak pani wie, nadal próbuję zrozumieć sens śmierci bliskich mi osób. Udział w ceremonii otworzyłby rany, które powoli się zablizniają.

– Rozumiem.

Grot nabrał powietrza.

– Czy mogę zapalić? – spytał.

– Proszę.

Wyjął z kieszeni paczkę papierosów i odpalił jednego. Przez chwilę milczał. Zawadzka przesunęła w jego stronę mosiężną popielniczkę. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek ktoś strzepywał do niej popiół. Wyglądała na starą i drogą.

Wziął kolejnego macha i powiedział:

– Przyjechałem, aby panią powiadomić, że już wiem, kto stoi za śmiercią pani brata. Nie mam niestety możliwości udowodnienia tego przed sądem, ale wiem, kto pociągnął za spust.

Klientka poruszyła się na krześle.

– Kim jest ta osoba?

– Nie wiem, kto zlecił, ale wiem, kto wykonywał egzekucję.

– Kto?

Grot znowu się zaciągnął. Strzepnął popiół do popielniczki.

– Jest w mieście kilku bandytów zajmujących się eliminowaniem niewygodnych osób.

– Kto? – powtórzyła.

– Szef zbójów nazywa się Dębski, ksywa Dąb. Kawał skurwysyna. Ostry zawodnik.

– Może pan powtórzyć? Jak się nazywa szef?

– Dębski.

W tym momencie z Zawadzkiej jakby uszło powietrze. Ramiona jej opadły, głębiej wcisnęła się w fotel. Wyglądała na zaskoczoną tą informacją. Jakby spodziewała się czegoś innego.

– Zna pani Dębskiego? – spytał.

– Tak – odparła cicho.

Teraz to Grot był zdziwiony. Sprawa robiła się coraz bardziej zawiła.

– A skąd?

Joanna westchnęła ciężko.

– Widzi pan... nie byłam z panem do końca szczerą. Chciałam nie tylko, aby ustalił pan sprawcę. Chciałam też, by dokonał pan zemsty. Żeby pan go zabił.

– Rozmawialiśmy o tym. Zemsta nie jest najlepszym rozwiązaniem.

– Wiem, że pan by tego nie zrobił. Dlatego znalazłam kogoś, kto by się tego podjął.

– Co pani mówi?

– Skontaktowałam się z dawnym znajomym. Ma układy w mieście. Polecił mi kogoś, kto zająłby się tą sprawą.

– Dębski?

– Tak. On miał się zająć zabójcą mojego brata.

Grot pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Szkoda, że chciała pani przejść na drugą stronę – stwierdził.

– A skąd mogłam wiedzieć, że to on zabił Marka?

Detektyw był na siebie zły. Mógł się spodziewać, że Zawadzka nie zostawi sprawy nierozwiązanej. Pragnęła zemsty. Szukała jej. A on uwierzył, że wystarczy jej posłanie mordercy za kratki. Był naiwny.

– Pani Joanno, rozwiązałem sprawę – odezwał się po chwili. – Jutro podliczę czas mojej pracy i zwrócę pani resztę pieniędzy. Samochód mogę zostawić dzisiaj.

– Nie ma potrzeby zwracać żadnych pieniędzy – odparła klientka. – Co do samochodu, nie jestem do niego jakoś szczególnie przywiązana. Bardziej mój mąż. Jak się panu ten opel podoba, może go pan sobie wziąć.

Grot zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie mogę przyjąć tak drogiego prezentu.

– To niech pan to potraktuje jako premię. Poza tym zasłużył pan na niego. Nie ma pan pojęcia, jak bardzo pomogły mi nasze rozmowy. Dzięki panu podjęłam decyzję o rozstaniu z mężem. Powiem więcej: zastanawiam się nad zrobieniem badań, które stwierdzą, czy mam jakiegokolwiek szanse na urodzenie dziecka. Jak nie będę mogła zająć w ciążę, adoptuję jakąś sierotę.

– Pani życie prywatne zależy tylko od pani. Jedyne, co nas ogranicza, to to, co sami sobie postawimy jako granicę. Jeśli uważa pani, że adopcja jest tym, czego pani pragnie, to będzie pani decyzja.

– Dziękuję. Samochód jest pański. Mój prawnik jutro przygotuje umowę i się z panem skontaktuje. A teraz proszę wybaczyć, ale chciałabym się położyć. Za dużo wrażeń jak na jeden dzień.

– Rozumiem. Do widzenia, pani Joanno – powiedział Grot, wstając z krzesła.

W ciemności ucisnął wyciągniętą w jego stronę dłoń. Uścisk był trochę inny niż dotychczas. Bardziej męski, mocny, zdeterminowany.

* * *

Wasiak podszedł do stolika, przy którym siedział poseł Szczot. Polityk, ilekroć był we Wrocławiu, zawsze jadał lunch w tej restauracji. Amplituda była jego ulubionym lokalem. Serwowane tu posiłki były smaczne i – co najważniejsze – drogie. Z tego powodu plebs omijał lokal szerokim łukiem. Przekładało się to

na towarzystwo przy stolikach. Tutaj każdy gość miał odpowiednią pozycję i pieniądze.

Szczot czuł się w Amplitudzie jak ryba w wodzie. Nie musiał patrzeć w oczy biedocie.

Kilka lat temu miał niemiłą sytuację w restauracji w Gdańsku. Zaczepiła go kobieta z dwójką dzieci. Lokal nie był ekskluzywny, więc mógł tam wejść każdy. Obsługa wpuściła biedaczkę, a ta do niego podeszła. Mówiła, że głosowała na partię, którą reprezentował w sejmie. Mówiła o zawiedzionych nadziejach i o biedzie, która ją spotkała. Wyglądało to tak, jakby obwiniała Szczota o swoje niepowodzenia. W pewnym momencie jej zarzuty zaczęły go denerwować i poprosił obsługę, aby wywaliła natrętną babę za drzwi. Niestety właściciel lokalu stwierdził, że nie mogą nikogo wyrzucić. Jedzenie, które zamówił Szczot, przestało mu smakować. Nic już nie zjadł. Obsmarował potem ten lokal w internecie.

Teraz Wasiak usiadł naprzeciwko posła. Szczot popatrzył na pułkownika i głośno westchnął. Nie był zadowolony z towarzystwa, ale nic nie powiedział. Nadal pałaszował swoją sałatkę i stek.

– Smacznego. – Stary się uśmiechnął.

– Dziękuję – odparł Szczot z pełnymi ustami.

– Nie chcę przeszkadzać w posiłku, ale mamy problem.

– Jaki niby?

– Chodzi o tego twojego cyngla, Dębskiego. Narobił sobie problemów. Ma być zatrzymany.

– Kurwa...

Wasiak podał rozmówcy szklankę z wodą i Szczot wziął kilka łyków.

– To co robimy? – zapytał po chwili. – Miesza nam to szyki.

– Musisz ostrzec Dęba. Najlepiej, jak się z nim spotkasz i osobiście mu powiesz, że ma zniknąć na jakiś czas.

– A potem? „Jakiś czas” to pojęcie względne.

– Potem zobaczymy.

Wasiak sięgnął po leżące na stole menu. Przez chwilę trzymał je w dłoni, po czym odłożył z powrotem.

– Jak idą przygotowania do naszego biznesu? – spytał.

– A jak mają iść?

– Zacząłeś coś w końcu robić? Masz, kurwa, tylko trzy miesiące.

– Spokojnie. Jutro widzę się z marszałkiem sejmu Borowiakiem. Mamy kilku wspólnych znajomych. On ma duże poparcie i może nam pomóc.

– To działaj. Czas ucieka, a jak ktoś się dowie o złożach, to KGHM przejmie wszystko i nic nam nie skapnie. Rozumiesz, że tu chodzi o kurewsko dużą kasę?

– Dobra. Powiedziałem: jutro. – Szczot wrócił do jedzenia sałatki.

Wasiak się zastanawiał, czy nie powinien zlecić Dębskiemu pozbycia się polityka. Zacisnął zęby i wstał od stołu.

– Nie zawieź mnie, Krokodyl – powiedział, zanim ruszył w stronę wyjścia.

* * *

Artur podjął decyzję, że jednak doprowadzi śledztwo do końca.

Miał nadzieję, że nie popełnił błędu. Kasię wywiózł, więc przynajmniej ona była bezpieczna. Jej ojca nie zastał w domu. Miał nadzieję, że za jakiś czas uda im się poznać.

Postanowił też, że po zakończeniu śledztwa złoży raport o zwolnienie. Był jeszcze młody, miał szansę znaleźć nowy zawód. Praca gliniarza dawała mu satysfakcję, ale też powodowała sporo nerwów. Rozczarował się służbą. Gdy decydował się na włożenie munduru, myślał, że będzie rozwiązywał skomplikowane śledztwa, łapał sprawców największych zbrodni. Uważał wtedy, że granica pomiędzy dobrem a złem jest jasno określona. Że bandyci boją się policjantów. Wyobrażał sobie, że każdy zbrodniarz stara się uniknąć złapania, a każdy policjant dąży do schwytania zbója.

Każdego dnia widział brud tego miasta. Chciał być cieciami, który to wszystko pozamiata. Brud jednak był wyjątkowy – był to brud kłamstwa, brud nieprawości i zbrodni. A do tego był wszędzie. Dostawał się nozdrzami do mózgu, wwierał w umysł i powodował wypalenie. Wypalenie zawsze jest na końcu. Najpierw pojawia się znieczulenie na zło, potem pewnego rodzaju akceptacja tego wszystkiego.

Wielu dobrych gliniarzy dotarło do końcowego etapu tego wyścigu i jedyne wyjście, jakie widzieli, to strzał z broni służbowej w skroń.

Pasewicz chciał uniknąć takiego losu.

Była jeszcze jedna droga – mógł przejść na drugą stronę barykady. Mógł zostać zbirzem lub dać im się wykorzystać. Ostatnio zobaczył, że oddzielenie życia prywatnego od służby jest praktycznie niemożliwe. Zwykły sprzedajny aspirant mógł sprawić, że twoja uporządkowana dotąd egzystencja runie jak zamek z piasku. Przecież gdyby nie złapano Nowaczyka, gdyby Dębski dostał jego adres lub gdyby nie wywiózł Kaśki, wszystko mogłoby wyglądać inaczej.

Mogłoby się zdarzyć, że po powrocie do domu nie miałyby się do kogo odezwać. Że znalazłby ciało swojej narzeczonej leżące w kałuży krwi. Mogła być torturowana lub zgwałcona. Możliwość było aż nadto. Więcej, niż mógłby znieść.

Podjął decyzję, że ta sprawa będzie jego ostatnią. Trzeba wiedzieć, kiedy ze sceny zejść, jak śpiewał znany piosenkarz. Jego czas właśnie nadchodził.

Wstał i podszedł do stolika, na którym stał czajnik elektryczny. Chciał napić się kawy. W tym samym momencie zadzwonił stojący na biurku telefon.

Pasewicz wycofał się.

– Słucham – powiedział, podnosząc słuchawkę.

– Cześć, dyżurny z tej strony. Słuchaj, jest dla was sprawa. Trochę dziwna, ale jest denat.

– Co się stało?

Artur czuł, że może to być związane z prowadzonym przez niego śledztwem.

– Ciec patrolujący parking przy Marino zauważył stojący samochód. Niby nic takiego, ale podszedł bliżej i znalazł w środku gościa. Okazało się, że trup. Facet miał dziurę we łbie. Ale jest coś jeszcze.

– No?

– Na siedzeniu leżał list.

– List?

– No. Zaadresowany do was. Cytuję: „Wydział zabójstw. Milczenie to przyjaciel, który nigdy nie zdradza. Konfucjusz”.

Artur szybko zapisał te słowa na kartce.

– Kurwa, jakiś inteligent nam się objawił – prychnął. – Wiadomo, kim jest denat?

– Niejaki Romuald Banasiak, ksywa Siwy.

– Ja pierdołę... – sapnął Artur, bezwiednie opadając na krzesło.

* * *

Dębski siedział w agencji towarzyskiej i popijał słabego drinka.

Był ścigany i musiał poszukać bezpieczniejszego lokum. Agencja była dobra do rozładowania chuci, ale nie do ukrywania się przed policją.

Przez znajomego pasera wynajął dom na wsi. Tam nikt nie powinien go szukać. Postanowił jednak, że zanim się ukryje, musi pozałatwiać kilka spraw. Przede wszystkim spotkać się ze Szczotem. Zamierzał zmusić go, żeby ten mu pomógł. Polityk miał różne znajomości, mógł wpłynąć na pewne decyzje.

List gończy mógł pokrzyżować Dębowski plany. Gdyby wiedział, że sprawa z tym dziennikarzem tak się rozwinie, inaczej by to wszystko zaplanował. Lepiej by się zabezpieczył. Na szczęście ostatnio wykonał kilka ruchów i teraz będzie miał kartę przetargową.

Szczot uwierzył w bajeczkę o bezpiecznym telefonie i tylko jego używał do rozmów. A Dębowski słuchał i nagrywał te rozmowy. Archiwum haków na polityka powoli się zapełniało. Miało być zabezpieczeniem na przyszłość, ale Dębowski mógł je wykorzystać wcześniej. Gdyby Szczot odmówił mu pomocy, może go zaszantażować i puścić kilka nagrań. To ostatecznie przekonałoby go, że warto użyć swoich koneksji.

Zostają mu jeszcze Grot i Pasewicz. To oni do niego dotarli. Oni byli sprawcami jego problemów. Gdyby wtedy na parkingu wiedział, że wszystko się tak posypie, zamiast walić Grota kluczem, po prostu by go odstrzelił. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że Grot nie był do końca winny jego kłopotów. Wykonywał swoją pracę najlepiej jak potrafił. Problemem było tylko to, że znaleźli się po dwóch stronach barykady. Czasem granica, która oddziela zbrojów od psów, była bardzo płynna. Niekiedy ścieżki się przecinały i ciężko było odróżnić dobro od zła. Dębowski znał wielu sprzedajnych policjantów. Wiedział, jak łatwo się skundlić, mając takie pensje. Znał też sporo zbirów, którzy ze strachu kapują psiarni.

Kiedyś słyszał takie powiedzenie: „Policjant, kurwa i złodziej na jednym jadą wozie”. Wszystko się zgadzało. W mieście tak jak w świecie zwierząt są ofiary i drapieżniki. Dębowski należał do tych drugich. Teraz jednak czuł się zwierzyną, a nie łowcą.

Przez lata starał się rozdawać karty. Wyrobił sobie opinię specjalisty w swojej dziedzinie. Potrafił podporządkować sobie paru gangsterów. Nie wtrącali się w jego działkę i od czasu do czasu zlecali mu jakieś zadania. Wiele razy się zdarzało, że policja odwróciła jakiegoś chłopaka pracującego dla miasta. Wtedy dawni kompani zlecali Dębowskiemu załatwienie problemu. Brał swoich ludzi i przekonywał rodzinę kapusia, aby ten wycofał zeznania. Gdy matce konfidenta przykładała się kłami do głowy, gdy zleca się gwałt na córce lub żonie, każdy bez wyjątku decyduje się zerwać współpracę z policją.

Tylko raz miał wyrzuty sumienia – gdy jeden z ludzi Czarnego ukrył się i zaczął współpracować z glinami. Wtedy jego ludzie porwali mu czteroletnią córkę. Mimo to kapuś nadal strzelał z ucha. Dopiero gdy wynajęty zboczeniec zgwałcił mu dziecko, przestał donosić. Dębowski był w tamtym czasie jeszcze

innym człowiekiem, zdolnym do większych zbrodni. Jednak nawet dla niego to było za wiele. Potem zmienił sposób działania i wyrzuty przestały go dręczyć.

Teraz podjął decyzję – musi się pozbyć zarówno Grota, jak i tego drugiego. Polecą chłopakom, żeby przejechali się do mieszkania młodego gliniarza.

Detektywem zajmie się osobiście.

* * *

Parking przy Marino był rozświetlony kogutami trzech radiowozów i karetki.

Pasewicz precyzyjnie przeszedł przez tłum gapiów obserwujących pracę policyjnych techników. Pokazał blachę młodemu sierżantowi i podniósł taśmę otaczającą miejsce znalezienia zwłok.

Podszedł do starego daewoo. Ciało Siwego znajdowało się na miejscu pasażera. Czoło denata opierało się o tablicę rozdzielczą.

Artur założył lateksowe rękawiczki i uniósł głowę bandziora. Siwy miał szeroko otwarte oczy, które patrzyły gdzieś ponad żywo płóciem okalającym parking. Dziura z przodu czaszki była wielkości dziecięcej pięści. Rana wlotowa znajdowała się na wysokości potylicy. Kiedyś w ten sposób zabijano w Katyniu i w katowniach ubecji.

Artur wiedział, że to była egzekucja. Treść listu, który zacytował mu dyżurny, jasno świadczyła o tym, że Dębski postanowił pozbyć się potencjalnego zagrożenia. Siwy już nie będzie mógł nic powiedzieć. W pizzerii człowiek Dęba niemal złożył zeznania obciążające bandziora. To mógł być koniec zabójcy. Teraz zwłoki siedzące w tej starej nubirze były niemyim świadkiem pewnych wydarzeń.

Artur nie miał wątpliwości, że drugi z bandytów też jest martwy. Dracha przeszedł do historii. Dębski zacierał ślady i pozbywał się ludzi, którzy mogli go doprowadzić za kraty. Śmierć mięśniaka, który siedział w daewoo, stanowiła sygnał dla innych. Informacją, że nie warto wchodzić w układy z policją. A to, co wiedzieli, nie wystarczy, aby doprowadzić zabójcę przed oblicze wymiaru sprawiedliwości.

Pasewicz podszedł do jednego z techników robiących dokumentację z miejsca znalezienia zwłok.

– Cześć. Ponoć znaleźliście przy nim jakiś list. Gdzie on jest?

– Marek go ma.

– Jakież odciski? Mikroślady?

– Nic. Czysty jak łąza. No, nie licząc śladów ciecia. Ale ten już dostał zjebkę. Głupi chuj, jak zobaczył trupa i kartkę, od razu wziął ją do łapy.

Artur spojrział na stojącego kawalek dalej pracownika ochrony. Mężczyzna miał nienaturalnie wykręconą nogę. Pasewicz był pewny, że jest dofinansowany przez PFRON.

– Pisany na maszynie? Odręcznie?

– Komputer. Jakbyś nie wiedział, maszyny wyszły z mody jakiś milion lat temu. – Technik się uśmiechnął.

– Ale ci się dowcip wyostrzył. A jak ci mówiliśmy, że żona rogi ci robi, to jakoś się nie śmiałeś – odciął się Artur.

Wszyscy w komendzie wiedzieli, że technik jest przewrażliwiony na punkcie wierności małżeńskiej. Nigdy nie złapał żony na niewierności, nawet nie było wiadomo, czy byłaby zdolna do zdrady, on jednak wszędzie widział zagrożenie. Kiedyś jeden z chłopaków na jakiejś popijawie zażartował, że jego żona ma zgrabne nogi. Technik się obraził i nie odzywał do niego przez ponad miesiąc.

– Wiesz co, Artur? Pierdol się – warknął teraz.

– Wiem, dzięki. – Pasewicz się zaśmiał. – Ale tak poważnie. Co o tym myślisz?

– Miastowi. Z reguły tylko oni chowają swoje trupy. Ten tutaj wystawiony jest tak, jakby chcieli, żebyśmy go znaleźli. No i ten list.

– To coś jakby podpis. Ciekawe, czy to początek jakiejś jebanej serii, czy jednorazowy wyskok.

– Powiem ci coś: ten, kto zostawił list, zrobił wszystko, żebyśmy go znaleźli. Nie chował go w schowku ani pod fotelem. Po prostu przybił go dziesięciocentymetrowym gwoździem do klaty denata.

– O kurwa... Poszli grubo.

Artur wiedział, że Dębski chciał im przekazać, że nie ma sensu, aby próbowali odwrócić kogoś z jego podwładnych. Wiedział też, że będzie musiał poinformować Ratajczyka o znalezieniu ciała Siwego. Niech naczelnik przydzieli do sprawy kogoś innego. On nie powinien zajmować się śmiercią bandyty, któremu kilka dni wcześniej wsadził pistolet do ust.

Przeszłość powraca

Mongoł i Juban czekali przed budynkiem, w którym mieszkał Pasewicz.

Przyjechali tu wczoraj i od razu sprawdzili, czy młody gliniarz jest w domu. Juban poszedł na górę, wrócił po kilku minutach i powiedział, że nikogo nie ma. Wtedy Mongoł zadzwonił do Dębskiego i spytał, co mają robić dalej. Szef kazał im czekać.

Teraz siedzieli w samochodzie i patrzyli na wejście do budynku.

– Co myślisz? – spytał Mongoł.

– O czym?

– No o tym, co się odpiardala. Pierwszy raz widzę, żeby szef tak kolanił.

– Ja tam nie wiem. Jak dla mnie to powinien zajeść tych wszystkich leszczy. Nie ma co się z takimi pierdolić.

Mongoł nie odpowiedział. Zdawał sobie sprawę, że rozmowa z Jubanem nie ma sensu. Facet był opóźniony w rozwoju. Miał siły za dwóch, ale rozumem nie grzeszył. Czego nie mógł uzyskać biciem, uzyskiwał grożeniem.

Mongoł żałował, że Dąb zdecydował się na pozbycie Siwego i Drachy. Współpracował z nimi przez lata i nawet ich polubił. Nie mógł uwierzyć, że mogą być kapusiami.

Spojrzał na Jubana. Zastanawiał się, czy facet w ogóle ma świadomość, co się wokół niego dzieje.

Neandertalczyk patrzył przez szybę, dłubiąc w nosie. Po chwili coś wyciągnął i wytarł o bok siedzenia.

– Ej, Juban, co ty odpiardalas? – spytał Mongoł.

– Co?

– Gównno. Grzebiesz, kurwa, w nochalu i gile wycierasz o siedzenie. Pojebało cię?

Juban spojrzał na niego zaskoczony.

– Co się dopierdalasz?

– Bo później muszę sprzątać smarki. Kurwa, oblechu jebany! – Mongoł miał ochotę udusić go gołymi rękami. Żeby się uspokoić, zmienił temat: – Jak byłeś na górze, to co widziałeś?

– No nic. Facet mieszka spokojnie na jamie. Włam chyba miał niedawno.

– Jaki, kurwa, włam? – Mongoł uniósł brwi.

– No drzwi u niego miały rozjebany zamek.

– Jak, kurwa, rozjebany?

– No normalnie. Rozjebany.

Mongoł wysiadł z beemki i ruszył w stronę budynku. Wszedł po schodach na piętro, gdzie znajdowało się mieszkanie Pasewicza. Rzeczywiście zamek w drzwiach był uszkodzony. Wiedział, że nie powinien się tu kręcić, bo ktoś może go zapamiętać.

Wyszedł z powrotem na dwór i spojrzął w stronę samochodu. Juban trzymał w rękach jakąś gazetę. Mongoł się nie spodziewał, że kumpel w ogóle potrafi czytać.

Wyciągnął z kieszeni komórkę. Zamierzał powiadomić Dębskiego o uszkodzonym zamku w mieszkaniu Pasewicza. Niech szef decyduje, co mają dalej robić.

* * *

Artur nie wrócił na noc do domu. Nie chciał pić wódki, a pewnie tak skończyłby się wieczór spędzony w pustym mieszkaniu. Dlatego przespał się na łóżku polowym w wydziale.

O trzeciej w nocy do pokoju wszedł Grodzki. To on prowadził śledztwo w sprawie śmierci Siwego. Chwilę pogadali i Artur ponownie się położył. Nakrył się kocem po sam czubek głowy.

Rano wstał i poszedł do łazienki. Opłukał twarz i napił się wody z kranu. Wracając do wydziału, zauważył, że Ratajczyk jest już u siebie. Bez pukania wszedł do środka i usiadł na wprost naczelnika.

– Co jest, Artur? – spytał przełożony. – Kultury mama nie uczyła?

– Uczyła, ale dziś mam w dupie kulturę.

– Coś się stało?

– Sporo. Po pierwsze, mam już dość roboty. Jakoś tak się popierdoliło, że podjąłem decyzję o odejściu.

Ratajczyk patrzył na niego uważnie.

– Urlop weź. Przez jakiś czas damy sobie radę bez ciebie.

– Chuj z urlopem. Urlop nie pomoże. Jest jeszcze coś.

– Mów.

– Wczoraj pojechałem na trupka. Na miejscu się okazało, że to jeden ze zbirów Dębskiego.

– Wiem. Widziałem raport Grodzkiego.

– Tylko że jest jedna rzecz, której w tym w raporcie nie ma. Ja i Grot gadaliśmy z tym Siwym.

– No i?

– I pytaliśmy go, kto stoi za śmiercią Kruszewskiego. Siwy prawie się wysypał, że to Dębski.

– Prawie?

– No. Dąb nam przeszkodził. A teraz Siwego odjebali. Może być z tego większy problem, niż nam się wydaje.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Artur nabrał powietrza.

– Jak z nim gadaliśmy, to trochę go zmłotkowałem. Powiem więcej: wsadziłem mu kłamkę w gębę.

– Co?! – Naczelnik podniósł głos. – Popierdoliło cię?

– Teraz wiem, że to był kurewsko duży błąd. Ale jest jeszcze coś.

– Nie mów mi tylko, że to ty albo Grot odpaliliście Siwego.

Ratajczyk zaczął szybciej oddychać. Widać było, że jest zdenerwowany.

– Nie. Nie mamy z tym nic wspólnego.

– To o co biega?

– Dębski ma nagrane, jak wkładałem Siwemu tę kłamkę.

– Kurwa mać...

Przełożony wstał z fotela i zaczął spacerować po gabinecie. Raz po raz spoglądał na Artura.

– Powiem ci, co zrobimy – powiedział w końcu.

– No?

– Ty pójdziesz na urlop. Zabierzesz dziewczuchę i gdzieś wyjedziecie. Może w góry? My zajmiemy się Dębskim. Zawiniemy go i dociśniemy.

– Za co go zawiniesz? Nie ma świadka. A jakby był, to nawet kiepski adwokat wybroni Dębskiego bez trudu. Powie, że Siwy był zastraszone, a zeznanie wymuszone.

– O powód już ty się nie martw. Zawsze jakiś się znajdzie. Pamiętaj, że zanim zostałem urzędasem i stołkotrzymem, całą służbę spędzałem na ulicy. Mam swoje dojścia i kontakty – zapewnił naczelnik. – Wiem, jak gadać ze

skurwielami. Jak mawiał wujek Stalin: „Daj mi człowieka, a ja znajdę paragraf”. Uwierz mi, wiem, jak załatwić chuja.

– Dobra, ale tylko tydzień – zgodził się Artur. – Pojedziemy z Kasią do Karpacza.

Ratajczyk się uśmiechnął.

– Dobra, leć do domu, bo walisz, jakbyś z tydzień się nie kąpał.

Pasewicz powąchał się pod pachą.

– Masz rację.

– Idź mi stąd, śmierdzielu!

* * *

Grot od wczoraj był zły na Zawadzką.

To, że chciała się zemścić na zabójcy swojego brata, było dla niego zrozumiałe. Wiele osób zrobiłoby tak samo. On pewnie także. Jednak drażnił go fakt, że chciała go wykorzystać do załatwienia sprawy.

Mówił jej przecież, że nie podejmie się czegoś takiego. Może był pijakiem i menelem, ale nie zabójcą. Mógł kogoś zabić w obronie własnej lub podczas próby zatrzymania jakiegoś zbrojaka, z tym problemów nie miał. Bez wahania pociągnąłby za spust, gdyby ktoś chciał skrzywdzić jego, kogoś mu bliskiego lub niewinną osobę. Byłoby to uzasadnione i moralnie mógłby się czuć rozgrzeszony. Każdy ksiądz przy spowiedzi by go zrozumiał. Pewnie dostałby jakąś pokutę i sugestię przekazania datku na Kościół. Często w swojej policyjnej karierze widział, że moralność i sumienie kończą się tam, gdzie zaczyna się odpowiednia kasa za przymknięcie oczu.

Leżał na łóżku i palił papierosa. Sprawa zaginięcia i śmierci młodego dziennikarza była zakończona. Dowiedział się, kto pociągnął za spust. Reszta należała do Artura i policji. On mógł co najwyżej ustalić jeszcze, kto zlecił mokrą robotę.

Zastanawiał się jednak, czy jest sens ciągnąć to dalej. Życia Kruszewskiemu nie zwróci. Dębski, nawet przyciśnięty do muru, nic by nie powiedział. Bałby się konsekwencji. Jako zabójca nie miał możliwości, aby pójść na układ z prokuraturą. Nie zostałby świadkiem koronnym ani incognito.

Pałac, zaczął myśleć o swoim życiu. Jeszcze kilka dni temu budził się zaszczany, zarzygany, przepity i przepalony fajkami. Nic mu się nie chciało, na niczym mu nie zależało. Jedyne, czego pragnął, to odpłynąć w alkoholowy niebyt. W całym mieszkaniu wały się puste butelki po alkoholu, a on był

wrakiem człowieka. Teraz powoli wychodził na prostą. Nadal doskwierał mu głód alkoholowy, trzęsły mu się dłonie i czasem chciał rzucić wszystko i napić się choćby piwa. Wiedział jednak, że wtedy znowu wszedłby na drogę prowadzącą donikąd. W ekspresowym tempie spadłby na samo dno.

Wstał z łóżka i zgasił papierosa. Następnie zaczął robić pompki.

Każdego ranka starał się ćwiczyć. Chciał wrócić do formy. Już teraz zauważył, że jest w stanie zrobić więcej niż jeszcze kilka dni wcześniej. Zdawał sobie sprawę, że do sprawności nastolatka jeszcze sporo mu brakowało, ale z drugiej strony dzisiejsza młodzież nie była już tak wysportowana jak ta w jego czasach. Siedzący tryb życia, internet, gry, portale społecznościowe – to wszystko sprawiało, że rosło pokolenie ciamajd.

Wstał z podłogi i sięgnął po kolejnego papierosa. Palił przez chwilę, zastanawiając się, co robić dalej. Wiedział, że musi pociągnąć do końca sprawę śmierci Kruszewskiego. Dowie się, kto zlecił zabójstwo dziennikarza.

Musi sprawić, by sprawiedliwość zatriumfowała.

* * *

Po rozmowie z Dębskim Mongoł wrócił do samochodu i usiadł na swoim miejscu.

Juban przysnął. Na podwórku nie działo się nic ciekawego. Co jakiś czas do budynku ktoś wchodził, ale nikt nie był nawet podobny do policjanta, którym mieli się zająć.

Mongoł się zastanawiał, kto i kiedy włamał się do mieszkania Pasewicza. Do głowy przychodziły mu różne myśli. Podejrzewał nawet, że to szef zlecił komuś wcześniej załatwienie policjanta, ale ten ktoś nawalił. Bał się jednak spytać o to Dębskiego.

Postanowił, że trzeba jeszcze raz sprawdzić mieszkanie gliniarza.

Szturchnął w bok śpiącego Jubana.

– Co jest? – spytał mięśniak.

– Wstajesz, Juban. Szef kazał sprawdzić mieszkanie tego psa.

– No to idź.

– Ty masz iść.

– Dlaczego ja?

– Bo szef tak, kurwa, kazał. Chcesz, żebym do niego zadzwonił i powiedział, że masz w dupie jego polecenia?

– Dobra, kurwa... Na chuj te nerwy.

Juban zaczął się przeciągać w fotelu. W końcu otworzył schowek i wyjął z niego pistolet, który dostał od Dębskiego.

– Na cholere ci klamka? – spytał Mongoł.

– Dla bezpieczeństwa.

– Przesadzasz. Nie ma potrzeby.

– Mongoł, odpierdol się. Ciągłe się do mnie dopierdalasz. Juban, zrób to, Juban, nie rób tego. A co ja, kurwa, jestem? Chłopak na posyłki?

Mongoł był zaskoczony wybuchem mięśniaka. Pierwszy raz, odkąd z nim współpracował, Juban powiedział tyle słów.

– Dobra, nie unoś się. Idziesz czy nie?

– Pójdę, ale pamiętaj, że nie jestem jakimś leszczem i nie pozwolę, żebyś mnie dojeżdżał.

Mongoł patrzył, jak mięśniak wysiada z beemki i idzie w stronę budynku.

– Oj, pogadam sobie z tobą jeszcze, pogadam... – powiedział cicho.

Wiedział, że dni Jubana są policzone. I to on będzie je odliczał.

* * *

Juban był zły na Mongoła. Wiedział, że jest na straconej pozycji. Był zbyt krótko w grupie Dębskiego, by załatwić sprawę po swojemu. Gdyby to był ktoś inny, wzięłyby go na przejażdżkę do lasu i pogadał z nim tak, jak lubił najbardziej.

Pozbycie się ciała nie było dla niego żadną trudnością. Wszyscy uważali go za opóźnionego w rozwoju, a on był po prostu wolniejszy od innych. Już w podstawówce odstawał od rówieśników. Wszyscy myśleli, że powinien zostać przeniesiony do szkoły specjalnej. Matka jednak się uparła i skończył zwykłą podstawówkę. Miał oczywiście problemy z promocją do kolejnej klasy, ale nauczyciele ciągnęli go za uszy. Każdy chciał się go pozbyć.

Po podstawówce poszedł do zawodówki. Miał się uczyć na mechanika. Niestety nie wyszło. Nie nadawał się do tego. O mały włos na warsztatach szkolnych straciłby rękę. Nie potrafił zrozumieć, że powinien mieć zapięte guziki we flanelowej koszuli. Tokarka dwa razy wciągnęła mu rękaw. Ledwo udało się wyszarpnąć ramię. Raz prasa prawie zmiażdżyła mu dłoń. Nie nadawał się na mechanika i każdy w końcu przyjął to do wiadomości.

On sam nie przejmował się tym zbyt. Już w podstawówce zauważył, że wolniejsze myślenie nadrabia siłą fizyczną. Gdy nie mógł rozwiązać problemu głową, rozwiązywał go pięścią. Zaczął chodzić na siłownię i podnosić ciężary.

Tam nikt go nie pospieszał ani nie wyśmiewał. Każdy wiedział, że lepiej schodzić mu z drogi. Związał się z bandytami, bo tylko taką przyszłość dla siebie widział.

Odnosił sukcesy. Był silny i nie miał skrupułów. Potrafił zmasakrować człowieka bez mrugnienia okiem. Robił to, czego od niego wymagano, i nie protestował. Lubił swoją pracę. Nie lubił jednak, jak ktoś się nim wysługiwał. A Mongoł dzisiaj przesadził. Juban wiedział, że za jakiś czas jego kompan będzie tego żałował. Już obmyślał, co z nim zrobi.

Dotarł na piętro, gdzie mieszkał gliniarz, i stanął jak zamurowany. Drzwi nie były zamknięte. Przez wąską szparę widział wewnątrz mieszkania. Ze środka dobiegała cicha muzyka.

Wyjął zza gumki dresów pistolet i wsunął go przez szczelinę. Nasłuchiwał, jednak żaden inny dźwięk nie dobiegł jego uszu. Wszedł do środka i przymknął skrzydło drzwiowe.

W łazience paliło się światło. Juban postanowił sprawdzić resztę pomieszczeń. Wszedł do kuchni, ale nikogo w niej nie zastał. W pokoju także było pusto. Zaciekawiała go jednak wysunięta z komody szuflada. Miał przeczucie, że gliniarz wrócił do domu i właśnie się pakował. Zamierzał uciec. Był wściekły na Mongoła, że ten przeoczył jego powrót.

– Albo go widział i chciał mnie wpakować na minę... – mruknął pod nosem.

Zajrzał do szuflady. W środku były ubrania i jakieś dokumenty na nazwisko policjanta. Był też wyciąg bankowy na jakąś Katarzynę.

Uśmiechnął się. A więc gliniarz mieszkał z jakąś cizią. Pewnie to ona przyszła do domu i dlatego Mongoł się nie zorientował. Dotknął krocza i poczuł rosnącą erekcję. W sumie miał trochę czasu, mógł się zabawić z panną. Nikt nie mówił, że nie może się rozerwać na robocie.

Usiadł na wersalce i położył pistolet na kolanach. Czekał, aż Katarzyna wyjdzie z łazienki. Nagle usłyszał odgłos spuszczonej wody. Podniósł pistolet i wycelował w drzwi. Był ciekawy, jaką minę zrobi laska, gdy go zobaczy. Powie jej, czego od niej oczekuje. Chciał, żeby mu possała. Chciał ją wziąć od tyłu. Ponownie dotknął swojego krocza.

Trzy sekundy później drzwi łazienki się otworzyły i jego oczom ukazał się jakiś starszy mężczyzna podciągający spodnie. Juban był zaskoczony. Nawet nie wiedział, kiedy nacisnął spust. Facet dostał w klatkę piersiową i padł na podłogę.

Juban wiedział, że musi stąd jak najszybciej uciec. Wypadł z mieszkania i zbiegł po schodach.

- Jedź! – krzyknął, wskakując do beemki.
- Kumpel spojrział na niego podejrzliwie.
- Słyszałem strzał...
- Spierdalaj!
- Dopiero wtedy Mongoł odpalił silnik i ruszył z piskiem opon.

* * *

Artur podjechał pod dom i zaparkował na swoim stałym miejscu.

Zastanawiał się, co za idiota wyjechał z osiedla z taką prędkością. Kusiło go, żeby wyjąć blachę i zatrzymać faceta do kontroli. Może opieprzenie i groźba mandatu podziałałaby na pirata i trochę ostudziła zapędy rajdowca. Postanowił jednak odpuścić. Nie miał ochoty na bezsensowne utarczki. Chciał wziąć prysznic i pojechać po Kasię.

Gdy wszedł do bramy, zauważył, że na klatce zebrali się sąsiedzi i komentowali coś głośno. Nie miał jednak ochoty się w to zagłębiać.

– To chyba ktoś strzelał – powiedziała jedna z sąsiadek.

– U nas? Pani przesadza – odparł facet z parteru.

– A co? U nas nie można? My gorsi?

– Ja widziałem, jak jakiś bandzior łąził po klatce. Był pod drzwiami Walczaka.

Dopiero te słowa sprawiły, że Artur przystanął. Serce zaczęło mu bić szybciej, a nogi się pod nim ugięły. Bandzior pod drzwiami jego mieszkania oznaczał jedno. Dębski znał jego adres. A skoro padł strzał, mogło dojść do tragedii.

– Kaśka... – szepnęła i zaczęła wbiegać po schodach.

Wyjął broń i stanął przy drzwiach. Nie były zamknięte. Delikatnie pchnął skrzydło. Przez niewielką szparę zajrzał do środka. Nikogo nie widział, słyszał za to cichą muzykę.

Za plecami rozbrzmiewały głosy sąsiadów. Ktoś powiedział, że widział, jak jakiś zbir ucieka.

Artur wiedział, że nie może dłużej czekać. Pchnął mocniej drzwi, ale coś je blokowało. Bał się, że za nimi na podłodze leży ciało jego Kasi.

Gdy jednak włożył głowę do mieszkania, zobaczył Walczaka.

Widok właściciela mieszkania całkowicie go zaskoczył.

– Niech ktoś zadzwoni na policję! – zawołał.

Wcisnął się do środka i zamknął drzwi. Widząc dziurę w piersi starego, wiedział już, że na jakąkolwiek pomoc jest za późno. Właściciel mieszkania patrzył niewidzącym wzrokiem w sufit. W dłoni ścisnął jakieś dokumenty. Artur wyjął je i pobieżnie przejrzał. Były to dowody wpłat do wspólnoty, jakieś wyciągi z konta jego i Kaśki.

– Chuj jebany... – mruknął Pasewicz. – Przylazłeś tu przejrzeć nasze rzeczy i zbój cię odstrzelił. Dobrze ci tak.

Szybko sprawdził resztę mieszkania. Kaśki nigdzie nie było. Zajrzał nawet do szaf. Bał się, że zabójca mógł ukryć jej ciało. Na szczęście jej nie znalazł.

Uspokoił się trochę. Wiedział jednak, że nie są tu bezpieczni.

Musieli wyjechać.

* * *

Dębski postanowił pojechać do swojej pizzerii. Miał wątpliwości, czy dobrze robi, ale uważał, że policja raczej nie zastawiła tam na niego zasadzki. Musiał zabrać z Colloseum nagrania, który które miały być jego zabezpieczeniem na przyszłość.

Dzisiaj zamierzał zmusić Szczota, żeby podjął działania w celu wycofania listu gończego. Realizował dla polityka dużo zleceń. Gdyby zaczął sypać, ten szybko spadłby z piedestału. Opinia publiczna by go zniszczyła. Miał nadzieję, że poseł w obawie o konsekwencje będzie bardziej skłonny do pomocy.

Wszystko zaczęło mu się walić. Nic nie szło tak, jak sobie zaplanował. Sprawa dziennikarza sprawiła, że trafił na celownik śledczych. Gdyby wiedział, że taki będzie koniec, nigdy by nie przyjął tego zlecenia. Z czasem się okazało, że nie było warto.

Stał się zwierzyną łowną, za którą niedługo zaczną pościg.

Dawniej, gdy coś mu nie szło, zwykł mawiać: „Nic dziś nie idzie – powiedziała kurwa, stojąc w strugach deszczu”. Tak się właśnie czuł. Jak zmokła dziwka moknąca przy trasie w oczekiwaniu na klienta.

Nie był już tym samym Dębskim co jeszcze kilka tygodni temu. Uważał się za kogoś lepszego od innych bandytów. Był bardziej wykształcony, odcytany, lepiej wychowany. Starał się być człowiekiem, z którym warto usiąść przy kawie i pokonwersować. Z którym za jakiś czas osoby ze świecznika nie będą się wstydziły pokazać. Teraz jednak wszystko runęło. Zaczął przeklinać, znowu stał się wulgarny. Każdy drobiazg wywoływał u niego atak wściekłości. Znow był wulgarnym, brutalnym, prymitywnym zbirem.

Kilka minut temu na przykład kłął jak szewc. Zadzwoił Mongoł i powiedział, że ten neandertalczyk Juban zastrzelił jakiegoś Bogu ducha winnego dziadka korzystającego z toalety. Dębski się wściekł. Kiedyś starał się nie otaczać kretykami. Teraz jednak się okazało, że nie ma wyboru. Miał nadzieję, że nie będzie tak jak w znanym powiedzeniu: „Z kim przystajesz, takim się stajesz”. Nie chciał zgłupieć, bo w to, że Juban zmądrzeje, jakoś nie wierzył.

Wyjechał z agencji towarzyskiej pożyczoną furgonetką. Wolał nie pojawiać się w okolicy pizzerii swoim bmw. Auto pewnie było już znane każdemu gliniarzowi w tym mieście.

Kilka razy objechał okolicę, ale nie dostrzegł żadnych tajniackich wozów. Wszystko wyglądało normalnie.

Zamierzał szybko zabrać nagrania i pojechać na spotkanie ze Szczotem.

* * *

Wasiak uśmiechnął się na widok kręcącego się w pobliżu pizzerii dostawczaka. Wiedział, że może w nim być Dębski.

Kilka razy próbował się z nim skontaktować, ten jednak nie odbierał telefonu ani nie pojawiał się w lokalu. Gdy zobaczył auto krążące koło pizzerii, poczuł, że Dębski też zaraz się pojawi.

Nie mylił się. Po chwili stary ford transit zaparkował od strony zaplecza i zza kierownicy wysiadł Dąb. Rozejrzał się czujnie dookoła i wyjął z kieszeni klucze.

Wtedy Wasiak postanowił się ujawnić. Dziarskim krokiem ruszył w jego stronę.

– Niech pan zaczeka! – zawołał.

Dąb odwrócił się do niego. Początkowo był przestraszony, ale po chwili się uspokoił.

– Nie mam czasu, dziadek – rzucił, wkładając klucz do zamka w drzwiach od zaplecza.

– To znajdź, chłopcze.

Dębski zatrzymał się i spojrzał na pułkownika.

– O co ci, kurwa, biega? Mówiłem, że nie mam czasu na pierdoły.

– A ja mówię, że jak znajdziesz dla mnie chwilę, to pomogę ci wyjść z problemów. Wiem, że ścigają cię listem gończym.

Dąb rozejrzył się nerwowo. Szukał potencjalnego zagrożenia. Spodziewał się jakiejś akcji policyjnej, podjazdu radiowozów, ataku antyterrorystów. Nic takiego jednak się nie stało.

– Dziadek, kim ty, kurwa, jesteś?

– Kimś, kto może ci pomóc.

– Nie mam teraz czasu. Muszę coś zabrać, a potem stąd zniknąć.

– To idź i zabierz – powiedział Wasiak. – I uwierz mi, że jestem teraz twoim jedynym przyjacielem. Mogę ci pomóc uniknąć odsiadki. Ty musisz tylko mi zaufać. Jak się zdecydujesz, to będę na ciebie czekał w tamtym mercedesie. – Wskazał samochód, którym przyjechał.

Dębski bez słowa kiwnął głową i wszedł do swojego lokalu.

* * *

Pasewicz patrzył na pracujących techników. Ciało Walczaka zostało już zabrane. Dwóch mundurowych broniło wejścia do jego mieszkania przed gapiami.

Do pokoju wszedł Grodzki i od razu podszedł do Artura.

– Słuchaj, dostałem tę sprawę, więc będziemy musieli pogadać. Chyba że chcesz, aby zajęli się tym inni.

– Spoko. Możemy pogadać.

– Znasz denata?

– Tak. Wynajmuję od niego to mieszkanie.

– Wiesz, w jakim celu się u ciebie pojawił? Byliście umówieni?

– Nie. Facet jest pojebany. Zresztą wiesz. Opowiadałem ci o nim.

– Wiem. Wtedy jednak gadałeś, że cię wkurwia. Teraz pojechał w czarnym worze do kostnicy. To może dać do myślenia.

– Uważasz, że to ja go załatwiłem? – Artur patrzył na Grodzkiego. Zaczynał się denerwować.

– Nie powiedziałem tego. Ale sam rozumiesz, że chujowo to wygląda. Facet cię denerwuje, wchodzisz do domu i widzisz, jak grzebie ci po szufladach. Walisz w niego.

– Przecież to się nie trzyma kupy! Po pierwsze, pojawiłem się, jak już był martwy. Po drugie, oberwał z innej klamki. Moja przecież nie jest strzelana. Zrobicie balistykę i sam zobaczysz. Kurwa, Wojtek, zaczynasz mnie wkurwiać taką gadką.

– Spokojnie, Artur. Nie unoś się – dobiegło z boku.

Pasewicz spojrział w stronę drzwi. Do mieszkania wszedł Ratajczyk.

– Jak mam się, kurwa, nie unosić? Słyszałeś, co on mówi?

– Słyszałem i uważam, że może mieć rację.

– Co ty pieprzysz?

Ratajczyk wziął Artura pod ramię i wyprowadził do drugiego pokoju. Grodzki szedł za nimi.

– Wojtek, zostaw nas na chwilę samych.

Policjant skinął głową i wyszedł z mieszkania.

Wtedy naczelnik odwrócił się do Pasewicza.

– Zobacz, jak to wygląda. Facet, z którym miałeś jakieś problemy, leży martwy w twoim mieszkaniu. To może wewnętrznym dać do myślenia.

– Klamka nie pasuje.

– Niby tak, ale założmy, że masz jakieś lewe kopyto. Mogłeś go odpalić, a klamkę schować.

– Przecież ludzie widzieli sprawcę!

– I tu jest problem. Z tego, co się dowiedziałem, wchodząc na górę, wynika, że nikt nie potrafi powiedzieć nic konkretnego. Jedni twierdzą, że był jakiś dresiarz, inni, że nikogo nie widzieli. Jedni, że przyszedłeś, już jak padł strzał, inni, że widzieli cię wcześniej. Sam widzisz, że jest problem.

Artur patrzył na naczelnika szczerze zdumiony.

– Czy ty uważasz, że odpaliłem tego dziadka? No kurwa! Myślałem, że mi ufasz.

– Ufam. Mówię tylko, że jest kilka niejasności. I tak pewnie wewnętrzny na ciebie siądzie, ale my także musimy wykonać swoją robotę.

– Słuchaj, jak tu wjeżdżałem, widziałem spieprzające na piskach auto. Podejrzewam, że jechał nim zabójca Walczaka. Jestem skłonny założyć się z tobą o zaległą premię.

– Zakładu nie przyjmuję – odparł Ratajczyk. – A ten zamek w drzwiach, kiedy został zniszczony?

– Spytaj dzielnicowego. Walczak był tu z nim i ze ślusarzem. Chciał się włamać.

– A w jakim celu?

– Uważał, że powinienem się wyprowadzić. Zamierzał mnie wykurzyć. Wszystko powinno być w notatce dzielnicowego. Zresztą jak pojawią się chłopcy bez skazy, to pewnie sami to sprawdzą.

Ratajczyk podszedł do drzwi i je przymknął. Nie chciał, żeby technicy słyszeli, o czym rozmawiają.

– Artur, jestem pewny, że ten Walczak zginął przez przypadek – powiedział.
– To ty miałeś być celem, ale zbieg okoliczności sprawił, że zginął właściciel twojego mieszkania. Uważam, że powinieneś jednak wyjechać. Zabójca może próbować naprawić swój błąd i znowu się tu pojawić.

– Więc może warto zastawić na niego pułapkę? – zasugerował Pasewicz.

– Nie wiem. – Ratajczyk wzruszył ramionami. – Może. Sam jednak nie mogę podjąć takiej decyzji. Zobaczymy, co stary na to powie.

Artur się uśmiechnął.

– Chcę brać udział w akcji – zdecydował.

– Nie. Ty wyjeżdżasz.

– A mogę wyjechać?

– Nie jesteś o nic oskarżony ani podejrzany. Myślę, że wewnątrzni mogą ci te kilka dni odpuścić. Nie ma zagrożenia, że będziesz mataczył.

Pasewicz skinął głową. Wiedział, że zostając na miejscu, sporo ryzykuje. Mogli urządzić zasadzkę tutaj, ale nie było pewności, że bandyci ponowią atak.

– Dobra. Na kilka dni zniknę z miasta.

– Dokąd zamierzasz jechać? – spytał Ratajczyk.

– Karpacz albo Szklarska. Jeszcze nie wiem. Muszę pogadać z Kaśką.

– Jedź i odpocznij.

Pasewicz rozejrzył się po pokoju.

Teraz, po śmierci Walczaka, będą musieli poszukać nowego mieszkania.

* * *

Dębski szybko spakował nagrania do torby i wyszedł z pizzerii. Rozejrzył się dookoła i skierował w stronę zaparkowanego kawałek dalej mercedesa.

Wahał się. Nie wiedział, czy może zaufać temu dziadkowi. Nie znał go. Poza tym miał teraz większe problemy niż sprawa śmierci ojca sprzed kilkadziesiąt lat. Ten cały Wasiak co prawda obiecał mu pomoc, ale pytanie, czy nie były to obietnice bez pokrycia.

Zdecydował się zaryzykować. Nic nie tracił.

Zajął miejsce z tyłu obok starszego mężczyzny. Kierowca, nie czekając na polecenie, wysiadł i zaczął spacerować w pobliżu.

Wasiak uśmiechnął się do Dęba.

– Zuch chłopak – powiedział. – Za jakiś czas będziesz wiedział, że zrobiłeś dobrze.

– Mów, dziadek, co masz mówić, bo się spieszę – burknął Dębski.

– Panie Grzegorzu, obiecałem, że powiem panu, kto jest winny śmierci pańskiego ojca.

– No obiecał pan. I co? Mam teraz problemy, nie mam czasu na zajmowanie się tą sprawą.

– Rozumiem. A więc nie będę panu zawracał głowy – odparł Wasiak.

– Czekał, dziadek. Dobra. Chwilę mogę znaleźć.

– Ale pamięta pan, że jest kilka warunków?

Dębski potwierdził skinieniem.

– Pamiętam. Miałem nie zabijać mordercy mojego ojca i nie dawać materiałów zleceniodawcy. Jest jeszcze jeden warunek, ale wciąż nie wiem jaki.

– Tak. Pierwszym warunkiem było darowanie życia kapusiowi. Nie oznacza to, że uniknie on kary. Tak nie będzie. To tylko kwestia kilku dni, może tygodni. Gdyby pan go zabił, moja niespodzianka dla niego byłaby nieudana.

– To znaczy?

– Dobrze, powiem panu. Człowiek, przez którego zginął pański ojciec, jest teraz na wysokim państwowym stanowisku. Jego śmierć byłaby wybawieniem, a ja chcę, aby spadł na samo dno. Chcę, by widział swój upadek i do końca swoich dni rozpamiętywał, co złego zrobił.

– Czyli to zemsta. – Dębski pokiwał głową. – Rozumiem. Okej nie zabiję go. Materiałów także nie przekazę zleceniodawcy.

– Zuch. A więc mamy już dwa warunki. Wiem, że jest pan honorowym mężczyzną i dotrzyma danego słowa. Trzeci warunek dotyczy pewnego człowieka. On też musi przeżyć, a wiem, że ma pan ochotę zrobić mu krzywdę.

– Kto to taki?

– Grot – powiedział Wasiak.

– Co?

– Radosław Grot także musi przeżyć. To jest mój warunek.

Dębski przez chwilę analizował słowa mężczyzny.

– W sumie nie mam nic do stracenia, pozostawiając go przy życiu. Dobrze, zgadzam się – powiedział w końcu. – A co dostanę w zamian za litość wobec kapusia i tego gliny?

– Dostanie pan paszport i wyjedzie do Brazylii – odparł Wasiak. – Tam będzie na pana czekał miły domek. Resztę życia spędzi pan w luksusie.

Pułkownik wiedział, że rzeczywistość będzie inna. Dąb nie zniknie w południowoamerykańskiej dżungli. Za kilka miesięcy jego zwłoki wypłyną z oceanu albo pojawią się w jakimś innym miejscu.

– A jak nie dotrzymam warunków umowy?

– To pan zginie lub resztę życia spędzi w więzieniu.

Dębski przez kilka sekund patrzył na Wasiaka. W końcu się uśmiechnął.

– Dobra. Zgadzam się na tę pierwszą opcję. Kim jest ten kapuś?

– Zanim podam panu jego dane, opowiem o sobie. Nazywam się Wasiak. Przez lata byłem funkcjonariuszem Służby Bezpieczeństwa. Miałem swoich agentów. Każdy z nich donosił. Jedni współpracowali mniej, inni więcej. Większość była do tej współpracy zmuszona i wiedziałem, że chcieliby ją jak najszybciej zakończyć. Ale był jeden, który wprost kochał kapować. Początkowo wykonaliśmy kilka ruchów, żeby go złamać. Z czasem jednak się okazało, że ten człowiek miał kurewski charakter i robił to z własnej i nieprzymuszonej woli. Kapował wyjątkowo często, a meldunki, które składał, spowodowały, że wielu opozycjonistów trafiło za kraty na długie lata. Pana ojciec był jednym z nich. To ja go przesłuchiwałem, ja złożyłem podpis pod aktami i ja skierowałem sprawę do prokuratury.

Dębski naprężył wszystkie mięśnie.

– Czyli to ty jesteś odpowiedzialny za jego śmierć – wycedził.

– Pośrednio tak. Ale gdyby nie meldunki Krokodyla, pewnie wciąż by żył. Donosy były tak precyzyjne, że nie mieliśmy wyboru. Musieliśmy go zamknąć. Gdy przesłuchiwałem pana ojca, nawiązała się pomiędzy nami swoista nić sympatii. On wiedział, że wykonuję swoją pracę, i nie miał o to do mnie pretensji. Zresztą nie tylko go przesłuchiwałem. Prowadziliśmy wiele rozmów dotyczących koniecznych zmian w kraju. Te rozmowy nie były protokołowane. Gdyby nie okoliczności, może byśmy się zaprzyjaźnili. Cóż, czasy były, jakie były. Na pogrzebie Nowotnika był tylko jeden żałobnik. Ja.

– Kim jest ta kurwa, co donosiła? – spytał Dąb.

Wasiak otworzył neseser, który trzymał na kolanach, i wyjął grubą papierową teczkę z napisem: „TW Krokodyl” i ciągiem cyfr.

– Tutaj masz jego teczkę pracy – powiedział, podając ją Dębskiemu.

Ten wziął ją do ręki i otworzył. Przez chwilę czytał. W końcu spojrzał na Wasiaka.

– To nie fałszywka?

– To wszystko prawda – odparł pułkownik. – Czytaj. Poznasz istotę skurwysyństwa i raka, który toczy ten kraj.

– Jebany skurwysyn... Tyle zła uczynił, a teraz pierdoli o ojczyźnie, o honorze – mruknął po chwili Dąb.

Czytał i zastanawiał się, czy dotrzymać danego Wasiakowi słowa.

Kusiło go, aby od razu pojechać do kapusia i na własną rękę wymierzyć sprawiedliwość.

* * *

Grot znowu pojechał na grób swoich bliskich. Kupił znicze i doniczkę z chryzantemami.

Uprzątnął nagrobek, zmówił modlitwę i zaczął opowiadać im, co się u niego działo przez ostatnie miesiące. Nie tał niczego. Wiedział, że szczerłość jest konieczna. I że pomoże mu, jak się wygada. Był przekonany, że żona i synek obserwują go z góry i bacznie śledzą każdy jego krok.

Opowiedział o swoim uzależnieniu od alkoholu. O tym, jak starał się sobie radzić. O tym, jak ciężko mu było wytrzymać po ich stracie. Chciał, żeby wiedzieli, jak bardzo mu ich brakowało. Pytał też, jak im jest i czy miejsce, w którym przebywają, jest przyjazne. Nie spodziewał się dostać odpowiedzi – i jej nie dostał. Patrzył na zdjęcie Kamili i Stasia, które jego teściowie umieścili na płycie nagrobnej.

– Tak bardzo mi was brakuje... – szepnął.

W tym samym momencie poczuł silne ukłucie w klatce piersiowej, zabrakło mu tchu. Miał nadzieję, że zaraz dołączy do swoich bliskich. Ból był coraz silniejszy. Grot upadł na ziemię. Trzymał się za pierś, próbując nabrać powietrza w płuca.

Nagle usłyszał szybkie kroki. Po chwili stanął nad nim jakiś mężczyzna.

– Halo? Proszę pana?

Grot spojrzał na niego.

– Wszystko w porządku? Mam wezwać karetkę?

– Nie.

– Może jednak?

Mężczyzna mimo wszystko wyjął z kieszeni komórkę i zaczął wybierać numer. Grot miał nadzieję, że pomoc nie zdąży.

– Halo? Mam tu faceta. Chyba ma zawał – powiedział mężczyzna do telefonu, po czym zaczął podawać dane lokalizacyjne.

Grot jednak już podnosił się z ziemi.

– Wszystko w porządku – powiedział cicho. – Już mi lepiej.

– Karetka już jedzie, niech pan usiądzie, poczekam z panem.

Detektyw otrzepał spodnie i się wyprostował.

– Nie ma potrzeby. Naprawdę nic mi nie jest – zapewnił.

– Ale...

– Niech pan ją odwoła.

Człowiek, który chciał mu pomóc, patrzył na niego zaskoczony. Sięgnął jednak z powrotem po telefon.

Grot nabrał głęboko powietrza. Miał jeszcze trochę rzeczy do zrobienia. Przede wszystkim zamierzał oddać Zawadzkiej samochód. Nie potrzebował prezentów, zwłaszcza tak drogich.

Ruszył w stronę cmentarnej bramy.

* * *

Dębski wysiadł z samochodu Wasiaka z postanowieniem, że nie dotrzyma danego słowa.

Propozycja esbeka była kusząca. Paszport, wyjazd do Brazylii i drinki z palemkami. Plaża Copacabana i krągłe ciała Brazylijek nęciły, ale nie usiedziałyby tam w spokoju. Świadomość, że kapuś, przez którego on wychowywał się bez ojca, spokojnie sobie żyje, była nie do zniesienia.

Dąb wiedział, co musi zrobić. Musi zabić Szczota. A potem zajmie się Grotem.

Żaden esbek nie będzie nim manipulował.

Skoro łamie się jeden warunek, można złamać także inne.

Początkowo zamierzał wykorzystać tylko nagrania. Chciał je wysłać do mediów i pokazać, jakie lewe interesy prowadzi poseł. Wiedział, że sprawa może zostać zamieciona pod dywan. Polityka, media i biznes przecinają się i tak jak w powiedzeniu: ręka rękę myje. Tutaj może być podobnie. Początkowo pewnie wszyscy się oburzą i odwrócą od polityka. Z czasem jednak wszyscy zapomną i Szczot znowu trafi na świecznik.

Zdecydował się załatwić go radykalnie. Zrobi coś, z czego Szczot już się nie wybroni. Dorwie go i będzie patrzył, jak zdycha. A potem załatwi pozostałych członków układu. Miał kopię artykułu, który napisał Kruszewski. Zamierzał wysłać go do większych gazet. Sam też wyjawি, jakie zlecenia wykonywał dla tych ludzi. Spisał na kartce swoje zbrodnie – kogo i kiedy zabił na polecenie Szczota. Wszystkie nagrania i dokumenty wyśle do mediów. Niech zwykli obywatele zobaczą, jak wygląda życie politycznych elit. Miał także nagrane rozmowy, w których poseł wypowiada się na temat innych polityków. Ludzie wreszcie usłyszą o innych przekrętach ludzi władzy.

Był świadomy, że dziennikarze często są na usługach wszelkiej maści gangsterów, polityków i biznesmenów. Kto da więcej, ten dostanie bardziej przychylny artykuł. Masz jakieś grzeszki i media chcą je ujawnić? Daj im kilka dobrze opłacalnych reklam spółek skarbu państwa i nagle przestaną się interesować tematem. Miał jednak nadzieję, że afera, którą zamierza ujawnić, zmiecie kilka osób z politycznej szachownicy.

Zabicie Szczota wydawało mu się najrozsądniejszym wyjściem. Musiał tylko umówić się z nim na spotkanie. Wtedy bez problemu dokona prywatnej zemsty za krzywdy wyrządzone ojcu i innym ludziom.

Grota też zabije. Były gliniarz stał się jego obsesją. Dąb czuł, że musi go załatwić. To przez niego cały jego mozolnie budowany świat runął jak domek z kart.

Tak, zabije dwóch ludzi. A potem wyjedzie. Może nawet do Brazylii.

Zostawi za sobą brudne interesy, układy i ból. Cały ten świat będzie już tylko przeszłością.

* * *

Szczot skończył rozmowę z jednym z wiceprzewodniczących Odbudowy Patriotycznej i odłożył komórkę. Właśnie się dowiedział, że jest najpoważniejszym kandydatem do objęcia teki premiera, gdy partia wygra najbliższe wybory.

Stał przed lustrem i spojrzał w swoje odbicie.

– Premier Szczot – powiedział z namaszczeniem.

Funkcja szefa rady ministrów była zwieńczeniem jego marzeń. Innych stanowisk nie chciał. Mógł oczywiście starać się o jakiś stołek w Parlamencie Europejskim, ale nie znał żadnego języka obcego. Oczywiście to nie jest przeszkoda, zawsze mógłby mieć tłumacza, wolał jednak krajowe podwórko. Tutaj mógł być prawdziwym tłustym kotem.

Jako premier – i może szef partii – będzie musiał wymyślić kilka propozycji dla wyborców. Rzecz jasna, nie zamierzał ich dotrzymywać. Już dawno przyjął zasadę, że nie trzeba ze wszystkiego się wywiązywać. „Dwa razy obiecać, to jak raz spełnić”, zwykł mówić. Nie zamierzał zmieniać czegoś, co przez lata doskonale się sprawdzało.

Wyjął z barku butelkę koniaku i nalał sobie solidną porcję. Sukces, który za jakiś czas osiągnie, wymagał uczczenia. Odpalił cygaro, które dostał kiedyś od prezydenta, i wydmuchnął duży kłęb dymu. Delektował się chwilą.

Leżąca na stole komórka zaczęła dzwonić. Początkowo zamierzał ją zignorować, ale dźwięk był coraz bardziej natarczywy.

– Co za chuj się dobija... – mruknął.

Odłożył cygaro na popielnicę i odebrał.

– Szczot.

– Cześć, Krokodyl – usłyszał po drugiej stronie głos Wasiaka.

– Po co dzwonisz? Mówiłem, że wszystko dopiero będę załatwiał.

– Chciałem cię ostrzec, ale jak nie chcesz, mogę się rozłączyć.

Szczot poprawił się w fotelu.

– Ostrzec? O czym mówisz?

– Ten twój Dąb będzie chciał cię zabić.

– Mnie? Dlaczego? – W głosie Szczota dało się słyszeć strach.

– Pamiętasz, jak donosiłeś?

– Po co do tego wracasz? Stare czasy. Nikogo już nie obchodzą teczki. Teraz każdy myśli o sobie. Ludzie mają w dupie, czy ktoś donosił.

– Niby tak. A pamiętasz kolegów swojego ojca? Pamiętasz inne osoby? Było ich wiele. Pamiętasz wszystkich? – drążył Wasiak.

– Nic nie pamiętam. I ty też zapomnij.

– Ja może zapomnę, ale jest ktoś, kto nie zapomni. Dębski.

– Nie znałem żadnego Dębskiego. Na nikogo o takim nazwisku nie powiedziałem złego słowa.

– A pamiętasz Nowotnika?

W słuchawce zapadła wymowna cisza.

– Nowotnika?

– Tak. Dębski to jego syn. Dowiedział się, kto zakapował jego ojca. Ojca, którego zabiło więzienie. To twój donos zabił Nowotnika. Gdybyś go nie zakapował, pewnie nadal by żył. Ty sprawiłeś, że Dąb wychowywał się w niepełnej rodzinie, i to przez ciebie stał się tym, kim jest.

– A skąd Dębski wie, że to ja? – spytał polityk.

– A tak jakoś wyszło, że się dowiedział. Co więcej: czytał twoje akta. Na twoim miejscu wynająłbym ochronę. I to szybko, bo niedługo Dębski się u ciebie pojawi.

– Wjebałeś mnie, stary skurwielu!

– Krokodyl, hamuj się. Nie jesteśmy kolegami i nie zamierzam znosić wyzwisk. Pamiętaj, że mogłem cię nie ostrzegać. Zrobiłem to, bo mamy być współnikami.

– Dzięki. Kurewskie dzięki – syknął Szczot.

Gwałtownie wcisnął guzik kończący połączenie i nie bacząc na konwenanse, wziął z gwinta spory łyk koniaku.

W tym momencie telefon ponownie zadzwonił. Na wyświetlaczu pojawiło się jedno słowo: „Dąb”.

– Kurwa... Dzwoni, bo chce się spotkać – powiedział do siebie Szczot. – Niedoczekanie twoje.

Wziął kolejny łyk koniaku i otarł usta. Wiedział, że musi wynająć ochronę.

* * *

Dąb zrobił, co postanowił. Do większości gazet wysłał koperty z kopiami nagrań.

Chciał też porozmawiać z posłem i dowiedzieć się, czy donosiciel безпеki jest z siebie dumny. Pragnął usłyszeć od niego coś więcej niż zwykłe „przepraszam”. Chciał zobaczyć, że polityk żałuje czynów sprzed lat.

Dzwonił do Szczota, ale ten nie odbierał. Postanowił więc odwiedzić go osobiście.

Podjechał do jego biura poselskiego. Był zaskoczony stojącym przed biurem samochodem terenowym z napisem „VIP Security”. W środku siedziało dwóch mężczyzn w garniturach; wyglądali na typowych agentów ochrony. Dąb wiedział już, że Szczot się zabezpieczył. W takich okolicznościach ciężko mu będzie podejść polityka.

To Wasiak musiał go ostrzec. Stary esbek trafił na listę osób do załatwienia. Miał miejsce na podium, tuż za Grottem.

Dębski patrzył na drzwi biura poselskiego i zastanawiał się, co robić. Mógł pójść na żywioł, wejść do środka i starać się dosięgnąć Szczota. Prawdopodobnie jednak nie wyszedłby cało ze strzelaniny z wyszkolonymi ochroniarzami. Musiał wymyślić coś innego, coś mniej ryzykownego.

Stojąc w pobliżu biura posła, narażał się na zdemaskowanie. Zdecydował się odjechać. Odpalił silnik i już miał ruszać, gdy rozdzwoniła się jego komórka. Spojrzał na wyświetlacz. Telefonował Mongoł.

– Co jest? – spytał.

– Widział szef dziennik?

– Tak, bez przerwy oglądam.

– Aha, to nie przeszkadzam.

– Mongoł, czekaj. Żartowałem. O co chodzi?

– A bo szefa pokazywali...

- Co?
- No pokazywali, że policja dała list goniący.
- Gończy. Jaki list gończy?

Wystawienie za nim nakazu zatrzymania mocno pomieszało mu szyki. Jako ścigany nie będzie mógł swobodnie poruszać się po mieście. Stał się zwierzyną, na którą wszyscy polowali.

– A mówili, że policja poszukuje ludzi, którzy znają miejsce pobytu szefa. Aaa... i jest nagroda.

– Duża?

– No...

– Dobra. Ja spadam za granicę. Lecę do Anglii. Jakby co, to się odezwę. Dzięki, Mongoł. – Dębski zakończył połączenie.

Nie spodziewał się takiego obrotu spraw. Nagroda za informację dotyczącą miejsca jego pobytu mogła skusić wszelkiej maści kapusiów i informatorów policyjnych. Nawet dla jego ludzi mógł to być łakomy kąsek.

Nikomu nie powinien już ufać. Nawet Mongoł mógł go sypnąć. Co więcej, gdy policja go przycisnie, bez wahania wskaże miejsce, gdzie ukrył się Dębski. Między innymi dlatego powiedział, że ma zamiar ukryć się w Anglii.

Tak naprawdę nie zamierzał próbować opuścić kraju. Miał tu do wyrównania rachunek krzywd.

To była sprawa honoru. Winni muszą ponieść karę za swoje grzechy.

* * *

Grot odwiózł samochód należący do Zawadzkiej. Zaparkował przed domem. Do środka nie wchodził, nie czuł takiej potrzeby.

Idąc w stronę przystanku, pierwszy raz od dawna poczuł się wolny. Zrobił wszystko, co mógł, aby wyjaśnić sprawę śmierci Kruszewskiego. Nie wsadził do więzienia sprawcy ani nie udało mu się ustalić, kto zlecił zabójstwo. Od tego byli inni. On świata nie zbawi.

Gdy jechał w stronę Bielan, w radiu co chwilę słyszał komunikat o poszukiwaniu Grzegorza Dębskiego. Bandzior prędzej czy później trafi tam, gdzie jego miejsca. Grot wiedział, że Dąb nie ma szansy ukryć się przed wymiarem sprawiedliwości.

Zawadzka też powinna być zadowolona. Nie pomściła co prawda brata, ale winny jego śmierci zostanie ukarany. Dzięki tej sprawie nabrała sił, by zmienić

swoje życie. Rozstanie z niekochanym i niekochającym mężem. Decyzja o adopcji dziecka. To można było zapisać na plus.

On także odniósł korzyści. Zmienił się. Przestał się uzalać nad swoim losem. Przestał pić i zatracać się w depresji. Pojednał się z Bogiem. Zrozumiał, że nie ma czegoś takiego jak bezsensowna śmierć. Każda śmierć ma sens, bo gdyby nie miała, to i życie by go nie miało. Śmierć jest etapem naszej egzystencji. Nie ma życia bez cudu narodzin. Nie ma życia bez trosk i radości. Nie ma życia bez smutku odejścia. Jego bliscy odeszli do lepszego świata, wciąż jednak czuł ich obecność i wsparcie. Pogodził się z tym, że zawsze będą niemymi świadkami jego życia.

Zawsze będą.

Rachunek krzywd

Dąb ukrywał się już trzeci dzień.

Nic nie poszło tak, jak sobie zaplanował. Listy, które wysłał do redakcji, pozostały bez odzewu. Żadna gazeta nie odważyła się wydrukować tego, co od niego otrzymała. Był wściekły i nie rozumiał tej sytuacji.

To, co im przekazał, w każdym cywilizowanym kraju od razu skutkowałoby dymisjami w rządzie i partiach opozycyjnych. Każda gazeta grzałaby temat co najmniej kilka miesięcy. Tutaj jednak było cicho, nikt nie zdecydował się na ujawnienie afery.

Postanowił dowiedzieć się u źródła, co jest powodem tej ciszy. Zadzwoił do jednej z redakcji, a tam poinformowano go, że treść rewelacji kłóci się z polityką pisma. Zamurowało go. Jedna z większych afer w kraju, na dodatek powiązana z politykami i biznesem, kłóci się z polityką gazety? Zrozumiał, że nie ma żadnych szans, aby w taki sposób zemścić się na esbeckim kapusiu i jego kompanach.

Dębski był pewny, że sprawę skręcił Wasiak. Chronił swojego kapusia i nie pozwolił zrobić mu krzywdy. Związek dawnego oficera bezpieczeństwa z agentem był związkiem na całe życie. Trwalszym niż cokolwiek innego. Tylko dawny esbek miał taką władzę, że mógł powstrzymać druk artykułu dotyczącego afery prywatyzacyjnej w mieście i województwie. Tylko Wasiak mógł powstrzymać druk materiałów dotyczących zabójstw na zlecenie polityków. Tylko on mógł sprawić, że wszystko zostało zamiecione pod dywan.

Jedyną osobą, która ucierpiała w całej tej historii, był Dębski. Cały kraj znał teraz jego twarz. W telewizji co jakiś czas widywał swoje zdjęcie z informacją, że jest poszukiwany za serię zabójstw. Odkąd pojawiły się pierwsze listy gończe, musiał się ukrywać. Zmienił sposób ubierania i dokleił sztuczną brodę oraz wąsy. Wyprowadził się na wieś i tam się ukrywał przez ostatnie trzy dni.

Znajomy paser wynajął dla niego dom na uboczu. W nim Dąb starał się przeczekać całą aferę.

Dopóki był jednym z najbardziej ściganych ludzi w kraju, będzie musiał się usunąć w cień. Potem zdecyduje, co dalej. Miał zamiar wyjechać za granicę. Kierunek już wybrał. W Rosji lub na Ukrainie nikt nie będzie go szukał. A tam też żyją ludzie, którzy chcą się pozbyć wrogów. Za odpowiednie wynagrodzenie może im w tym pomagać.

Przyjechał do miasta, bo miał do wyrównania rachunki. Zdawał sobie sprawę, że na dotarcie do Szczota nie ma szans. Polityk miał profesjonalną ochronę. Ciągłe kręciło się przy nim czterech goryli. Samo zbliżenie się do niego na odległość gwarantującą oddanie celnego strzału graniczyło z cudem. Nawet jeśli udałoby mu się zabić posła, i tak nie miałby żadnych szans na ucieczkę.

Zemsta na Wasiaku także nie wchodziła w grę. Tutaj powód był bardziej prozaiczny – Dąb nie miał pojęcia, gdzie stary esbek się ukrywa.

Mógł się odegrać jedynie na Grocie i Zawadzkiej. Siostrą Kruszewskiego może zająć się później. Pokaże jej, jak wielki ból potrafi sprawić. Udowodni, co to znaczy zadrzeć z kimś takim jak on. Zanim ją zabije, brutalnie ją zgwałci. Niech poczuje, jak to jest być z prawdziwym facetem.

Ważniejszy jednak był ten dawny gliniarz. Dębski był przekonany, że to przez niego runął cały jego świat. Gdyby nie Grot, nadal żyłby swoim życiem i nie musiałby się ukrywać jak jakiś szczur. Wbije mu nóż prosto w serce. Będzie patrzył, jak ucieka z niego życie, jak facet stara się złapać ostatni oddech. Będzie patrzył, jak kona.

Potem, tak dla pewności, strzeli mu z glocka prosto w głowę. To będzie koniec tej historii.

* * *

Grot wysiadł z samochodu Artura, odpalił papierosa i wydmuchnął dym.

Pasewicz miał wyjechać na urlop z dziewczyną, ale zrezygnował. Twierdził, że nie wypocząłby, wiedząc, że Grot został sam ze sprawą.

Po ucieczce Dębskiego wszyscy odetchnęli. Wiedzieli, że bandycie nie w głowie teraz wyrównywanie rachunków. Grunt mu się palił pod nogami i pewnie szybko nie pojawi się w mieście.

– Co dalej? – spytał Artur, stając obok.

– A co ma być?

– Jakież plany?

– Na sto procent nie wrócę do wody. Mam dość zulerki. Chcę znów zacząć żyć. – A gdy zobaczył, że kumpel przygląda mu się uważnie, dodał: – Co się tak lampisz? Poważnie mówię.

– Znam takie historie. Niby człowiek się trzyma, a po jakimś czasie wraca do nafty.

– Nie ja. Chciałbym rozwinąć firmę. Właśnie! Nie chcesz zmienić roboty?

– Co?

– Proponuję ci współpracę. Będziesz u mnie na etacie. Razem możemy łąpać zbójów, ale tym razem na własny rachunek. – Grot zagasił papierosa w koszu na odpady. – Zastanów się i daj znać.

Wyciągnął dłoń w stronę Artura. Policjant uścisnął ją i się uśmiechnął.

– Dam ci znać za kilka dni. Muszę to przemyśleć.

– Spoko.

Grot odwrócił się i ruszył w stronę swojej kamienicy. Nie przeszedł nawet dwóch metrów, jak z nieba zaczął padać deszcz. Z każdą sekundą ulewa przybierała na sile.

Staął i spojrzał w niebo. Przez lata nie zwracał uwagi na takie błahostki jak deszcz. Nie potrafił nawet sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz padało. A teraz stał i całym sobą chłonał zimne krople.

Po chwili spojrzał w stronę okolicznych budynków. W oknach było ciemno, tylko na melinie u babki Zochy paliło się światło. Kobieta podobno już w latach osiemdziesiątych prowadziła w swoim mieszkaniu nielegalną sprzedaż alkoholu. Każdy mógł też u niej posiedzieć i napić się wódki, wina lub denaturatu. Ostatnio jej przychody zmalały, ale nadal urzędzała libacje.

Grot obejrzał się na samochód, w którym siedział Artur, i zdecydowanym krokiem wszedł do bramy. W środku było ciemno. Pewnie ktoś ukradł żarówkę albo znowu się przepaliła. Złapał się poręczy i powoli zaczął wchodzić po schodach. Gdy zrobił kilka kroków, wyczuł, że ktoś jest w pobliżu. Był pewny, że nie jest w klatce sam. Na górze ktoś się czaił w ciemnościach.

Staął i nasłuchiwał. Nagle za jego plecami otworzyły się drzwi.

Odwrócił się. Niczym na zwolnionym filmie widział, jak napastnik celuje w niego długim myśliwskim nożem.

Z góry zaczął ktoś zbiegać.

* * *

Artur patrzył, jak Grot wchodzi do bramy.

Jeszcze godzinę temu był pewny, że to może być ich ostatnie spotkanie. Zamierzał rzucić służbę w policji i wyjechać do Anglii. Tam chciał rozpocząć nowe życie, z dala od zbrodni, zbirów i wszelkiej maści polityków.

Sprawa, którą prowadził razem z Grotem, tylko utwierdziła go w tej decyzji. Polityka brutalnie wkroczyła w życie wielu ludzi. Przez brudne interesy i lokalne układy zginął młody chłopak, któremu zamarzyła się kariera dziennikarska. Zginął młody urzędnik, który chciał aferę ujawnić. Smród związany z nieczystymi interesami elit ogarnął wszystkich. Każdy tutaj stracił. Nie było zwycięzcy.

Nie mówił Grotowi o swoich planach. Nie chciał, żeby ten namawiał go do zmiany decyzji. Propozycja Radka była jednak kusząca. Zarabiałby dużo lepiej niż jako policjant. Mógłby też sam wybierać sobie sprawy. Musi to wszystko dobrze przemyśleć, rozważyć każde za i przeciw.

Już miał odjechać spod budynku, gdy zobaczył wychodzącego zza kontenera na odpady mężczyznę. Od razu rozpoznał Dębskiego. Zdziwił się, bo podejrzewał, że Dąb jest już za granicą. A już na pewno nie spodziewał się go w pobliżu kamienicy Grot.

Dębski wyciągnął zza paska długi myśliwski nóż. Rozejrzał się i poszedł w stronę bramy.

Artur bez namysłu wyjął z kabury służbowego glocka i go przeładował. Następnie wysiadł z samochodu i ruszył za gangsterem.

W tym samym momencie w budynku rozległ się strzał. Sekundę później otworzyły się drzwi i na zewnątrz wybiegł Dębski.

– Stój! Policja! – krzyknął Artur, mierząc w bandytę z broni.

Równocześnie oddali strzały.

Pierwsza kula, która go trafiła, sprawiła tylko, że się zachwiał. Nic nie bolało.

Zdziwił się. Spodziewał się krwi, potężnego bólu.

Trzy kolejne kule sprawiły, że stracił równowagę. Bólu jednak nadal nie odczuwał.

Widział, jak chodnik zbliża się do niego z zawrotną prędkością. Uderzenia już nie poczuł.

Gdzieś w tle rozległa się długa seria z broni automatycznej.

Artur zamknął oczy. Zanim odpłynął, pomyślał jeszcze, że umieranie nie boli.

* * *

Gdy rozległy się strzały, lekko się schylił. Nie chciał oberwać przypadkową kulą.

Widział uciekającego Dębskiego i goniących go mężczyzn. Widział też wymianę ognia z Pasewiczem. Młody policjant leżał teraz na ziemi.

Wasiak wysiadł z samochodu i podszedł do niego. Kumpel Grot żył, ale jego stan był ciężki. Plama krwi na ziemi z każdą sekundą się powiększała.

Zastanawiał się, czy Artur przeżyje, tak bardzo mu na tym nie zależało. Co innego Grot.

Spojrzał w stronę wejścia do kamienicy. Dwóch zamaskowanych mężczyzn niosło bezwładne ciało byłego gliniarza.

– Co z nim? – spytał.

– Będzie żył. Musi jednak szybko trafić na stół.

– Zabierzcie go.

Przykucnął przy ciele Pasewicza i sprawdził mu puls. Młody policjant także powinien jak najszybciej trafić do szpitala.

Podniósł się i podszedł do samochodu Artura. Sięgnął po stację i wcisnął guzik.

– Dziesięć jeden. Code zero – powiedział.

Wiedział, że podając ten kod, ściągnie tu wszystkie radiowozy znajdujące się w pobliżu. Znaczyło to: „Do wszystkich jednostek. Padły strzały, ranny policjant”.

Wasiak miał nadzieję, że zdążą uratować Pasewicza.

Odwrócił się i zobaczył, że w jego stronę biegnie dwóch kolejnych jego ludzi.

– Mamy Dębskiego. Jest już w busie.

Skinął im głową i dał znak, aby się ewakuowali. Potem spojrzał w niebo. Deszcz powoli ustawał. Zza szybko przesuwających się na wschód chmur wyłonił się księżyc. W oddali słychać było syreny nadjeżdżających karet i radiowozów.

Cała operacja na miejscu trwała niespełna trzy minuty. Jego ludzie byli dobrze wyszkoleni. Rozejrzał się po ulicy w poszukiwaniu ewentualnych śladów, które pozostawili, jednak nie zauważył nic, co mogłoby naprowadzić na nich śledczych.

Wyjął telefon i wybrał numer, który jako jedyne miał zapisany w pamięci.

– Wasiak – powiedział. – Wszystko załatwione.

Usłyszał sygnał przerwane go połączenia.

Pułkownik wiedział, że rozmówca już nigdy nie odbierze tego telefonu. Karta prawdopodobnie była już zniszczona. Teraz on wyjął z aparatu kartę sim, rzucił ją na chodnik i zgniótł obcasem, a następnie kopnął w kierunku studzienki kanalizacyjnej.

Ostatni raz rozejrzył się po okolicy, po czym ruszył w kierunku zaparkowanego w pobliżu starego poloneza.

Całą drogę radośnie pogwizdywał.

Przebudzenie

Szczot nie mógł spać. Ostatnio w ogóle źle sypiał. Cała ta afera związana ze sprawą dziennikarza odbiła mu się czkawką. Z tego, co się dowiedział, tylko dzięki wpływom Wasiaka udało mu się uniknąć skandalu i odsiadki. Pułkownik powstrzymał publikację materiałów, które porzysłał do mediów Dębski.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła godzina szósta rano. Wczoraj sporo wypił i teraz zaczął odczuwać skutki kaca. Spotkali się w gronie najbliższych współpracowników. Uczcili jego sukces. Za kilka tygodni miał zostać jedną z najważniejszych osób w krajowej polityce.

Wstał z łóżka i zszedł po schodach na dół. Cieszył się, że od roku mieszka sam. Żona wyprowadziła się do matki. Od dawna im się nie układało. Uczucie wypaliło się już kilka lat temu. Odkąd poślubił politykę, żona nie podniecała go wcale. Wolał, żeby mieszkała ze swoją matką, niż kręciła się naburmuszona po domu.

Wszedł do kuchni, otworzył lodówkę i nalał sobie soku do szklanki. Wychylił duszkiem, po czym uzupełnił na nowo i schował butelkę. Usiadł przy stole i rozejrzał się. Za jakiś czas przeniesie się do Warszawy i ten dom będzie stał pusty. Zastanawiał się, czy nie powinien go sprzedać. Pewnie rzadziej będzie przyjeżdżał do Wrocławia, więc nie był mu już potrzebny. Z drugiej strony spędził tu swoje najlepsze lata. Może jednak go zostawi.

Wziął kolejny łyk soku i postanowił skorzystać z toalety. Nie uszedł nawet pięciu kroków, gdy w pobliżu rozległ się potężny huk. Szyba w drzwiach tarasowych potłukła się w drobny mak. Na zewnątrz Szczot dostrzegł kilku zamaskowanych ludzi. Przestraszył się.

Ostatnio zrezygnował z ochrony osobistej. Dębski pewnie siedział gdzieś na drugim końcu świata i nie zamierzał wyrównywać rachunków, szczęśliwy, że udało mu się zwać z kraju. Ale teraz ochroniarze by mu się przydali.

Rzucił się pod stół, gdy drzwi wejściowe wyleciały razem z futryną.
– Centralne Biuro Antykorupcyjne! Na ziemię! Gleba! – rozległy się krzyki.
Widział światła celowników laserowych przeczesujące kuchnię. Jakies dłonie chwyciły go za rękę i ktoś z ogromną siłą wyciągnął go spod stołu.
– Jestem posłem... Mam immunitet... – powiedział cicho.
– Zamknij się, kurwa!
Chciał jeszcze zaprotestować, ale ktoś nadepnął mu ciężkim wojskowym butem na dłoń. Poczował ból.

* * *

Wasiak od samego rana śledził wydarzenia we Wrocławiu.

Zatrzymanie osób powiązanych ze Szczotem przyniosło mu satysfakcję. Żałował, że osobiście nie brał udziału w zatrzymaniach. Chciał widzieć twarz polityka, który w taki sposób kończył swoją karierę.

Wiedział, że zatrzymania będą realizowane dynamicznie i każdy z podejrzanych trafi do wrocławskiej delegatury CBA. Uśmiechnął się na myśl, że wiele osób dzisiaj utraciło swoje wpływy. Zastanawiał się, jak na tę sytuację zareagują media. Obóz rządzący na pewno zaraz zacznie atakować opozycję, że to ich politycy są umoczeni w jedną z większych afer w kraju. Wasiak jednak wiedział, że za kilka godzin aresztowania zaczną się także po drugiej stronie sceny politycznej. Śledczy zatrzymają również przedstawicieli obecnej władzy.

Dłuższy czas obserwował rozgrywki w mieście. Można nawet powiedzieć, że pozwolił tym wszystkim politykom, biznesmenom i urzędnikom działać. Nie robił nic, a w wielu przypadkach sam ich namawiał do nielegalnych ruchów. Był kimś, komu ufali i kto im pomagał, stojąc w ich cieniu.

Już trzy miesiące temu zdecydowali się zakończyć operację. Widzieli nieposkromiony apetyt osób zamieszanych w aferę. Mieli świadomość, że z każdym dniem coraz bardziej się rozzuchwalają. Po rozmowie z generałem Góreckim podjęli decyzję, że najwyższy czas uderzyć we wrocławską ośmiornicę. Przyszła pora na porządki w mieście.

Oczywiście ośmiornica nie była związana tylko z Wrocławiem. Podobnych grup powiązanych ze Szczotem było więcej, ale nie były tak pazerne jak ta.

To od niej zaczęli całą operację.

Kilka tygodni temu powstrzymali publikację materiałów, które do mediów wysłał Dębski. Nie mogli pozwolić, by to, co wyprawiali ludzie związani ze

sobą nielegalnymi interesami, zostało ujawnione. Nie chcieli spłoszyć Szczota i pozostałych.

Teraz jednak nic nie będą utajniać. Niech lawina ruszy.

Wyjął telefon i zadzwonił do Góreckiego.

– Panie generale, od rana działamy.

– Dobra robota.

Rozłączył się. Wiedział, że generał niszczy w tej chwili kartę sim z telefonu, na który zadzwonił. On postąpi podobnie. To, co robią, nigdy nie może zostać ujawnione.

Opinia publiczna nie ma prawa usłyszeć o ludziach stojących ponad prawem, którzy pociągają za wszystkie sznurki. Nikt nie może się dowiedzieć, że władzy nad służbami specjalnymi w kraju nie sprawują odpowiedni ministrowie, ale ludzie powiązani z dawną bezpieką. To oni rządzą krajem, a nie politycy wybierani w oficjalnych wyborach. To generał i kilku dawnych oficerów bezpieki decydowali, kto jakie stanowisko zajmie, kto zostanie na stołku, a kto spadnie na samo dno.

Kiedyś media nazwały ich ludźmi trzymającymi władzę. Tak było. Trzymają władzę od lat i nikomu nie pozwolą jej sobie odebrać. Dziennikarze, którzy pisali artykuły o ich działalności, szybko tracili pracę i wpadali w tarapaty. Ci, którzy chcieli temat drążyć, znikali w niewyjaśnionych okolicznościach.

Generał i dawni bezpieczniacy dbali o swoje interesy. Potrafili się zabezpieczyć. Tym, którzy byli pożyteczni, pozwalali działać. Ci zbędni lub ci, którzy zbyt wysoko podnieśli głowy, spadali.

Wasiak schował komórkę do kieszeni i spojrzał na leżącego za szybą mężczyznę. Grot nadal był w śpiączce. Pułkownik miał nadzieję, że wybudzi się z niej lada moment.

Były policjant znajdował się w tym stanie, odkąd go tu przywieziono. Gdy został dźgnięty nożem w klatkę piersiową, stracił sporo krwi. Lekarze zdecydowali się na wprowadzenie go w śpiączkę farmakologiczną. Od trzech tygodni leżał bez ruchu podłączony do maszyny podtrzymującej życie.

Wasiak miał do załatwienia jeszcze jedną sprawę. Gliniarz, z którym współpracował Grot, zasługiwał na lepszą pracę. Robota w komendzie wojewódzkiej była może prestiżowa, ale Wasiak widział go na najwyższych stanowiskach w innych służbach. Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego w ostatnim okresie cierpiała na deficyt sprawnych i inteligentnych funkcjonariuszy. Wasiak się zastanawiał, czy Artur sprawdziłby się w abwerze. Będzie musiał się z nim spotkać i złożyć mu ofertę współpracy.

Potrzebowali śledczych, którzy potrafią być skuteczni i umieją myśleć samodzielnie.

Potrzebowali ludzi, dzięki którym będą sprawować władzę nad służbami.

Potrzebowali wtyk wewnątrz tych służb.

Wszedł do gabinetu ordynatora i od razu skierował się w stronę barku. Wziął z niego butelkę koniaku i nalał sobie sporą porcję. Zdawał sobie sprawę, że nie powinien tak wcześniej zaczynać pić, ale dziś był wyjątkowy dzień. Dzień, w którym ich największa akcja zakończyła się sukcesem.

Sięgnął po pilota i włączył stojący na szafce telewizor. Na ekranie pojawiła się rezydencja posła Szczota i jego twarz z zasłoniętymi oczyma. Komunikat na czerwonym pasku głosił, że zatrzymano ważnego polityka Odbudowy Patriotycznej. Dziennikarze uwiecznili na nagraniu moment, gdy poseł był wyprowadzany z domu. Na głowę miał narzuconą marynarkę.

Wasiak uniósł lampkę.

– Twoje zdrowie, Krokodyl.

Wziął łyk i się uśmiechnął.

* * *

Pip... pip... pip...

Grot uniósł powieki. Nie wiedział, gdzie się znajduje. Słyszał tylko pischzenie jakiejś maszyny. W powietrzu unosił się zapach leków. Po drugiej stronie sali zobaczył przeszklone drzwi, a za nimi ludzi w białych kitlach. A więc był w szpitalu. Nie wiedział tylko jak długo.

Przypomniał sobie sytuację w swojej kamienicy. Dębski pchnął go nożem w klatkę piersiową. Pamiętał potworny ból. Miał wtedy wrażenie, że umiera. Pewnie stracił sporo krwi. Pamiętał też czyjeś ręce, które go podniosły. Ktoś gdzieś go zaniósł. Potem zapadła ciemność. Kolejnym wspomnieniem była postać lekarza w masce. Mówił coś o konieczności operacji. A potem głos kobiety. Jak przez mgłę pamiętał, że mówiła do jakiegoś mężczyzny „tato”. Pewnie to córka któregoś z lekarzy. Tylko w jakim celu pojawiła się w jego sali?

A potem wszystko spowłóła mgła niepamięci. Aż do teraz.

Spróbował się unieść na łóżku.

– Niech pan leży – powiedziała pielęgniarka, która nie wiadomo kiedy pojawiła się obok.

– Pić... – wyszeptał spierzchniętymi ustami.

– Niestety nie może pan dostać wody. Mogę co najwyżej zwilżyć panu wargi.

– Pić... – powtórzył.

I ponownie zapadł w ciemność.

* * *

Wszystkich zatrzymanych przewieziono do wrocławskiej delegatury CBA.

Wasiak wiedział, że teraz zaczęła się żmudna praca.

Rozpoczęto przesłuchania podejrzanych o udział w zorganizowanej grupie przestępczej.

Przed budynkiem ustawiły się wozy transmisyjne większych stacji telewizyjnych i radiowych.

Wiadomości ciągle relacjonowały zatrzymanie kilku najbardziej wpływowych osób w mieście i w kraju. Rzecznik prasowy Centralnego Biura Śledczego zwołał konferencję prasową, na której wyjaśnił przyczyny zatrzymania. Przedstawił materiał dowodowy, który był podstawą do takich działań.

Wasiak przełączał kanały, słuchając z uwagą wypowiedzi publicystów i polityków. Opozycja oczywiście bagatelizowała dowody zgromadzone przeciwko Szczotowi i pozostałym. Mówili wręcz, że zatrzymania to zemsta partii rządzącej na politykach opozycji. Były premier starał się bronić Szczota. Zwołał własną konferencję, na której stwierdził, że partia rządząca nie tylko sfabrykowała dowody przeciwko politykowi opozycji, ale także stosowała nielegalne podsłuchy i prowokacje.

Cały kraj zaczął żyć zatrzymaniem tych osób.

Wasiak wiedział, że teraz wszystko w rękach śledczych z CBA. Muszą odpowiednio wpłynąć na zatrzymanych. Sprawić, aby ci słabsi psychicznie zechcieli pójść na współpracę i obciążyli tych silniejszych.

Musiał przyznać, że plan generała był genialny. Jak wszystko im się powiedzie, to przez dekady będą mieli wpływ na to, co się dzieje w kraju. Dzisiejsze wydarzenia będą początkiem końca pewnych ludzi.

Wziął łyk koniaku.

Na ekranie pojawiła się twarz Szczota. Dziennikarz prowadzący program wspominał chlubną przeszłość opozycjonisty z czasów komuny. Wasiak o mały włos nie udławił się alkoholem. Tylko on wiedział, jakim opozycjonistą był Krokodyl.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi.

– Wejść! – zawołał, odstawiając lampkę z alkoholem.

W progu stanęła pielęgniarka. Kilka razy widział ją na oddziale. Podobała mu się. Gdyby był młodszy, chętnie zaprosiłby ją na kawę.

– Przepraszam. Myślałam, że jest ordynator Wróbel.

– Wszedł.

– Pana pacjent się wybudził.

– Nareszcie.

Wstał z fotela i ruszył za pielęgniarką.

* * *

Dyrektor wrocławskiej delegatury Centralnego Biura Antykorupcyjnego Janusz Kobus wszedł do pomieszczenia, w którym przebywał zatrzymany poseł Odbudowy Patriotycznej.

Szczot siedział na krześle ze skutymi rękoma i patrzył w podłogę. Kobus wiedział, że polityk podczas zatrzymania zasłaniał się immunitetem poselskim, ale gdy został brutalnie dociśnięty do podłogi, zamilkł. Przed Szczotem siedział jeden ze śledczych i notował coś na kartce papieru.

– Dzień dobry, panie pośle – przywitał się Kobus.

Szczot podniósł głowę.

– Nic nie powiem. Mam immunitet i czekam na decyzję o zwolnieniu. Marszałek sejmu dobierze się wam do dupy.

– Panie pośle, proszę mi wierzyć, znam procedury. Zanim po pana przyszedliśmy, mieliśmy zgodę na pańskie zatrzymanie.

– Co? – Szczot był zaskoczony słowami Kobusa.

– Panie pośle, mamy zgodę sejmu – powiedział z uśmiechem dyrektor delegatury.

– Niemożliwe. Nikt nie głosował za tym, aby mnie pozbawić ochrony.

– Tak się panu tylko wydaje. W chwili, gdy był pan zatrzymywany, sejm wyraził zgodę na pozbawienia pana immunitetu. Jakby pan nie wiedział, w nocy było posiedzenie parlamentu. Oczywiście z tego, co obilo mi się o uszy, w ostatnim czasie rzadko brał pan udział w obradach. Mógł więc pan nie wiedzieć o planowanej decyzji.

– Nie ma takiej opcji. Powiadomiono by mnie o takim wniosku.

– Widocznie nie ma pan zbyt wielu przyjaciół. Nikt się za panem nie ujął i nikt nawet nie chciał panu donosić. À propos donoszenia, zanim tu

przyszedłem, pojawiła się informacja, że w minionym systemie współpracował pan z bezpieką.

Szczot patrzył na niego wzrokiem, który mógłby zabić.

– To jakieś bzdury – prychnął.

– Nie wiem. Nie śledzę na bieżąco doniesień medialnych.

– Żądam adwokata! Nic nie powiem, dopóki nie skonsultuję się z prawnikiem.

– Tak właśnie myślałem. Panie pośle, zanim tu przyszedłem, przekazano mi, że będzie pan reprezentowany przez mecenasa Mariusza Scherbing von Schlaufa. Już jest na dole i czeka na przepustkę.

– To niech pan go tu daje! Nie mam zamiaru nic mówić, dopóki nie porozmawiam z obrońcą.

– Dobrze. Wie pan, że celowo zatrzymałem go na dole? Chciałem z panem najpierw porozmawiać i coś panu przekazać.

– Nie interesuje mnie to.

– Ma pan pozdrowienia od pułkownika Wasiaka.

Szczot zmrużył oczy.

– Co?

Kobus spojrział na siedzącego przy biurku pośle i powiedział:

– Pułkownik poprosił, żebym pana pożegnał w jego imieniu. Uważa, że współpraca sprzed lat była owocna i mogła nadal trwać.

– Czekaj, moment. – Szczot uniósł się na krześle.

– Siadaj.

Polityk pokornie opadł z powrotem.

– No. Tak lepiej.

Rozległo się pukanie do drzwi i w progu stanął mężczyzna w garniturze.

– Mecenas Mariusz Scherbing von Schlauf. Reprezentuję pana Szczota.

Adwokat podszedł do stołu i położył na nim swoją wizytówkę. Kobus tylko rzucił na nią okiem.

– Jeszcze nie zaczęliśmy przesłuchania – powiedział.

– To dobrze. Mój klient jest niewinny i nie przyznaje się do stawianych mu zarzutów. Odmawia także składania wyjaśnień.

– A pan, panie pośle, uważa się za niewinnego? – spytał Kobus.

– Jak noworodek – odpowiedział za zatrzymanego adwokat. – Pan, panie pośle, niech już nic nie mówi. Ja się wszystkim zajmę.

W tym momencie na telefon Kobusa przyszedł esemes. Dyrektor delegatury spojrział na wyświetlacz i się uśmiechnął.

– Panie pośle, właśnie dostałem informację, że w pańskim domu odnaleziono skrytkę. Ujawniono w niej dokumenty, nagrania i sporą ilość gotówki. Nadal uważa się pan za niewinnego?

– Mój klient nic więcej nie powie.

– Mam też informację, że prokurator Żelichnowski przyznał się do postawionych mu zarzutów i zaczął współpracować. Arcybiskup Śniadecki także złożył już wyjaśnienia.

Szczot patrzył na Kobusa i kalkulował.

– Większość zatrzymanych początkowo wypierała się czegokolwiek, ale teraz zaczynają mówić. Może to być spowodowane tym, że mamy już dużą wiedzę na temat przejmowanych gruntów i innych waszych machlojek. Gwoździem do trumny jest zlecenie zabójstwa Marka Kruszewskiego i zmuszenie Andrzeja Wielgusa do pozbycia się firmy.

– Dębski... – powiedział cicho Szczot.

Adwokat chwycił go za dłoń i pokręcił głową.

– Niech pan nic nie mówi.

Kobus się uśmiechnął i kontynuował:

– Nie. Dębski z nami nie współpracuje. Podejrzewamy, że jest za granicą. Prawdopodobnie zniknął gdzieś na wschodzie. Mamy jednak wystarczającą liczbę dowodów, aby wsadzić pana na długie lata.

Szczot poprawił się na krześle.

– Chcę zostać świadkiem koronnym. Mam wiedzę na pewne tematy, ale muszę mieć gwarancję nietykalności i tego, że nie będę sądzony. Nie mogę trafić do więzienia.

– A dlaczego nie może pan trafić do więzienia? – spytał Kobus.

– Bo tam są kryminaliści – odparł poseł, po czym szybko dodał: – Poza tym jestem chory.

Adwokat sięgnął do teczki i wyjął z niej jakieś dokumenty.

– Mój klient wnioskuje o status świadka koronnego. Chciałbym mieć ten układ na piśmie.

Kobus popatrzył na Szczota. Po chwili przeniósł wzrok na jego pełnomocnika. Chwilę przyglądał się prawnikowi, w końcu powiedział:

– Panie pośle, uważam, że powinien pan z nami rozmawiać bez prawnika. Tak byłoby lepiej.

Adwokat spojrział na Kobusa zaskoczony.

– To jawne łamanie praw zatrzymanego do korzystania z usług obrońcy – zaczął protestować Scherbing von Schlauf.

– Zamknij się i wypierdalaj – warknął do niego Szczot.
Mecenas był wyraźnie zaskoczony, jednak wstał i zaczął pakować dokumenty.

Po chwili bez pożegnania wyszedł z pokoju przesłuchań.

* * *

Wasiak wszedł do sali, na której leżał Grot. Obok pacjenta krzątał się personel medyczny. Ordynator Jarosław Wróbel świecił mu w oczy i o coś pytał.

Grot spróbował się unieść na łokciu.

– Niech pan leży spokojnie – powiedział ordynator.

– Gdzie ja jestem?

– A jak pan myśli? Przywieziono pana tutaj z raną kłutą. O mały włos i by się pan wykrwawił. Jest pan jeszcze słaby i musi leżeć.

– Muszę iść.

– Dokąd? Ja za pana odpowiadam i ja decyduję, kiedy pan stąd wyjdzie. Jak będzie pan mi się przeciwstawiał, to dłużej to potrwa.

Grot chciał coś jeszcze powiedzieć, ale lekarz dał mu znak, żeby nie dyskutował.

Pacjent położył się spokojnie.

Wasiak zastanawiał się, kiedy nadejdzie odpowiednia pora, aby szczerze z nim porozmawiać.

– Panie doktorze, mogę pana prosić? – zwrócił się do ordynatora.

Lekarz odwrócił się w jego stronę i skinął głową. Gdy obaj wyszli na korytarz, pułkownik zaczął:

– Panie doktorze, tak szczerze, kiedy pacjent będzie na tyle zdrowy, żeby opuścić szpital?

– Panie pułkowniku, myślę, że to kwestia kilku dni, może tygodnia. Zobaczymy. Na razie jest jeszcze słaby. Jakby pan nie zauważył, dopiero wyszedł ze śpiączki.

– A kiedy będę mógł z nim pogadać?

– W każdej chwili. Tylko rozmowa powinna być krótka.

Wasiak uśmiechnął się do ordynatora. Lubił go. Spotkali się u schyłku komuny. Wróbel był młodym lekarzem, który popełnił jeden jedyny błąd w swojej karierze. Podczas nocnego dyżuru w szpitalu na placu 1 Maja zamknął się w dyżurce wraz z pielęgniarką. Pili koniak, który lekarz dostał od pacjentki w ramach podziękowania, a potem jakoś tak wyszło, że zaczęli

uprawiać seks. W tym czasie na oddziale zmarł chory. Zgon widział inny pacjent. Szukając pomocy pielęgniarki i lekarza, nakrył ich w sytuacji intymnej. Nie dał się przekonać do milczenia. Powiadomił milicję. Gdy funkcjonariusze przybyli na miejsce i dowiedzieli się, kim jest zmarły, przestraszyli się. Tak się pechowo złożyło, że był to jakiś krewny sekretarza partii z Trzebnicy. Zdecydowano się powiadomić Służbę Bezpieczeństwa. Na miejsce przyjechał porucznik Paśko i przejął sprawę. Wasiak o wszystkim dowiedział się z raportu porucznika. Zdecydował się wezwać Wróbla do Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych. Rozmowa była krótka – w zamian za podjęcie współpracy sprawa śmierci pacjenta miała trafić do kosza. Lekarz zgodził się bez wahania. Dostał pseudonim Sikorka. Złożył zaledwie kilka meldunków i system upadł.

Wróbel powoli zaczął robić karierę. Specjalizował się i stawał jednym z lepszych lekarzy w szpitalu. Szpital przy placu 1 Maja stał się szpitalem przy placu Jana Pawła II. Wróbel nie był już Sikorką.

Dziesięć lat temu Wasiak skontaktował się z lekarzem i przypomniał mu o dawnej współpracy. Początkowo Wróbel się stawiał, ale po pokazaniu teczek z donosami, które złożył, zmiękł. Spytał, co pułkownik chce w zamian za obciążające go materiały. Liczył, że zapłaci odpowiednią kwotę i uwolni się od przeszłości. Wasiak jednak miał wobec niego inne plany. Szukali zaufanego lekarza i szpitala, gdzie nikt nie zadaje pytań. Zdarzało się, że potrzebowali pomocy medycznej. Lekarz zgodził się na dalszą współpracę.

Przy pomocy służb Wróbel w szybkim tempie zaczął awansować. Od czterech lat był ordynatorem – i to nie było jego ostatnie słowo.

– To zaraz z nim pogadam. Zróbcie swoje i zostawcie nas samych.

Wróbel skinął głową i wrócił do sali.

* * *

Artur oglądał w telewizji konferencję prasową rzecznika CBA. Był zaskoczony działaniami służb. Cała grupa wyłudząca nieruchomości i grunty została rozbita. Z samego rana do wielu mieszkań weszły oddziały realizacji i po kolei zatrzymywały aferzystów. Pasewicz czuł podziw, widząc tak sprawnie skoordynowaną akcję.

Obrócił się na wersalce, krzywiąc się z bólu. Odniesione rany ciągle dawały o sobie znać. Pamiętał doskonale tamte wydarzenia. Pamiętał moment postrzału i te wszystkie dziwne rzeczy, które miały miejsce potem.

Tuż po tym, jak dostał, poczuł, jak z jego ciała wydostaje się coś jakby twór astralny. Mógł nawet stwierdzić, że było to coś, co wierzący nazywają duszą. Z góry widział siebie leżącego na mokrym od deszczu chodniku. Widział zjeżdżające się karetki pogotowia i biegnących w jego stronę sanitariuszy. Wokół niego wibrowała dziwna poświata. Spojrzał w niebo i zobaczył tunel z jasnym światłem na końcu. Słyszał o tym w wielu opowieściach, ale dotychczas uważał, że to bzdury. Jednak wtedy, leżąc na tym mokrym chodniku, przeżył to na własnej skórze.

Potem popatrzył na dół i zobaczył, że ratownicy starają się ratować jego ciało. Przewrócili go na plecy i próbowali przywrócić akcję serca. Trwało to dłuższą chwilę. Gdy w końcu im się udało, poczuł mocne szarpnięcie. Jakaś tajemna siła ciągnęła go w dół, w kierunku jego ciała. On jednak wciąż pozostawał poza nim.

Widział, jak wsadzają go do karetki i wiozą do szpitala. Mężczyzna w stroju ratownika medycznego coś do niego mówił. Ręką starał się uciskać rany postrzałowe. Gdy dojechali na miejsce, wyniesiono go na zewnątrz. Ktoś przyczepiał jakieś przyssawki do jego klatki piersiowej, ktoś inny starał się zatamować krwotok. Znowu poczuł, że się oddala. Ponownie pojawił się tunel ze światłem. Kilka osób coś krzyczało. Podczepiono do jego ciała elektrody. Gdy przeszła go pierwsza dawka prądu, ciało wygięło się łuk. Nawet będąc poza nim, poczuł silny ból. Takich serii było jeszcze kilka.

Gdy zawieziono go na salę operacyjną, jego stan był już bardziej stabilny. To tam ciało astralne z powrotem połączyło się z tym materialnym. Początkowo wyglądało to tak, jakby kładł się na stole operacyjnym obok samego siebie. Potem się ze sobą scalił.

Widział twarze lekarzy w maskach. Pomimo utraty dużej ilości krwi cały czas był świadomy tego, co robią. Potem został przewieziony na salę pooperacyjną. Tam leżał przez cztery dni. Później trafił na zwykłą salę, gdzie jego stan dynamicznie się poprawiał.

Trzy dni temu wyszedł ze szpitala. Praktycznie cały czas spędzał na oglądaniu telewizji. Rano wykonywał kilka ćwiczeń, które miały pomóc mu w dojściu do pełnej sprawności.

Jeszcze w szpitalu dowiedział się, że syn Walczaka zdecydował się wymówić im najem. Powiedział, że mają trzy miesiące na opuszczenie lokum. Kaśka codziennie przeglądała ogłoszenia. Szukała czegoś nowego. Artur cieszył się, że zajęła się tym sama. On nie miał siły na nic. Ciągle miał przed

oczyma strzelającego do niego Dębskiego. Bez przerwy widział jakichś ludzi biegnących za Dębem. Widział ludzi wynoszących bezwładne ciało Grota...

Nie miał pojęcia, co się dzieje z kumplem. Miał nadzieję, że wszystko z nim w porządku i lada moment się odnajdzie.

* * *

Grot patrzył na wchodzącego do sali mężczyznę. Starszy facet spojrzał na niego, a następnie odwrócił się do pielęgniarki i powiedział:

– Niech pani zostawi nas samych.

– Ale...

– Nie ma „ale”. Proszę sprawdzić, co z innymi pacjentami. Może komuś trzeba wymienić basen.

Kobieta zmierzyła go wzrokiem pełnym nienawiści.

Grot zastanawiał się, kim jest ten facet. Podejrzewał, że to dyrektor szpitala albo ordynator. Widział już go tuż po tym, jak się obudził.

– Dzień dobry, panie Radku – powiedział teraz.

– Dzień dobry.

– Jak się pan czuję? Lepiej?

– Jakoś ujdzie. – Grot poprawił się na łóżku i zaraz tego pożałował. Ból w klatce piersiowej sprawił, że zrobiło mu się ciemno przed oczami.

– Niech się pan nie forsuje. Jest pan jeszcze słaby.

– A kiedy, panie doktorze, będę mógł stąd wyjść?

Wasiak sięgnął po stojące kawałek dalej krzesło, przysunął je do łóżka i usiadł.

– Nie jestem doktorem – powiedział. – Może jakbym miał lepsze wzorce, tobym nim został, jednak moje losy potoczyły się inaczej. Podobnie jak pańskie, panie Radku.

– Kim więc pan jest?

– Można powiedzieć, że pańskim przyjacielem. Może nawet jedynym.

– A konkretniej? – Grot zacisnął zęby i uniósł się nieco na łokciu. Ból był potworny.

– Jestem kimś, dzięki komu pan żyje. To moi ludzie pana uratowali.

– Pańscy ludzie? Służby? Abwera?

– Nie.

– Słuchaj, dziadek, skończ te gierki. Jestem ranny, obolały i mam w dupie takie podchody. Albo pan gadasz, o co chodzi, albo pan spierdalaj.

– Po co te nerwy?

– Bo mnie takie coś wkurwia. – Grot stracił cierpliwość. – Zaraz wezwę pielęgniarkę i zażądam, żeby pana wywalili. Kimkolwiek pan jest.

Wasiak zaczął bić mu brawo.

– Nie rozczarowałaś mnie, chłopcze. Muszę przyznać, że masz charakterek. Dobra, myślę, że mogę ci powiedzieć, kim jestem, kim byłem i dlaczego się tu znalazłeś.

– No to zaczynaj.

Wasiak wstał z krzesła i podszedł do drzwi. Zamknął je, po czym wrócił na miejsce.

* * *

Szczot wiedział, że jego kariera zawisała na włosku. Nie wiedział tylko, jak zareagują władze partii.

Jeszcze kilka dni wcześniej świętował swój awans, a teraz znalazł się na samym dnie. Nie uda mu się już wrócić do tego, co było przed wybuchem afery. Inni zatrzymani także zaczęli zeznawać. Będą chcieli obciążyć go całą winą. Zdawał sobie z tego sprawę, bo sam robił podobnie.

Najbardziej jednak zły był na to, że utracił wszystkie ukryte pieniądze. Nie miał pojęcia, co powinien teraz robić. Kusilo go, aby skontaktować się z Wasiakiem i poprosić o pomoc. Bo był pewny, że to pułkownik stoi za tym wszystkim. A jeśli wpakował go w tarapaty, to może była szansa, że go z nich wyciągnie. Był przecież jego najlepszym agentem.

Spojrzał na siedzącego z boku Kobusa. Śledczy współpracował z pułkownikiem i zapewne miał z nim kontakt.

– Chciałbym się spotkać z Wasiakiem – powiedział Szczot.

Kobus podniósł wzrok znad akt.

– Nie ma takiej opcji. Pułkownik nie angażuje się w tę sprawę.

– Ale ja muszę.

Mężczyzna dał znak innemu agentowi CBA, żeby wyszedł. Gdy zostali sami, odwrócił się do Szczota i powiedział:

– Nic pan nie musi, panie pośle. Powiem więcej: nikogo nie interesuje pańska osoba. Będzie pan zeznawać, będzie dobrze. Przestanie pan, to spadnie pan na sam dół. Nikt się za panem nie stawi.

– Człowieku, nie możesz tak postępować. Są pewne zasady. Mam prawa.

– Pańskim podstawowym prawem jest zamknięcie mordy. Przepraszam za słownictwo, ale mam już dość tych głupot.

– Odmawiam dalszej współpracy.

– Pański wybór. Ale będą konsekwencje.

– Pan mi grozi?

– Nie. I nie mam takiego zamiaru.

Kobus wstał i podszedł bliżej. Poseł się skulił. Obawiał się uderzenia, jednak nic takiego nie nastąpiło. Agent tylko nachylił się nad nim i spytał:

– A wie pan, panie pośle, że nie głosowałem na pana partię?

– A więc to sprawa polityczna. Czekaj, już ja wszystkim powiem. Chcecie mnie załatwić, a przy okazji pokazać, że Odbudowa Patriotyczna jest partią oszustów i przestępców.

– A nie jest?

Szczot zamilkł. Wiedział, że nie ma co dyskutować z tym człowiekiem. Miał nadzieję, że uda mu się zwołać konferencję prasową, na której się wypowie.

– Powiem panu, panie pośle, że chciałbym, aby świat wyglądał inaczej, niż wygląda. Niestety są osoby takie jak pan i panu podobni, które sprawiają, że ludzie są biedni i kraj jest w ruinie.

– To bzdura. Nie moja wina, że tak jest. Każdy rząd kradł i każdy ma coś za uszami.

– Może mi pan poseł wierzyć, im też dobierzemy się do dupy. Zaczynamy jednak od pana.

Szczot wiedział, że nie ma co dyskutować. Liczył na rozmowę z prokuratorem.

Miał nadzieję, że uda mu się przekonać przedstawiciela prokuratury, aby inaczej go traktowano i wypuszczono do domu. Nie mataczył, współpracował. Nie było ryzyka, że ucieknie. Powinni go potraktować łagodniej niż innych zatrzymanych.

* * *

– Nie jestem z abwery ani z innych służb, choć owszem, mam pewien wpływ na ich działania – powiedział Wasiak.

Grot poprawił się na łóżku. Przy gwałtowniejszym ruchu syknął z bólu.

– Więc kim jesteś? – spytał.

– Nazywam się Wasiak i kiedyś byłem oficerem wojewódzkiego urzędu spraw wewnętrznych.

– Esbek?

– Tak. Odszedłem ze służby w stopniu pułkownika.

– A jaki to ma związek ze mną? Ja do policji wstąpiłem już po upadku komuny. Esbeków co prawda widziałem, ale nie darzyliśmy się szczególną sympatią.

– Cóż... I tak bywa. Wielu z nas pozytywnie przeszło weryfikację, a części się to nie udało. Mnie nie wyszło. Jaki to ma związek z tobą? Za jakiś czas się dowiesz. Jednak jeszcze nie teraz.

– Dlaczego?

– Bo nie. Wybacz, chłopcze, ale nie muszę ci się tłumaczyć. Wracając jednak do tematu, od jakiegoś czasu obserwowałem twoje życie. W sumie od momentu, jak się rozpiłeś. Było to jakieś dwa lata temu. Widziałem, jak nisko upadłeś. Prawdziwy rysztoł. Stałeś się menelem zebrzącym o parę groszy.

– Zdarza się.

– Kilka razy widziałem, jak leżałeś w parku cały w szczochach. Chciałem wtedy podejść i doprowadzić cię do porządku, ale nigdy tego nie zrobiłem.

– A po co mnie obserwowałeś? Znamy się? – Grot zmarszczył brwi.

– Z czasem się dowiesz, jakie były powody takich działań. Wróćmy jednak do twojego życia. Poszukałem informacji na twój temat. Dowiedziałem się, że kilka lat wcześniej jakiś bandzior rozjechał twoją żonę i syna. To był początek twojego upadku. Potem zaczęła się równia pochyła. Wóda, brak perspektyw i chęci do życia. Podałeś się i zaliczyłeś dechy.

– Nie ja pierwszy.

Wspomnienie wydarzeń sprzed lat sprawiło, że serce Grota zaczęło szybciej bić.

– Jako człowiek, który ma wpływ na wiele rzeczy, postanowiłem się dowiedzieć, dlaczego zginęła Kamila i Staś...

– Przestań – przerwał cicho Grot. Czuł, że to, co usłyszy, zmieni całe jego życie.

– Marucha miał w policji kapusia. Innego niż ci, o których wiedziałeś. Groźniejszego. To on informował go o twoich ustaleniach. To ten kapuś powiedział, że powinien cię ukarać i uciszyć. Mówił, że jesteś coraz bliżej wsadzenia go za kratki i że on nie jest w stanie cię powstrzymać. Z tego, co mi przekazano, Marucha chciał cię tylko pobić. Kapuś jednak stwierdził, że powinieneś cierpieć bardziej. Wypadek był pomysłem Maruchy, ale ten sprzedajny pies był zadowolony z takiego rozwiązania.

Grot zamknął oczy.

– Jak zacząłem drążyć temat, moi ludzie dotarli do tych, którzy mieli wiedzę. Powiedzieli mi wszystko. Zresztą nie mieli wyboru. Widok zrywanych paznokci u rąk czy wyłupywanych oczu jest bardzo sugestywny. – Wasiak przypomniał sobie płacz Struny, gdy ten tracił oko. Uśmiechnął się na to wspomnienie.

– Kim jest ten skurwiol? – spytał szeptem Grot.

– Zaraz ci powiem. Najpierw jednak dokończę swoją opowieść.

Pułkownik wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów.

– Wiem, że tu nie można palić, ale nabrałem ochoty. Poza tym co mi zrobią? Nakrzcą? Rzuciłem lata temu, ale dziś zrobię wyjątek. – Odpalił i wydmuchnął dym pod sufit. – Wspaniałe uczucie. – Sięgnął po leżący na podłodze basen i przesunął go sobie pod nogi. – Jak już wiedziałem, przez kogo spadłeś na dno, postanowiłem, że pomogę ci się zemścić. Pech chciał, że musiałem przez jakiś czas przebywać w stolicy. Obowiązki. Jak wróciłem, dowiedziałem się, że pewien młody dziennikarz zaczął pisać artykuł na temat sytuacji w mieście. Dostał materiały dotyczące interesów pewnych wpływowych ludzi. Zaczął się robić smród. Musiałem tym zająć się w pierwszej kolejności. Trzeba było posprzątać po niektórych osobach.

– To ty zleciłeś zabójstwo Kruszewskiego? – spytał Grot.

Wasiak strzepnął popiół do basenu.

– Nie. Szczot. Ja jednak trzymałem rękę na pulsie. Wiedziałem o wszystkim i czekałem na okazję, kiedy winni tego syfu będą mogli odpowiedzieć karnie.

Grot bacznie mu się przyglądał. Zaskoczyła go informacja, że to znany poseł był zamieszany w zabójstwo Kruszewskiego.

– Jak byłeś w śpiączce, CBA i policja zajęli się tymi ludźmi. No, z wyjątkiem Dębskiego. Nim zająłem się osobiście.

– Pewnie nie żyje?

Pułkownik wzruszył ramionami.

– Nikt nie jest wieczny. Facet zamierzał cię zabić. Gdyby nie ja, toby tego dokonał.

– W sumie jednego skurwiela mniej.

– Pilnowałem także ciebie. Widziałem, jak robisz postępy w trakcie poszukiwań materiałów dotyczących afery. Widziałem, jak idziesz prosto do celu. Kojarzysz dziewczynę Kruszewskiego? Zostawiła list.

– Tajemniczą M.? Kojarzę.

– Nie wiedziałem, że tak ją nazwałeś. Fajnie. Ale wracając do konkretów, to był mój pomysł. Wiedziałem, że będziesz szedł za tym tropem. Żadnego

mieszkania na Ślężnej nie było.

– Po co więc ten list?

– Żebyś nie zrezygnował. Mogłeś się poddać, a tak miałeś cel. Zamierzałeś ustalić, kim jest ta dziewczyna i co może być w tym mieszkaniu. Wybacz, ale cię wykorzystałem. Chciałem, żebyś odnalazł kopię artykułu i materiały, którymi dysponował Kruszewski.

– Pismo było kobiece...

– Tak. List napisała moja córka. Jutro ją poznasz. Oczywiście jeśli będziesz chciał.

– Zwisa mi to. – Grot już wiedział, że kobieta mówiąca do kogoś „tato” była córką tego mężczyzny.

Wasiak zagasił papierosa.

– Pracuję dla służby zajmującej się bezpieczeństwem państwa – powiedział.

– Zresztą nie tylko ja.

– I co? Mam ci pogratulować?

Pułkownik się uśmiechnął.

– Nie. Chciałbym po prostu, żebyś wiedział, że nie należę do tych złych. Moje działania mają na celu poprawienie bezpieczeństwa. Tacy jak ja są potrzebni, aby tacy jak Szczot i inni aferzyści nie byli bezkarni. Czasem prawo jest ułomne i nie potrafi skazać winnych. Czasem przekupny sędzia wypuszcza skurwiela na wolność. My naprawiamy te błędy. Wyrrywamy chwasty.

– Linda w *Psach* miał taki tekst.

– Nie znam. Ale podoba mi się.

Grot milczał przez chwilę. Patrzył na pułkownika i starał się jak najwięcej z niego wyczytać. Jak dotąd bez skutku. W końcu powiedział:

– Zmęczony jestem. Mogę zostać sam?

Wasiak wstał i odstawił krzesło na miejsce. Basenu, w którym zagasił papierosa, nie ruszał.

– Tomala – powiedział, patrząc na Grot.

– Co Tomala?

– On kapował miastowym i to on odpowiada za śmierć Kamili i twojego syna.

Po tych słowach Wasiak odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę drzwi.

Grot poczuł, jak do oczu napływają mu łzy.

Krew z krwi

Kobus był zmęczony. Ostatnie czterdzieści godzin brał udział w przesłuchaniach.

Męczyła go już ta sytuacja. Od momentu zatrzymania Szczota i związanych z nim osób ciągle był na celowniku. Miał już telefony z Warszawy od najważniejszych polityków w kraju. Premier rozmawiał z nim blisko kwadrans. Pytał, czy dowody, które mają, są jednoznaczne i czy po czasie się nie okaże, że doszło do pomyłki. Sam koordynator służb specjalnych zapowiedział się w delegaturze i obiecał wszelką możliwą pomoc.

Kobus był zły. Przez lata siedział cicho. Nie wychylał się i dzięki temu mógł spokojnie pracować dla dobra kraju, a zarazem dla dobra służby, do której nieoficjalnie należał. Wasiaka poznał kilka lat temu, gdy był naczelnikiem wydziału do spraw gospodarczych krakowskiej komendy wojewódzkiej. Pamiętał tamten dzień, jakby to było wczoraj. Był na zakupach w galerii handlowej i przypadkiem potrafił przechodzącą dziewczynę. Przeprosił i zaproponował kawę. Zgodziła się. Usiedli w kawiarni i zaczęli rozmawiać. Opowiadała mu o sobie. Mówiła, że pochodzi z małej miejscowości w pobliżu Krakowa, zaczęła studia na Uniwersytecie Jagiellońskim. Podobała mu się. Słuchał jej i miał nadzieję, że ta chwila będzie trwała wiecznie. W pewnym momencie Magda, bo tak się przedstawiła, zaproponowała, żeby spędzili razem noc. Był w szoku. Dotąd nie miał takich przygód i nie bardzo wiedział, jak zareagować. Zgodził się jednak. Pojechali do hotelu. Po drodze kupili butelkę wina. Pamiętał, że siedzieli w pokoju i pili. Nie dopił nawet lampki, gdy urwał mu się film. Ocknął się po kilku godzinach. Magda siedziała w fotelu z lampką wina i uśmiechała się do niego. Przy oknie stał jakiś facet. W pewnym momencie odwrócił się i rzucił mu kilka zdjęć. Kobus przejrzał je zaskoczony. Na fotografiach była martwa dziewczyna. Wtedy Wasiak, bo to on stał przy oknie, powiedział, że ma dla niego propozycję – szukał lojalnych ludzi do tajnej służby specjalnej. Mówił, że są na tyle utajnieni, że o ich istnieniu wie

zaledwie kilka osób w kraju. Początkowo Kobus chciał go wyśmiać, jednak Wasiak oznajmił, że dziewczyna z fotografii została zamordowana dwa lata wcześniej. Na miejscu odnalezienia zwłok ujawniono sporą ilość śladów biologicznych. Sprawca jak dotąd nie został złapany. W magazynie dowodów rzeczowych Wasiak podmienił próbki biologiczne rzeczywistego sprawcy na materiał biologiczny Kobusa. To wtedy dostał ultimatum: współpraca lub długoletnia odsiadka.

Nazajutrz z samego rana Kobus pojechał do komendy. Za flaszkę postawioną gliniarzowi odpowiedzialnemu za magazyn przejrzał książkę wejść i wyjść. Rzeczywiście materiały dotyczące morderstwa były ostatnio przeglądane przez jakiegoś gliniarza z wydziału zabójstw. Poszedł do komisarza, którego podpis widniał na kwitach, i dowiedział się, że ten nic nie pobierał. Zdawał sobie sprawę, że nie ma wyjścia. Musiał podjąć współpracę.

Wasiak odezwał się ponownie po tygodniu. Powiedział, że szuka ludzi na kierownicze stanowiska w innych służbach. Opowiadał, co chce w zamian za pomoc w karierze i jakie informacje go interesują. Padła oczywiście groźba ujawnienia sprawy zabójstwa.

Kobus nie miał wyjścia. Dwa miesiące później dostał propozycję objęcia kierowniczego stanowiska w krakowskiej delegaturze CBA. Przez dwa lata się tam sprawdzał. Potem został przeniesiony do Wrocławia na stanowisko szefa tej placówki.

Z czasem Wasiak powiedział mu, że sprawa z podmienieniem śladów biologicznych była blefem. Obserwował go od dłuższego czasu i chciał z nim współpracować. Wolałby go dobrowolnie przekonać, ale musiał się zabezpieczyć. Dlatego wymyślił sprawę zabójstwa i podmiany śladów.

Kobus nie miał pewności, jaka jest prawda, a co jest kolejnym kłamstwem. Podjął współpracę i teraz już nie miało to tak wielkiego znaczenia, czy był do niej zmuszony, czy nie. Po prostu robił to, co do niego należało. I wiedział, że robi dobrze.

Spojrzał na siedzącego na wprost polityka. Szczot wywiązał się ze swojej części układu. Podawał szczegóły dotyczące przestępstw, w których brał udział i o których wiedział. Wymienił ponad sto nazwisk osób uczestniczących w procederze. Kobus podejrzewał, że część z nich było niewinnych. Miał przecucie graniczące z pewnością, że Szczot załatwiał jakieś osobiste porachunki. Oni jednak musieli sprawdzić każdy wątek. Ludziom, których wskazał polityk, prześwietlano majątki i konta. Cała masa analityków sprawdzała wyciągi bankowe i lokaty.

Pozostali aferzyści także zeznawali. Każdy z nich starał się jednak umniejszyć swoją rolę w grupie wyłudzającej grunty i majątki. Obciążali za to innych, a najbardziej Szczota. Według nich to on miał być mózgiem całej operacji i trzymać parasol ochronny nad całym przedsięwzięciem. Arcybiskup podczas każdego przesłuchania płakał. Prosił, a wręcz błagał, aby zakończyć ten upokarzający dla niego spektakl. Stolica apostolska oficjalnie oprotestowała zatrzymanie arcybiskupa, ale po poinformowaniu, jakie ciążą na nim zarzuty, wyraźnie spuściła z tonu. Prymas wydał oświadczenie, że Kościół odcina się od swojego hierarchy i nie ma nic wspólnego z jego przestępczymi działaniami. Nuncjusz apostolski zdecydował o wprowadzeniu do kurii komisarza, który na dniach miał przybyć z Watykanu.

W ratuszu i urzędzie wojewódzkim także nastąpiły zmiany. Już kilka godzin po zatrzymaniu kilkanaście osób straciło pracę. CBA i policja zatrzymywały osoby przewijające się w materiałach śledztwa i w zeznaniach świadków. Każde zatrzymanie podejrzanego skutkowało kolejnymi. Aferzyści i skorumpowani urzędnicy zeznawali i podawali kolejne nazwiska. Afera zataczała coraz większe kręgi. Siedemnaście osób zostało zatrzymanych i decyzją sądu aresztowanych na trzy miesiące. Większość podejrzanych będzie jednak odpowiadała z wolnej stopy.

Dzisiaj z samego rana do prokuratury zgłosił się prezydent miasta i wojewoda. Zeznali, że nie mieli pojęcia o całej aferze i podjęli już zdecydowane kroki, aby urzędników zamieszanych w przestępczy proceder pozbawić pracy. Kilkoro ludzi zeznających w sprawie stwierdziło, że w urzędach nic nie mogło się dziać bez wiedzy i zgody urzędników wyższego szczebla. Kobus się zastanawiał, kiedy zostanie podjęta decyzja o zatrzymaniu wojewody i prezydenta.

Najwięcej zamieszania było jednak z prokuratorem Żelichnowskim. W ciągu kilkunastu godzin od zatrzymania sporo się z nim działo. Przedstawiciel wymiaru ścigania najpierw straszył ich zwolnieniami. Gdy to nie przyniosło spodziewanego rezultatu, przestał składać wyjaśnienia i stwierdził, że do niczego się nie przyznaje. Sąd zdecydował o zastosowaniu środka w postaci tymczasowego aresztowania. Żelichnowskiego przewieziono do aresztu, gdzie następnie próbował popełnić samobójstwo. W jakiś tajemniczy sposób zdobył naostrzoną łyżkę i przeciął sobie żyły. Po opatrzeniu zaczął udawać nieporozumiałego. Biegał po celi, robił fikołki i śpiewał. Kilka razy próbował stanąć na głowie, ale się przewracał. Zaczął robić dziwne miny i mówić w niezrozumiałym dla nikogo języku.

Gdy wypróżnił się w toalecie, po czym zaczął się smarować kałem, podjęto decyzję o skierowaniu go na obserwację psychiatryczną. Przewieziono go do szpitala dla osób psychicznie chorych.

Kobus się zastanawiał, jak długo potrwa wyjaśnienie wszystkich wątków. Samo przesłuchiwanie podejrzanych i skierowanie sprawy do sądu to jedno. Kolejnym – i najważniejszym – etapem było prześledzenie tras, którymi pieniądze uzyskane z procederu trafiały na prywatne konta. Śledczy musieli ustalić wszystkie rachunki bankowe, które mieli zatrzymani. Czekala ich żmudna i czasochłonna praca. Już w tej chwili było wiadomo, że część pieniędzy trafiła na konta w Szwajcarii, a część na konta na Litwie i Łotwie. Samo uzyskanie wiedzy jednak nie kończyło sprawy. Musieli jeszcze wykonać sporo działań zmierzających do odzyskania pieniędzy z tych kont.

Kwestią czasu będzie, kiedy do sprawy zostaną włączeni śledczy z innych służb. Już miał informację, że do przesłuchań chcą dołączyć funkcjonariusze abwery, cebosie i Krajowa Administracja Skarbowa. Nawet służby wojskowe chciały mieć dostęp do akt. Na pewno każdy z nich będzie chciał dla siebie kawałek tortu.

Kobus nie wiedział tylko, czy będzie to na rękę Wasiakowi. Nie przejmował się tym jednak zbyt. Miał swoją robotę do wykonania.

Teraz spojrzał na Szczota.

– Na dzisiaj proponuję zakończyć. Wyprowadzić zatrzymanego – powiedział do jednego z agentów stojących przy drzwiach.

– Jakby pan nie zauważył, to kończy się czas, kiedy mogę być zatrzymany – wtrącił Szczot.

Kobus się uśmiechnął.

– Ma pan rację, panie pośle. Nie wiem, czy wspomniałem, ale sąd przychylił się do wniosku prokuratury. Zaraz zostanie pan przewieziony do aresztu. Tam będzie pan spędzał noce, a w ciągu dnia będzie pan dowożony do nas.

– A nie mogę odpowiadać z wolnej stopy?

– Pan raczy żartować.

– Przecież współpracuję.

– Tak, ale musi pan wziąć pod uwagę względy bezpieczeństwa. Na wolności może się okazać, że znajdzie się ktoś, kto będzie chciał pana uciszyć. W areszcie będzie pan chroniony. Pułkownik Wasiak za to ręczy.

– Tego się właśnie obawiam...

Kobus patrzył, jak agent pomaga posłowi podnieść się z krzesła. Marzył o powrocie do domu i przespaniu się przynajmniej kilka godzin.

* * *

Artur postanowił pojechać do komendy. Zwolnienie lekarskie zaczynało mu już doskwierać. Kaśka ciągle siedziała w domu i się nim opiekowała. Nie przywykł do czegoś takiego. Miał ochotę odpocząć od dziewczyny i w końcu wyjść na zewnątrz.

Na szczęście rano Kasia pojechała do pracy zawieźć zwolnienie, które wzięła, żeby się nim zajmować, więc nie widziała, że on wychodzi z domu.

Na Podwale pojechał tramwajem. Kawalek od placu Legionów przeszedł pieszo. Każdy ruch wciąż sprawiał mu problem. Odczuwał ból w klatce piersiowej, jednak nie zwracał na to uwagi.

Wszedł do wydziału i zobaczył, że za jego biurkiem siedzi jakiś młody mężczyzna.

– To moje biurko – rzucił.

– Artur? Cześć. Jestem na twoje miejsce. Sławek.

Policjant wstał i wyciągnął rękę na przywitanie. Pasewicz chwilę się wahał, ale w końcu uściśnął mu dłoń.

– Artur. Gdzie reszta chłopaków?

– Na zwłokach. Jestem ja i naczelnik.

– A naczelnik gdzie?

W tym momencie otworzyły się drzwi i w progu stanął Ratajczyk. Wycierał ręce w papierowy ręcznik.

– Ooo, Artur! Co za niespodzianka. Chodź do mnie.

Pasewicz ruszył za naczelnikiem do jego gabinetu. Zamknął za sobą drzwi i zapytał:

– Co to za kolo?

– A daj spokój. Przydzielili mi go na twoje miejsce. – Ratajczyk machnął ręką.

– Na moje miejsce? Szybko działają. Jeszcze nie odszedłem ze służby, a już moje miejsce zajęte.

– Wydział musi mieć stan liczebny. Jak oberwałeś, kilka osób zdało sobie sprawę, że szybko nie wrócisz do fabryki. Oczywiście jeśli w ogóle wrócisz.

– Zobacz się. Jeszcze nie podjąłem decyzji. Gadaj jednak o tym Sławku. Co to za typ?

– Chłopie, szkoda słów. Ten chłopak nie nadaje się do niczego. Wolę go zostawić w wydziale, niech gra na jakiejś gierce, żeby tylko nie jechał na trupka.

– Tak źle?

Naczelnik przewrócił oczami.

– Źle? Włos się jeży na głowie. Zero przygotowania do służby. Kogo oni teraz szkolą? Za moich czasów trzeba było się starać, żeby się dostać do wydziału. Teraz tuż po szkole trafiają do zabójców.

– Nie przesadzaj. Może się chłopak wyrobi.

– Artur, ja przesadzam? Wczoraj wysłałem go po raport patologa. Wrócił bez raportu. Zostawił go na parapecie na korytarzu. Pieprzył, że spotkał jakiegoś swojego kumpla ze szkółki i zapomniał go zabrać. Wiesz, jak mnie tym wkurwił?

– Ja pierdołę, grubo...

– Ale to nic! Trzeba mu dwa razy wszystko tłumaczyć, zanim zrozumie i wykona zadanie na choćby minimalnym do zaakceptowania poziomie.

– To po co go trzymasz? – spytał Artur.

– Rozkaz z góry. Pamiętasz mojego poprzednika?

– Godlewskiego? Tuman i głąb. Powiem szczerze, że mniej kumatego gościa nie znam.

– No to wyobraź sobie, że Sławek jest synem tego tumana. To nie może się udać.

– Pieprzysz!

– Tak myślisz? Chłopie, policja schodzi na psy. Nepotyzm i zaniżanie poziomu służby. Mniejsza jednak z tym. Pożaliłem się i mi lepiej. Mów, co u ciebie – zmienił temat Ratajczyk.

– Kuruję się. Wszystko mnie jeszcze napieprza, ale daję radę.

– A mieszkanie?

– Syn Walczaka dał nam trzy miesiące na znalezienie czegoś nowego. Kaśka już szuka. Wczoraj pokazywała mi jakiś lokal na wsi.

– Na wsi? Chłopie! Ty jesteś mieszcuch!

– Moi rodzice pochodzili ze wsi.

– Ale ty już nie. Nie dasz rady.

– A ty skąd wiesz?

– Bo sam jestem ze wsi.

Artur się uśmiechnął.

– Tak myślałem. Kiedyś widziałem bilet pekaesu wystający ci z kieszeni.

– Pieprz się!

– Nie omieszkam złożyć tej propozycji Kaśce.

Ratajczyk rozparł się wygodnie w fotelu.

- Dobra, założmy, że pojedziesz na tę wieś. Nie szkoda ci miasta? – spytał.
 - Przecież to tylko trzydzieści kilometrów. – Pasewicz wzruszył ramionami.
 - Pół godziny i jestem we Wrocławiu. Żaden problem.
 - Niby tak, ale wiesz, żadnych atrakcji, żadnego kina.
 - Kino to będę miał codziennie, patrząc z okna na świat. Lepsze niż w 3D.
 - Będę musiał wpaść do ciebie na parapetówkę.
 - Zapraszam. A jak tam poszukiwania Grota? Wiadomo coś?
 - Nadal nic.
 - Powiem ci, że ciągle jestem w szoku. Podejrzewam, że Dębski go uprowadził. Znajdziemy bandziora, to wyciągniemy z niego info, gdzie jest Radek.
 - Nie wydaje mi się. Nie mówiłem ci, bo to wiedza sprzed godziny, ale znaleźliśmy Dębskiego.
 - I?
 - Niestety nie żyje. W sumie „znaleźliśmy” to za dużo powiedziane. Znaleźliśmy zmielone i spalone szczątki. Ostała się jedynie szczeka i kawałek palca.
 - Kurwa, opowiadaj!
 - A więc z samego rana dostaliśmy informację od dyżurnego o ujawnieniu zwłok w starym opuszczonym magazynie na Swojcu. Wojtek pojechał na adres. Na miejscu było ciało kobiety. Wstępne oględziny wskazują na uduszenie.
 - Ale co to ma wspólnego z Dębskim? – zdziwił się Artur.
 - Podczas przeszukiwania posesji odnaleziono fragment szczęki i palec. Analiza DNA potwierdziła, że to poszukiwany Dębski. Tuż przed twoim przyjściem dostałem raport.
 - Ktoś odpalił Dęba i chciał się pozbyć zwłok... Pewnie się nie spodziewał, że ktoś tam zabije kobietę i sprawa się wyda.
 - Też tak uważam. Ktoś, kto zadał sobie tyle trudu, aby zmielić taki kawał chłopa, a potem to podpalić, chciał być pewny, że nikt nie odnajdzie ciała. A tutaj pech. Nie ma jednak tego złego, jednego poszukiwanego mniej. Zaraz złożę raport i cofnie się ENA.
 - Jeśli możesz, dawaj mi znać, jak będzie coś nowego w sprawie Radka.
 - Nie ma sprawy. – Ratajczyk spojrzął na zegarek. – Sorki, Artur, ale robota na mnie czeka.
 - Jasne. Też muszę już lecieć.
- Pasewicz wstał i uściskał dłoń Ratajczykowi.
- Jak będzie parapetówka, dam znać. Cześć.

* * *

– Cześć, tato.

Wasiak spojrział w stronę drzwi. W progu stała jego córka.

– Cześć, Kasiu. – Podeszedł i pocałował ją w policzek. – Obudził się.

– Wreszcie. Idziemy do niego?

– Za parę minut. Powiedz mi najpierw, co tam u naszego drogiego Artura.

Katarzyna Wasiak zajęła miejsce przy biurku, wyciągnęła z torebki paczkę papierosów i odpaliła jednego.

– Powiem ci, że to zadanie mnie przerosło.

– Czemu? Pasewicz jest przystojny, wykształcony. Czego mu brakuje? O seks nie pytam.

– Niczego mu nie brakuje, ale robiło się już niebezpiecznie.

– To znaczy?

– Zaczynało mi już na nim zależeć.

Wasiak wszystko rozumiał. Katarzyna nie pierwszy raz dostała takie zadanie, jednak zawsze musiała rozkochać w sobie kogoś starszego, brzydszego i mniej inteligentnego niż Artur.

Kiedy zaczął obserwować Grota, zauważył, że co jakiś czas w pobliżu jego mieszkania pojawia się Pasewicz. Poprzez swoich ludzi uzyskał informację, że obaj swego czasu byli członkami wydziału zabójstw. Po śmierci bliskich Grota i jego odejściu ze służby Artur starał się mu pomóc. Z czasem jednak to wszystko się rozeszło.

Wasiak podjął wtedy decyzję, że podstawí policjantowi swoją córkę. Katarzyna od razu przystąpiła do działania. Z oddali ich obserwował i trzymał rękę na pulsie. Teraz misja została zakończona.

– A nie będzie ci go żal?

– Będzie. Jednak nie mogę sobie pozwolić na uczucie. On miał mnie pokochać, a ja miałam wykonać zadanie. Tyle i tylko tyle. Nic więcej nie wchodzi w grę.

– Wie już, że zniknęłaś?

– Nie. Zostawiłam wszystkie rzeczy.

– A nie dotrze po nich do ciebie?

– Wszystko było na lewe papiery. Nawet jak zaczniesz drążyć, odbije się od ściany. Nie martw się, tato.

Wasiak wiedział, że dobrze wyszkolił córkę. Kiedyś go zastąpi w organizacji.

– Dobra, chodź. Zobaczysz śpiącego królewicza – powiedział.
Katarzyna zagasila papierosa i wstała z krzesła.

* * *

Sebastian Kalinowski spojrzal na wyświetlacz swojego telefonu. Dzisiejsza wiadomość od pułkownika Wasiaka z godziną i miejscem spotkania kompletnie go zaskoczyła.

Nie miał z nim kontaktu od czasu, kiedy przeniósł się do Wrocławia. Wcześniej mieszkał w Wołowie i był strażnikiem w tamtejszym zakładzie karnym. Teraz pracował w areszcie przy Świebodzkiej.

Wasiaka na swoje nieszczęście spotkał trzy lata temu. Miał wtedy problem z hazardem. Po służbie szedł do osiedlowego punktu z automatami i tam trwonil pieniądze. Z czasem się zadłużył. Groziła mu utrata mieszkania. Nie wiedział już, co robić. Zaczął kombinować, jak zdobyć dużą forszę. Dogadał się z kilkoma dawnymi pensjonariuszami i zaczął planować skok. Planowali napaść na konwój odbierający pieniądze ze stacji paliw. Tuż przed akcją został jednak zatrzymany przez policję. Okazało się, że jeden ze współników wpadł na jakimś drobnym przestępstwie i chciał pójść na układ. W ramach współpracy wszystkich zakapował.

Kalinowski trafił do policyjnej izby zatrzymań. Rano został wezwany na przesłuchanie. Komisarz prowadzący śledztwo powiedział, że go wypuszcza. Gdy razem wyszli z budynku komendy, na zewnątrz czekał już Wasiak. Przedstawił się jako pułkownik i zaproponował współpracę w zamian za usunięcie danych Kalinowskiego w prowadzonym śledztwie dotyczącym planowania napadu. Zgodził się. Wolał mieć czystą kartę i nie pójść siedzieć. Jako były klawisz miałby w więzieniu ciężko.

Kilka tygodni później Wasiak kolejny raz pojawił się w jego życiu. Powiedział, że ich układ uległ zmianie. Wyjął spod płaszcza woreczek strunowy z kawałkiem sznurka do wieszania bielizny. Kalinowski rozpoznał go od razu. Taki sam sznurek wisiał w suszarni w jego kamienicy. Wasiak z uśmiechem powiedział, że tym narzędziem za dwie godziny zostanie uduszona nastolatka. Na jej ciele zostanie odnaleziony włos z cebulką, który został zdjęty z jego grzebienia. Kalinowski nie mógł w to uwierzyć. Wasiak zaproponował zmiany w ich umowie. Teraz miał robić wszystko, czego pułkownik będzie od niego chciał.

Następnego dnia z mediów dowiedział się o znalezieniu ciała nastolatki. Już wstępne oględziny wystarczyły, by stwierdzić, że została uduszona sznurem do bielizny. Kalinowski wiedział, że wpadł w pułapkę.

Trzy miesiące później dostał propozycję przeniesienia się do aresztu śledczego we Wrocławiu. Był nią zaskoczony. Nie planował przeprowadzki ani zmiany miejsca pracy. Wasiak esemesem polecił mu przyjąć angaż. Kalinowski wiedział, że przeniesienie było robotą pułkownika. To był ich ostatni kontakt. Aż do dzisiaj.

Siedział teraz na ławce przy fosie. Spojrzał na zegarek. Wasiak powinien być już pięć minut temu. Nigdzie jednak nie widział pułkownika. W pewnym momencie podszedł do niego jakiś mięśniak i powiedział:

- Idź za mną.
- Co?
- Nie gadaj, tylko idź.

Mięśniak ruszył w stronę placu Jana Pawła II.

Kalinowski podążył za nim. Kątem oka zauważył, jak z sąsiednich ławek wstaje dwóch mężczyzn. Nie spodziewał się, że jest obserwowany. Widział kilku ludzi siedzących w pobliżu, ale nie spodziewał się, że to jacyś tajniacy. Kilka razy się obejrzał. Śledzący ich faceci szli kawałek dalej. Widać było, że się rozglądają w poszukiwaniu potencjalnego ogona.

- Oni są ze mną – usłyszał. – Sprawdzają, czy nikt za tobą nie łązi.

Kalinowski skinął głową.

W końcu doszli do kładki przez fosę i skierowali się w stronę ulicy Włodkowica. Tam mięśniak wskazał Kalinowskiemu volkswagena t4 z przyciemnianymi szybami.

- Właż – polecił mężczyzna.

Kalinowski rozejrzał się dookoła. Szukał wsparcia.

- Właż albo ci pomogę.

Otworzył drzwi i zobaczył, że w środku siedzi dwóch starszych mężczyzn. Jeden z nich miał bliznę na pół twarzy, jakby od miecza. Drugi wyglądał na prawnika lub wojskowego. Jego garnitur mógł być wart tyle, ile Kalinowski zarabiał przez pół roku.

– Pan wsiada, panie Kalinowski. Nazywam się Górecki. Jestem przełożonym Wasiaka – powiedział ten w eleganckim garniturze.

- No właśnie byłem z nim umówiony.
- Ze mną pan był. Ze mną.

Kalinowski zastanawiał się, co jest grane. Był kompletnie zaskoczony sytuacją.

– Mam dla pana propozycję. Niech pan słuca uważnie.

Kalinowski miał przeczucie, że znalazł się sytuacji, która zmieni całe jego życie.

* * *

Grot patrzył, jak do jego sali wchodzi Wasiak i jakaś zgrabna blondynka. Uśmiechnęła się do niego i stanęła z boku.

– Jest i nasz śpioch – powiedziała.

– A pani to pewnie diaboliczna córusia – mruknął.

Kobieta przysunęła sobie krzesło i usiadła. Wasiak stał tuż za nią i też się uśmiechał.

– Panie Radku, proszę poznać, to moja córka Katarzyna.

– Cała przyjemność po mojej stronie – powiedziała kobieta.

– I chyba tylko po pani. Kiedy stąd wyjdę? – spytał pułkownika Grot.

– Za jakiś czas. Oczywiście jak lekarze stwierdzą, że pański stan na to pozwala.

– Czuję się lepiej. Mogę wyjść w każdej chwili.

Wasiak z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Tak jak myślałem, nieugięty komisarz Grot.

– Były komisarz.

– Tak, były.

Grot poprawił się na łóżku. Wykonując ruch, syknął.

– Widzi pan, panie Radku, jeszcze może być za wcześnie.

– Mam coś do załatwienia.

– Tomala? Podejrzewałem, że będzie pan chciał się zemścić. Sam bym to chętnie zrobił. Nawet początkowo miałem zamiar to zrobić. Stwierdziłem jednak, że to pan ma pierwszeństwo jako ojciec.

– A jaki ty miałbyś powód, żeby zabić Tomalę? Ja jako ojciec, a ty?

Wasiak spojrział na Grot, a następnie przeniósł wzrok na córkę.

– Jako dziadek – powiedziała kobieta.

Grot czuł się jak w jakimś narkotycznym widzie. Był zaskoczony słowami kobiety. Znowu się poruszył. Chciał poczuć fizyczny ból, który pozwoli mu stwierdzić, że nie śpi. Syknął.

– Dziadek? – spytał przez zaciśnięte zęby.

Wasiak skinął głową.

– Jeśli dziadek, to sugerowałoby, że jesteś moim ojcem. Bo rodziców Kamili poznałem.

– Tak. Jest pan, panie Radku, moim synem.

– Pierdolisz, człowieku.

– Tak pan uważa?

– Ja nie mam ojca.

– Nie miał pan. Powiem więcej, ja też nie miałem świadomości, że jest pan moim dzieckiem. Dowiedziałem się dwa lata temu. Akurat zaczynał się pan staczać na dno. Przeglądałem starą teczkę jednego z agentów podległych mojemu wydziałowi w bezpiece. Sam nie prowadziłem tego kapusia, robił to jeden z moich podwładnych. Mniejsza jednak z tym. To teraz nie ma żadnego znaczenia. Przeglądałem teczkę i zobaczyłem, że agent donosił na pewną kobietę. To był rok osiemdziesiąty siódmy. Tajny współpracownik pisał w meldunku, że ta kobieta ma w domu dolary. Niby normalna rzecz, ale zwróciłem uwagę na nazwisko. Grot. Według donosiciela kobieta wychowywała samotnie swojego wnuka, Radosława. Sprawdziłem wszystko w swoich źródłach. Okazało się, że matka nastolatka popełniła samobójstwo w siedemdziesiątym pierwszym roku. Powiesiła się na strychu.

Grot zacisnął szczękę. Wasiak opowiadał o jego matce i babci.

– A jaki to ma związek z tobą? – spytał cicho.

Wasiak głośno westchnął.

– Urodziłeś się w sześćdziesiątym dziewiątym. – Sam nie wiedział, kiedy przeszedł z Gotem na „ty”. – Ja w tym okresie pracowałem już w resorcie. Byłem młodym podporucznikiem i cieszyłem się życiem. Ostro wtedy balowałem. Piłem także w robocie. Pewnego dnia patrol milicji przywiózł kilku studentów, w tym twoją matkę. Mnie przydzielono przesłuchanie tej grupki. Byłem lekko dziabnięty i nawet nie wiem, jak to się stało, ale...

– Zgwałciłeś ją? – przerwał mu Grot.

– Nie. Czemu tak uważasz?

Grot milczał.

– Dobra, idźmy dalej – podjął Wasiak. – Nie zgwałciłem jej. Wypuściłem.

– I ja mam w to wierzyć?

– Jak chcesz. Nie zmienia to jednak faktu, że twoja matka wyszła tamtego dnia do domu. Dwa dni później ją odwiedziłem. Zaprosiłem ją na kawę do kawiarni, ale odmówiła. Za punkt honoru postawiłem sobie zdobycie jej serca. Przychodziłem prawie codziennie. W końcu albo miała już tego dość, albo coś

między nami zaiskrzyło. Nie mam pojęcia. Niemniej zgodziła się i poszliśmy na tę kawę. Potem zaczęliśmy się spotykać regularnie.

– Moja matka spotykała się z esbkiem? – spytał Grot.

– Tak. Kilka razy się przespaliśmy. Uważałem, że możemy stworzyć trwały związek. Można nawet powiedzieć, że planowałem wspólną przyszłość. Potem jednak wszystko się zmieniło. Nie chciała się już ze mną spotykać. Powiedziała, że nic już między nami nie ma. Mówiła, że się pomyliła, i prosiła, bym dał jej spokój.

– Wreszcie otworzyła oczy...

– Może i tak. Z czasem się dowiedziałem, co było powodem. Zaszła w ciążę. Mieliśmy mieć dziecko. Jednak prawdę poznałem dopiero dwa lata temu. Przez te wszystkie lata nie byłem świadomy twojego istnienia. Robiłem karierę i wspinałem się coraz wyżej. Raz czy dwa byłem u was w domu. Twoja babka jednak mówiła, że córka wyjechała prawdopodobnie na Śląsk. Zależało mi na niej, ale jej nie szukałem. Dałem sobie spokój.

Grot milczał.

– Czy znasz powód samobójstwa swojej matki? – spytał po chwili Walczak.

– Nie. Babcia nie chciała, żebym pytał. A potem już się tym nie interesowałem.

– Jak się dowiedziałem o twoim istnieniu, zacząłem dążyć. Udało mi się dotrzeć do listu, który zostawiła. Pisała w nim, że nie daje rady. Że pokochała złego człowieka.

– Miała rację.

Walczak zamilkł.

– Jak będziesz chciał, dam ci kserokopię tego listu – powiedział po chwili.

– Masz go?

– Tak. Po samobójstwie twojej matki milicja przekazała go moim przełożonym. Ci jednak stwierdzili, że nie ma sensu badać wątku. Podjęto decyzję o przekazaniu go do jej akt i całą teczkę utajniono. Nawet nie wiedziałem, że istniejesz, a moja młodzięcza miłość popełniła samobójstwo.

Grot patrzył na swojego ojca. Nie miał pojęcia, co powiedzieć.

* * *

Szczot leżał na łóżku w pojedynczej celi aresztu przy ulicy Świebodzkiej.

Kilka minut temu przyszedł do jego celi strażnik i dał mu butelkę wody mineralnej. Szczot sprawdził, czy butelka jest oryginalnie zamknięta. Wszystko

było w porządku.

Obawiał się o swoje bezpieczeństwo. Zdawał sobie sprawę, że kilka osób wolałoby, aby milczał. Nikomu z dawnych kolegów nie zależało na ujawnieniu tego, co wiedział na temat wspólnych interesów.

Zastanawiał się, jak bardzo pogрузić zeznaniami swoich współpracowników z partii. Nie uważał, że musi być wobec nich lojalny. Oni wobec niego nie byli. Nikt go nie powiadomił o głosowaniu w sprawie wniosku o pozbawienie go immunitetu. Nikt nie zadzwonił ani nie wysłał esemesa.

Zdecydował, że rano powie, co wie na temat przekrętów najważniejszych polityków w partii. Nie będzie krył ani premiera Starczewskiego, ani jego ministrów. Niech cały świat się dowie o tym, co wyprawiali przez lata swoich rządów. Miał też sporą wiedzę na temat nieuczciwych działań członków obozu aktualnie sprawującego władzę. Oberwie się każdemu.

Otworzył butelkę i wziął kilka łyków. Woda smakowała jakoś dziwnie. Po chwili poczuł, że coś jest nie tak. Zaczęło mu się kręcić w głowie. Chciał wstać z łóżka, ale nie miał siły. Upadł na podłogę i chwycił się za głowę. Lewa strona zaczęła mu drętwieć. Poczował pulsowanie w skroniach i wymiotował na podłogę.

Miał nadzieję, że zaraz ktoś przyjdzie mu z pomocą. Jego cela była przecież monitorowana przez całą dobę.

– Pppmssaispllllaayyy – próbował zawołać, ale z jego ust wydobył się tylko niezrozumiały bełkot. Czuł, że dzieje się coś dziwnego. Wargę zaczęła mu opadać, powieka drżeć, a ból głowy był nie do wytrzymania. Miał wrażenie, że ciśnienie zaraz ją rozsądzi.

Marzył o śmierci.

* * *

Kalinowski na monitorach obserwował celę Szczota. Czekał, aż polityk straci przytomność. Wtedy wejdzie do środka i podmieni butelki. Oczywiście wcześniej wyłączy kamerę, żeby nie dać się nagrać.

Zdawał sobie sprawę, że to, co zrobił, jest złe, ale nie miał innego wyjścia. Tamten mężczyzna w busie jednoznacznie mu powiedział, co się z nim stanie, jeśli nie wykona zadania. Chciał żyć, dlatego się zgodził. Ten Górecki wręczył mu fabrycznie zamkniętą butelkę. Tylko wprawne oko dostrzegłoby niewielką dziurkę zaklejoną lekko stopionym plastikiem. Kalinowski wiedział, że w butelce jest jakaś trucizna. Bał się, ale Górecki powiedział, że Szczot po tym

nie umrze. Ma tylko dostać udaru. Środek, który znajdował się w butelce, miał sprawić, że poseł stanie się warzywem. Będzie niezdolny do samodzielnej egzystencji. Będzie wymagał całoobowej opieki.

Z tego, co mówił mężczyzna z busa, środek już po kilku godzinach nie będzie wykrywalny w organizmie, nawet jeśli komuś zależałoby na analizie krwi. Gdyby jednak Szczot umarł, sekcja zwłok także niczego by nie wykazała. Górecki zapewnił, że sprawa jest prosta i nikomu włos z głowy nie spadnie.

Kalinowskiemu zrobiło się żal polityka. Nie chciałby się znaleźć na jego miejscu.

Wyjął z kieszeni komórkę i wysłał wiadomość, że sprawa załatwiona. Miał nadzieję, że nie będzie już musiał wykonywać żadnych zadań. Że się uwolnił od Wasiaka i jego kolegów.

Sięgnął po butelkę z wodą mineralną. Zawahał się przez chwilę. Potem wstał i podszedł do zlewu.

Koniec

Wrocław, tydzień później

Artur siedział w skromnej kawiarni w rynku i pił kawę. Mimo że dopiero dochodziło południe, ruch był spory. Wszędzie kręciły się grupki turystów.

Sięgnął po filiżankę i wziął łyk. Żałował, że jest tu sam. Tęsknił za swoją dziewczyną. Nie wiedział, co było powodem ucieczki Kaśki. Nie zostawiła nawet listu.

Jeszcze dzień wcześniej razem z nim szukała mieszkania na wsi, a potem opuściła go bez słowa. Próbował się do niej dodzwonić, ale numer był nieaktywny. Pojechał do jej ojca, gdzie wcześniej ją odwiózł, ale okazało się, że mieszkanie było wynajmowane, a lokator wyprowadził się dzień wcześniej. Nie podobała mu się ta sytuacja. Coś mu tu śmierdziało.

Zastanawiał się przez chwilę, czy nie zgłosić zaginięcia Kasi. Jakby ruszyła machina, dowiedziałby się, co było powodem jej wyprowadzki. Ratajczyk jednak nie byłby zadowolony z takiej prywaty. Miał nadzieję, że Kaśka za jakiś czas sama się odezwie.

Nagle zorientował się, że obserwuje go dwóch mężczyzn. Byli dobrze zbudowani, mięśnie opinały im koszulki, a twarze nie wyrażały żadnych emocji. Próbował sobie przypomnieć, czy ich zna lub czy kiedykolwiek miał z nimi do czynienia. Mogli to być jacyś bandyci, których kiedyś przesłuchiwał. Mogli to też być ludzie, którzy chcieli albo go skrzywdzić, albo tylko nastraszyć.

Nie miał zamiaru się ich obawiać. Po tym, jak opuścił swoje ciało i znalazł się na granicy życia i śmierci, niczego już się nie bał. Co może się stać? Najwyżej znowu zobaczy swoje ciało z góry. Uśmiechnął się do mężczyzn i podniósł filiżankę z kawą. Spojrzeli po sobie, po czym jeden wstał i ruszył w jego stronę.

Podszedł do stolika i powiedział:

– Za pięć minut pod pręgierzem.

Pasewicz nie zdążył odpowiedzieć, bo mężczyzna odwrócił się i wyszedł z lokalu.

Spojrzał w stronę stolika, gdzie wcześniej siedział jego kompan. Stolik był pusty.

* * *

Kobus siedział w swoim gabinecie. Analizował ostatnie zeznania zatrzymanych.

Sięgnął po kolejną teczkę, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

– Wejść! – zawołał.

W progu stał jakiś młody agent. W ręku trzymał kopertę.

– To przyszło przed chwilą z centrali – powiedział.

– Daj.

Kobus otworzył przesyłkę i zaczął czytać. Z każdym zdaniem był coraz bardziej wściekły. Pismo informowało, że w areszcie znaleziono zwłoki jednego z zatrzymanych do sprawy urzędników. Mężczyzna jeszcze nie był przesłuchiwany przez śledczych, ale jak wynikało z zeznań pozostałych zatrzymanych, miał duży wpływ na decyzje, które zapadały w gronie osób tworzących układ przestępczy.

To był kolejny dziwny przypadek związany z wrocławskim aresztem.

Najpierw Szczot dostał udaru i trafił do szpitala w stanie wegetatywnym. Najważniejszy świadek zamilkł na zawsze. Potem strażnik więzienny, który miał wtedy dyżur, wpadł pod pociąg, gdy wysiadł na dworcu w Wołowie. Jechał do rodziny i uległ wypadkowi. Nie przeżył starcia z przejeżdżającym przez stację pospiesznym. Był świadek, który twierdził, że faceta pod pociąg wepchnięto, ale po kilku godzinach wycofał zeznania.

A teraz ten urzędnik...

Kobus nie wierzył w samobójstwo zatrzymanego. Był pewny, że za tymi wszystkimi dziwnymi zdarzeniami stoi Wasiak. Pułkownik usuwał niewygodne osoby i świadków. Kiedyś może mu przyjść do głowy pomysł, by usunąć także jego.

Z wściekłością zmiął w garści kartkę papieru i rzucił w kąt biura.

* * *

Artur zapłacił za kawę i udał się w kierunku pręgierza.

Początkowo zamierzał olać to, co mówił tamten facet, ale ciekawość zwyciężyła.

Wrocławski pręgierz był częstym miejscem spotkań. Sam kiedyś często umawiał się tu na randki. Teraz także było tu sporo osób.

Usiadł obok kilku artystów, którzy sprzedawali swoje obrazy, i rozejrzał się. Nigdzie jednak nie widział mężczyzny z kawiarni. Już miał odejść, gdy usłyszał za plecami:

– Dzień dobry, panie Arturze.

Odwrócił się i zobaczył starszego faceta. Kojarzył go z widzenia. Gdy był w szpitalu po postrzale, raz widział go stojącego na korytarzu. Artur myślał, że na kogoś czekał. Teraz się okazało, że prawda była bardziej skomplikowana. Najbardziej jednak zaskoczony był kompanami starszego mężczyzny.

Coś mu tu nie grało.

– Czy my się znamy? – spytał.

– Nie, ale byłem przekonany, że w odpowiednim czasie się spotkamy.

– Kurczę, człowieku, o co tutaj chodzi? W co ty grasz?

– Spokojnie, panie Arturze. Najpierw chciałbym pogratulować panu wyjścia ze szpitala i powrotu do zdrowia. Rozumiem, że do pełni formy jeszcze długa droga, ale da pan radę.

– Dziękuję.

– Chciałbym też powiedzieć, że jest mi przykro, że odeszła od pana dziewczyna.

– Skąd pan to wie? – Pasewicz poderwał się z miejsca.

– Panie Arturze, spokojnie. Mam takie zasady, że muszę dużo wiedzieć o kimś, komu chcę pomóc.

– A niby w jaki sposób ma zamiar mi pan pomóc? Jest pan z jakiejś fundacji?

– Chciałby pan łapać przestępców? – spytał mężczyzna.

Artur popatrzył mu w oczy. Widział w nich siłę i bezwzględność. Facet był niebezpieczny i pewnie zdawał sobie z tego sprawę.

– O co tutaj chodzi?

– Zaraz wszystko panu wyjaśnię. Obserwowałem pana i sporo o panu wiem.

– Kim pan jest?

– Nazywam się Wasiak – odpowiedział starszy mężczyzna.

– A więc dobrze, panie Wasiak, o co tutaj chodzi?

– Panie Arturze, jest pan, a właściwie był pan policjantem...

– Jestem.

– Po tym postrzale nie sędzę, aby pan wrócił do służby. Mniejsza jednak z tym. Mam pytanie. Co pana najbardziej w tej pracy denerwowało?

– Co to za pytanie?

– Niech pan odpowie.

Pasewicz się zamyślił. Dużo było takich rzeczy. Nie umiał wybrać jednej.

– Hmm, niskie zarobki – powiedział w końcu niepewnie.

– Panie Arturze, proszę nie robić sobie jaj. Nie o to pytałem. Tak szczerze. Nie chodzi mi też o statystyki, które stały się zmorą policji.

– Szczerze? Bezsilność.

– No dobrze. A dokładniej?

– Bezsilność, gdy czasem nie jesteśmy w stanie ustalić sprawcy przestępstwa. A nawet, jak ustalimy, to taki zbój dostaje jakiś śmieszny wyrok. Może być taka odpowiedź?

Mężczyzna się uśmiechnął i spojrzał w kierunku grupki dzieciaków przechodzącej w pobliżu. Cisza stawała się już denerwująca.

– A gdyby miał pan możliwość to zmienić? – odezwał się w końcu.

– Co ma pan na myśli?

– Co pan wie o ustawie o bestiach?

– No jest to ustawa pozwalająca zatrzymać w odosobnieniu sprawców najgroźniejszych przestępstw. Z reguły chodzi o zabójców na tle seksualnym.

– Odrobił pan lekcję. – Wasiak się uśmiechnął. – Jednak z tą ustawą związana jest też pewna służba specjalna. Tajna. Nie ma jej w oficjalnych rejestrach.

Artur był zaskoczony. Nic nie wiedział na temat jakiejś dodatkowej służby.

– Jak wprowadzono w życie ustawę, to ją utworzono. Ma ona kilka zadań do wykonania. Specyficznych działań.

– Jakich?

– Będę z panem szczerzy: pracujemy w podobny sposób jak słynne Archiwum X. Rozwiązujemy zagadki zabójstw z przeszłości, tylko mamy trochę inny budżet. Często też dokonujemy zatrzymań. To jedno z naszych zadań.

– A inne? – spytał Artur. Ta rozmowa coraz bardziej go intrygowała.

– Inne? Jak pan wie, czasem się zdarza, że sąd popełni błąd i sprawca dostaje śmiesznie niski wyrok.

– Takie sytuacja faktycznie mają miejsce.

– Więc jak te osoby wychodzą, my je obserwujemy i w razie jakiegokolwiek podejrzenia zatrzymujemy oraz izolujemy.

– Jak mam rozumieć słowo „izolujemy”?

– Mamy więzienie i tam je zamykamy.

– Bez sądu? – Pasewicz wytrzeszczył oczy.

– A do czego sąd jest potrzebny, skoro te osoby są winne? My tylko naprawiamy błędy wymiaru sprawiedliwości – odparł Wasiak.

– A czemu pan mi o tym mówi?

– Bo chciałbym mieć pana w swoim zespole. Oczywiście oficjalny angaż będzie miał pan w Centralnym Biurze Śledczym.

– A jak się tam dostanę?

– Mamy swoje sposoby. Pan będzie na normalnym stanowisku. Z czasem będziemy potrzebowali pańskiej pomocy. Z czasem. Może się okazać, że przez rok albo i dwa będzie pan miał spokój. A może się okazać, że wkroczy pan do akcji z marszu.

Propozycja Wasiaka wydała się Arturowi kusząca. Naprawianie błędów, które popełniają sędziowie, było jego zdaniem prawnie uzasadnione. A także jakąś oznaką sprawiedliwości wobec ofiar.

– Muszę się zastanowić – powiedział.

Wasiak się uśmiechnął i wstał z murku. Artur zobaczył dwóch mężczyzn, których widział w restauracji. Stali kilkanaście metrów dalej. Wiedział, że są ochroną mężczyzn.

Stary stanął przed Arturem i przez chwilę patrzył przed siebie. W końcu powiedział:

– Dobrze, odezwę się do pana. Ach, zapomniałbym. Ma pan pozdrowienia od Grota.

Pasewicz podniósł na niego zaskoczone spojrzenie.

– Pan go zna?

– Tak. Pracuje dla nas. Wykonuje zadanie poza granicami kraju.

– Ale...

– Panie Arturze, tajemnica. Nic więcej panu nie powiem.

Wasiak odwrócił się i ruszył w stronę przejścia Świdnickiego.

Artur zastanawiał się, dlaczego Grot nie dał znaku życia.

– Już ja sobie z tobą pogadam... – powiedział cicho.

* * *

Grot wyjął z kieszeni kserokopię listu pożegnalnego, który zostawiła jego matka. Kolejny raz zaczął go czytać.

Nawet nie wiem, co powinnam napisać. To, co muszę zrobić, jest dla mnie bardzo trudne. Zdaję sobie sprawę, że swoim postępowaniem skrzywdzę wiele osób. Nie potrafię jednak już sobie z tym wszystkim poradzić.

Mam syna, dla którego powinnam walczyć, ale to wszystko jest ponad moje siły. Mam matkę, którą kocham i która mnie także darzy uczuciem.

Miałam jednak także kogoś, kto na moje uczucie nie zasługiwał. Ale serce nie służy. Pokochałam złego człowieka. Pokochałam kogoś, kto na tę miłość nie zasługiwał.

Tadeusza poznałam podczas przesłuchania w budynku Służby Bezpieczeństwa. Okazał się jednak porządnym człowiekiem. Wypuścił mnie. Zaczęliśmy się spotykać. Chcieliśmy stworzyć coś trwałego. Efektem tego związku jest Raduś, mój ukochany syneczek.

Tadeusz nie wie o jego istnieniu. Nie powiedziałam mu, że będziemy mieć dziecko. Nie mogłam. Moi znajomi wiedzieli, że spotykam się z pracownikiem bezpieki. Widziałam, że im to nie pasuje. Zaczęłam być traktowana jak trędowata. Wiele nocy przepłakałam z tego powodu. Zdawałam sobie sprawę, jaki los spotka nasze dziecko. Rówieśnicy będą je traktować jak kogoś gorszego. Chciałam mu oszczędzić takiego losu. Dlatego postanowiłam zakończyć związek z Tadeuszem.

Wiem, że przychodził do mojego domu. Słyszałam, jak moja matka mu mówi, że wyjechał. W końcu przestał się pojawiać. Zrezygnował. Przepłakałam wiele nocy z tego powodu. Tak bardzo pragnęłam, żeby wrócił.

Tydzień temu dowiedziałam się o pewnej rzeczy. Gdy ja zostałam wtedy wypuszczona do domu po przesłuchaniu, kilka cel dalej zakatowano jednego z moich kolegów, który zginął od uderzeń drewnianą pałką. Z tego, co wiem, bił go mój Tadeusz.

Nie mogę się pogodzić z tym, że pokochałam mordercę. Nie chcę, aby moi znajomi wiedzieli, że Radek jest jego synem. Jednak wiedza o tym, co zrobił mój ukochany, nie pozwala mi żyć.

Wybaczcie.

Teresa

Znał treść tego listu prawie na pamięć. Starał się zrozumieć postępowanie matki. Nie mógł uwierzyć, że targnęła się na własne życie, bo usłyszała o zabójstwie dokonany przez Wasiaka. Z czymś takim przecież można żyć.

Zastanawiał się, jak powinien postąpić z ojcem. Nie traktował go jako kogoś bliskiego. Był tylko dawcą nasienia, nikim więcej. Nie łączyło ich nic poza genami. Wasiak nie był obecny podczas jego narodzin, komunii, ślubu. Był kimś całkowicie obcym.

Grot wyszedł ze szpitala dwa dni temu. Miał zadanie do wykonania. Zamierzał dowiedzieć się od Tomali, dlaczego go zdradził. Kiedyś byli partnerami, ale to było coś więcej niż zwykła znajomość z pracy. Traktował go jak przyjaciela.

Teraz czekał na niego w pobliżu jego bloku. Od Katarzyny Wasiak wiedział, że Tomala każde przedpołudnie spędza na siłowni. Potem wraca do domu i pije piwo. Tak wyglądał każdy dzień jego dawnego partnera.

Sprawdził broń za paskiem spodni. Chciał zastraszyć Tomalę i wraz z nim wejść do jego mieszkania. Tam wszystkiego się dowie.

* * *

Wasiak szedł w kierunku Świdnickiej.

Zwerbował kolejnego członka organizacji. Okłamał Pasewicza. Nie było żadnej tajnej służby związanej z ustawą o bestiach. Wymyślił to, żeby przekonać młodego policjanta do współpracy.

Potrzebowali ludzi w innych służbach. Ludzi lojalnych i gotowych do wykonania postawionych przed nimi zadań. Za jakiś czas spreparuje coś przeciwko Arturowi. Będzie mógł go szantażować i zmusić do bardziej radykalnych czynów.

Było mu trochę szkoda policjanta. Kiedyś był do niego podobny. Miał marzenia, zasady i chciał, żeby sprawiedliwość triumfowała. Jednak to były inne czasy.

Służba Bezpieczeństwa trochę wypaczyła jego poczucie sprawiedliwości, zmieniła go. Niestety na gorsze. Zamiast być sprawiedliwym gliniarzem, milicjantem rozwiązującym zagadki kryminalne, był funkcjonariuszem bezpieczeństwa. Zamiast dbać o porządek, łamał kręgosłupy moralne, zastraszał, szantażował, preparował dowody winy. Był nowotworem toczącym organizm zwany Polską.

Popołniając samobójstwo, Teresa wiedziała, kim on jest. Zdawała sobie też sprawę, kim się stanie.

Pasewicz także miał swoje zasady. Wiedział, gdzie jest granica pomiędzy dobrem a złem. Granica pomiędzy prawem a bezprawiem. Jednak te jasno nakreślone granice często mogą być problemem. Im bardziej uczciwa osoba, tym trudniej jej wykonać to, co czasem bywa konieczne.

– Panie pułkowniku – usłyszał głos Topora, jednego ze swoich ludzi.

Miał dzisiaj obstawę dwóch byłych operatorów GROM-u. Rzadko korzystał z ich usług. Z reguły wszędzie poruszał się sam lub w towarzystwie Kowala. Jego osobisty ochroniarz jednak przysłał dziś esemesa, że ma gripę jelitową i nie da

rady pojawić się w pracy. Wasiak odpisał mu, że nie ma sprawy, i życzył szybkiego powrotu do zdrowia.

Kajman i Topor w zupełności mu wystarczyli. Topor był niższy i bardziej barczysty. Kajman – wyższy i chudy jak szczapa. Wasiak nie pomyślałby, że taki chudzielec może być byłym komandosem. Widział go jednak w akcji i zdawał sobie sprawę, że jest sprawną maszyną do zabijania.

Odwrócił się i spytał:

– Co jest?

– Właśnie dostałem informację, że mamy mieć spotkanie.

– Spotkanie? Z kim?

– Z generałem Góreckim. Przyjechał do miasta i czeka w hotelu.

– No to jedźmy.

Wasiak ruszył w stronę zaparkowanego busa. Ochroniarze szli kilka metrów za nim.

* * *

Gdy Tomala wszedł do klatki, Grot nie zrobił tego, co zaplanował.

Postanowił odczekać minutę i dopiero wtedy podążył za nim. W budynku wszedł po schodach i stanął na półpiętrze. Chwilę nasłuchiwał. W końcu podszedł do drzwi i nacisnął dzwonek. W mieszkaniu nie było wizjera. Uśmiechnął się, gdy to odkrył. Nie musiał zasłaniać go dłonią.

Usłyszał odgłos przekręcanego zamka. Po chwili w progu stanął Tomala. Na widok Grota wytrzeszczył oczy.

– Radek?

– Wpuścisz mnie?

– Co? Tak... Jasne, wchodź.

– Jesteś sam?

– A z kim mam być? Baby nie mam, bachorów też nie. Ale opowiadaj, co u ciebie.

– Jakoś leci.

Grot powoli wszedł do mieszkania i rozejrzał się dyskretnie. Rzeczywiście byli sami.

– Kawy się napijesz? Może jakiegoś kielicha? Siadaj i się rozgość. – Tomala wskazał na wersalkę.

– Już nie piję.

– Odwyk?

– Tak.

Grot usiadł na kanapie.

– Ja też kiedyś myślałem nad wszywką, ale wiesz, jak jest. Teraz mniej piję, jednak jeszcze rok temu nieźle dawałem w palnik. Z tego, co słyszałem, ty też.

– Po śmierci Kamili i Stasia mnie tapnęło.

Tomala wyraźnie się zmieszał.

– Powiem ci, że jak sobie pomyślę, że skurwiel zajął ci bliskich, to mnie taki wkurw bierze, że szkoda gadać.

Grot poprawił się na wersalce, sięgnął za plecy i wyciągnął glocka. Wycelował w Tomalę.

– Radek, co ty odpierdalasz? – Dawny partner gwałtownie pobladł.

– Pogadać chciałem.

– Z tym? – Wskazał na pistolet.

– To na wypadek, gdybyś chciał mnie okłamać lub zrobić coś głupiego.

Tomala lekko się cofnął.

– Radek, co się dzieje?

– Chciałem z tobą pogadać na temat wydarzeń z przeszłości.

– Nie wiem, kto ci co nagadał, ale to jakieś bzdury.

– Bzdury? Z tego, co wiem, to ty mnie sprzedałeś miastowym. Ty byłeś kapusiem Maruchy. Ty namówiłeś go na zabicie Kamili i Stasia.

– To jakieś brednie! Co niby miałbym na tym zyskać?

– Ty mi powiedz.

Tomala przez chwilę milczał. W końcu oblizał usta i powiedział:

– Radek, zrozum, ktoś chce nas skłócić. Ja nie mam nic wspólnego ze śmiercią Kamili. Byliśmy... jesteśmy przyjaciółmi. Nie zrobiłbym nic takiego.

Grot milczał.

– Mogę się napić? – spytał Tomala, wskazując barek.

– Możesz, tylko nie kombinuj. Jeśli masz gdzieś chowaną kłamkę i będziesz chciał zrobić coś głupiego, to strzelę.

– Nie kombinuję.

Tomala podszedł do barku i sięgnął po butelkę wódki.

– Może jednak się skusisz?

– Nie.

Nalał sobie kieliszek, szybko wychylił, po czym napełnił go ponownie.

– Radek, nie wiem, co jest powodem twojej wizyty, ale mylisz się – powiedział.

– Widziałem się z jednym z ludzi Maruchy. Powiedział mi, że to ty strzelałeś miastowym z ucha. To ty byłeś kretem Maruchy w wydziale – zablofował Grot.

Tomala wychylił kieliszek, wziął ze sobą butelkę i usiadł na wprost dawnego kumpla.

– Dobra, masz mnie – westchnął. – Kapowałem.

Grot poczuł, jak serce mu przyspiesza. Położył broń na kolanach.

– Dlaczego? – spytał.

– Potrzebowałem kasy. Poza tym nie muszę ci się tłumaczyć.

– A dlaczego Kamila i Staś?

– Bo nie chciałeś odpuścić. Wiedziałem, że tylko w ten sposób dasz sobie spokój. Oni nie mieli zginąć. Mieli być tylko nastraszeni. Ty miałeś się bać. Marucha jednak zdecydował inaczej.

– Byliśmy przyjaciółmi.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo żałowałem tego, co się stało. Jak mógłbym cofnąć czas, zrobiłbym to.

– Zabiłeś moich bliskich. Zabiłeś mi syna i żonę.

Grot podniósł pistolet i ponownie wycelował w Tomalę.

– Nie rób nic głupiego – powiedział były partner.

– Zabiłeś ich.

– Radek!

Grot przymknął powieki i powoli nacisnął spust. W pomieszczeniu rozległ się huk. Otworzył oczy i wstał z wersalki. Patrzył na postrzelonego w klatkę piersiową Tomalę.

– Miałem zamiar cię zabić – powiedział. – Dam ci jednak szansę na naprawienie zła, które wyrządziłeś. Zgłosisz się na policję i do wszystkiego przyznasz.

– Ochужałeś!

– Nie, Tomala. Pójdiesz i przyznasz się do współpracy z miastowymi.

– Ich już nie ma. Co komu po moim przyznaniu się? Życia Kamili i twojemu dzieciakowi to nie zwróci.

Grot opuścił broń wzdłuż uda. Przez kilka sekund patrzył na byłego kumpla trzymającego się za pierś. Potem odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia.

Zrobił zaledwie dwa kroki, gdy usłyszał za plecami dziwny dźwięk. Spojrzał w stronę szklanej gablotki. W jej odbiciu zobaczył, że Tomala sięga pod fotel i wyjmuje spod niego pistolet.

Zanim zdążył w niego wymierzyć, Grot się odwrócił i kilka razy nacisnął spust.

Kule trafiły Tomalę w pierś i w głowę.

Sekundę później mężczyzna wydał ostatnie tchnienie.

Grot schował pistolet za pasek i wyszedł z mieszkania.

* * *

Wasiak wszedł do pokoju hotelowego i spojrzał na siedzącego na kanapie generała Góreckiego.

– Jestem zaskoczony tą wizytą – powiedział z uśmiechem.

Ruszył w stronę generała, ale Górecki zrobił ruch dłonią. Dwóch ludzi z jego obstawy chwyciło go i siłą posadziło na krześle.

– Co jest, kurwa! – zaprotestował pułkownik.

W tym samym momencie otrzymał cios z pięści w skroń. W oczach mu pociemniało, w uszach zaczęło dziwnie dzwonić.

– Rusz się, to jeszcze raz ci wyjebię – ostrzegł Topor.

Wasiak poczuł, jak ktoś wykręca mu ręce. Po chwili usłyszał dźwięk zatraskiwanych kajdanek. Potrząsnął głową i otworzył oczy.

– O co tu chodzi? Generale, co się dzieje?

– Pies, który gryzie rękę, która go karmi, zasługuje na uspienie.

– Nie rozumiem...

– Kto to jest Grot? – spytał Górecki.

Wasiak zastanawiał się, czy odpowiedzieć. Ale prędzej czy później Górecki sam się dowie.

– Mój syn – powiedział cicho.

Wtedy otworzyły się drzwi łazienki i w progu stanął mężczyzna z blizną na pół twarzy.

– *Zdrastwujtie, towarzysz Wasiak.*

Wasiak kojarzył tego faceta. Pamiętał go z czasów pracy w resorcie. Widział go kilka razy na korytarzu w wojewódzkim urzędzie spraw wewnętrznych. Był kontrolerem i wszyscy wiedzieli, że od niego zależą kariery wyższych oficerów. Pamiętał, jak jeden z dawnych podwładnych generała opowiadał, że podczas kontroli w katowickim urzędzie spraw wewnętrznych Górecki stawał przed tym mężczyzną na baczność. Rosjanin opieprzał wtedy generała jak burą sukę. Z nieoficjalnych informacji Wasiak wiedział, że ten człowiek pracował dla GRU i kontrolował polską bezpieczeństwo cywilną oraz wojskową. Kiedyś słyszał, że sam Kiszczak się go obawiał. Kilka osób uważało, że radziecka bezpieka traktowało go jak namiestnika na polskiej ziemi.

– Kojarzysz naszego drogiego przyjaciela z Rosji? – zapytał Górecki. – Przypomnę ci. Towarzysz generał Jewgienij Kamieniew. Przybył do nas z wizytacją i uważa, że popełniście, Wasiak, sporo błędów. Na szczęście mamy możliwość ich naprawienia.

– Jakich błędów? – spytał pułkownik.

Kamieniew usiadł na kanapie i sięgnął po butelkę wódki. Nalał sobie do szklanki i wypił duszkiem. Następnie otarł usta i głośno wypuścił powietrze.

Górecki kontynuował:

– Uważacie, Wasiak, że możecie wiele. Niestety w naszych oczach jesteście nikim. Wasze działania nam szkodzą. Jak pewnie możecie się domyślić, nasi znajomi z Moskwy nie są zadowoleni z waszych poczynań. Podobnie koledzy z dawnej bratniej STASI. Psujecie, Wasiak, nasze interesy i sprawiacie, że policja i inne służby interesują się tym, co robimy. Poza tym skupiliście w swoich rękach zbyt dużo sznurków. Poupychaliście swoich ludzi po służbach i chcecie rządzić. Za krótcy jesteście.

Wasiak był zaskoczony słowami Góreckiego. Wszystko, co robił, było przecież za zgodą i wiedzą generała. Teraz się okazało, że Górecki, ratując własny tyłek, jego wystawia na cel.

Stał się kozłem ofiarnym. Wiedział, że jego życie wisi na włosku. Wiedział też, że Kowal, jego osobisty ochroniarz, wcale nie ma problemów zdrowotnych. Prawdopodobnie został zlikwidowany wcześniej. Nagle wszystko zaczęło mu się układać.

Postanowił walczyć o swoje życie.

– Przyznaję się do wszystkiego i chciałbym mieć możliwość naprawy błędów – powiedział.

Miał nadzieję, że Górecki doceni jego lojalność i przekona Kamieniewa do ocalenia go. Kątem oka zauważył, że Topor nakręca na pistolet tłumik. Wiedział, że jego chwile są policzone.

– Błagam... Mogę naprawić wszystkie błędy! – zawołał.

Topor stanął za nim i przyłożył mu pistolet do potylicy.

– Nie chcę tak umierać...

– A ja, Wasiak, nie chcę, aby w kraju była bieda. Cóż, czasem nic nie poradzimy.

Górecki skinął głową.

Wasiak wiedział, że za moment padnie strzał. Zamknął oczy.

* * *

Katarzyna Wasiak była zaskoczona tym esemesem. Miała się spotkać z ojcem i generałem Góreckim w hotelu Park Plaza. Nie wiedziała, o co może chodzić. Kilka razy próbowała skontaktować się z ojcem, ale jego komórka była wyłączona.

Zaparkowała na parkingu podziemnym i udała się do windy. Stała obok wysokiego, chudego mężczyzny. Jego twarz wydała się jej znajoma.

Winda w końcu przyjechała. W środku był mężczyzna w stroju kucharza, niski i krępy. Patrzył na nią w dziwny sposób.

Zawahała się. Już miała się wycofać, ale w tym samym momencie chudzielec założył jej na szyję stalową linkę i zaczął dusić. Nie mogła złapać powietrza. Oczy zaczęły jej zachodzić mgłą. Jeden z butów spadł z nogi, gdy próbowała kopnąć chudzielca w piszczel.

Facet w stroju kucharza wyszedł z windy i z całej siły uderzył Katarzynę w splot słoneczny.

Straciła równowagę. Mięśnie jej zwiotczały. Czowała, że umiera.

Po chwili świat pogrążył się w ciemności.

KONIEC

WSZELKIE PODOBIENIŃSTWO DO PRAWDZIWYCH POSTACI I ZDARZE
JEST PRZYPADKOWE